



EMMA STRAUB

WSPÓŁCZESNI KOCHANKOWIE

Błyskotliwa i zabawna powieść o tym, co to znaczy
nareszcie wydorosnąć wiele lat po osiągnięciu dojrzałości

New York Times



REBIS

EMMA STRAUB
WSPÓŁCZEŚNI
KOCHANKOWIE

Przełożyła Maja Justyna



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

*Tę książkę dedykuję Ninie,
która chwali sobie przeprowadzkę do Ohio,
i klubowi miłośniczek książki z Rutland Road wraz
z wyrazami wdzięczności
za siedem lat miłych, dobrosąsiedzkich relacji*

Gdybym się mógł ustatkować, tobym się ustatkował.

Range Life (1994)

z albumu *Crooked Rain* zespołu Pavement

Sama nas nie odstąpisz, ani my nie zdołamy cię odprawić.

Z naszą pomocą, wszechmocna przyszłości,

niepodzielnie panujesz nad sprawami.

Kenneth Koch, *To the Past*

Część pierwsza

RUBY TUESDAY

AGENCJA NIERUCHOMOŚCI

MARY ANN O'CONNELL

Nowa oferta

Wyjątkowo atrakcyjny, 5-pokojowy apartament w okazałym budynku w stylu wiktoriańskim, w ekskluzywnej części Ditmas Park. Wiele oryginalnych elementów wykończenia, między innymi drzwi kieszeniowe, sztukaterie, misternie rzeźbione, reprezentacyjne schody. Zmodernizowana kuchnia, nowy dach. Tradycyjny kominek opalany drewnem. Garaż na dwa samochody. Doskonałe miejsce do zamieszkania w samym sercu miasta, w pobliżu sklepów, znakomitych restauracji na Cortelyou Road i stacji metra. Zdecydowanie warto obejrzeć!

Rozdział 1

W czerwcu spotkanie klubu miłośniczek książki odbywało się u Zoe. Na tę okazję Elizabeth przygotowała sałatkę szpinakową z orzechami włoskimi i kruszonką z koziego sera w dużej kamionkowej misie, z którą wybierała się do domu przyjaciółki oddalonego o nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Nie musiała nawet przechodzić na drugą stronę ulicy. Żadna z dwunastu kobiet należących do klubu nie miała daleko do miejsca spotkania. Na tym im zależało. Dość trudno było ustalić termin dogodny dla wszystkich, przeczytać książkę (na ogół zaledwie połowa z nich zdążyła dokończyć lekturę) i nie skazywać żadnej z członkiń klubu na podróż metrem. W ogóle niełatwo jest się umówić na spotkanie z najbliższymi przyjaciółkami kosztem własnego czasu, jechać samochodem przez całą dzielnicę na kolację, nawet jeśli ma się ochotę na spotkanie. Ale one mieszkały w sąsiedztwie. Miały o wiele łatwiej. Tego dnia zbierały się ostatni raz przed coroczną wakacyjną przerwą. Elizabeth sprzedawała domy sześciu członkiniom ich klubu z dwunastu. Zależało jej rzecz jasna, żeby każda z nich czuła się szczęśliwa, chociaż prawdę mówiąc, ona sama była zadowolona również wtedy, gdy mieszkańcy Brooklynu decydowali się go opuścić i przenieść na przedmieście lub wrócić tam, skąd kiedyś przybyli, ponieważ wtedy pobierała prowizję w podwójnej wysokości. Elizabeth lubiła swoją pracę.

Jeżeli nawet koleżanki z klubu książki, które obecnie mieszkały w sąsiedztwie, przed przeprowadzką nigdy się nie spotkały, to zupełnie inaczej było z Elizabeth i Zoe. One znały się od wielu lat – były najlepszymi przyjaciółkami, naprawdę, choć Elizabeth wolała przy Zoe o tym nie wspominać, bo nie chciała się narażać na żarty z takich dziecinnych sentymentów. Dawno temu – w epoce kamienia łupanego – zaraz po ukończeniu college’u mieszkały razem w tym samym, pełnym zakamarków domu w wiktoriańskim stylu, dzieląc go z chłopakiem Elizabeth (obecnie mężem) i dwoma innymi studentami, którzy przenieśli się do niego z akademika w Oberlin prowadzonego przez wspólnotę akademicką. Niosąc dużą miskę z domową potrawą do domu Zoe, Elizabeth zawsze odczuwała przyjemność, ponieważ przypominały się jej lata młodości, obfitujące w składkowe imprezy i raczej skromne pod względem zasobów kieszeni, czyli czasy, kiedy się ma dwadzieścia kilka lat. Dzielnicą Ditmas Park znajdowała się ze sto kilometrów od Manhattanu (w rzeczywistości niespełna cztery), była niewielkim skupiskiem wiktoriańskich kamienic i równie dobrze mogłaby istnieć w dowolnym miejscu w Stanach Zjednoczonych. Jej północna część przylegała do przestronnych terenów spacerowych Prospect Park, a południowa do brooklyńskiego college’u. Szkolni znajomi Elizabeth i Zoe przeprowadzili się do East Village, do budynków bez windy, albo do pięknych domów z elewacją z brunatnego piaskowca w Park Slope, znajdujących się po przeciwległej stronie ogromnego parku. Im trojgu natomiast przypadł do serca pomysł posiadania prawdziwego domu i pozostali w Brooklynie, wciśnięci pomiędzy leciwe, włoskie panusie i bloki dla najuboższych.

Po upływie terminu obowiązywania umowy najmu afroamerykańscy rodzice Zoe – którzy dorobili się sporej fortuny, występując w duecie wokalnym grającym muzykę w stylu disco – kupili jej ten dom. Siedem pokoi, trzy łazienki, centralnie położony hol,

podjazd i garaż. Za całość zapłacili sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a załatwiający stęchlizną dywan i grube warstwy farby ołowiowej na ścianach otrzymali w gratisie. Wtedy Elizabeth i Andrew nie byli jeszcze małżeństwem, o wspólnym koncie bankowym nawet nie rozmawiali, więc czeki z opłatą za czynsz wysyłali oddzielnie rodzicom Zoe do Los Angeles. Zoe wzięła spory, wieloletni kredyt, a zadłużenie zabezpieczone hipoteką jakiś czas temu spłaciła. Elizabeth i Andrew na krótko przeprowadzili się o kilka przecznic dalej i zamieszkali na Stratford, ale kilkanaście lat temu, kiedy ich syn, Harry, skończył cztery lata, kupili dom na tej samej ulicy, o trzy numery od domu Zoe. Szacunkowa wartość jej domu wynosiła obecnie około dwóch milionów dolarów, może nawet więcej. Myśląc o tym, Elizabeth czuła lekkie mrowienie w okolicy kręgosłupa. Nie przypuszczała, podobnie jak Zoe, że po upływie tylu lat wciąż będą mieszkać tak blisko siebie, i jak dotąd żadnej z nich nie udało się znaleźć dogodnego momentu na przeprowadzkę.

Elizabeth weszła po schodach na przestronną werandę i zajrzała przez okno. Jak zwykle zjawiała się pierwsza. W jadalni wszystko było już przygotowane, stół nakryty. Zoe, z butelką wina w każdej ręce, przewinęła się przez drzwi wahadłowe z kuchni. Dmuchiwała w górę, bezskutecznie próbując pozbyć się pasemka kręconych włosów z nad oczu. Była w obcisłych dżinsach i poprzecieranej kamizelce. Jej szyję zdobił bogaty zwój sięgających do piersi naszyjników, które pobrzękiwały przy każdym ruchu. Nie miało najmniejszego znaczenia, czy Elizabeth wybrała się w towarzystwie Zoe czy sama na zakupy do sklepów wyprzedażowych, do których chętnie zaglądała, albo do ulubionych, małych i drogich butików, i tak nigdy nie udało się jej znaleźć niczego, w czym prezentowałyby się tak dobrze jak jej przyjaciółka. Zoe w wieku czterdziestu pięciu lat wyglądała równie naturalnie i swobodnie jak wtedy, gdy miała osiemnaście. Elizabeth zapukała w okno. Zoe spojrzała w jej stronę i się uśmiechnęła. Elizabeth pomachała do niej, a Zoe zaprosiła ją ruchem dłoni do środka i poruszając w powietrzu smukłymi palcami, pokazała, że drzwi wejściowe są otwarte.

W domu pachniało bazylią i świeżymi pomidorami. Elizabeth weszła, ale nie przytrzymała drzwi, więc z głośnym trzaskiem same się za nią zamknęły. Swoją sałatkę postawiła na stole. Poruszała rękoma, żeby rozluźnić nadgarstki, i rozległo się trzaskanie w stawach, głośne jak wystrzały fajerwerków. Zoe obeszła stół i pocałowała ją w policzek.

– Jak minął dzień, skarbeczku? – zapytała.

Elizabeth poruszyła głową na boki, przekręciła ją w jedną stronę, potem w drugą. Chrupnęło jej w karku.

– Szczerze mówiąc... – zaczęła. – A zresztą, mniejsza o to. Pomóc ci w czymś? – Rozejrzała się po pokoju. – Jeśli czegoś ci brakuje, mogę jeszcze przynieść od siebie.

Nawet w Ditmas Park zorganizowanie kolacji dla dwunastu osób to spory wysiłek dla pani domu. Zazwyczaj tylko nieliczne miłośniczki książki miały czas przyjść na spotkanie, więc jego gospodyni mogła je zorganizować w ramach własnych możliwości i gości posadzić przy stole w jadalni, ale raz na jakiś czas (zwłaszcza tuż przed sezonem urlopowym) wszystkie członkinie klubu z chęcią przyjmowały zaproszenie i, w zależności od tego, u której z nich odbywało się spotkanie, jego uczestniczki musiały

przynosić ze sobą dodatkowe, składane krzesła, żeby nie siedzieć na podłodze jak nadąsane dzieci w Święto Dziękczynienia.

Nad ich głowami rozległ się łomot – *łup* – jak przy uderzeniu o podłogę ciężkiego przedmiotu, który spadł ze sporej wysokości. Taki sam odgłos powtórzył się jeszcze dwa razy – *łup, łup*.

– Ruby! – krzyknęła Zoe, unosząc głowę. – Chodź się przywitać z Elizabeth!

W odpowiedzi dał się słyszeć stłumiony pomruk.

– Zostaw ją w spokoju. Nic nie szkodzi – powiedziała Elizabeth. – A gdzie Jane, w restauracji? – Już otwierała usta, żeby powiedzieć coś więcej – знаła najnowsze wieści, nienadające się dla uszu ich sąsiadek, i chciała nawiązać do sprawy, która jej była znana, zanim przy drzwiach rozlegnie się dzwonek, ale Zoe zaczęła mówić:

– Mamy nowego zastępcę szefa kuchni, więc jestem niemal pewna, że Jane sterczy mu nad głową jak znieawidzony sierżant od musztry. Wiesz, jak to jest na początku, zawsze jeden wielki dramat. Ruby! Chodź tutaj i się przywitaj, bo zaraz zjawią się goście, których nie lubisz! – Zoe koniuszkami palców przesunęła po brwiach. – Zapisałam ją na ten kurs przygotowawczy do testu kwalifikacyjnego do college’u, o którym mi powiedziałaś, i jest wkurzona. – Zoe wydała z siebie groźny warkot, jaki towarzyszy wystrzeliwaniu torped z wyrzutni.

Na górze trzasnęły drzwi, a potem rozległ się tupot na schodach, jakby zbiegało po nich stado zwinnych słoni zaklętych w ciele jednej nastolatki. Ruby zatrzymała się gwałtownie na ostatnim stopniu. Elizabeth widziała ją kilka tygodni temu. Od tego czasu włosy Ruby zmieniły kolor z morskiej zieleni na głęboką czerń z lekko fioletowym odcieniem, a zwinięty z nich kok sterczał jej na samym czubku głowy.

– Cześć, Ruby – przywitała ją Elizabeth. – Co słychać?

Ruby oderwała płatek lakieru z paznokcia.

– Nic – mruknęła.

W przeciwieństwie do Zoe Ruby miała okrągłą i pulchną twarz, ale oczy w identycznym kształcie jak matka, lekko zwężone, charakterystyczne dla osób, które sprawiają wrażenie nieufnych. Skóra Ruby była o trzy odcienie jaśniejsza od skóry Zoe. Dziewczyna miała jasnozielone oczy jak Jane i nawet bez tego fioletu na włosach i gburowatej miny swoim wyglądem wzbudzały postrach.

– Uroczystość wręczenia świadectw masz w czwartek, prawda? Wiesz już, w co się ubierzesz?

Ruby wydała z siebie odgłosy przypominające dźwięki kazoo, niewiele różniące się od warkotu jej matki sprzed kilku minut, naśladującego ryk torpedy. Zabawne, ile własnych cech rodzice przekazują swoim pociechom. Nie dokładają żadnych starań, a ich dzieci i tak prawie wszystko od nich przejmują i powielają. Spojrzała na matkę, który skinęła głową.

– Bardzo chcę włożyć sukienkę mamy, tę białą. Wiesz którą?

Elizabeth dobrze wiedziała. Zoe nie tylko doskonale sobie radziła z kupowaniem ubrań, ale też nieźle jej wychodziło ich długoletnie składowanie. Na szczęście związała się z kobietą na co dzień noszącą te same dzinsy i bluzki koszulowe, których miała zaledwie kilka na zmianę, ponieważ w ich ogromnej garderobie nie było miejsca na

więcej. Biała sukienka była okazem z młodości Zoe: koronkowy stanik z przewagą pustych przestrzeni nad materiałem połączony ze spódnicą z powiewających tasiemek, które rozpoczynały się tuż poniżej poziomu przyzwoitości. To była taka sukienka, jaką się nosiło na kostium kąpielowy na wakacjach w Meksyku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Pierwotnie należała do matki Zoe, więc prawdopodobnie głęboko w szwach pozostały jeszcze drobinki metakwalonu. Zanim Elizabeth poznała Bennettów, nie spotkała rodziców, których styl życia w równym stopniu wzbudzałby dumę i zażenowanie ich dzieci. Niefrasobliwość ma swoje zalety, ale do pewnego momentu.

– No, no?! – zdumiała się Elizabeth.

– Ten temat jest wciąż przedmiotem dyskusji – skomentowała Zoe.

Ruby przewróciła oczami i zeskoczyła z ostatniego stopnia. W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Jedna po drugiej przybywały sąsiadki i każda wносиła naczynie przykryte folią aluminiową. Korzystając z okazji, Ruby chyłkiem wywędrowała do kuchni, a stamtąd z talerzem pełnym jedzenia z powrotem na górę.

Hiiiiiiiiii, chichotały zgodnym chórem trzy kobiety.

Hiiiiiiiiii, odpowiadały tym samym Elizabeth i Zoe. Rozbrzmiewała piosenka dnia, na którą składał się entuzjastyczny szczebiot towarzyszący kolacji w wyłącznie żeńskim gronie.

Rozdział 2

Kiedy Elizabeth wieczorem była poza domem, Andrew miał obowiązek nakarmić Harry'ego. Ten natomiast, w przeciwieństwie do większości nastolatków, którzy zjedzą nawet tekturę, jeśli została obłożona plasterkami pepperoni, miał subtelne upodobania. Jako małe dziecko wybierał tylko to, na co miał ochotę, a resztę odgarniał na brzeg talerza. Nie dotykał oliwek. Awokado owszem, ale tylko w postaci guacamole. Kremowy twarożek był całkowicie wykluczony, owoc kale – niejadalny, nasiona sezamu – podobnie, pomidory akceptowalne wyłącznie w formie sosu. Lista była długa i wciąż się wydłużała, a Andrew odnosił wrażenie, że ilekroć on przygotowywał posiłek, dochodził do niej kolejny produkt. Otworzył drzwi lodówki i analizował jej zawartość. Iggy Pop, ich chudy, szylkretowy kot, otarł się o jego but.

– Harry?! – zagadnął Andrew, odwracając głowę w stronę salonu. Słyszał powtarzające się piski i trzaski – odgłosy z *Tajnego agenta*, ulubionej gry wideo Harry'ego. Jej głównym bohaterem była żaba w trenczu i czapce Sherlocka Holmesa i na tyle, na ile Andrew się orientował, została stworzona dla ośmiolatków. Harry nie wykazywał najmniejszego zainteresowania takimi grami, jak *Call of Duty* czy *Grand Theft Auto*, ani żadnymi innymi z wielu popularnych gier, w których fabuła koncentrowała się wokół morderstwa czy przygód prostytutek. Andrew był zadowolony. Lepiej mieć syna, który woli żaby niż automatyczne karabiny maszynowe. Andrew sam chętnie grywał kiedyś w spokojne gry wideo i czytał opasłe powieści fantastyczne o myszach. On i Harry byli bardzo do siebie podobni. Obaj mieli miękkie wnętrza jak w niedopieczonych ciasteczkach. Do takich osób zwykle lgną ludzie, czyż nie?

– Harry?! – powtórzył Andrew. Zamknął drzwi lodówki i spokojnie czekał.
– Harry?!

Hałas dobiegające z salonu ustały.

– Słyszałem, tato. Za pierwszym razem – oznajmił Harry. – Najlepiej zamówmy pizzę.

– Jesteś pewien?

– Czemu nie?

Znów rozległy się hałaśliwe odgłosy. Andrew sięgnął po telefon, poszedł do salonu i stanął w drzwiach. Iggy podążył za nim. Na zewnątrz było jeszcze widno. Andrew posmutniał, przyglądając się swemu delikatnemu synowi, który z taką przyjemnością spędzał w domu piękny, czerwcowy wieczór. Nie zdradzał zainteresowania indywidualnymi rzutami karnymi w parku, zbieraniem piłki spod kosza, nawet paleniem zakazanych papierosów na ławce w ustronnym miejscu. Harry wyglądał blado – Harry był blady. Miał na sobie czarną bluzę zapiętą wysoko pod brodę na zamek błyskawiczny.

– Chcesz zagrać? – zapytał Harry i spojrzał na ojca brązowymi, lśniącooczami.

Andrew schował swój smutek w zakamarku, głęboko, bardzo głęboko, i usiadł obok syna. Iggy Pop wskoczył mu na kolana, umościł się i zwinął w kłębek. Żaba pomrukała i rozległy się dźwięki muzyki.

Komuś powierzono napisanie tej muzyki – metalicznie brzmiącej melodyjki

w kółko powtarzającej się w tle. Ktoś w ramach swojej pracy komponował muzykę, którą było słycać w pełnych napięcia przerwach w grze aktorów w operach mydlanych. Ktoś tworzył dzwonki telefonów. Komuś płacą za oprawę muzyczną, może nawet wysyłają czeki z honorarium z tytułu praw autorskich. Andrew nigdy nie cieszył się opinią bardzo dobrego basisty, ale wymyślanie melodii zawsze dobrze mu wychodziło i prawdopodobnie było jedynym zajęciem, które naprawdę lubił. W sensie zawodowym, choć w zasadzie nie zajmował się tym zawodowo. Tak czy inaczej, ilekroć czuł się przygnębiony, a w takim nastroju bywał o wiele częściej niż w dobrym, myślał o honorarium autorskim, swoim i Elizabeth, i o tym, że z niego pokrywają większość kosztów nauki Harry'ego w szkole prywatnej. Wtedy zazwyczaj trochę mu się poprawiał humor. Zawsze znajdzie się ktoś, kto jest lepszy, zwłaszcza w Nowym Jorku, ale pal diabli, Andrew przynajmniej zrobił w swoim życiu coś, co zostanie zapamiętane na zawsze.

– Tato – odezwał się Harry. – Teraz twoja kolej. Ja zamówię pizzę.

Harry odgarnął włosy znad oczu i zamrugał jak krecik, który po raz pierwszy zobaczył słoneczne światło. Harry był naprawdę grzecznym dzieckiem, bardzo dobrym chłopcem. Wciąż to sobie powtarzali w rozmowach, odkąd ich syn przyszedł na świat, a oboje z Elizabeth wylegiwali się razem w ciepłym łóżku, opatuleni i zadowoleni, z elektroniczną nianią między sobą, słuchając jego kwilenia i czkawek. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów. Wszyscy znajomi i przyjaciele przestrzegali ich, że kolejne dziecko dopiero im dopieczę, że dowiedzą się, co znaczy mieć problemy, ale następne się nie urodziło. Było ich więc troje, związanych ze sobą na stałe. Początkowo często słyszeli pytanie, dlaczego nie mają więcej dzieci, ale w miarę upływu czasu osoby z ich otoczenia uznawały, że takiego dokonali wyboru, i nikt się już tą sprawą nie zajmował. Nawet rodzice przestali pytać, gdy Harry skończył sześć lat. Komu zresztą potrzebna jest gromada wnuków, jeżeli Harry wyciągał ręce do babci, która go brała ramiona, a on bez nagabywania całował ją w policzek? Czy ktokolwiek mógłby życzyć sobie więcej? Niektórzy sąsiedzi – nawet nie ich bliscy znajomi, tylko tacy, którzy machają ręką na powitanie przy wynoszeniu śmieci – mieli troje lub czworo dzieci, a Andrew od dawna nie mógł się nadziwić temu zjawisku z ubiegłego stulecia, kiedy to istniało zapotrzebowanie na jak najwięcej malutkich rąk do dojenia krów i kopania motykami w polu. Co z tyloma dziećmi robić w Brooklynie? Czy geny ich dwojga były aż tak cenne, żeby miały istotną wartość dla ludzkości? Rozumiał lubawiczan z Williamsburga i mormonów z Utah, którzy są na wymarcu, bo w ich przypadku w grę wchodziły względy religijne. Ale on i Elizabeth? Przecież oboje zrobili swoje najlepiej jak potrafili, a najlepiej wyszedł im Harry, milutki Harry. Andrew chciał nawet w głębi duszy, żeby jego syn wyłożył się na teście sprawdzającym poziom przygotowania do college'u i na zawsze został w rodzinnym domu. Ale Harry rzecz jasna zda go celująco, dzięki powieściom napisanym kwiecistym językiem, które uwielbia. Gdy jeszcze był małym dzieckiem, ubóstwiał wielosylabowe słowa, a zanim skończył dwa lata, powiedział: „jest nadZWYWczajna” o fontannie na Grand Army Plaza, z której wysoko w powietrze trysnęły strumienie wody.

– Kocham cię, synku – wyznał Andrew.

Harry patrzył w telefon ojca i przyciskał klawisze.
– Gotowe, zamówiona.

Rozdział 3

Na samą myśl o zasranych testach kwalifikacyjnych do college'u Ruby dostawała drgawek, podobnie jak na wspomnienie swego zasranego liceum, którego nienawidziła. I testy, i szkoła były typowymi przykładami patriarchalnego systemu ucisku, zdominowanego przez mężczyzn, i tego całego seksistowskiego szamba. Prywatne liceum im. Walta Whitmana cieszyło się dobrą opinią jak na brooklińskie standardy – na ich tle wypadało zupełnie przyzwoicie. Wprawdzie nie była to najlepsza szkoła, ale też nie najgorsza. Kto wie, może któryś z jej uczniów dostanie się do jednego z prestiżowych uniwersytetów Ligi Bluszczowej, a może i nie. Większość absolwentów Whitmana wybierała się do Marist, do Syracuse albo do Purchase. Ale nie Ruby. Ona postanowiła zrobić sobie rok przerwy. Tak brzmiała jej decyzja w wersji dyplomatycznej. W rzeczywistości nie została przyjęta do żadnej ze szkół wyższych, do których wysłała zgłoszenie. Jej niepoprawnie optymistyczne matki uważały, że zaważyły wyniki z testów kwalifikacyjnych, wcale nie arogancja, słabe stopnie i beznadziejne wypracowania o sobie, czyli ciemnoskórej Żydówce z dwiema matkami lesbijkami (które napisała według błędnego przekonania wszystkich). Zapowiadało się więc, że po skończeniu szkoły będzie musiała chodzić na letni kurs przygotowawczy. Czy ktoś w ogóle bierze udział w czymś takim? Absolutnie nikt. To są jakieś żarty, a ona stała się tylko pośmiewiskiem.

Telefon Ruby zawibrował na łóżku. Na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość: „Czekam na boisku o 10. Przyjdiesz?”. Dust miał dziewiętnaście lat, ukruszony przedni ząb i ogoloną na tyso głowę. Był jednym z chłopaków z placu przed kościołem. Należał do niezbyt licznej grupy skaterów, którzy całymi dniami z hałasem zjeżdżali na deskorolkach ze schodów kościoła znajdującego się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko liceum Whitmana. Na tyle, na ile Ruby się orientowała, żaden z nich nie chodził do szkoły, nawet ci, którzy nie mieli skończonych osiemnastu lat. Pracownicy ochrony z Whitmana czasem ich przeganiali, ale nigdy nie na długo, ponieważ tamci nie robili niczego, co byłoby niezgodne z prawem. Ich grupie przewodził Dust. Nosił dzinsy w pasującym rozmiarze – ani nie za obcisłe, żeby nie wyglądały na babskie, ani nie za bardzo workowate, żeby nikt nie pomyślał, że są po czyimś ojcu. Dust miał ładnie ukształtowane mięśnie, sprawiały wrażenie naturalnie wyrzeźbionych, jak u mechanika z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku całymi dniami pracującego w warsztacie samochodowym. Wiedzę na temat lat pięćdziesiątych Ruby zaczerpnęła z filmów *Grease* i *Buntownik bez powodu*. Zasadniczo życie nastolatka było jednym wielkim utrapieniem, chyba że Johna Travolty, który – jak każdemu wiadomo – miał dwadzieścia dziewięć lat, co i tak nie robiło różnicy. U Whitmana rzadko kto spontanicznie śpiewał piosenki. Owszem, zdarzało się to, choć tylko pasjonatom musicali filmowych, ale Ruby ich nie znosiła tak samo jak lekkoatletów, których uważała za jeszcze bardziej godnych pożałowania, bo przecież w ich szkole nawet nie było sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia. Do Whitmana chodziły też pospolite kujony – dla nich liczyła się wyłącznie nauka do testów – i aktywiści, którzy wciąż nakłaniali do podpisywania swoich petycji

z żądaniem rzezi wielorybów albo ocalenia wirusa Ebola, albo w jakiejś innej sprawie. Chłopcy z kościelnego placu byli naprawdę jej jedyną nadzieją, pod względem seksualnym.

„Nie mogę”, odpisała. „Mumusia ma zebranie klubu książki. Jest impreza/Chyba się zastrzele!”

„Spoko”, napisał. Jedno słowo i nic więcej.

Nazywanie matki „mumusią” wcale nie wynikało ze skłonności Ruby do używania wydumanych zdrobnień – miała dwie: mumusię i mamusię, więc musiała zwracać się do każdej z nich inaczej. W każdym razie, wcale nie chodziło o zebranie klubu książki, tylko Ruby taką sobie znalazła najnowszą wymówkę. I tak nie poszłaby na boisko. Zerwała z Dustem trzy tygodnie temu, przynajmniej tak uważała. Być może nie dość jasno dała mu to do zrozumienia. Rozstała się z nim wtedy, kiedy wybrali się do Purity Diner na Siódmej Alei, bardzo blisko jej szkoły, a ona nie pozwoliła mu zapłacić za swoje frytki. Potem, to znaczy dwa dni później, wychodziła ze szkoły i Dust czekał po drugiej stronie ulicy, na kościelnych schodach, ale udała, że go nie widzi, i skierowała się prosto do stacji metra, zamiast zgodzić się na wspólny spacer do parku, gdzie pofiglowaliby na tyle, na ile można sobie pozwolić w miejscu publicznym, a można na niemało.

Chodziło głównie o to, że Dust nie był ani inteligentny, ani interesujący, jeśli nie liczyć wyczynów na deskorolce i sprawności w seksie oralnym. Przez kilka miesięcy jego zaniedbane zęby, ogolona głowa i krzywy uśmiech były dość atrakcyjne, ale gdy te uroki zbladły, pozostały im jedynie rozmowy na temat amerykańskiego *Idola* (programu telewizyjnego, którego oboje nie znosili) i filmów z serii *Szybcy i wściekli* (których Ruby nie oglądała). Problem z matkami Ruby polegał na tym, że ich restauracja znajdowała się o trzy przecznice od domu, w którym wszystkie mieszkały, i nigdy nie było wiadomo, kiedy któraś z nich akurat w nim jest. Ale Ruby jedno wiedziała na pewno, a mianowicie, że nie chce żadnej z nich przedstawiać Dusta, bo rozmowa z nim niewiele różniłaby się od uczenia psa języka chińskiego. Dust nie został stworzony do pokazywania go rodzicom, ale do wystawiania na rogach ulic i do ugniatania bryłek haszyszu, a takie upodobania nie mieściły się w sferze zainteresowań Ruby. Zsunęła się z łóżka na podłogę i podczołgała do gramofonu. O ile mamusia Ruby, w kuchennych trepach i z męską fryzurą, nikomu nie kojarzyła się z osobą na luzie, o tyle mumusia miewała niezłe momenty. Dawniej gramofon należał do niej – w czasach jej college’u, gdy po Ziemi wędrowały dinozaury – ale teraz był własnością Ruby i najcenniejszą rzeczą, jaką posiadała. Gdyby Dust zasługiwał na poświęcanie mu czasu, znalazłby wszystkie ulubione zespoły Ruby – Raincoats, X-Ray Spex, Bad Brains – ale on słuchał tylko dubstepu, który, jak wiadomo, jest jedną z największych porażek ludzkości.

Ruby przerzuciła stos płyt leżących na podłodze, rozkładając je jak karty tarota, aż w końcu znalazła tę, której szukała. *Lady Soul* Arethy Franklin. Aretha nie miała fanzinu i przypuszczalnie nie nosiła kolczyka w nosie, mimo to była piekielnie dobra. Ruby włączyła płytę na stronie A i czekała na pierwsze dźwięki. Gdy zabrzmiały, położyła się na wznak na dywanie i zapatrzyła w sufit. Leżąc na podłodze, słyszała coraz donośniejsze odgłosy spotkania członkiń klubu książki. Doprawdy wyglądało na to, że nikt, kto przekroczył trzydziestkę, nigdy się jeszcze nie upił i przy każdej okazji robi to po raz

pierwszy. Nie trzeba będzie długo czekać, aż zaczną rozmawiać o swoich mężach i dzieciach, a jej mumusia wszystko, co ma do powiedzenia, będzie mówiła szeptem. Tylko że Ruby zawsze ją słyszy, zawsze słyszy każde jej słowo – czy rodzice takich rzeczy nie rozumieją? Czy oni nie wiedzą, że dzieci słyszą wszystko, co się mówi, nawet po drugiej stronie domu, bo mają słuch jak nietoperze, i że dorosłym się tylko wydaje, że szepczą? Najbliższe wakacje już są stracone, a jeszcze nawet się nie zaczęły.

Rozdział 4

Dochodziła jedenasta, a uczestniczki wyłącznie żeńskiego spotkania, które wciąż trwało, zgromadziły się w kuchni i pomagały Zoe w sprzątaniu. Allison i Ronna od niedawna mieszkały w tej okolicy, więc koniecznie chciały się o niej dowiedzieć jak najwięcej. Nieruchomości sprzedawała im Elizabeth – Allison piękny, stary dom do remontu na Westminster Road między Ditmas Avenue i Cortelyou Road, a Ronna mieszkanie na Beverly Road przy Ocean Avenue. Obie były po trzydziestce, zamężne, ale nie miały dzieci. Dopiero się o nie starały! Młode kobiety lubiły o tym wspomnieć, zwłaszcza w rozmowach z agentami nieruchomości. Elizabeth była terapeutką, doradcą małżeńskim, psychologiem, przewodnikiem duchowym, każdym z nich po trochu w jednej osobie, głównie po to, żeby jak najszybciej doprowadzić do sfinalizowania transakcji. Agentowi nieruchomości w świetle prawa na pewne tematy nie wolno się wypowiadać, na przykład jakości miejscowych szkół publicznych, przekroju lokalnej społeczności pod względem rasowym, nie wolno też udzielać informacji, czy w danym mieszkaniu lub domu ktoś zmarł. Ale te zakazy wcale nie powstrzymują ludzi przed podejmowaniem próby uzyskania tego rodzaju wiadomości. Allison i Ronna były tak bardzo podekscytowane spotkaniem, śmiały się perliście i rozprawały o wyborze kranów i poszukiwaniu tapeciarzy, że Elizabeth pocałowała obie w policzek i zaproponowała, żeby razem poszły obejrzyć kuchnię jednej i drugiej.

Zoe stała przy zlewozmywaku. Z jej mokrych rąk raz po raz skapywały na podłogę krople mydlanej wody.

– Jestem do twojej dyspozycji – powiedziała Elizabeth, zgarniając resztki wody z rąk.

– Bardzo cię przepraszam – odpowiedziała Zoe. – Udane spotkanie. Przypomnij mi, jaka ma być następna lektura.

– *Wichrowe Wzgórza!* Wybrała Josephine, która nigdy w życiu nie przeczytała do końca ani jednej książki! Ciekawe, czy poprzestanie na obejrzeniu filmu z wypożyczalni. Właściwie jestem pewna, że właśnie dlatego ją zaproponowała. Chyba jest nowa ekranizacja tej powieści, a ona już ją widziała na kanale HBO Go. Teraz będzie udawać, że przeczytała książkę. Przez cały wieczór będzie rozprawać, jak to akcja toczy się na pięknej karaibskiej wyspie. – Elizabeth wzięła stos czystych talerzy i odstawiła je z powrotem do szafki.

– Naprawdę nie musisz mi pomagać, Lizzy – zauważyła Zoe.

– Daj spokój, nie ma problemu. A swoją drogą to dobra wymówka, żeby się pozbyć pomocnika.

Zoe się roześmiała.

– Właściwie jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać. – Elizabeth odwróciła się i oparła o kuchenny blat.

– Tak? Ja też. Mów pierwsza. – Zoe odsunęła się od zlewozmywaka.

– Znalazł się producent, który chce nakręcić film o Lydii, i potrzebne są prawa. Nasze prawa. Do piosenki i do naszych postaci. Ktoś znany ma napisać scenariusz,

podobno zdolny, ale nie pamiętam nazwiska. – Elizabeth ożywiła się, ale po chwili zacisnęła zęby. Wiele lat temu, jeszcze przed zamieszkaniem w Brooklynie i zanim przyszły na świat dzieci, Elizabeth, Andrew i Zoe tworzyli zespół. Dawali mnóstwo koncertów w obskurnych piwnicach i nagrywali piosenki na różowym, plastikowym magnetofonie kasetowym. Jedną ze swoich piosenek, *Sama sobie jestem panią*, sprzedali dawnej koleżance z zespołu, Lydii Greenbaum. Wkrótce potem Lydia porzuciła college, rozstała się ze swoim nazwiskiem Greenbaum, podpisała kontrakt z niezależną wytwórnią, wydała płytę z tą piosenką i zdobyła sławę. Jej fryzura i ciuchy stały się wzorem do naśladowania dla wszystkich dzieciaków na St. Marks Place, nagrała ścieżkę dźwiękową do awangardowego filmu o kobiecie, która straciła prawą rękę w wypadku w fabryce (*Ani dnia od wtedy*), ogoliła głowę, została buddystką, a potem wyzionęła ducha z przedawkowania narkotyków – w wieku dwudziestu siedmiu lat, tak jak Janis i Jimi, i Kurt. Każdego roku w rocznicę jej śmierci piosenkę *Sama sobie jestem panią* grały w kółko wszystkie rozgłośnie radiowe w college'ach w całym kraju. Tym razem przypadała dwudziesta rocznica i Elizabeth przypuszczała, że wydarzy się coś szczególnego. Telefon zadzwonił tamtego dnia rano. Zwracano się już do nich z podobnymi prośbami, ale nigdy nie były to osoby dysponujące prawdziwymi pieniędzmi.

– Co takiego?! – Zoe chwyciła Elizabeth za łokieć. – Cholera! Żartujesz?! Ile mamy dostać?

– Tego jeszcze nie wiem, ale Andrew chce odmówić. Praktycznie rzecz biorąc, potrzebują od nas wszystkich zgody na prawa do życia i na wykorzystanie tej piosenki w filmie...

– Nie mogą zrobić filmu o Lydii bez tej piosenki?

– Nie. To znaczy, niby mogliby, tylko jaki byłby sens?

– Hmm. Kto mógłby ją zagrać? Kto wystąpiłby w twojej roli? A w mojej? O mój Boże, Ruby, oczywiście! Jasny gwint, to nadzwyczajny pomysł. Jestem zachwycona, daj mi formularze. Ja się zgadzam.

Elizabeth zamachała rękami.

– Moim zdaniem akurat to nie ma tak dużego znaczenia. Poproszę tę kobietę, żeby ci przysłała dokument do podpisania. Jestem prawie pewna, że potraktują nas grupowo, jako przypadkowych znajomych z college'u. Znajomy pierwszy, drugi i trzeci. Ale Andrew nigdy się nie zgodzi, żeby im oddać piosenkę. Ma do niej ogromny sentyment.

Przez ostatnie dziesięć lat Elizabeth i Andrew po kryjomu znów pisali piosenki, tylko we dwoje. Zwykle w godzinach popołudniowych, kiedy Harry był w szkole, a oni mieli czas wolny od pracy. Siadali na krzesłach w garażu i grali. Elizabeth nie potrafiła ocenić, czy ich nowe piosenki są dobre, ale lubiła śpiewać z mężem, lubiła czuć tę wzajemną bliskość, gdy znajdowali się w pewnej odległości od siebie, ale miała wrażenie, że ich ciała się dotykają. Nikt oprócz nich o tym nie wiedział. Andrew nalegał, żeby zachować tajemnicę.

– Tyle na ten temat – podsumowała. – A ty jakie masz nowiny?

Na blacie została połowa ciasta z orzechami pekanowymi, przyniesionego przez Josephine, która piecze je co miesiąc niezależnie od pory roku, więc na ogół nie cieszy

się ono zainteresowaniem członkiń klubu książki. Elizabeth skubnęła kawałek palcami.

– Och – westchnęła Zoe. – Znowu rozmawiamy na temat rozwodu. – Pokręciła głową. – Wydaje mi się, że tym razem pewnie do niego dojdzie. Sama nie wiem. – Bingo, golden retriever, którego Zoe ma od dawna, ociężale wyłonił się z kryjówki pod stołem w jadalni i oparł się współczująco o jej łydkę. Przykucnęła i go przytuliła. – Do pieaszczot został mi pies – powiedziała i się rozplakała.

– Kochanie! – Elizabeth uklękła i objęła Zoe, a pies znalazł się pomiędzy nimi. Przychodziły jej na myśl dobre i złe pytania. Nie wypada jednak pytać o powody ani okazywać zaskoczenia, ani tym bardziej go nie okazywać. – O nie! Co się dzieje? Tak mi przykro. Jakoś to znosisz? Czy Ruby wie? Zamierzacie sprzedać dom?

Zoe uniosła głowę znad karku Binga. Do jej mokrego policzka przykleił się jego włos.

– Mnie też. Tak. Nie. Czy ja wiem? Być może. Tak mi się wydaje? O mój Boże!

Elizabeth pogłaskała Zoe po głowie i zdjęła jej z policzka sierść psa.

– Pomogę ci. We wszystkim. Wiesz o tym, prawda?

Zoe skinęła głową, wyduła dolną wargę, od środka różową jak wnętrze muszli, i zrobiła nadąsaną minę.

Rozdział 5

Akademia im. Walta Whitmana była niewielką szkołą prywatną. W tym roku kończyło ją zaledwie sześćdziesięciu ośmiu wychowanków. Ruby należała do dwunastki kolorowych uczniów ze swego rocznika: do jej klasy chodziły trzy osoby pochodzenia afroamerykańskiego, cztery latynoskiego i pięć azjatyckiego. Kompromitujące i smutne, ale tak wyglądała prywatna szkoła w Nowym Jorku. Zoe miała mieszane uczucia, gdy zapisywała do niej Ruby – wołała, żeby jej córka uczyła się w bardziej różnorodnym środowisku, ale wszystkie szkoły prywatne były równie złe, a szkoły publiczne w ich okolicy – beznadziejne. Akademia im. Whitmana znajdowała się najbliżej ich domu i na niej stanęło.

Uroczystość na zakończenie nauki w szkole odbywała się po zmroku ku zadowoleniu pracujących rodziców i uczniów, dla których taka pora była dodatkową atrakcją. Ich uroczystość rangą zbliżyła się do ceremonii z czerwonym dywanem, jakby w ogóle trzeba było stwarzać warunki do takich porównań. Szkoła mieściła się przy Prospect Park West, gdzie o każdej porze trudno było o miejsce parkingowe, a na dodatek Ruby włożyła czółenka na wysokich obcasach i odmówiła spaceru od stacji metra. Najlepiej byłoby zamówić taksówkę, ale padał deszcz, więc wszelkie próby jej zdobycia w Ditmas Park przy takiej pogodzie skończyłyby się tak samo jak wabienie niedźwiedzia polarnego. Daremny wysiłek. Zoe siedziała na fotelu kierowcy w ich hondzie, czekała na podjeździe przed domem. Silnik samochodu pracował już od pewnego czasu. Zostało im dwadzieścia minut na dojazd do szkoły. Jane wzięła sobie wolny wieczór, ale najprawdopodobniej wciąż stała w ich domowej kuchni, zamiast w kuchni w restauracji, i zamawiała przez telefon dziesięć kilogramów pomidorów jakiejś tradycyjnej odmiany u dostawcy z New Jersey, gryząc końcówkę długopisu, która potem wyglądała jak rozwidlony korzeń drzewa. Radio było nastawione na stację publiczną, ale Zoe nie miała nastroju, żeby jej słuchać, więc przełączyła kanał, a po chwili zmieniła go na jeszcze inny. Przestała naciskać klawisze, kiedy usłyszała refren piosenki *Sama sobie jestem panią* i wrzaskliwy głos Lydii. To była dobra piosenka, zdecydowanie, ale trzeba przyznać, że jej największa wartość polegała na tym, że powstała we właściwym czasie i że śpiewała ją właściwa osoba.

W Oberlin Lydia niczym szczególnym się nie wyróżniała. Była trochę zbyt pulchna, jak większość studentów, a w niedługim czasie dodatkowo odłożyło się jej kilka nowych warstw tłuszczu z powodu smakołyków oferowanych w barze: lodów włoskich z automatu i kulek ziemniaczanych pieczonych na głębokim oleju, które jedli na każdy posiłek. Mieszkali w tym samym akademiku, South, który znajdował się w przeciwległej części miasteczka akademickiego względem tej, w której mieszkali studenci pierwszego roku. Zwykle w nim umieszczano wielu studentów konserwatorium. Gdy rodzice Lydii przywieźli ją do Oberlin, Zoe obserwowała obcą dziewczynę i jej matkę, jak taszcza po schodach pełnowymiarową harfę. Zoe i jej znajomi nie byli muzykami, w niczym nie przypominali studentów konserwatorium, niezwykle uzdolnionych i od urodzenia przykutych do swoich instrumentów. Mimo to Zoe umiała grać na pianinie, a Elizabeth

od dziesiątego roku życia chodziła na lekcje gitary. O Andrew dało się powiedzieć tyle, że w najlepszym razie znał podstawy gry na basie. Lydia miała zostać ich perkusistką, ale bez perkusji mogła tylko bębnić swoimi dwoma palcami w różne przedmioty znajdujące się w zasięgu jej rąk. Wtedy była brunetką, miała brązowe, falujące włosy i wyglądała jak typowa dziewczyna ze Scarsdale. Oczywiście, gdy Lydia stała się Lydią, tamta dziewczyna ze Scarsdale bezpowrotnie zniknęła.

Zoe usłyszała krzyki dobiegające z domu. Wyłączyła radio i otworzyła okno. Ruby i Jane równocześnie wybiegły na zewnątrz. Ruby w białej sukience z frędzlami, a Jane z głębokim niedowierzaniem w oczach.

– Żarty sobie ze mnie stroisz?! – krzyknęła Jane, a jej głowa pojawiła się w bocznym oknie auta od strony pasażera.

– Mamo! O Boże! Przecież to tylko sukienka – odburknęła Ruby, siadając z impetem na tylną kanapę.

– Zdecydowanie nie jest to kompletna sukienka. – Jane całym ciężarem opadła na fotel ich niedużego samochodu, który kołysał się z boku na bok, gdy się mościła i zapinała pas bezpieczeństwa. – Nie wierzę, że mogłaś pozwolić jej to coś włożyć – denerwowała się, nie patrząc na Zoe.

– Jestem tu chyba, czy może mnie nie ma?! – oburzyła się Ruby.

Jane patrzyła prosto przed siebie.

– Jedźmy już. Mam tego dość.

Zoe wycofała samochód. Spojrzała w oczy Ruby, które widziała we wstecznym lusterku.

– Bardzo jesteśmy przejęte twoją uroczystością, kochanie.

Ruby przewróciła oczami. Taką spontaniczną reakcją organizmu, na zasadzie sprzężenia zwrotnego jak oddychanie, wywoływało u niej każde słowo matek.

– Właśnie widzę – burknęła. – Zawsze możecie mnie podrzucić do Chloe. Oni potem całą rodziną idą na kolację do River Café.

– Tam już nie jest tak jak dawniej – stwierdziła Jane. – Te ich ciastka czekoladowe z mostem brooklińskim na wierzchu! Co za idiotyczny pomysł. Teraz przez River Café przetaczają się tylko hordy turystów.

– Wiem – mruknęła Ruby. Odwróciła się i wyglądała przez okno.

Przed szkołą Jane wysiadła z samochodu i zamieniła się miejscami z Zoe – ktoś musiał wielokrotnie okrążyć teren szkoły w poszukiwaniu wolnego miejsca parkingowego, a obydwie wiedziały, że Ruby wolałaby się zapaść pod ziemię, niż przejechać trzysta razy przed szkołą, zanim wejdzie do środka. Absolwenci i członkowie ich rodzin gromadzili się przed wejściem do budynku i w holu. Wszyscy byli wystrojeni jak na bal. Oczywiście balu nie zorganizowano na miejscu, ponieważ ten zwyczaj uznano za zbyt staroświecki, za bardzo drobnomieszczański. Ogólna uroczystość miała się odbyć w wyremontowanym lofcie w modnej dzielnicy Dumbo. Zoe już czekała, aż dostanie wiadomość mailową o przyłapaniu uczniów i nauczycieli na grupowej orgii w toalecie. W dużej większości nauczyciele niewiele różnili się od uczniów. Kto wie, może dlatego, że w szkole kilkakrotnie powtarzali klasy. Prawie wszyscy młodzi mężczyźni mieli

kilkudniowy, niechlujny zarost albo kozią bródkę – chyba tylko po to, żeby się pochwalić, że już mogą je sobie zapuścić. Ruby zrezygnowała z udziału w tej uroczystości, „bo jest błeee”, a Zoe w głębi duszy podzielała jej zdanie.

Zoe podążała za Ruby, która torowała jej drogę przez szkolny dziedziniec, lawirując między tłumnie zebranymi. Skinieniem głowy i ruchem dłoni witała się z rodzicami, których znała, i ścisła rękę znajomym dzieciakom. To była niewielka szkoła, a Ruby chodziła do niej od piątego roku życia, więc Zoe znała prawie wszystkich uczniów, niezależnie od tego, czy Ruby łaskawie raczyła się do tego czy innego odzywać czy nie. Koleżanki Ruby – Chloe, Paloma, Anika i Sarah – raz ukochane, innym razem znieawidzone – były już w środku, gdzie pozowały do zdjęć z rodzicami i rodzeństwem. Zoe wiedziała, że jej córka, gdy tylko nadarzy się okazja, porzuci ją i Jane dla swoich przyjaciółek. W porównaniu z istną nawałnicą hormonów, wywołaną nieuchronnie zbliżającym się opuszczeniem szkoły, ich burza typowa dla okresu dojrzewania wydawała się niczym. Ruby od miesięcy dostawała szału. Weszły do szkoły przez ciężkie drzwi frontowe. Zoe dostrzegła Elizabeth i Harry’ego w przeciwległym końcu holu.

– Hej, zaczekaj – powiedziała do Ruby, wskazując na nich ręką.

Ta niechętnie się zatrzymała i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Ruby! Moje gratulacje, kochanie! – Elizabeth, pocziwej skądinąd kobiety, nie zdołało powstrzymać mrozące krew w żyłach spojrzenie dziewczyny. – Wyglądasz w tej sukience fenomenalnie. Nie do wiary!

Zoe obserwowała córkę, która się nieco rozchmurzyła, a nawet zdobyła na nikły uśmiech.

– Dzięki – mruknęła Ruby. – Kończę tylko liceum. Nic wielkiego się nie stało. Nie skończyć liceum – to dopiero byłoby osiągnięcie. Wiesz, co mam na myśli? Oprócz tego nauczyłam się też chodzić i jeść widelcem.

Harry zachichotał.

– A ja jeszcze potrafię zawiązać sobie sznurowadła – oznajmił. Postukał czubkiem buta w podłogę dla podkreślenia swoich słów, a przy okazji zdołał uniknąć wzroku Ruby.

Chociaż Harry i Ruby wychowywali się razem i przez znaczną część życia mieszkali trzy domy od siebie, w ciągu ostatnich kilku lat w ich relacjach wiele się zmieniło. Gdy byli dziećmi, razem się bawili, razem kąpali, budowali kryjówki z krzesel i koców, wymyślali układy taneczne. Teraz Harry w obecności Ruby nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Najczęściej, gdy znalazł się obok niej, myślał o fotografii, którą jego matka trzymała na toaletce, przedstawiającej jego i Ruby. On miał na tym zdjęciu rok, a ona dwa lata i oboje stali nago w ogrodzie przed domem. Jego siusiaczek wyglądał jak miniaturowa marchewka w woreczku, ale strach byłoby ją zjeść, bo przypominała palec od nogi.

– No właśnie. – Ruby rozglądała się dookoła, wodząc wzrokiem po holu ponad głową Harry’ego. – Cholera! – zaklęła.

Zoe, Elizabeth i Harry odwrócili się jednocześnie i spojrzeli w tę samą stronę, w którą patrzyła Ruby.

– Mamo, zostań tu – rzuciła i ruszyła w głąb holu, przepychając się po drodze łokciami.

– Z kim ona rozmawia, Harr? – Zoe wyciągała szyję, bo robiło się coraz bardziej tłoczno.

– Z Dustem – odpowiedział Harry i natychmiast tego pożałował. Widział tych dwoje, jak się całowali przed szkołą i na ich ulicy po zmroku między zaparkowanymi samochodami. Dust oczywiście nie był młodzieńcem, którego dziewczyna przyprowadziłaby do domu i przedstawiła rodzicom, nawet jeśli tak jak matki Ruby zaliczali się do nowoczesnych. Zbyt wiele byłoby pytań. Gdyby życie toczyło się w serialu, Dust byłby w nim bohaterem, którego mamusi Ruby próbowałyby przygarnąć, ponieważ się okazało, że nie umie czytać i od dwunastego roku życia mieszka na ławce w parku. W prawdziwym życiu natomiast Dust budził wiele obaw, a Ruby powinna była lepiej ocenić sytuację. Harry miał wiele dobrych koncepcji na temat tego, z kim ona powinna się raczej spotykać, i w każdej z nich tą osobą był on sam.

– Dust? – zdziwiła się Elizabeth.

– Tak ma na imię? Też chodzi do tej szkoły? Ile on ma lat? – próbowała się dowiedzieć Zoe.

– Co mówisz? – zapytał Harry, machając ręką przy uchu. W holu narastał hałas, a on się intensywnie pocił. Lepiej było udawać, że nie słyszał pytań. Ruby się na niego wścieknie. Harry’ego ogarnął nagły i głęboki smutek z powodu obojętności, jaką Ruby okazywała mu od dziewiątej klasy.

Zjawił się dyrektor szkoły i polecił absolwentom ustawić się w szeregu. Licznie zgromadzeni w holu powoli się rozchodzili. Podekscytowani rodzice robili sobie nawzajem zdjęcia aparatami w telefonach, a tylko niektórzy aparatami fotograficznymi. Nauczyciele byli w krawatach, podawali sobie ręce. Elizabeth położyła Harry’emu dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku. Idziemy usiąść? Zo, mam zająć miejsca dla ciebie i Jane?

– Zaczekaj – odpowiedziała Zoe. Teraz, kiedy goście wchodzili do sali, miała dobry widok na wprost, przez cały hol do samych drzwi, przy których Ruby klóciła się z chłopakiem wyglądającym na skinheada. Czyżby w dalszym ciągu istnieli skinheadzi? Był wyższy od Ruby i podczas rozmowy pochylał się nad nią. Zgarbił się jak starzec. Ruby wydawała się rozgniewana, ten chłopak też. Miał ściągniętą twarz, minę groźną i zuchwałą. Mocno wystającą brodę wyciągnął w stronę ładnej buzi jej córki. – Harry, mów, co wiesz.

– Jasny szlag... – Harry poczuł pieczenie na twarzy. – To jej chłopak.

– Czyli jak on w końcu ma na imię, Dust czy Szlag? – wtrąciła się Elizabeth. – O co tu chodzi?

Chloe i Paloma zbliżały się do Ruby małymi krokami, próbując w swoich nowych czółenkach na wysokich obcasach utrzymać równowagę jak małe dinozaury, które stawiają pierwsze kroki.

Harry otworzył usta, żeby odpowiedzieć – zawsze nie najlepiej wychodziły mu kłamstwa – ale w tej samej chwili Ruby krzyknęła i zanim zdążył pomyśleć, na co się porywa, już biegł wzdłuż holu. Całym ciałem rzucił się na Dusta i obaj ciężko zwalili się na podłogę. Harry poczuł, że Dust potoczył się na bok, a zaraz potem zobaczył go pomykającego na czworakach jak krab pustelnik do drzwi, przez które czmychnął na

zewnątrz. Ruby stała nad Harrym z rękoma na ustach. Wyglądała na naprawdę przestraszoną, a białe frędzle jej sukienki lekko falowały, jakby tańczyła. Piękniejszej sukienki Harry dotychczas w swoim życiu nie widział. To nie była sukienka, ale nadprzyrodzone zjawisko, jak wybuch wulkanu, który zmiotłby z powierzchni ziemi setki bladolicych turystów. Harry tylko czekał na wyrzut gorącej lawy. Ruby odzyskała panowanie nad sobą i rozejrzała się po holu. Wokół nich półkolem ustawili się obserwatorzy, a ich matki, z otwartymi ustami jak głodne gupiki, próbowały się przebić przez ten zwarty mur. Ruby odwróciła się twarzą w stronę zebranych, uśmiechnęła, przyjęła pozę zwyciężczyni, uniosła zgięte w łokciach ręce i pomachała do zgromadzonych. Chloe i Paloma piszczały, wyciągając do niej dłonie z rozpostartymi palcami, ale Ruby nie zwracała na nie uwagi.

– Mój bohaterze! – zawołała wesoło do Harry’ego, po czym podała mu rękę i pomogła wstać z podłogi.

Rozdział 6

W sypialni Elizabeth i Andrew było gorąco. Otworzyli na oścież wszystkie trzy okna. Duży stojący wentylator obracał się raz w lewo, raz w prawo, mimo to w pomieszczeniu panował zaduch. Iggy Pop opuścił swoje zwykłe miejsce na ich łóżku i umościł się na parapecie. Elizabeth mu pozazdrościła. Klimatyzatory wciąż znajdowały się w piwnicy. Był to jeden z powodów do dumy dla Andrew, który zwykle zwlekał z ich podłączeniem tak długo, jak się dało. Któregoś roku, jeszcze przed urodzeniem się Harry'ego, doczekali aż do piętnastego lipca. Elizabeth zrzuciła z siebie prześcieradło i przekręciła się na bok.

– Myślałam, że spadnie deszcz i ten skwar zelżeje – powiedziała.

– Nasza planeta umiera – powiedział Andrew. – Docenisz go w styczniu, zobaczysz – zażartował i szturchnął ją palcem od nogi.

– Och, przestań – zirytowała się Elizabeth. Otarła pot z czoła. Dochodziła północ.

– Nie mogę uwierzyć, że Harry rzucił się do ataku.

– Z tego, co słyszę, jego reakcja raczej nie wyglądała na atak – zauważył Andrew.

– Może bardziej na skok na ratunek? Ale co do jednego masz rację. Takie zachowanie nie jest w jego stylu. Może latała tam jakaś osa i chciał ustrzec przed nią tego chłopaka.

– Andrew przewrócił się na bok, przodem do żony. – Tak czy inaczej, to zupełnie do niego niepodobne.

– Nie, Harry skoczył na tamtego, jakby za chwilę miał nastąpić wybuch granatu. Biegł, a potem nagle skoczył i zawisł w powietrzu. Jak w filmie akcji. Nigdy nie widziałam, żeby poruszał się w takim tempie.

– Dziwne. – Andrew usiadł i wypił kilka łyków wody. – Zadaję sobie pytanie, czy w przyszłym roku to wciąż będzie ten sam Harry.

– Miejmy nadzieję, że nikt się na niego nie rzuci. Tamten chłopak wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Założę się, że ze trzy razy siedział w tej samej klasie. Pamiętasz, jak ciebie zostawili na drugi rok? – Elizabeth przewróciła się na plecy i przełożyła nogi na bok. – Zresztą mniejsza z tym – powiedziała. – Możemy porozmawiać o Lydii? Obiecałam im, że szybko dam odpowiedź.

– A możemy nie rozmawiać? Jestem zmęczony – próbował się wykręcić Andrew, a Elizabeth mruknęła z niezadowoleniem. – Porozmawiamy jutro. Kocham cię. – Zgasił lampkę nocną i pocałował żonę w czoło. – Dobranoc.

Przyglądała się odwróconej tyłem głowie męża. Jego ciemnobrązowe włosy zaczynały siwieć nie tylko na skroniach, ale też w różnych miejscach na całej głowie, choć w dalszym ciągu były gęste i zwijały się na końcach jak zawsze, gdy mijały miesiące, a on nie odwiedzał fryzjera. Wsłuchiwała się w jego oddech, aż stał się miarowy i spokojny, wdech i wydech, wdech i wydech. Andrew miał swoje powody do zmartwień, ale problemy ze snem się do nich nie zaliczały. Pod tym względem funkcjonował jak robot – w zaplanowanym czasie zamykał oczy i z miejsca zasypiał.

Zabawnie było myśleć o Lydii. Kiedy się poznali, mieli zaledwie o dwa lata więcej od Harry'ego i o rok więcej od Ruby. Elizabeth sporo pamiętała z tamtych czasów – jak

się czuła, chodząc na imprezy, jak wyglądała jej cera po picciu piwa przez trzy dni pod rząd i bez kąpieli pod prysznicem, jak pierwszy raz szła do łóżka z nowo poznanym facetem. Jak spędzała z tym czy z tamtym tylko jedną noc! Zawsze wyobrażała sobie, że więcej będzie tych lat poszukiwań, niezręcznych poranków z przypadkowymi partnerami, ale z Andrew spotkali się dość wcześnie i takie przygody się dla niej skończyły. Pięciu facetów. Tylu złożyło się na całą erotyczną historię życia Elizabeth. Naprawdę godne pożałowania. Jej koleżanki, które przed trzydziestką nie natrafiły na właściwych kandydatów na mężów, zaliczyły co najmniej z dwudziestu partnerów, jeśli nie więcej. Nawet Taylor Swift miała pewnie na swoim koncercie więcej przygód miłosnych niż Elizabeth, ale niech jej będzie. Rodzice dzieci uczęszczających do Whitmana byli na ogół o dziesięć lat starsi od Elizabeth. Ona i Andrew swoje dorosłe życie zaczęli prawdopodobnie zbyt wcześnie, zanim jeszcze skończyli trzydzieści lat, co u innych rodziców, których zna, wywołuje wyraźne poruszenie, tak jakby została mamą, będąc jeszcze nastolatką. Zoe i Jane już po dwóch latach romansu miały Ruby, a wtedy Elizabeth nagle poczuła uporczywe tykanie zegara biologicznego (albo jej wewnętrzny zegar dostroił się do zegara Zoe), więc poszli w ich ślady i codziennie pomiędzy jej miesiączkami starali się o dziecko.

Elizabeth czuła się szczęśliwa w małżeństwie, naprawdę była szczęśliwa. Tylko czasami myślała o przeżyciach, które nigdy nie będą jej udziałem, i o nieprzespanych nocach, kiedy słuchała chrapania męża. Wtedy chciała wyskoczyć z okna i pójść do domu z pierwszą osobą, która się do niej odezwie. Wyborów łatwo dokonywać, dopóki ma się wrażenie, że życie będzie trwać nieskończenie długo.

Przyjemnie było pomyśleć, że jej piosenka wciąż jest na czasie. Niektóre ich utwory mocno się zdezaktualizowały – te w stylu przeboju *Who Let the Dogs Out* nie odzwierciedlały już stanu ducha osób z ich pokolenia – ale losy *Sama sobie jestem panią* potoczyły się lepiej. Wkurzone na cały świat dziewczyny, wrażliwi młodzieńcy, nastolatki głównie ci zbuntowani, karmiące matki; każdy, kto miał znieawidzonego szefa albo partnera, który nie poświęcał mu dość uwagi – piosenka miała wielbicieli wśród zaskakująco wielu różnych osób. Elizabeth napisała tekst w bardzo krótkim czasie. Jesienią na drugim roku studiów. Siedziała na jednym z okrągłych, pomarańczowych foteli w uczelnianej bibliotece. Zaprojektowano je w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku i porównywano do łona matki, ponieważ były głębokie, miały owalny kształt i można się w nich było umościć wygodnie i czuć komfortowo, a w tamtym czasie z pewnością co najmniej jedna studentka próbowała przesiedzieć w nim dziewięć miesięcy pod rząd. Wewnątrz fotel miał tapicerowane siedzisko i lepiej nie myśleć, jak trudno było je wyczyścić. Elizabeth chętnie zwijała się w kłębek w jednym z takich foteli i czytała albo robiła notatki w zeszycie. Prawie wszyscy w Oberlin byli zafascynowani i pochłonięci Foucaultem i Barthes'em, ale ona wykazywała o wiele większe zainteresowanie Jane Austen. Czytała dla przyjemności *Rozważną i romantyczną* i właśnie w tej książce, na jednej z końcowych stron, zobaczyła to zdanie. Eleonora Dashwood próbowała się przygotować na wizytę Edwarda Ferrarsa, w którym była szaleńczo zakochana, ale uważała, że on ją porzucił. „Będę mieć spokój, sama sobie będę panią”, pomyślała Eleonora.

Elizabeth doskonale rozumiała pragnienie posiadania kontroli i potrzebę wypowiedzenia tych słów na głos. Żadna kobieta w St. Paul w stanie Minnesota nigdy nie była naprawdę panią samej siebie. Matka Elizabeth i jej przyjaciółki chodziły do tego samego fryzjera, robiły zakupy w tych samych sklepach, wysyłały dzieci do tych samych szkół. Była niemal pewna, że jadały to samo na obiad, może z wyjątkiem Purvy, której rodzice byli Indianami, i Marii, córki Koreańczyków. Elizabeth obróciła się na fotelu, żeby być twarzą do okna, i otworzyła zeszyt. Po piętnastu minutach piosenka była gotowa. Później, tego samego dnia po południu, pokazała tekst Zoe, Andrew i Lydii, a cały utwór powstał, jeszcze zanim położyli się spać. Zespół przyjął nazwę Pociąg do Kitty będącą wyrazem ich fascynacji księżną Kitty, bohaterką Tołstoja. Byli zwyczajnymi studentami college'u, oszołomieni własną pomysłowością. Żadne z nich przedtem nie myślało o niczym podobnym. Tamten wieczór Elizabeth uważała za do tej pory najbardziej udany w swoim życiu, bez wątpienia.

Ona i Andrew nie traktowali swojej relacji poważnie. Spali ze sobą trzy, może cztery razy, prawie zawsze wtedy, kiedy byli pijani, i chyba raz po ekstazie, którą uznała za aspirynę lekko oprószoną po wierzchu kokainą tak jak lasagne posypuje się parmezanem. Andrew był milczący i trochę gniewny, a takiej kombinacji cech nie sposób się oprzeć. Ubierał się na czarno. Nosił czarne spodnie marki Dickies, czarne koszulki, czarne skarpetki, czarne buty. Miał w sobie pewną stanowczość, która się jej podobała, chociaż do końca nie była o tym przekonana. Pochodził z bogatej rodziny i nienawidził swoich rodziców – stara historia. Elizabeth miała dziewiętnaście lat, Andrew – dwadzieścia, i naprawdę te sprawy nie miały znaczenia. Ale potem ona miała dwadzieścia lat, dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery i wtedy się pobrali. Gdy Lydia poprosiła pozostałych członków zespołu o zgodę na przejęcie praw do utworu, nagrania go i wypuszczenia w świat, Elizabeth nawet nie musiała się długo zastanawiać. Nigdy nie miała szans zostać panią siebie, absolutnie nie. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że Lydia mogłaby śpiewać – na ich ucho w ogóle nie potrafiła. Ale czy to ważne?

Z rosnącą popularnością piosenki w interpretacji Lydii najtrudniej przyszło się pogodzić Andrew. Elizabeth natomiast uważała, że utwory – wspaniałe, doskonałe – należą do całego świata. Czy rzeczywiście liczyło się, kto napisał *They Take That Away From Me*, gdy zarówno Ella Fitzgerald, jak i Billie Holiday tak pięknie ją śpiewały? Dobre piosenki zasługują na to, żeby ich słuchać. Do własnego produktu lepiej podchodzić z optymizmem. Po co aż tak emocjonalnie wszystko przeżywać? Elizabeth sama ją napisała, sama przelała słowa na papier. Lydia z kolei wykonała lepszą robotę, przedstawiając piosenkę światu. Andrew natomiast zachowywał się jak pies ogrodnika. Z kolei Zoe, która wiedziała od rodziców, że cała branża muzyczna to jedno wielkie bagno, nie chciała mieć z nią nic wspólnego.

Po ukończeniu Oberlin Elizabeth pracowała w trzech miejscach. Najpierw była asystentką dawnego wspólnika swego ojca, prawnika, który prowadził kancelarię w pobliżu Grand Central. Dojazd z Ditmas Park trwał wieczność, a ona spędzała w pracy tyle godzin, że często w drodze powrotnej do domu zasypiała w metrze i budziła się na ostatniej stacji, na Coney Island. W drugim miejscu pracy, tym razem w wydawnictwie książek artystycznych w Chelsea, również była asystentką. Jej szefowa akurat sprzedawała

swoją miejską kamienicę i przeprowadzała się do Brooklynu, więc obowiązki Elizabeth polegały na udzielaniu jej pomocy. Mierzyła ściany i oklejała taśmą kartony z książkami, pakowała je i rozpakowywała. W taki sposób trafiła do branży nieruchomości. Od tego czasu minęło wiele lat i ta praca stała się jej powołaniem jak dla innych zawod nauczyciela czy artysty rzeźbiącego w piasku. Nigdy nie widać rezultatów, ale trzeba wierzyć w to, co się robi, i żyć w przekonaniu, że wszystko ułoży się pomyślnie. Jasne, czasem się zdarzało, że Elizabeth sprzedała dom aktorce telewizyjnej i w kolorowym czasopiśmie ukazywały się zdjęcia, ale tych sukcesów nie może przypisywać sobie, z pewnością nie. Podążała skromną drogą kariery podobnie jak stewardesa. Pomagała ludziom przemieszczać się z jednego miejsca do drugiego.

Trudno było powiedzieć, co najbardziej Elizabeth lubiła w sprzedaży domów – chyba to, że w tej pracy trzeba mieć wyobraźnię. Lubiła znaleźć się w nowej przestrzeni i rozważać możliwości. Uzyskiwała sporą prowizję ze sprzedaży nieruchomości. Niektóre z nich były nowe i lśniące, i bezduszne. Największą przyjemność czerpała ze sprzedaży starych domów klientom, którzy doceniali ich urok. Elizabeth spuściła nogi z łóżka, przesunęła się do przodu, dotknęła stopami drewnianej podłogi. Deski zaskrzypiały, bo w stuletnim domu deski tak się zachowują. Wstała, podeszła do okna znajdującego się po tej stronie pokoju, po której spał Andrew, i wyjrzała na Argyle Road.

Będę mieć spokój, spokój, spokój, spokój, spokój, śpiewała Elizabeth chropowatym głosem. *Będę mieć spokój, spokój, spokój, spokój, spokój!* Te słowa płynące z jej ust brzmiały zabawnie. W tamtym czasie niosły z sobą tyle energii, że czuła, jakby odblokował się w niej kanał, którym wnikał i rozpalał się w niej uderzająco jasny promyk feminizmu – pisała tekst w zeszycie drobnym, starannym pismem, potem szybciej i szybciej, stawiając coraz mniej kształtne litery. Od razu, gdy tylko słowa znalazły się na papierze, Elizabeth wiedziała, że tekst jest dobry. Nie wiedziała – nie mogła przewidzieć – co się dalej wydarzy, ale miała świadomość, że piosenka udała się jej najlepiej z tego wszystkiego, co dotychczas zrobiła. Andrew chrapał. Elizabeth wyglądała na ulicę, aż Iggy Pop zeskoczył z parapetu i wylądował z miauknięciem na podłodze, zaniepokojony, że coś jest nie w porządku. Wzięła kota na ręce, przytuliła swego drobnego, chudego pupila do spoconych piersi i wróciła do łóżka.

Rozdział 7

Jane przeniosła się ze spaniem do pokoju gościnnego. Teraz, kiedy Ruby wiedziała, że jej matki mają w związku problemy, które naprawdę mogą doprowadzić do jego rozpadu, czuła się w domu i lepiej, i gorzej. Ani ona, ani Zoe nie musiały już udawać, że wszystko jest w porządku, chociaż Jane robiła to w dalszym ciągu. Udawanie sprawiało jej taką przyjemność, że robiła to przez cały dzień i cały wieczór, a o rzeczywistej sytuacji przypominała sobie dopiero po godzinach szczytu w restauracji i powrocie do domu, gdzie Zoe zerknęła na nią ze swego miejsca na kanapie. Jane nie mogła włączyć telewizora; nie mogła zmienić muzyki. Mogła tylko siedzieć cicho i nie przeszkadzać Zoe, ale gdy sama siedziała przy swoim laptopie i kończyła pracę, to sypały się na nią gromy. Wydawało się, jakby Zoe myślała, że pływają po oceanach czasu, jego bezkresnych głębinach. Kto siedzi w jednym miejscu przez trzy godziny i czyta książkę? Być może dlatego rozmawiały o rozwodzie. Doktor Amelia, terapeutka par, którą regularnie odwiedzały kilka lat temu, powiedziała, że wszystkie małżeństwa przechodzą przez trudne okresy i że to wcale nie znaczy, że związek jest zły czy niezdrowy. Wytłumaczyła im, że muszą dokonać przeglądu: kopnąć kilka razy w opony, może dokręcić te czy inne śruby. Albo lepiej dobierać przyprawy. Doktor Amelia nie obawiała się żonglować metaforami. Czasami, kiedy siedziały na niskiej, pomarańczowej kanapie w jej gabinecie, doktor Amelia odchylała głowę do tyłu i szukała w myślach, próbując wybrać właściwą z bardzo długiej listy wielu, które miała w swoim repertuarze.

Od długiego czasu nie było tak jak na początku, kiedy w ciągu dnia żywiły się w chińskich centrach handlowych w Queens, albo wtedy, gdy otworzyły Hiacyntkę i obie pracowały po piętnaście godzin dziennie, a potem były zbyt zmęczone, nie miały siły się kłócić, albo gdy urodziła się Ruby i były tak bardzo zakochane, że zrezygnowały z urządzania awantur. Teraz Zoe spędzała mnóstwo czasu przy swoim komputerze, zajęta wyliczaniem płac, opracowywaniem harmonogramów i rozliczeniami, a Jane przyjmowała to jako sygnał do trzymania się od niej z daleka. Okazało się nieoczekiwanie, że nie mają potrzeby przebywać w swoim towarzystwie w każdej sekundzie dnia. Zamiast spędzać ze sobą więcej czasu, poświęcały go sobie coraz mniej. Jane jadała kolacje w James Beard House sama, a po zamknięciu piła whisky z kucharzami w barze przy ich ulicy. Po raz pierwszy w życiu Zoe kładła się spać wcześniej. Były duże problemy i małe problemy, a te ostatnie zdawały się mnożyć w nocy jak króliki. Jane za bardzo zależało na komentarzach w Yelp, za dużo piła. Ignorowała przyjaciół Zoe. Lekceważyła własnych. Wcale nie miała przyjaciół! Była zbyt apodyktyczna; była za mało pewna siebie. Nic jej nie obchodziła Patti Smith. Kiedy się poznały, Zoe była narowista, a Jane czuła, że jest jej ostoją – jej solidnej budowy ciało służyło Zoe za podporę, na której, ledwie trzymając się na chwiejnych nogach, mogła się wesprzeć i mocno stanąć na ziemi. W dalszym ciągu chciała nią być dla Zoe. Wcale nie ze względu na słowo „porażka” ani nie z powodu zawodu matka Jane snuła się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną i musiała obdzwonić ciotki, wujów i kuzynów córki, żeby im oznajmić, że się nie udało utrzymać związku. Jej matka zachowywała się tak, jakby

rozwód Jane był zaprzeczeniem lesbijstwa jej córki, która jakiś czas temu miała prawo wyboru, ale przespała okazję i z niego nie skorzystała.

Miejscem do spania w pokoju gościnnym był bardzo szeroki, nierówny i grudkowaty materac. Do niedawna przechowywały go w stanie zrolowanym, chyba że któraś z koleżanek Ruby zostawała u nich w domu na noc. Wtedy rozkładały go na podłodze w jej pokoju i dziewczynki mogły sobie po nim skakać i turlać się do woli. Dzieciom nic nie przeszkadzało. Jane wręcz przeciwnie. Straszliwie bolały ją plecy i kolana. Długotrwała praca na stojąco w restauracji była wystarczająco dokuczliwa, a spanie na kawałku tektury – budzącej zachwyty u dzieci – jeszcze gorsze. Codziennie rano przewracała się na bok i żeby się podnieść, najpierw musiała się wesprzeć na rękach i na kolanach i zająć taką pozycję, jakby właśnie wróciła z wyprawy na czworakach przez pustynię. Czowała się jak stuletnia staruszka. Zoe tymczasem ciągle biegała na pilates. Robiła sobie makijaż: oczy malowała błyszczącymi cieniami, a usta jasnoróżową pomadką. Trudno było nie mieć wrażenia, że ona tańczy na grobie Jane. Nie w tym rzecz, żeby Jane kiedykolwiek próbowała zabraniać Zoe czegokolwiek, co lubi robić – nie miałyby to sensu. Jane lubiła, żeby wszystko miało sens. Wcale nie chodziło też o to, żeby niebezpiecznie rozbijać ich łódź – to Zoe przecinała ją na pół piłą łańcuchową. O Boże! Zupełnie, jakby słyszała doktor Amelię.

Właśnie rozpoczynał się prawdziwie letni sezon – pomidory były wyśmienite, okrągłe i słodkie. Młode kraby – doskonałe. Kukurydzę można było kupić wszędzie tak świeżą, że wystarczyło tylko oderwać jedwabistą osłonkę i jeść ziarna prosto z kolby. W Hiacyntce w lipcu i sierpniu ruch był mniejszy, ponieważ wiele osób wyjechało z miasta, ale Jane wciąż miała sporo energii. Obudziła się, myśląc o niepowtarzalnych potrawach, które chciała dodać do menu. Prawie zawsze otwierała rano oczy z gotową wizją jedzenia – nie śniadania, o nim nigdy nie było mowy – czyli potraw, które mogłyby serwować w restauracji. Deser z truskawkami i ziarnami pieprzu. Sałatka z dorodnych rzodkwi arbuзовych z piramidkami awokado smażonym w głębokim tłuszczu. Świeży makaron z pesto ze szparagów. Zaraz potem zaczynała myśleć o Zoe.

Często próbowały sobie wyobrazić, jak wyglądałoby ich życie, gdyby Ruby opuściła dom – kiedy ich córka była mała, już sama myśl, że ta drobnitka, bezradna istota będzie kiedyś zdolna opłacać własne rachunki albo samodzielnie otworzyć drzwi lodówki, wydawała się im niedorzeczna i nie do zniesienia. Gdy miała pięć czy sześć lat i codziennie chodziła do szkoły, Zoe dostawała szału. Początkowo było zachwycona. Tyle wolnych godzin w ciągu dnia! Taka swoboda! Ale potem zaczęła narzekać, że Ruby spędza bardzo dużo czasu z innymi dorosłymi, zamartwiała się, że będzie ulegać ich wpływom. „To są nauczyciele”, tłumaczyła jej Jane. „Na tym polega ich praca, a my im za nią płacimy”. Takie argumenty nie przemawiały do Zoe. Codziennie zjawiała się w szkole pięć lub dziesięć minut za wcześnie, żeby odebrać Ruby. Przechadzała się tam i z powrotem przed budynkiem szkolnym, jakby się obawiała, że jej córka może zapomnieć o niej przez te kilka godzin nieobecności w domu. W tamtych latach Zoe trzymała się kurczowo Jane jak kochająca pąkla. Stanowiły stabilną parę, zbudowaną na fundamentach wzmocnionych owocami kale, komosą ryżową i musującym czerwonym winem.

Jane przewróciła się na bok. Wentylator sufitowy był włączony, jego łopatki obracały się z szumem. W domu panowała cisza, ale z zewnątrz dobiegały odgłosy z budowy. Mogłaby przysiąc, że ktoś ustanowił jakieś przepisy zakazujące używania młotów pneumatycznych w weekendy, mimo to dudnienie było wyraźnie słychać. Bardzo dziwnie być we własnym domu i spać nie w swoim łóżku. Czuła się idiotycznie, była zakłopotana. Tylko właściwie co to wszystko ma wspólnego z tym, gdzie kto śpi? Jane chciała mieć normalne i nieskomplikowane życie, tylko tyle. Pomyślała, że nie ma nic takiego, czego nie dałoby się naprawić. Może gdy Ruby wyjedzie z domu, wszystko będzie prostsze. Będą miały więcej swobody na rozmowy, nawet na sprzeczki. Zoe wcale nie przejawiała entuzjazmu pomysłem rozwodu – jej rodzice przeżyli w małżeństwie lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, kokainę i masę innych problemów. Wciąż trwali w związku i popijali razem gin z tonikiem przy kominku, mimo że w Los Angeles jest zazwyczaj za gorąco, żeby go włączać. Jane kochała rodziców Zoe z wielu powodów, ale przede wszystkim za to, że wiedli szczęśliwe i bezproblemowe życie.

Jane i Zoe stanowiły mieszaną parę, zarówno pod względem rasowym, jak i religijnym – Jane była Żydówką z Long Island, która zażywała lekarstwa przeciw wrzodom żołądka, odkąd była nastolatką, Zoe natomiast – Marsjanką, która nigdy o nic się nie martwiła i uważała, że Chaka Khan dla każdego śpiewa na przyjęciu z okazji szesnastych urodzin. Wzajemnie się uzupełniały, ale teraz Jane czuje się jak kamień u nogi Zoe, jak zardzewiała kotwica, która ciągnie ją w dół. Być może po tak długim czasie okazało się, że Zoe ma rację, że liczy się tylko ciężka praca i zabawa, a cała reszta znika w kłębach dymu. Stroje Ruby, oceny Ruby? Kelner w restauracji zawsze tak naćpany, że wydaje mu się, że Hiacyntka to Odeon i że za chwilę w drzwiach stanie Bret Easton Ellis? Ostatnia awantura jej matki z pracownicą na poczcie, która ukradła jej czasopisma? Jane chciała się od tego wszystkiego odciąć. Jane zależało tylko na tym, żeby codziennie, do końca życia patrzeć na piękną twarz Zoe.

– Zo?! – zawołała Jane. Powoli podniosła się na kolana. Zgrzytnęło jej w stawach. – Rube? – Przesuwała się krok po kroku na zeszywniałych nogach, wyszła na korytarz i zajrzała do innych pokoi. Nie było śladu ani jej żony, ani córki. – Dziewczyny?! – zawołała, głośno i wyraźnie. Dom był pusty. Taki będzie do końca jej życia – będzie wołać w pustych pomieszczeniach i czekać na odpowiedź, która nie nadejdzie. Zawarcie związku było łatwe, chociaż musiały czekać, aż Ruby skończy dwanaście lat, bo dopiero wtedy można było zrobić to legalnie. Kiedy zamieszkały razem, spełniły się marzenia, zrealizowały nadzieje. Teraz, gdy już się dowiedziały, co przyniosła przyszłość i jak ona wygląda, życie stało się o wiele trudniejsze. Dlaczego nie można zatrzymać młodości na zawsze? Jeśli już nie na zewnątrz, to przynajmniej w środku, gdzie nikt nie starzeje się na tyle, żeby móc być optymistą. Zoe śmiałaby się z niej, stojąc w pizamie w holu jak nastroszona szczotka do zamiatania. Jane nie miała pojęcia, jaka właściwie jest pora. Czy było już za późno? Oparła się czołem o ścianę.

Rozdział 8

Kurs przygotowawczy do testu kwalifikacyjnego odbywał się w soboty rano w szkole karate na Church Avenue, wysuniętej najbardziej na północ arterii w dzielnicy zdominowanej przez pralnie, latynoskie sklepiki spożywcze i rozrzucone gdziegdzie bary kawowe, w których sprzedawano świeżo pieczone bułeczki ludziom pracy z laptopami. Zajęcia trwały trzy godziny raz w tygodniu, przez osiem tygodni – dwa pełne miesiące. Harry’emu to nie przeszkadzało. Nie miał nic lepszego do roboty i przyjemnie było wyjść z domu, nawet z pożytkiem dla zdrowia. Testów się nie obawiał i był niemal pewien, że wcale nie musi uzyskać doskonałego wyniku, żeby dostać się do jednego z college’ów, do którego chciał iść – może do Barda albo do Bennington. Myślał o niewielkiej uczelni, takiej jak liceum im. Whitmana, a głównie chodziło o to, żeby nie natknąć się tam na nikogo ze swojej szkoły. College im. Reedów też wydawał się nie najgorszym miejscem. Może trochę konserwatywnym, ale niezłym. Sporą odległość szkoły od domu należało uznać za zaletę.

Harry otworzył drzwi i wszedł do sali. Wypełniały ją składane krzesła ustawione przodem do suchościeralnej tablicy zawieszanej na ścianie. Na ekranie projekcyjnym już wyświetlał się obraz gęsto zapelnionego ikonami monitora czyjegoś laptopa. Kilkoro uczestników kursu kręciło się w środku i mniej więcej połowa krzesel była zajęta. Harry skierował się do ostatniego rzędu i opadł ciężko na krzesło. W pierwszym rzędzie zauważył dwie dziewczyny ze swojej klasy i zsunął sobie kaptur nisko na oczy.

– Hej – usłyszał czyjś głos i poczuł szturchnięcie w tył głowy.

Podniósł rękę, chcąc się osłonić, i jednocześnie odwrócił się najszybciej jak potrafił. Za jego plecami stała Ruby i się uśmiechała.

– Och, to ty?! – zdziwił się Harry. – Hej!

Nie rozmawiali od tamtej uroczystości. Po incydencie z Dustem (dziewczyny, na przykład Eliza i Thayer teraz siedzące cztery rzędy przed nim, oznaczyły całe zdarzenie na Instagramie hasztagiem #dustup, ponieważ uważały je za zabawne do czasu, aż Ruby zagroziła, że zamorduje rodziców jednej i drugiej) Ruby i Harry ani razu nie znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. Harry dwukrotnie przeszedł obok Ruby – raz, kiedy siedziała na werandzie z psem, i drugi raz, kiedy stała w kolejce w sklepie spożywczym na Cortelyou i kupowała mleko i taki sam hippisowski dezodorant, jakiego używa jego matka. Nie przywitał się z nią ani za pierwszym, ani za drugim razem, bo o wiele łatwiej było patrzeć w ziemię, niż się zastanawiać, co powiedzieć, ale poświęcił sporo czasu na wciąganie nosem zapachu dezodorantu swojej matki.

Ruby zdjęła czyjś plecak, który leżał na krześle obok Harry’ego, i przełożyła na inne miejsce.

– Mogę usiąść koło ciebie? Wiesz, koktajl z krewetek jest nie z tej ziemi!

– Martini też – dodał Harry. – Doskonałe są oliwki. – Zaniepokoił się trochę, że może do martini nie dodaje się oliwek, i wyszedł na idiotę.

Ruby upuściła plecak, który z głośnym uderzeniem spadł na podłogę, i rozsiadła się na składanym krześle.

– Ciekawe, czy przyciemnią światła? To zdecydowanie jest moja pora na drzemkę.

– Nie wiem – odpowiedział Harry. Ruby znajdowała się o piętnaście centymetrów od niego. Czuł zapach jej miętowej pasty do zębów. – Przykro mi z powodu tamtego dnia. Wydawała się zaskoczona.

– Niby czemu? Niesamowita akcja.

– Nie, to znaczy, jestem zadowolony i tak dalej. Przykro mi tylko, że ten koleś okazał się takim dupkiem. Na twojej uroczystości. Wyszło do bani. I sorki, że musiałem powiedzieć o nim twoim mamom. Mam nadzieję, no wiesz... że nie wpakowałem cię w kłopoty. – Harry się pocił. Plastikowe składane krzesło wbijało mu się w plecy. Zdjął kaptur i zaraz naciągnął go z powrotem.

– Wrzuć na luz, chłopaku! – powiedziała Ruby.

Kobieta w okularach z dużym kubkiem mrożonej kawy ze Starbucksa weszła przez drzwi znajdujące się w przeciwległym końcu sali, od strony, w którą wszyscy byli zwrócenii twarzami. Kilka razy klasnęła w dłonie, jakby w pomieszczeniu siedziały same przedszkolaki, i pomachała plikiem kartek.

– Cześć, dzieciaki. Mam na imię Rebecca i przez najbliższe osiem pięknych sobót będę was przygotowywać do testu kwalifikacyjnego! Studiowałam na Harvardzie i wy też możecie się tam znaleźć! Zaczynajmy! Kto ma ochotę na kwizy słowne?

– O mój Boże! – jęknęła Ruby.

– Chcesz, żebym ją też unieszkodliwił? – zapytał Harry.

Ruby roześmiała się tak głośno, że aż Eliza i Thayer się odwróciły, żeby zobaczyć, kto tak rechocze, ale szybko się zreflektowały i zajęły kurssem.

– Podoba mi się twój temperament! – stwierdziła Rebecca i uniosła kciuki obu dłoni.

Ruby odrzuciła głowę do tyłu i udawała, że zakłada sobie stryczek.

Rozdział 9

Pierwsza myśl, która zakiełkowała w głowie Elizabeth, raczej nieprzyjemna i mało pokrzepiająca, lekko ją zirytowała i skłoniła do podejrzeń, że Jane zamierza skorzystać na zapobiegliwości, zasobach finansowych i zaangażowaniu Zoe. Ich związek funkcjonował na zasadach małżeństwa, w którym partnerzy mają wspólne konta bankowe i półki na książki, nawet jeśli niespecjalnie im to odpowiada i mimo komplikacji w razie ewentualnego rozstania. Przez lata pracy w charakterze agenta nieruchomości Elizabeth miała okazję spotkać wiele par z osobnymi książeczkami czekowymi, co, jak się zdaje, jest równoznaczne z wywieszeniem ostrzegawczej, czerwonej flagi. Rozwiązanie zbyt surowe, za bardzo wyrachowane. Demonstracyjny sygnał, że ostateczna decyzja, czy pozostaną w związku małżeńskim czy nie, jeszcze nie zapadła. Bierzesz mnie, a więc wraz ze mną mój debet na koncie! Wiązesz się ze mną, to znaczy, że przyjmujesz mnie razem z moimi żenującymi książkami o nastoletnich wampirach! U Elizabeth takie rozumowanie nie wchodziło w rachubę – w jej przekonaniu było ono równie fatalne jak pomysł zawierania umowy przedmałżeńskiej. Po co brać ślub, organizować uroczystość z całą pompą i robić wielkie przedstawienie bez przekonania, że związek będzie trwały? Znacznie łatwiej żyć w grzechu i nie zawracać sobie głowy formalnościami.

Zapukała do drzwi. Zoe siedziała na kanapie i czytała gazetę. Pomachała do Elizabeth, która otworzyła sobie drzwi i spojrzała w górę, na popękany sufit w przedpokoju, wymagający malowania. Rozglądanie się po domu przychodziło łatwiej niż patrzenie Zoe prosto w oczy i wyliczanie usterek, które trzeba usunąć. Zawsze łączyły je bliskie relacje – w college’u, a później, po latach, kiedy razem mieszkały w tych murach, stały się sobie jeszcze bliższe, jednak po ślubie i pojawieniu się dzieci trudno było im powrócić do dawnej przyjaźni. Tak jak u wielu innych osób zgubiła się gdzieś po drodze. Owszem, oczywiście, że tak, czasami spotykały się na kolacji, tylko we dwie, i wtedy długo rozmawiały o wszystkim, co działo się w ich życiu, ale takie okazje zdarzały się zaledwie raz na trzy, cztery miesiące. Przyjaźń między nimi wciąż istniała, ale czuło się, że dzieli je od niej pół miliona kilometrów, oddaliła się w czasie i przestrzeni i można ją było wypatrzyć tylko przez teleskop.

– Chcesz pogadać? – zapytała Elizabeth. To ona wpadła na pomysł, żeby przyjść w odwiedziny. Zresztą Zoe wyraziła pewne zainteresowanie wartością domu, tak na wszelki wypadek. – Masz kawałek papieru? Najlepiej będzie, jeśli ci wszystko napiszę, żebyś mogła porozmawiać z Jane o tym, co należałoby zrobić. Zgoda? – Elizabeth była w tym domu tysiące razy, pewnie nawet więcej. Mieszkała w nim, spała na kanapie, wymiotowała w toalecie. Doskonale wiedziała, jakie prace trzeba wykonać, ale musiała przedstawić je Zoe. Nie sposób bezstronnie ocenić stanu domu, w którym się mieszka tak długo. Wszystkie osobliwości zaczynają się wydawać normalne – prowizoryczne podłączenie przewodów do dzwonka, który trzeba mocno naciskać z lewej strony, rolety w pokoju dla gości w dwóch różnych odcieniach koloru kremowego, ponieważ... no właśnie, dlaczego takie się tam znalazły? Zapewne przez pomyłkę, jak to w życiu bywa, ale teraz ktoś inny miał kupić tę pomyłkę i przypuszczalnie zaoferuje z jej powodu o sto

tysięcy dolarów mniej.

Elizabeth była w stroju służbowym. Na Manhattanie agentki nieruchomości, zgodnie ze zwyczajem, ubierały się w stroje o charakterze wieczorowym: dopasowane, czarne sukienki i czółenka na wysokich obcasach. Na szczęście nikt w Brooklynie nie musiał się trzymać tej zasady. Tu klienci czuliby się niezręcznie, dla nich byłaby to zbyt wyszukana wytworność, ale Elizabeth i tak musiała się prezentować szykownie. W ramach ustępstwa na rzecz elegancji zmieniła chodaki na buty na płaskim obcasie i włożyła spodnie od kostiumu zamiast džinsów. Trzeba okazać szacunek ludziom, którzy topią oszczędności swego życia w dwustu osiemdziesięciu metrach kwadratowych. Zdarza się – ponieważ to Nowy Jork – że klienci wydają wszystkie swoje pieniądze na czterdzieści sześć metrów kwadratowych. W takich sytuacjach Elizabeth wkłada szpilki, ponieważ nie daje jej spokoju lekkie poczucie winy.

– Ładnie wyglądasz – pochwaliła Zoe.

– Musiałam się wystroić – odpowiedziała Elizabeth. Otrzepała bluzkę. – Dziś finalizuję sprawę domu, tego w Lefferts. – Zastanawiała się, czy aż tak źle wygląda normalnie. Miała proste, naturalne blond włosy, to znaczy przyblakłe, jasnobrązowe, niezbyt długie, sięgające nieco poniżej uszu, z krótką grzywką w stylu uczennicy. Lubiła myśleć, że wygląda na chłopczycę, ale to jej przekonanie przestało mieć jakikolwiek związek z rzeczywistością, jeśli w ogóle kiedykolwiek miało.

– Hmm – mruknęła Zoe, która tak naprawdę wcale nie słuchała. – Czyli rozpoczynamy przygotowania do żałobnej procesji?

Rzadko się zdarzało, żeby ktoś okazał zainteresowanie biznesowymi aspektami pracy Elizabeth. Ciekawość wielu osób wzbudzały natomiast szczegóły obyczajowe: na przykład, czy zdarza się jej znajdować akcesoria erotyczne swoich klientów albo czy sprzedający się rozwodzą. Nie było chętnych do kupowania miejsc, na których ciąży klątwa. Gdyby Elizabeth umiała lepiej kłamać, zawsze wmawiałaby swoim klientom, którym próbuje sprzedać mieszkanie czy dom z instalacjami sanitarnymi i elektrycznymi po całkowitej przeróbce, że dotychczasowi właściciele przechodzą na emeryturę i przeprowadzają się na Florydę po kilkudziesięciu szczęśliwych latach. Ludzie oczekują obietnicy przyjemnego życia przy minimalnym zaangażowaniu w niezbędne prace. Oczywiście w Nowym Jorku mało kto jest z czegoś zadowolony. Dzięki temu Elizabeth miała zapewnione zajęcia. Nawet ci, którym odpowiada obecne lokum, wciąż rozglądają się za lepszym miejscem. Kupowanie nowego mieszkania lub domu jest łatwiejsze od poszukiwania nowego męża lub żony i w mniejszym stopniu obarczone dramatycznymi przeżyciami, jeśli się weźmie od uwagę wszystkie okoliczności.

Zaczęły od parteru – kuchnia, choć staromodna, robiła wrażenie przytulnej z dość drogą kuchenką, wysłużoną. Klienci byliby pod wrażeniem, nawet mimo że szafek od dwudziestu lat nie odnawiano. Jadalnia również wymagała malowania i trzeba z niej wynieść część mebli – Jane poustawiała stopy krzesel we wszystkich czterech narożnikach na wszelki wypadek, gdyby przyszło na poczekaniu zorganizować kolację dla trzydziestu osób, co na tyle, na ile Elizabeth się orientowała, zdarzało się często. Salon przedstawiał się dobrze – wystarczyłoby pozdejmować liczne rodzinne fotografie, powynosić drobiazgi sprzed lat z lubością kupowane na wyprzedażach rzeczy używanych. Sprzątać

sterty wszędzie porozrzucanych ubrań Ruby. Schodom przydałoby się trochę troski – na każdym stopniu wystawały gwoździe, a świetlika nad podestem od dawna nikt nie czyścił. Na górze we wszystkich sypialniach trzeba zrobić malowanie, a porządki w pokoju Ruby nie obejdą się bez udziału specjalisty od niebezpiecznych substancji. Obie łazienki przedstawiają się raczej strasznie, ale nie opłaca się w nich nic robić. Trzeba tylko wyrzucić obrosnięte pleśnią zasłony i sprzątnąć sierść psa z podłogi. Każdy, kto wyda na ten dom tyle pieniędzy, i tak będzie chciał urządzać łazienki według własnego uznania. Elizabeth i Zoe zatrzymały się w głównej sypialni.

– Chcesz porozmawiać? – zapytała Elizabeth.

Zoe usiadła na skraju niskiego łóżka, na którym panował bałagan. Bingo podszedł do niej i przycupnął na jej stopach.

– Zapowiadało się na zawsze – powiedziała. – Sama wiesz. Po narodzinach Ruby nie sądziłam, że wytrwamy dwa lata. A potem, kiedy otworzyłyśmy restaurację, byłam niemal pewna, że naszego związku nie da się skleić. – Głaskała Binga po brzuchu. – Ale Hiacyntka zaczęła dobrze funkcjonować i Jane spędzała tam cały czas, więc sytuacja nie wydawała się aż tak bardzo paląca. Smutne to wszystko, prawda? Byłyśmy zbyt zajęte, żeby się rozstać.

– Więc dlaczego teraz chcecie? Po co? – Zoe nie była pierwszą osobą, która zamierzała się rozejść – pary z kręgu znajomych Elizabeth i Andrew stopniowo zbliżały się do średniej krajowej. Na początku rozsypało się tylko jedno małżeństwo, potem rozstawały się kolejne. Teraz połowa przyjaciół Harry’ego ma osobno mieszkających rodziców, którzy przerzucają między sobą dzieci jak piłki tenisowe. Andrew czasem z niepokojem się zastanawiał, czy na Harry’ego w pewnym stopniu nie przenosi się napięcie i niepokój jego przyjaciół, chociaż nigdy nic nie wskazywało na to, żeby ich syn miał z tego powodu jakiegokolwiek problemy.

– Ostatni raz kochałyśmy się w styczniu. – Zamilkła. – Ubiegłego roku.

– Seks to nie wszystko – powiedziała Elizabeth. Ponownie spojrzała na łóżko, na którym siedziała Zoe. Wyglądało na łóżko z hipsterskiego hotelu, nowoczesne i w duńskim stylu, trochę droższy model z Ikei. Z całą pewnością wybrała je Zoe. Takie łóżko służy ludziom wyłącznie do uprawiania seksu albo co najwyżej czytania sobie nawzajem tłumaczonej poezji. Zoe zawsze miała mnóstwo wielbicielek w szkole, a potem ciągnęły się za nią zastępy kobiet, uganiały się za nią po ulicach, wybiegały za nią z dyskotek, zasypywały ją numerami telefonów niczym konfetti. Jane cierpiała na bezdech senny i czasem sypiała ze specjalną maską na twarzy, w której według Zoe wyglądała jak czarny charakter z filmu science fiction. A jednak to właśnie Jane skradła jej serce w barze, w którym spotyka się partnera na jedną noc, a nie żonę. Jane, która ukradła ją Elizabeth.

Zoe pokręciła głową.

– Nie ma znaczenia. Sama nie wiem. Przypuszczam, że obie w końcu doszłyśmy do wniosku, że lepiej nam będzie osobno. Można żyć złudzeniami, ale patrzeć w przyszłość na kolejne trzydzieści lat własnego życia ze smutkiem i wielką obawą to już zupełnie co innego. Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście dojdzie do rozstania, ale jedno jest pewne: że na nie się zanosi. – Poklepała Binga po głowie. – Dopóki ta psina jest przy

mnie, dam sobie radę.

– W porządku. Czyli musimy znaleźć miłośników psów. – Tym samym odpada kilka domów w Slope i Cobble Hill. Łatwiej było myśleć o Zoe i Jane w ten sposób, pod kątem konkretnych potrzeb, zwłaszcza w sprawach, w których Elizabeth naprawdę mogła pomóc. Zoe jej potrzebowała; to miłe uczucie.

– Miłośnicy psów i sympatycy starzejących się lesbijek. Otóż to.

– Spokojnie. – Elizabeth oparła się plecami o ścianę. – Dokąd chcesz się przenieść? Wolalabyś zostać w tej dzielnicy? Czy w ogóle się stąd wyprowadzić? – W Ditmas byli pionierami, zatknęli tu swoją flagę, zanim jeszcze powstały w tym rejonie przyzwoite restauracje, dobra szkoła publiczna i koktajlbary. Nastali tu, zanim płótkami ogrodzono drzewa i zaczęto organizować dla okolicznych mieszkańców uliczne festyny, których atrakcją stały się dmuchane zamki.

– O mój Boże, nie wiem. To znaczy nie wiem, dlaczego tu jestem, rozumiesz? Znalazłam się tutaj raczej przypadkiem, a teraz to miejsce jest moim domem, tylko że wcale mi nie zależy na otwartej przestrzeni ani na jakimś idiotycznym trawniku. Ludzie przeprowadzają się do miasta dla miejskich atrakcji! Ja też chcę z nich korzystać. Chcę się przenieść tam, gdzie będę mogła pójść sama do dobrego kina o dziewiątej wieczorem, zjeść pad thai i kupić sobie świecidełko, jeśli znajdzie mnie ochota. Czy takie miejsce istnieje? Chcę, żeby Ruby myślała, że jest w nim fajniej niż tam, gdzie bywa Jane. Jane napomyka o przeprowadzce do niewielkiego mieszkania nad restauracją. Będzie wiodła żywot mniszki do czasu, aż znajdzie kogoś innego, kto zajmie się prowadzeniem jej domu. – Zoe położyła się na łóżku. – Potrzebny mi masaż. Kilka sesji akupunktury. I zajęcia z jogi.

– Kiedy robiliście remont dachu? – Elizabeth przesunęła palcem po parapecie, zbierając kurz. Widok był niemal dokładnie taki sam, jak z jej własnej sypialni, tylko przesunięty o kilka stopni. Stąd też widać było dom Rosenów, z czerwonymi drzwiami i składanymi okiennicami, i dom Martinezów, z huśtawką na werandzie i miską dla psa. Słyszała kiedyś, że prawdziwym nowojorczykiem jest się wtedy, kiedy się pamięta trzy kolejne odsłony danego miejsca – na przykład tego na rogu, w którym mieściła się piekarnia, potem męski salon fryzjerski, a po nim sklep z telefonami komórkowymi – albo restauracji, najpierw włoskiej, potem meksykańskiej, a później kubańskiej. Miasto było niczym palimpsest, dziełem wykonanym techniką decoupage’u, stworzonym z pozostałości dawnych czasów i niepowodzeń innych ludzi. Nowi przybysze dostrzegają tylko to, co mają przed oczami, ale dłużej mieszkający zawsze widzą dwa lub trzy inne miejsca jednocześnie. Pierwszą linię metra, dom odzieżowy Canal Jeans i znany klub Limelight. Wiele obiektów w mieście, w którym się zakochała, przestało istnieć, ale przecież taka jest kolej rzeczy. Pamiętanie o nich jest zadaniem człowieka. Przynajmniej mosty wciąż znajdują się na swoim miejscu. Niektóre rzeczy okazują się zbyt ciężkie, żeby się je dało usunąć.

– Pięć lat temu. Może? Niech to szlag trafi.

– W porządku – powiedziała Elizabeth, odwracając się do Zoe, która zakryła sobie twarz poduszką. – W porządku.

Rozdział 10

Ściany w pokoju Harry'ego były ciemnofioletowe i spało się w nim trochę jak w olbrzymim bakłażanie. Właściwie mógł poprosić rodziców, żeby pomalowali go inaczej, ale w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia, w jakim kolorze jest jego pokój, bo fiolet tylko gdzieś tam wybijał się między plakatami i innymi rzeczami, które wszędzie ponaklejał. Starał się dokładnie wypełnić wszystkie wolne płaszczyzny, tak jak niektórzy gęsto tatuują sobie całe ciało włącznie z powiekami. Harry nie przywiązywał wagi do tego, co umieszcza na ścianach, chociaż w pewnym sensie jednak tak, ponieważ dokładał starań, żeby znalazło się na nich wszystko, co wpadnie mu w ręce, i konsekwentnie trzymał się tego planu. Normalna sprawa, każdy wyrasta z ulubionych rzeczy i nie ma nic złego w tym, że je zachowuje w swoim otoczeniu. Lubił sobie czasem przypomnieć, że kiedyś był kompletnie zauroczony Pełzakami i Bartem Simpsonem i że przez kilka miesięcy, w okolicy trzynastych urodzin, z niewytłumaczalnych powodów uwielbiał Kobe'a Bryanta, chociaż zdecydowanie nie przepadał za koszykówką. Na ściany trafiały głównie kartki wyrwane z czasopism i różne wydruki, które sam robił, także z książek skopiowanych w szkole. Stanowiły swego rodzaju platformę do publikacji treści, jak Tumblr, tyle że trójwymiarową i bez możliwości przewijania. Wąski pas ściany tuż przy szafie Harry'ego szczelnie pokrywały zdjęcia kanapek. Kilkunastoletnie dziewczyny niesłusznie zasłużyły sobie na opinię rozemocjonowanych i dziwaczych. Nawet u Whitmana, w szkole uznawanej za postępową i wykraczającą poza standardy, chłopcy przechwalali się wyprawami na strzelnicę z dziadkami w Connecticut i Wirginii. Chcieli się uczyć jazdy samochodem i słuchali hip-hopu. Harry nie okazywał najmniejszego zainteresowania takimi zajęciami. Na szczęście jego ojciec nie należał do tych, którzy się naprzykrzają – Harry zawsze robił tylko to, na co miał ochotę, jak królewicz w pałacu, który ma tylko dwoje służących.

Przywiązanie do tej samej szkoły od piątego do osiemnastego roku życia było niczym zamknięcie w bryle bursztynu. Nie dawało się nawet porównać do siedzenia w czterech ścianach pokoju Harry'ego, na których w miarę upływu czasu pojawiały się kolejne warstwy różnych rzeczy. W szkole należało być wciąż tą samą osobą, od początku do końca, nie myśleć o milowych krokach w rozwoju. Harry był spokojny i bardzo grzeczny, odrabiał prace domowe. Miał trzech bliskich przyjaciół, dwóch chłopców i jedną dziewczynę, do których nie żywił szczególnej sympatii. Nie wdychał mgiełki z e-papierosów ani nie pił piwa słodowego, ponieważ robili to inni, a on się do nich nie zaliczał. Kilka razy palił trawkę, bo wiedział, że jego rodzice też to robili, więc raczej nie był to czyn zasługujący na potępienie. Harry tkwił w klasztornych murach zbudowanych z własnych upodobań i niechęci wyniesionych z dzieciństwa. Rodzicom to odpowiadało, a on nigdy nie wpadał w tarapaty, tylko że z tego wszystkiego chciało mu się krzyczeć.

Poczuł wibrację telefonu w kieszeni. „Wyjdź na zewnątrz” – przeczytał. Wiadomość przyszła od kogoś, kogo nie miał na liście kontaktów. Harry podszedł do okna i odsunął zasłonę. Zobaczył Ruby z telefonem przy twarzy, opartą o zaparkowany samochód, i jej psa olbrzyma przytulonego do nóg dziewczyny. Rodzice Harry'ego leżeli

już w łóżku albo pracowali. Ich sypialnia znajdowała się na górze i matka często tam siedziała do późna przy swoim małym biurku. „Zaraz będę” – odpisał Harry. Dwa razy zmienił T-shirt i na palcach podążył korytarzem do wyjścia. W drodze do drzwi frontowych towarzyszyło mu skrzypienie podłogi, ale nikt z domowników nie stanął mu na przeszkodzie.

– Co się dzieje? – zainteresował się, gdy od Ruby dzieliło go kilka kroków.

Nie poruszyła się. Jej włosy rozpościerały się na oknie od strony pasażera jak wielka, fioletowa meduza. Bingo z sympatią obwąchał Harry’ego.

– Przejdź się ze mną. Moim mamusiom kompletnie odbiło. – Ruby się wyprostowała, pociągnęła za smycz i ruszyła wraz z Bingiem w stronę parku.

Harry wsunął ręce do kieszeni i podążył za nią.

Ruby sięgnęła do kieszeni po paczkę z papierosami, wyjęła z niej jednego i włożyła do ust.

– Chcesz? – zapytała przez zęby.

Harry zaprzeczył ruchem głowy i przyglądał się, jak Ruby jedną ręką się osłania, a drugą podpala papierosa od płomienia zapalniczki. Był zachwycony jej nonszalancją – bez skrępowania paliła papierosa na własnej ulicy, gdzie wszyscy się znali i zawsze ktoś mógł ją zobaczyć, podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do jej matek. U Whitmana tylko nieliczni uczniowie popalali. Teraz nie było tak jak za czasów młodości ich rodziców, kiedy każdy w tylnej kieszeni miał paczkę papierosów zamiast telefonu komórkowego. Dzisiaj wszyscy dbali o płuca i zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakim jest rak, mieli świadomość, że producenci wyrobów tytoniowych próbują wykorzystywać młodzież do swoich celów. Poddawanie się ich zakusom wydawało się godne pożałowania, choć Harry daleki był od myślenia, że postępowanie Ruby jest żalosne. U innych było, ale na tym koniec. Nieliczni szkolni palacze kryli się za rogiem albo przechodzili na drugą stronę ulicy, siadali na ławkach w parku i tam palili. Harry jeszcze ani razu nie sięgnął po papierosa, a tak naprawdę nikt go do tej pory nie poczęstował. Najlepszy dowód, jak małą szkołą była Akademia im. Whitmana. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Harry Marx nie pali papierosów. Taka jest prawda.

Szli prosto ulicą Argyle, minęli trzy skrzyżowania i dotarli do boiska piłki nożnej i zaplecza centrum tenisowego. Zapadł zmrok i park był już zamknięty, ale kilka osób wciąż jeszcze grało w piłkę.

– Buntownicy – skomentował Harry i Ruby się roześmiała.

Przeszli na drugą stronę Canto Avenue i znaleźli się w zasadniczej części Prospect Park. Harry nie lubił spacerować po parku późnym wieczorem, chociaż zawsze było w nim sporo osób biegających i jeżdżących na rowerach po głównej, okrężnej alei. Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że ludzie robią jedną z rzeczy poprzedzających dramatyczne zdarzenie, które za chwilę ich spotka. Tak jak na horrorach – biegną w górę po schodach, zamiast do wyjścia z budynku. Na szczęście był z nimi pies, chociaż Bingo miał już swoje lata i nieustannie załzawione, smutne oczy. Ruby szturchnęła Harry’ego i pociągnęła go w boczną szutrową ścieżkę, która prowadziła nieco bardziej w głąb parku, niżby sobie życzył, ale ona poruszała się z taką pewnością siebie, że nie chciał zostawać z tyłu. Bingo najwyraźniej orientował się, dokąd idą. W końcu, po kilku minutach marszu,

Ruby rozsiadła się na ławce. Byli zupełnie sami. Siedzieli i wpatrywali się w tafłę jeziora.

– Łowią tu ryby. Widziałeś? – zapytała Ruby. Zapaliła kolejnego papierosa, ale tym razem nie poczęstowała Harry'ego. – Nawet za milion dolarów nie zjadłabym ryb z brooklińskiego jeziora.

– Jestem więcej niż pewny, że nikt nikomu nie zapłaciłby miliona dolarów za zjedzenie czegokolwiek, co pochodzi z Brooklynu – stwierdził Harry. Obserwował żarzącą się na czerwono końcówkę papierosa Ruby, który przemieszczał się w jej ustach w górę i w dół. Rozpalała się jaśniej, gdy Ruby wciągała dym, a Harry wyobrażał sobie, że jest tym papierosem, że jest nim całe jego ciało. Gdy się głęboko zaciągała i dym wnikał jej do płuc, czuł, jakby to on przedostawał się przez jej gardło do wnętrza ciała. Czuł miękki dotyk jej warg i lekko szorstką, aksamitną powierzchnię języka. – Ta pani od kursu przygotowawczego jest dość kiepska, nie uważasz?

– Hm, tak – zgodziła się Ruby. Przytrzymała papierosa między zębami, przełożyła włosy na jedną stronę i zaplotła je w gruby warkocz. – Ona jest zdrowo stuknięta.

Bingo otworzył szeroko pysk i ziewnął smrodliwie.

– Jak już jesteśmy przy stukniętych... Dzwonił do ciebie Dust? Mam zatrudnić osobistego ochroniarza? – Harry starał się nadać swemu głosowi swobodny ton, ale od tamtej pory nie opuszczały go obawy. Dust wyglądał na kolesia z licznymi kumplami o groźnym wyglądem, którzy dobrze wiedzieli, jak wszczynać bójki, Harry natomiast zdecydowanie nie miał o tym zielonego pojęcia.

– No co ty?! On jest nieszkodliwy – uspokoiła go Ruby. – Tego jestem prawie pewna.

– A o co chodzi z twoimi matkami? – zainteresował się.

Na wodzie pojawiły się kaczki, przepływały z jednej strony jeziora na drugą, a Harry zastanawiał się, kiedy one śpią i jak długo zostają przy rodzicach. Potem próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, czy dzieci, które wychowały się na Manhattanie, uważają kaczki za stworzenia legendarne, jak na przykład krowy, które istnieją tylko w książkach z obrazkami i w reklamach sera. A może tam w parku też są kaczki. Było w Whitmanie kilkoro uczniów, którzy codziennie przyjeżdżali kolejką z miasta, co już graniczyło z piętrową głupotą, tak jak wchodzenie po schodach na szczyt Empire State Building. Znane są łatwiejsze sposoby na osiągnięcie tego samego celu.

– Wygląda na to, że się rozchodzą. Mam na razie tylko nieoficjalne wiadomości, ale domyślam się, że twoja mama jest lepiej poinformowana. Może ty też.

Harry jednak nie był.

– To słabo! – Ruby wzruszyła ramionami.

Słyszał, jak jego mama opowiadała ojcu o matkach Ruby, ale jemu bezpośrednio rodzice ani słowa nie powiedzieli, więc dość łatwo przyszło mu udawać, że żadne wiadomości do niego nie dotarły.

– Nic nie wiem na ten temat. Przepraszam.

– To ich związek, nie mój – oznajmiła Ruby. – Jestem nowoczesną dziewczyną i wiem, że nie ja odpowiadam za ich problemy.

– A jednak – powiedział Harry.

– Właśnie, a jednak – przyznała Ruby. Kolejny raz wciągnęła w płuca porcję dymu.

– Mogę też spróbować? – zapytał Harry.

Ruby się roześmiała.

– Cholera – powiedziała. – Myślałam, że nie palisz. – Podała mu papierosa, trzymając go w palcach pionowo jak świecę.

– Nie palę – potwierdził Harry. Wyjął papierosa spomiędzy jej palców i włożył go sobie do ust. Poczł szorstką powierzchnię filtra na języku. Miał go polizać? Raczej nie. Harry wciągnął dym. Już kiedyś palili trawkę, więc ostatecznie nie był zupełnym nowicjuszem. Dym, ostry i duszący, wypełnił mu płuca. Zakasłał raz i próbował stłumić kolejne kaszlnięcia, ale to tylko pogorszyło sytuację.

Ruby uderzyła go w plecy. Pies też pospieszył z pomocą i przyjaźnie trącił Harry'ego nosem.

– Dawaj dalej! – Ruby zachęcała Harry'ego ze śmiechem. – Ciągnij!

Harry wyciągnął rękę, żeby oddać jej papierosa, ale ją odepchnęła.

– Nie ma mowy – odparowała. – Walcz, aż poskromisz tę bestię.

Harry chwilę odczekał. Odzyskał normalny oddech, a gdy przestały mu łzawić oczy, podjął kolejną próbę.

Rozdział 11

W dobie internetu, kiedy jego syn nie mógł zrobić trzech kroków bez sprawdzania telefonu, Andrew z prawdziwym zadowoleniem spojrział na skserowane ogłoszenie na słupie telefonicznym. Takie kartki zazwyczaj rozklejali ci, którzy poszukiwali nadgorliwego nauczyciela gry na gitarze albo zaginionych psów bądź kotów, ale Andrew zawsze się takimi ogłoszeniami interesował. Znajdował się w okresie przejściowym, między jedną pracą a drugą. Ujmując ściślej – między jedną karierą zawodową a drugą. Dysponowali sporą fortuną rodzinną i nie musiał się zbyt martwić o swój los, a dochodziły jeszcze tantiemy z tytułu praw autorskich i zarobki Elizabeth. Dotychczas Andrew wiódł więc swoje dorosłe życie, kierując się własnymi inspiracjami. Dziesięć lat temu odbył kurs operatorski w New School i pracował przy produkcji kilku filmów krótkometrażowych, z których jeden traktował o opustoszałym szpitalu psychiatrycznym w Palisades. Wcześniej uczył angielskiego jako drugiego języka w szkole średniej w Bronksie, ale tylko przez rok. Niedawno pracował w redakcji czasopisma dla ojców z Brooklynu poświęconego stylowi życia – trochę zajmował się redagowaniem, trochę sprzedają, ale przede wszystkim doradztwem. Z chęcią przebywał w gronie osób młodszych od siebie – w ich otoczeniu krew w żyłach krążyła mu żywiej. Potem uznał, że przydałaby mu się praktyka u rzeźnika lub stolarza. W zawodzie wymagającym zaangażowania rąk.

Zwyczajowo każdego dnia wstawał rano razem z Harrym i Elizabeth. Syna wyprawiał do szkoły, żonę do pracy i siedł na kawę na Cortelyou. Teraz, kiedy Harry miał wakacje, Andrew poczuł, że koniecznie powinien lepiej wypełnić sobie czas. Zamówił małą kawę i znów znalazł się na ulicy.

Latem Ditmas Park był cudowny. Jawory i dęby rozpościerały gałęzie gęsto obsypane liśćmi, a pod nimi na ścieżkach spacerowych tworzyły się obszerne oazy cienia, w których na ławkach wycoczywały całe rodziny. Gdzie okiem sięgnąć, dzieci grały w piłkę lub uczyły się jeździć na rowerze. Sąsiedzi machali do siebie na powitanie. Andrew wolnym krokiem doszedł do skrzyżowania, zatrzymał się i czekał na zmianę świateł. Czuł się beztroski i szczęśliwy. Harry większą część dnia przesiedzi w swoim pokoju. Będzie się przygotowywał do egzaminu testowego albo grał w gry wideo, albo czytał książki. Niech sobie siedzi. Jakkolwiek rodzicielstwo zasadniczo polega na wychowaniu inteligentnych, szczęśliwych i samodzielnych ludzi, to jednak Andrew tęsknił za czasami, kiedy Harry wołał do niego „tata!” za każdym razem, gdy zobaczył go w drzwiach, nawet wtedy, gdy zniknął synowi z oczu ledwie na dziesięć minut. Andrew patrzył przed siebie i wspominał, jak jego dwuletni synek przytulał się do niego wieczorami przed pójściem spać, i wtedy zauważył ogłoszenie przyklejone do słupa.

Na kartce znajdował się rysunek kwiatu lotosu, wyglądający na logo studia jogi, z ręcznie namalowanymi płatkami. Pod kwiatem widniał napis drukowanymi literami. JESTEŚMY TUTAJ. A TY? Jeszcze niżej był adres na Stratford Road, trzy przecznice od miejsca, w którym stał Andrew. Nie podano ani godzin otwarcia, ani numeru telefonu, ani adresu strony internetowej.

– Hmm? – mruknął Andrew. Początkowo miał zamiar zerwać ogłoszenie i zabrać je ze sobą, ale uznał, że takie zachowanie mogłoby zostać źle odebrane. Nie chciał, żeby któryś z sąsiadów przyłapał go na czymś takim. Mógłby się narazić na podejrzenia, że coś popiera albo się czemuś sprzeciwia, a przecież nawet nie wiedział, czego to ogłoszenie dotyczy. Zapisał więc adres w telefonie i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Z całą pewnością chodziło o stolarstwo. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej domysły układały mu się w logiczną całość. Rzeźnictwo wiązałoby się z przelewaniem hektolitrów krwi, piłowaniem i rąbaniem kości. Andrew nie był wrażliwy i podobała mu się perspektywa zdobycia szerszej wiedzy na temat pochodzenia żywności, ale miał wrażenie, że uprawa warzyw na dachu budynku bardziej odpowiadałaby jego upodobaniom. Nie był jednak do niej przekonany. Warzywa rosną zbyt długo. Andrew zaliczał się do zwolenników prostszych rozwiązań: chciał zobaczyć efekty pracy przed końcem sezonu. W czasie, gdy poznali się z Elizabeth, pracował w uczelnianej spółdzielni rowerowej, gdzie naprawiał stare graty, które lekkomyślni studenci na całe lato pozostawiali przypięte na wolnym powietrzu. Uwielbiał mieć brudne, tłuste od smaru ręce po całym dniu pracy. I te obracające się koła rowerów! Stolarstwo – ciesielstwo – byłyby zajęciami o zbliżonym charakterze. Miałby pęcherze na dłoniach albo oparzenia. Przez przypadek stłukłby sobie paznokiec, który by szerniał. Właśnie o to mu chodziło. Zrobiłby biurko dla Harry’ego, dwa nowe stoliki nocne do sypialni. Kto wie, może mogliby te rzeczy zrobić wspólnie.

Zawodowy problem Elizabeth był zgoła inny – w przeciwieństwie do poszukiwań, którym oddawał się Andrew, ona wiedziała, czego chce, ale postanowiła się tym nie zajmować. Na tym etapie sprawa była przegrana, chociaż namawiał ją, żeby znów zaczęła grać, przekonywał, że i on chętnie powróci do muzyki. Zrobiłaby to dla niego – Andrew wiedział, że tak – wcale nie dla siebie. Jego żona miała prawdziwy talent. Była niezwykła, inteligentna, wybitnie uzdolniona – tych wszystkich określeń używano, gdy w takich miejscach jak szkoła im. Whitmana mówiono o zwyczajnych, niczym niewyróżniających się uczniach. Ale Elizabeth nie należała do osób zwyczajnych. Ona była niesamowita, zrezygnowała z grania z czysto praktycznych powodów, jeśli w ogóle można tu mówić o jakiegokolwiek praktyczności.

Zamiast skręcić w prawo i udać się z powrotem do domu, Andrew skręcił w lewo i podążył na Stratford. Nigdy nie chodził w tym kierunku – w stronę stacji benzynowych i niedawno otwartego baru, którego jeszcze nie odwiedził. Uświadomił sobie, że ten bar wcale nie jest taki nowy, istnieje chyba od roku, mimo to jeszcze w nim nie był. Andrew skręcił w prawo, w Stratford i przemierzył kolejną przecznicę. Znajdował się na wysokości swego domu, tylko o dwie przecznice na wschód.

Budynek dawniej był biały, ale teraz miał kolor brudnego, miejskiego śniegu. Okna – na tyle, na ile Andrew mógł je ocenić z zewnątrz – wyglądały na stare. Wiele się nauczył na temat domów od Elizabeth i wiedział, na co zwracać uwagę. Razem obejrzeni od wewnątrz większość domów w sąsiedztwie. Schody pozapadały się w środkowej części, deski podłogowe na werandzie popękały. Renowacja nie byłaby trudna, ale kosztowna, zwłaszcza gdyby okazały się na tyle spróchniałe, że zarwałyby się pod listonoszem, a on wystąpiłby z pozwem do sądu. Andrew stał przez chwilę na chodniku, sam nie wiedząc,

co zrobić. Powinien wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami. Zoe podobno знаła kogoś, kto zajmuje się stolarstwem, jakiegoś faceta z Maine, który mieszka w ich okolicy i robi stoły do jadalni na zamówienie mieszkańców z Cobble Hill i Brooklyn Heights. Zamierzał do niego zadzwonić. Drzwi wejściowe do budynku były otwarte. Andrew dostrzegł kolejną kartkę z ogłoszeniem przyklejoną taśmą nad dzwonkiem. Zrobił krok do przodu i się zatrzymał. W środku zobaczył mężczyznę z brodą, jeszcze nie tak długą i gęstą jak mieli członkowie ZZ Top, ale w podobnym stylu. Trudno było stwierdzić, w jakim jest wieku. Mężczyzna odwrócił się w stronę drzwi, zobaczył Andrew i pomachał do niego, tak jakby na niego czekał. Andrew zrobił podobny gest i wszedł po schodach, żeby się przedstawić.

– Zapraszam – odezwał się nieznajomy. Z bliska wyglądał młodziej, niż z daleka ocenił go Andrew, mógł być jeszcze przed czterdziestką. Brodę miał upstrzoną rudymi i siwymi pasemkami, pstrokata jak kacze jajo tak piękne i finezyjne, że aż trudno uwierzyć, że powstało bez ingerencji zespołu projektantów.

– Zauważyłem pana ogłoszenie – wyjaśnił Andrew.

Budynek w środku niczym specjalnym się nie odznaczał – w zasadzie chylił się ku upadkowi, ale podłoga była czysta i pomalowana na biało, podobnie jak wszystkie ściany. Między cienkimi zasłonami, rozsuniętymi na boki, do wnętrza wlewało się światło. Andrew od razu poczuł się jak u siebie.

– To jest EWOLUtorium – powiedział mężczyzna. – Ja mam na imię Dave. Proszę wejść. – Mówił przyciszonym głosem, w taki sposób jak ludzie, którzy mają świadomość, że inni będą ich chętnie słuchać.

Nie było żadnego powodu, żeby mówić głośno, nie w tym domu. Andrew od pierwszej chwili się zorientował. Tutaj panował spokój. Tu była świątynia. Myślał o mnichach, których widział w Tybecie i na północy stanu, dokąd odbył kilka podróży dla relaksu i wyciszenia. W tej okolicy, w pobliżu jego domu, było to jedno z takich szczególnych miejsc, albo miało się nim stać.

– Czy mogę się na coś przydać? – zapytał Andrew. Miał wolne ręce i chęć do pomocy.

Rozdział 12

W Hiacyntce mieściły się czterdzieści dwie osoby. W dobrym dniu restauracja była w połowie pełna w porze lunchu, w późniejszej porze, od szóstej do w pół do dziesiątej wieczorem, przez cały czas panował w niej wzmożony ruch, a przy wąskim, długim bufecie najwytrwalsi goście przesiadywali aż do zamknięcia, czyli do jedenastej. Nawet po dziesięciu latach prowadzenia restauracji Jane nie mogła ustalić cen takich, jakie chciała – nikt nie zapłaciłby dwudziestu siedmiu dolarów za konieczność zapuszczania się w te odległe rejony miasta, ale i tak nieźle radziła sobie finansowo. Przy stanowisku hostess stało niewielkie biurko. Jane lubiła przy nim siedzieć, kiedy nie była zajęta w kuchni albo w swoim biurze na piętunku, albo na dole przy klientach, którzy przychodzili bez wcześniejszej rezerwacji, albo nie kręciła się nerwowo wśród gości, wyprowadzając z równowagi kelnerów. Jane musiała przeciskać się między ścianą a biurkiem, żeby nie nadziać się na łokieć hostessy, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

Teraz zatrudniała w kuchni swoich zastępców, dobrych kucharzy. Polegała na ich kubkach smakowych, mimo to sama wołała mieć nad wszystkim kontrolę. Jane lubiła się napocić i pokrzyczeć, a do tego nie było lepszego miejsca od ciasnej kuchni w jej restauracji. Lokal na restaurację znalazła Elizabeth – Jane i Zoe przez wiele miesięcy się rozglądały, czekały na odpowiednie miejsce – która wzięła sprawy w swoje ręce i sama zaangażowała się w realizację tego projektu, jakby jej osobiście na jego powodzeniu najbardziej zależało. Poszukiwania prowadziły również poza Ditmas, ale rzecz jasna przede wszystkim w swojej dzielnicy. Wiedziały, że ruch pieszy jest w niej mniejszy, ale podobał im się pomysł, żeby przyczynić się do przekształcenia pobliskiej okolicy w miejsce, w którym ludzie chętnie spędzaliby wolny czas, a nie tylko wracali tu na noc. Jane i Zoe zakochały się w sobie przy jedzeniu, podczas rozmów o jedzeniu i snucia marzeń o spożywaniu posiłków na tej samej ulicy, na której mieszkały. Zoe była tradycjonalistką i chciała otworzyć francuskie bistro, w którym wieczorem można by zjeść stek i frytki, a w ciągu dnia jajka na miękko. Jane natomiast myślała o tajskiej knajpce, albo jeszcze lepiej, o wietnamskiej. W pobliżu nie było nic oprócz pizzerii lub chińskiego baru z kasą zabezpieczoną kuloodporną szybą. Luk w gastronomii było mnóstwo, a one zamierzały wypełnić jedną z nich.

Rozpoznanie prowadziły wszędzie – w Williamsburgu, w Carroll Gardens – ale żadne miejsce im nie odpowiadało. Pewnego dnia zadzwoniła Elizabeth i powiedziała, że znalazła lokal. W jej głosie Jane usłyszała nutę, która świadczyła, że tak jest rzeczywiście, więc razem z Zoe, oszołomione, trzymając się za ręce, poszły go obejrzeć. Hiacyntka było jednym z imion, które wybrały dla dziewczynki, gdy Ruby urodzi się siostra, ale wtedy Ruby chodziła już do pierwszej klasy i nic nie wskazywało na to, że przybędzie jej rodzeństwo, więc nazwa Hiacyntka została wyryta na drewnianym szyldzie i wypisana złotymi literami na drzwiach wejściowych. Restauracja ruszyła.

Domeną Jane były sprawy kulinarne, do Zoe należały pozostałe. Wybrała krzesła i szklanki do wody, sztucce i dekoracje kwiatowe. Zajmowała się płacami i rozliczeniami. Była odpowiedzialna za personel, co okazało się najtrudniejszym zadaniem

w prowadzeniu małej firmy – zawsze trzeba było kogoś zwolnić z pracy albo zdyscyplinować spóźnialskich, albo rozprawić się z tymi, którzy za bardzo spoufalali się z klientami lub nadużywali narkotyków. Dopóki nie potrzebowały pieniędzy albo snu, życie było proste. Opiekunka Ruby przywoziła ją ze szkoły prosto do Hiacyntki, a kiedy już nie mogły sobie pozwolić na opiekunkę, Ruby przyjeżdżała samodzielnie i przy barze odrabiała lekcje. Elizabeth i Andrew głaskali ją po głowie, a ona podjadała im frytki. Stałym bywalcom bardzo się podobało – mieli własną małą Eloise z Brooklynu. Po zmroku Zoe zabierała córkę do domu, kładła ją spać i wracała do restauracji, jeśli musiała nadrobić zaległości w pracy. Miały sąsiadkę, kobietę w starszym wieku, która uważała się za burmistrza Argyle Road, i zarówno Jane, jak i Zoe były więcej niż pewne, że nigdy nie pozwoli, żeby cokolwiek złego stało się Ruby podczas ich nieobecności.

Było wcześniej, minęła dopiero dziewiąta. Do jedenastej, czyli do pory lunchu, restauracja nie będzie czynna. Jane zamknęła w komputerze okno z jadłospisami i plik z listą dostawców i otworzyła wyszukiwarkę internetową. Naprawdę nie szukała nowego miejsca do życia, jeszcze nie. Zacznie się rozglądać, dopiero gdy Ruby wyprowadzi się z domu, niezależnie od tego, czy i kiedy to nastąpi, a Zo znajdzie dla siebie takie, jak się jej spodoba. Jeżeli rzeczywiście do tego dojdzie. Jane się nie śpieszyła. Gdyby to od niej zależało, pozostałyby w związku małżeńskim na zawsze. Cóż z tego, że nie czuły się równie szczęśliwe jak kiedyś? Były dojrzałymi osobami z niemal dorosłym dzieckiem. „Szczęście” jest słowem przeznaczonym dla rozpieszczonych pańienek z dobrych domów i błaznów, a to są dwie zupełnie inne grupy ześwirowanych ludzi. One natomiast, jak każdy inny, zwyczajny człowiek, borykają się z codziennymi sprawami.

W wieku dwudziestu czterech lat Zoe Bennett była najseksowniejszą istotą, jaką Jane kiedykolwiek widziała. Poznały się w Mary Mary’s na Piątej Alei, w barze, w którym zawsze roiło się od specjalistów nocnych usług, zwłaszcza po północy. Jane chodziła tam dwa, czasem trzy razy w tygodniu i rzadko kiedy robiła coś więcej poza piciem piwa z przyjaciółmi. Pewnego wieczoru jednak zjawiła się ta filigranowa, elektryzująca nimfa i w końcu baru robiła mnóstwo zamieszania, jakby była właścicielką tego miejsca, i zanim wieczór dobiegł końca, rządziła w nim niepodzielnie. Jane pracowała w Union Square Café, gdzie zajmowała się przygotowaniem zimnego bufetu i odpowiadała za pomieszczenia chłodnicze. Zoe była hostessą w Chanterelle. Nawet ze sobą nie rozmawiały tego pierwszego wieczoru – Jane przysięgła, że Zoe usiadła jej na kolanach i wtórowała Bonnie Raitt do piosenki rozbrzmiewającej z szafy grającej, ale Zoe nie przypominała sobie, że coś takiego zrobiła. Obie lubiły korzystać z życia, gotowe jeść do ostatniego okruszka i pić do ostatniej kropelki, aż do gaszenia świateł. Trzy tygodnie później Jane wprowadziła do domu Zoe.

Rozległ się dzwonek nad drzwiami i Jane uniosła głowę. To Johnny, jej znajomy kurier z UPS. Przywiózł stos kartonów – z papierowymi ręcznikami, papierem toaletowym i mnóstwem innych rzeczy, o które nigdy nie chciała się troszczyć. Ta działka należała do Zoe, ona powinna dbać o zaopatrzenie tak, żeby miały dość zapasów, gdyby nastał koniec świata. Tych spraw jeszcze nie rozwiązały – co się stanie z Hiacyntką? Zoe byłoby trudno wykonywać dotychczasową pracę, ale jeszcze trudniej z niej zrezygnować. Wszystko w restauracji było wspólne. Nie musiały być w formalnym związku, żeby

w dalszym ciągu razem pracować, oczywiście, ale co będzie, jeżeli Zoe zacznie sypiać z Allie, tą uroczą hostessą? Nieustannie na jej temat żartowały, przede wszystkim z tego, że tamta zakochała się w Zo, ale gdyby Zo była wolna i rzeczywiście tak by się stało? Jane dobrze widziała, co się święci, gdy wyglądała z kuchni – Zoe dotykała pleców Allie albo zawijała jej kosmyk włosów za ucho. Może Jane powinna zwolnić z pracy tę hostesę, zanim Zoe bardziej się do niej zbliży? Ostatecznie wcale nie była taką dobrą pracownicą. Sprawy dotyczące pracowników nie należały jednak do zakresu obowiązków Jane, choć przecież to ona była szefem i w rzeczywistości zarządzała wszystkim.

– Hej, hej! – zawołał Johnny i wskazał głową na szafę z zapasami. – Tam mam to złożyć?

– Bardzo proszę – odpowiedziała Jane. Właściwie nie mówiła do niego, tylko wznosiła prośbę do nieba.

Po wyjściu Johnny'ego zamknęła się w toalecie i płakała. To było jedyne pomieszczenie zamykane na klucz. Napomknęła już matce, że zastanawiają się nad rozstaniem, ale nikomu więcej nie powiedziała, ani przyjacielom, ani pracownikom, nikomu, tylko matce. Przyszło jej na myśl, że jeśli nikt się nie dowie, to może do niego nie dojdzie. Już kiedyś tak zrobiły, gdy Zoe spodziewała się dziecka. Tajemnicę ujawniły dopiero w czwartym miesiącu jej ciąży. Podobnie było, gdy Jane miała szesnaście lat i już wiedziała, że jest lesbijką, ale się nie zdradziła, aż do swoich dwudziestych urodzin. Gdyby naprawdę się rozeszły, jej rodzice byliby zdruzgotani. Oni zawsze kochali Zoe, zwłaszcza matka Jane. Jane starałaby się unikać rozmów z nimi przez kilka miesięcy, może nawet przez rok. Może nie kontaktowałyby się z nimi w ogóle aż do dnia ślubu Ruby, a wtedy oni mogliby już być po osiemdziesiątce, mieć przytępiony słuch i niewiele zrozumieć. Kto wie, może udałoby się w ten sposób doczekać do ich śmierci.

Rozległo się pukanie do drzwi do toalety.

– Tak? – odezwała się Jane. Przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Miała już ponad pięćdziesiąt lat, na twarzy znamiona, które należałoby zbadać, i włos na brodzie odrastający po każdym wyrwaniu. Życie było jedną przeklętą katastrofą, ale zbliżała się pora lunchu, który trzeba przygotować, i zadzwonić do rzeźnika, więc Jane otworzyła drzwi.

Rozdział 13

Mary Ann O'Connell Realty Group była wysoko wyspecjalizowaną agencją nieruchomości z zaledwie pięcioma pośrednikami. Wśród nich tylko Elizabeth nie nosiła nazwiska O'Connell. Oprócz osiemdziesięcioletniej Mary Ann w firmie pracowało dwoje jej dzieci, Sean i Bridget, i żona Seana, Deirdre. Agencja mieściła się na rogu Cortelyou i Szesnastej Ulicy (jej części wschodniej) w odległości mniej więcej pół przecznicy od trasy hałaśliwego pociągu linii Q. Elizabeth i Deirdre miały wspólne biurko. Elizabeth zawsze wydawało się nieco dziwne, że Sean dzieli przestrzeń roboczą ze swoją siostrą, a nie z żoną, ale rodzina O'Connellów ogólnie rzecz biorąc należała do dość osobliwych, więc wszystkiego można się było po nich spodziewać. W rodzinnych firmach zazwyczaj panują bardzo skomplikowane układy i najlepiej trzymać się jak najdalej od centrum decyzyjnego. Swoją pracę Elizabeth chętnie wykonywałaby we własnym domu, tak jak wtedy, kiedy Harry był mały, ale Mary Ann stawała się nerwowa, jeżeli nie miała na oku intensywnie pracującego zespołu albo nie docierał do jej uszu brzęk kluczy jego członków wychodzących w teren w dniu prezentacji nieruchomości. Jej gabinet mieścił się w głębi biura, a drzwi do niego zawsze były otwarte. Kiedy któryś pracownik przychodził do agencji lub z niej wychodził, nawet jeśli tylko po kanapkę, biała korona włosów Mary Ann zaczynała się lekko kołysać jak czasza bijącego dzwonu. Dla żartu Deirdre mawiała, że jej teściową w dzieciństwie poraził piorun i teraz za każdym razem, gdy wyczuwa okazję do zarobienia pieniędzy, ma nawroty drgawek. Lubiła też żartować, że pozwolenie na ślub otrzymali z Seanem, który był Irlandczykiem, tylko dlatego, że w dokumentach (urodziła się w Trinidadzie) widniało jej imię i nazwisko również o irlandzkim brzmieniu. Deirdre była jedyną osobą z rodziny O'Connellów, w której towarzystwie Elizabeth chętnie przebywała.

Dzień był wspaniały, wprawdzie jeszcze nie tak ciepły jak w pełni lata, ale na tyle przyjemny, że można było wyjść z gołymi rękoma i nogami bez obawy o gęsią skórkę. Te okresy łagodnej aury rzadko zdarzały się w Nowym Jorku, który słynie z różnych skrajności. Elizabeth i Andrew kiedyś myśleli o przeprowadzce, między innymi z tego powodu, ale temperatura w Kalifornii, utrzymująca się codziennie w okolicy dwudziestu dwóch stopni Celsjusza, też nie była zachęcająca. Zawsze dobrze jest mieć powody do narzekania, bo pomagają w kształtowaniu charakteru. Elizabeth odchyliła się na krześle i z radością podziwiała uroki dnia, które dało się zobaczyć przez okno. Trzy biurka w agencji ustawiono według lat doświadczenia zawodowego jej pośredników, czyli Elizabeth, jako weterance z zaledwie dziesięcioletnim stażem, przypadło miejsce oddalone o mniej więcej metr od ulicznego chodnika.

Sean wrócił do biura z lunchu po przedpołudniowej części dnia wypełnionej prezentacjami nieruchomości – wczesnym latem zawsze mieli największy ruch, więc i bogatą ofertę. Rozległ się dzwonek i Elizabeth usłyszała głos Mary Ann, która zaczęła zasypywać Seana pytania, zanim zdążył przekroczyć próg. Skinął do Elizabeth głową na powitanie i skierował się do gabinetu matki. Wtedy zadzwonił telefon komórkowy Elizabeth, a ona go odebrała, nie sprawdzwszy numeru, który wyświetlił się na ekranie.

– Halo? – odezwała się.

Z drugiej strony panowała cisza. Dopiero po chwili usłyszała kliknięcie.

– Łączę rozmowę z Naomi Vandenhoovel – powiedziała młoda kobieta.

– Słucham? – Elizabeth przycisnęła palec do prawego ucha, ponieważ połączenie zagłuszał wóz strażacki pędzący z łoskotem po ulicy. – Halo?

– Lizzzzzzzy?! – rozległ się głos innej osoby. – Bardzo dziękuję za rozmowę. Jestem naprawdę wdzięczna.

– Przepraszam, kto mówi? – Elizabeth obróciła się na krześle i usiadła tyłem od okna. W całym biurze lśniły okrągłe plamy słonecznego światła. – Nazywam się Elizabeth Marx – powiedziała, nabierając przekonania, że ktoś ją pomylił z inną Elizabeth, ponieważ przypadkiem, przy szybkim przewijaniu kontaktów, pod literą E wybrał niewłaściwy numer.

– Elizabeth, tu Naomi. Naomi Vandenhoovel. Rozmawialiśmy już o prawach do filmu biograficznego o Lydii. Pracuję w studiu filmowym. Korespondowałyśmy ze sobą w tej sprawie.

– Och, Naomi! Tak, pamiętam – powiedziała Elizabeth. Odwróciła się i otworzyła skrzynkę pocztową. Zaczęła gorączkowo szukać w niej ostatnich maili od Naomi. – Miałam zamiar się z tobą skontaktować.

– Posłuchaj, Elizabeth, wiem, może to i szalony pomysł, żeby po tak długim czasie przenosić prawa autorskie do swego dzieła i historii, ale tu chodzi o film, który na pewno zostanie zrealizowany. Czy wiesz, jak trudno w dzisiejszych czasach zrobić film? – W słuchawce rozległ świst. – Przepraszam, jestem w samochodzie. Zaczekaj sekundę, zamknę okno.

– Jakim cudem dzwonicz do mnie z samochodu? Przecież przed chwilą twoja współpracownica mówiła, że mam czekać na połączenie! – Elizabeth zapytała poważnie, tymczasem Naomi tylko się roześmiała.

– Tak, wiem – odpowiedziała Naomi. – W każdym razie... Naprawdę musimy mieć tę piosenkę. Wiesz, że musimy. I prawa do życia. Owszem, brzmi groźnie, ale to takie wyszukane określenie zgody na wykorzystanie twego wizerunku dla postaci w filmie, która może mieć związek z tobą, ale też może wcale go nie mieć. Naprawdę. Mogę dać ci jeszcze kilka tygodni na przekonanie męża, ale nie więcej. Zdjęcia mają się rozpocząć jesienią. Nie chcesz, żeby miliony nastolatków poszły do kina i zobaczyły, jak czadowe laski grają rocka? Żeby piszczały przy każdym szarpnięciu wajchy gitary i jej ogłuszającym jazgocie *wahhhhhh*, rozumiesz, o co chodzi? Nie chcesz być dla nich inspiracją? Zostawmy Lydię! Pomyśl o prostej dziewczynie znikąd, która uważa życie za beznadziejne i nudne, a potem widzi ten film w centrum handlowym, idzie do sklepu, kupuje gitarę i zaczyna w swoim pokoju pisać piosenki.

Elizabeth zamknęła oczy. Do tej pory nie udało się jej znaleźć argumentów, żeby skłonić Andrew do rozmowy o Lydii. Stosował najróżniejsze wybiegi, żeby tylko uniknąć tego tematu – zapisywał się do dentysty, jechał ich normalnie zaniechanym samochodem do mechanika na wymianę oleju. Jest to pomysł – anonimowa dziewczyna z gitarą w pokoju. Może chwycić. Nastolatkę uratowała muzyka, dzięki filmowi, dzięki nim! Ten argument przemówił do Elizabeth. Poczowała wilgoć w kąci oka równie nieoczekiwanie jak przy naprawdę sugestywnej reklamie jednorazowych chusteczek do

nosa.

– Dobrze, spróbuję – zgodziła się.

– Wyślę ci formularze jeszcze raz. Świat powinien zobaczyć tę historię i usłyszeć twoją piosenkę. Tak się składa, że to mój ulubiony utwór wszech czasów. Jestem pewna, że wciąż słyszysz takie zachwyty. Ale możesz mi wierzyć, ja rzeczywiście ją uwielbiam. Słowa refrenu mam wytatuowane na klatce piersiowej.

– Żartujesz?! – zdumiała się Elizabeth, chociaż nie pierwszy raz słyszała podobne rzeczy. Kiedyś nawet oglądała cały pokaz slajdów z takimi tatuażami na portalu BuzzFeed.

– Skądże! – zawołała Naomi. – Zaraz wyślę ci zdjęcie.

– Naprawdę nie musisz robić sobie kłopotu – próbowała ją zniechęcić Elizabeth.

– Och, ale chcę ci pokazać! Wygląda genialnie!

Rozległ się sygnał poczty przychodzącej. Elizabeth odwróciła się przodem do ekranu i zerknęła na zdjęcie. Rzeczywiście widać było na nim czyjaś klatkę piersiową z wytatuowanymi kursywą słowami: „Będę mieć spokój, spokój, spokój”.

– Nieźle! – pochwaliła Elizabeth. – Zaraz, zaraz! Jakim sposobem wysłałaś zdjęcie, skoro prowadzisz samochód?

– Za mocno się opaliłam latem, czułam się okropnie – wyjaśniła Naomi, pozostawiając pytanie Elizabeth bez odpowiedzi. Kalifornia okazała się upiornym miejscem. – Wróćmy do rzeczy. Podpiszcie formularze i przyślij mi je jak najprędzej, dobrze? Bardzo, naprawdę bardzo ci dziękuję.

– Dobrze – powiedziała Elizabeth, choć nie oznaczało to, że godzi się cokolwiek podpisać, tylko że da odpowiedź. Była osobą wyjątkowo uprzejmą. Harry często z niej drwił, że dzwoni i odwołuje rezerwacje w restauracjach albo umówione spotkania w punkcie wsparcia technicznego produktów Apple’a. „Nikt się takimi rzeczami nie przejmuje, mamó” – mawiał. Elizabeth uważała jednak, że tego wymaga grzeczność. Czekala, aż Naomi powie coś więcej, ale wkrótce się zorientowała, że jej rozmówczyni już się rozłączyła.

Rozdział 14

Garaż był niedokończony. W przeciwieństwie do tych sąsiadów, którzy przebudowali własne garaże i urządzili w nich sale zabaw lub biura, doprowadzili wodę, podłączyli kanalizację i ogrzewanie, założyli drewnianą podłogę, Andrew i Elizabeth swój zachowali w formie tradycyjnej i trzymali w nim rdzewiejące łopaty i do połowy zużyte puszki z farbami. Samochód wprowadzali do środka tylko wtedy, gdy zapowiadano gwałtowne śnieżyce, a poza takimi szczególnymi okolicznościami duża przestrzeń była pusta, jeśli nie liczyć rozłożonego dywanu z domu rodziców Andrew i dwóch skrzypiących, drewnianych krzeseł. Niewielki wzmacniacz Marshalla stał po stronie należącej do Elizabeth, a kanciasty, pomarańczowy firmy Orange po przeciwnej, którą zajmował jej mąż. Andrew podciągnął rolowaną bramę garażową na tyle, żeby mogli się pod nią dostać do środka, po czym opuścił ją do połowy wysokości. Przechodnie prawdopodobnie widzieliby ich nogi, pod warunkiem że próbowaliby je zobaczyć, ale po co mieliby to robić, skoro wokół znajdowało się znacznie więcej ciekawych rzeczy do oglądania. Pasjonaci rock and rolla, którzy osiągnęli wiek średni, wydawali się prawie tak samo atrakcyjni jak starsze panie krzątające się po ogródkach, ale z całą pewnością wywoływali o wiele większe zakłopotanie. Andrew był świadomy, jak się sprawy mają.

Zabrał ze sobą swój notatnik. Zapisywał w nim to i owo, ale nie całe teksty, tylko pomysły na piosenki. Układanie piosenek Elizabeth szło bez porównania lepiej. W swoim notesie miała mnóstwo gotowych tekstów, jeśli nie ułożonych obecnie, to w każdym razie tych, które powstały dawniej. Teraz jej notes wypełniały zapiski na temat ich małżeństwa, pozytywnych jej zdaniem aspektów ich związku, zastrzeżeń do niego, możliwych rozwiązań na przyszłość i stanu ich kont bankowych.

– Chcesz zagrać tę dawną, myślisz o tej *bum-bum-bum-ting*? – zapytała Elizabeth. Usadowiła się na krześle i oparła gitarę na kolanach. Podłączyła ją do wzmacniacza i przełożyła sobie pas przez ramię.

Andrew był oczarowany wyglądem żony z kostką gitarową w zębach. Robiła na nim piorunujące wrażenie. Kiedyś, jeszcze w szkole średniej, jego nauczyciel historii wygłosił obszerną prelekcję o Barbarze Stanwyck, która w jego mniemaniu była uosobieniem kobiecej seksualności, i wszyscy poczuli się dość niezręcznie, ale Andrew miał podobne odczucia względem gitarzystek. Nieważne, czy grały na gitarze bardzo dobrze czy bardzo źle czy tylko trzymały instrument. Dla tych, które naprawdę potrafiły grać, kompletnie tracił głowę. Miał głęboko zakorzenione poglądy seksistowskie, do których nigdy otwarcie się nie przyznawał (pod tym względem studia w Oberlin zrobiły swoje – tam się nauczył, że większość motywów, którymi mężczyźni kierują się w swoim postępowaniu na co dzień, ma źródło w ugruntowanym w ich umysłach przekonaniu o niższości osób płci przeciwnej), ale rzeczywiście tak było. Elizabeth nie tylko umiała grać, ale robiła to doskonale.

– O co chodzi? – zapytała Elizabeth, wciąż trzymając kostkę między zębami.

– O nic – odpowiedział Andrew. Chwycił za gryf swoją gitarę basową. – Oczywiście, zagrajmy tę, którą chcesz.

– Właściwie, kochanie, miałam ci powiedzieć... Znów dzwonili w sprawie Lydii.
– Elizabeth ściągnęła usta. – Możemy o tym porozmawiać? Powinniśmy niebawem powiadomić ich o naszej decyzji.

Po ulicy z hałasem przetaczała się śmieciarka, zatrzymywała się co kilka metrów ze zgrzytem hamulców. Andrew odłożył gitarę i przeczesywał palcami włosy w tę i z powrotem.

– Nie podoba mi się pomysł podpisania jakiegoś świstka, na podstawie którego mamy przekazać jakiejś wielkiej korporacji prawa własności. Ani się obejrzymy, a usłyszymy nasz utwór w reklamie chustek do nosa.

– Jestem niemal pewna, że możemy dokładnie określić zakres wykorzystania piosenki – zauważyła Elizabeth. – Ten film jest o Lydii, a nie o nas. Na nas im wcale nie zależy, skarbie. – Przycisnęła gładką i lśniącą gitarę do siebie.

– O to mi właśnie chodzi – powiedział Andrew. – Nie napisałaś tego tekstu dla Lydii. Nie skomponowaliśmy tej piosenki po to, żeby nastolatki w centrum handlowym w New Jersey mogły się zgrywać na punki.

– Masz na myśli chłoptasiów z Manhattanu, którzy udawali punków? – Przewróciła oczami. – Przyganiał kocioł garnkowi.

– To były lata osiemdziesiąte! Nikogo nie udawałem! Kipiałem gniewem, a moi rodzice, którzy pochwalali szatańskie praktyki Reagana, mieli w tym w znaczący udział. Daj spokój, Lizzy. – Andrew skrzyżował ręce na piersiach i wziął kilka głębokich oddechów. – Po prostu nie chcę się przyczyniać do stworzenia zniekształconego wizerunku Lydii Greenbaum jako w pewnym sensie bohaterki mas. Dlaczego mamy im w tym pomagać?

– Ponieważ nam zapłacą?

– Naprawdę chcesz się sprzedać tak tanio?

Te słowa zabolaly Elizabeth tak dotkliwie, jakby wymierzył jej policzek.

– Słucham? Rozumiem, że ty i ja mamy różne zdania na ten temat, ale to, że jestem gotowa przyjąć bardzo przyzwoite, dodatkowe wynagrodzenie za swoją pracę, którą wykonałam dwadzieścia lat temu, wcale nie znaczy, że nisko się cenię. Harry wybiera się do college'u, masz chyba tego świadomość. I to wkrótce. W tym domu trzeba wymienić dwanaście okien. Nasza piwnica jest rajem dla karaluchów. Możemy mieć pożytek z tych pieniędzy – nie musimy finansować naszego życia z funduszu powierniczego rodziny Marksów, wiesz. Nie jestem chciwa. – Zaczęła się pocić. – I tu nie chodzi wyłącznie o Lydię, ani nawet o nas, ale o inspirację dla młodych kobiet, dziewcząt, które czują, że też mogą tworzyć muzykę i grać. Jak choćby te, którym pomaga fundacja Girls Rock Camp czy inne.

Kiedy się poznali w Ohio, z dala od swoich rodzin i swego prawdziwego życia, trudno się było zorientować, że Andrew pochodzi z bogatej rodziny, a Elizabeth nie. Wszyscy byli tacy sami. Nosili ubrania ze sklepów z rzeczami używanymi, a torby kupowali w składach z artykułami wojskowymi. Elizabeth zawsze uważała dom swoich rodziców za normalny – nawet przyjemny – do czasu, aż w semestrze zimowym na ostatnim roku studiów Andrew niechętnie zabrał ją do swego rodzinnego domu.

Wybrali się samochodem. Prowadziła Elizabeth, ponieważ on nie miał prawa jazdy

ani pojęcia, jak tam dojechać. Po drodze udzielał jej wskazówek, a potem przeklinał, gdy się zorientował, że podążają w niewłaściwym kierunku. Stracili dodatkową godzinę na kręceniu się w kółko po New Jersey, zanim w końcu znaleźli wjazd do Tunelu Lincolna, a następnie strawili kolejne godziny na przesuwaniu się w żółwym tempie w korku w drodze do Upper East Side. Elizabeth, przygarbiona nad kierownicą, szukała miejsca parkingowego na opustoszałych i ciemnych ulicach.

– Tutaj mieszkają twoi rodzice? – zapytała, gdy jej pokazał budynek na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Park Avenue z ogromną metalową rzeźbą kota od frontu.

Wtasczyli bagaże do holu wyłożonego marmurem, z portiernią z czarnym, lśniącym kontuarem. Portier w czapce pospieszył im z pomocą i powitał Andrew, zwracając się do niego po imieniu.

– Tak, tutaj – przyznał Andrew skruszony.

Tamtej nocy, kiedy zwinięci w kłębek leżeli na jego dziecięcym łóżku, w pokoju, z którego roztaczał się widok na Central Park, opowiedział jej, jak marzył o ucieczce z domu, o podróżowaniu pociągami albo spaniu na ławce na Tompkins Square. W Oberlin Andrew studiował religioznawstwo i pisał pracę dyplomową o hinduskich boginiach. Chciał się przeprowadzić do Nepalu. Chciał sypiać na podłodze. Nieustannie powtarzał Elizabeth, że bogactwo jego rodziców niewiele się dla niego liczy, a kiedy powiedziała, że jest głodna, zamówił kolację w taniej restauracji na Lexington Avenue i poprosił, żeby przywieźli jajecznicę.

– Przecież twoi rodzice na pewno mają w kuchni jajka – zaprotestowała wtedy, ale upierał się, że z restauracji są lepsze. O tych jajkach Elizabeth myślała co najmniej raz w roku, jeśli nie częściej – ciepłych i, owszem, bardzo smacznych – i o tym, jak wiele powiedziały jej na temat Andrew, znacznie więcej niż on sam mógłby jej opowiedzieć o swoim dorastaniu. Czasem nawet najinteligentniejsi nie mają o nim pojęcia.

– Nie musimy dzisiaj podejmować decyzji – powiedziała Elizabeth, kręcąc głową.
– Możesz grać, jeśli chcesz. Ja idę przygotować lunch. – Odstawiła gitarę na stojak, wyłączyła wzmacniacz i wyszła z garażu.

Rozdział 15

Tym razem Eliza i Thayer nawet nie próbowały udawać, że witają się z Harrym. Odwróciły się do niego plecami, gdy zobaczyły, że wchodzi w towarzystwie Ruby, i kontynuowały rozmowę na oko niczym niezakłóconą. Rebecca, ich nieustraszony przywódca, przekładała z miejsca na miejsce kartki na swoim prowizorycznym biurku pod ekranem projekcyjnym. Grube niebieskie maty, na których w szkole karate uczono, jak nie dać się zabić wojownikom ninja, wciąż leżały na podłodze i kilkoro uczniów z ich grupy robiło na nich przewroty.

– Och, ci to na bank wybierają się do Harvardu – zauważyła Ruby.

– Moim zdaniem tamten wygląda bardziej na kandydata do Yale – skomentował Harry, wskazując na jednego z uczniów, który przewrócił się na bok. – Albo do Princeton.

– Totalne dno! – mruknęła Ruby.

Był to jedyny sposób, w jaki Ruby odnosiła się do przyszłości. Wiedziała, że Harry zapewne zastanawia się, po co ona chodzi na te zajęcia – nikt dla rozrywki nie uczestniczy w kursie przygotowawczym do college'u, zwłaszcza po ukończeniu szkoły – ale Ruby niepytana dobrowolnie nie udzielała żadnych informacji. Drwiła z każdego, kto wybierał się na dobrą uczelnię, ale stroiła sobie żarty również z innych, którzy zamierzali iść do dużych szkół znanych z rozrywkowo-impresowej atmosfery, i z każdego, kto chciał się dostać do małej i tolerancyjnej akademii artystycznej. To był sezon polowań dla wszystkich oprócz niej. Jej sprawy nie powinny nikogo obchodzić. Co z tego, że wysłała zgłoszenie do ośmiu szkół i nie została przyjęta do żadnej z nich? Przecież z tego powodu nie stała się złym człowiekiem. Samo się jednak nasuwa przypuszczenie, że członkowie komisji rekrutacyjnych to snobistyczni idioci, którzy zasłużyli sobie na kąpiel w miodzie i osadzenie w klatce z niedźwiedziami w ogrodzie zoologicznym. W ogóle nie widziała najmniejszego powodu, żeby iść do college'u, a nawet jeśli jakiś był, to już go nie ma, college nie jest dla niej. Pomysł siedzenia przez kolejne cztery lata na bzdurnych wykładach o tym, co się kiedyś wydarzyło, i o książkach napisanych setki lat temu, wydawał się jej największą pomyłką, a ślęczenie tam – kosmiczną stratą czasu i pieniędzy. Wypracowanie motywacyjne Ruby napisała mniej więcej w tym duchu i najwyraźniej osiągnęła swój cel. Gdyby którejs z matek przyszło do głowy sprawdzić jej zgłoszenie przed wysłaniem, nie znalazłyby się wszystkie trzy w tych opałach. Swoje wypracowanie napisała trochę dla zgrywu, a okazało się, że żart obrócił się w konkretną sytuację życiową. Ruby była pewna, że w końcu ktoś jej stanie na przeszkodzie. Klikając klawisz i wysyłając zgłoszenia z pełną świadomością, jakie dodała załączniki, pożegnała się z college'em. Wcale się nie dziwiła, że zostały odrzucone. Początkowo jej matki nawet o tym nie wiedziały, ponieważ czekały na listy, które przyjdą pocztą tradycyjną. Nie miały pojęcia, że teraz takie listy wysyła się tylko wtedy, gdy decyzja o przyjęciu do szkoły jest pozytywna.

– Zaraz, zaraz! To jest naprawdę bardzo dobry pomysł – ucieszyła się Ruby.

– Jaki pomysł? – zainteresował się Harry. Znajdowali się w odległości niewiele ponad metr od drzwi.

Rebecca nacisnęła klawisz na swoim komputerze i na ekranie wyświetlił się obrazek kota na kursie przygotowawczym.

Ruby splotła ręce na wysokości brzucha.

– O nie! – jęknęła. – Muszę natychmiast wyjść, Rebecco. Muszę iść do domu, naprawdę. Jeszcze chwila i zwymiotuję.

Thayer i Eliza odwróciły się w jej stronę z otwartymi ustami. Harry pochylił się nad Ruby ze współczuciem.

– Źle się czujesz? – zapytał.

Oboje mieli opuszczone głowy. Spojrzeli na siebie i Ruby mrugnęła porozumiewawczo.

– Mogę ją odprowadzić do domu? – wyprostowując się, zapytał Harry.

Rebecca krzątała się przy biurku i wybierała kartki z ćwiczeniami. Ruby wydawała z siebie ponure, urywane pomruki, które przypominały hałasy nadjeżdżającej kolejki podziemnej. Nikt nie chciał zaglądać, co się dzieje w wagonach.

– Oczywiście – zgodziła się Rebecca i zrobiła smutną minę. Z opuszczonymi kącikami ust przypominała nadąsaną bohaterkę z kreskówek. – Wracaj szybko do zdrowia! – zwróciła się do Ruby, a potem poklepała Harry'ego po plecach.

Ruby chwyciła go za rękę przy nadgarstku.

– Natychmiast wychodzimy, bo obrzygam całą salę – wydusiła z siebie. – Na jaki pas karate zasłużyłam?

Harry pozwolił jej wyprowadzić się za drzwi.

Ruby pojękiwała przez całą drogę do Church Avenue, którą przecięli i skrzyśleli w bok, znikając za rogiem. Mimo że nikt już nie mógł ich zobaczyć, Ruby podeszła do skrzynki pocztowej i udawała, że do niej wymiotuje, nie rezygnując z bogatych efektów dźwiękowych. Potem wyprostowała się i wykonała głęboki, dziękczynny ukłon. Harry patrzył na nią z podziwem, a ona w jego twarzy dostrzegła swój plan na pozostałą część lata: to on mógł być jego głównym celem, zajęciem na wypełnienie wolnego czasu, jej zabawką.

– Jestem głodna – oznajmiła. – Twój rodzice mają coś do jedzenia?

– Przecież to twoje rodzicielki prowadzą restaurację – zauważył Harry.

– I właśnie dlatego w domu nigdy nic nie ma. Mogę ci tu i teraz wyliczyć, co się znajduje w naszej lodówce: jogurt, trzy rodzaje sosu rybnego i pasztet.

Ruby kiedyś próbowała znaleźć w internecie grupę wsparcia dla dzieci, których rodzice pracują w branży gastronomicznej – dla dzieci takich jak ona, które mają zakaz jedzenia mlecznej czekolady, sosu z sera topionego, cukrowych pianek i słodzonego masła orzechowego z supermarketu, ale nie znalazła.

– Powinniśmy mieć chipsy i salsę – powiedział Harry.

– Wystarczy.

W salonie nie zastali nikogo.

– Halo?! – zawołał Harry, ale żadne z rodziców nie odpowiedziało. Była za dwadzieścia dziesiąta. – Mama obsługuje teraz kilka rozpoczętych transakcji, o ile mi wiadomo – wyjaśnił. – Ale nie wiem, gdzie jest tata.

– Mniejsza z tym – stwierdziła Ruby i udała się prosto do kuchni. – Jak wróci do domu, to mu powiedz, że się źle poczułam, a do ciebie było bliżej, więc tu przyjechaliśmy.

– Jasne, o piętnaście metrów bliżej.

– Jeśli rzyganie wisi na włosku, a odległość przeliczymy na kroki, to wychodzi bardzo daleko.

– Niby racja.

Ruby bardzo lubiła przebywać w kuchniach innych ludzi. Jej matki miały manię na punkcie wszystkiego – sól musiała być specjalnego rodzaju, chyba że była używana do potraw pieczonych, bo do takich koniecznie należy dodawać bardzo szczególnego rodzaju zwykłej soli, i tak dalej. Elizabeth i Andrew zaliczali się do ludzi normalnych. Mieli coca colę bez cukru i olbrzymi, pomarańczowy blok cheddaru. Ruby wzięła z blatu słoik z salsą i paczkę chipsów.

– Idziemy do twojego pokoju?

– J-jasne – zgodził się Harry.

Iggy Pop powoli zszedł ze swojej półki nad lodówką, więc wziął go na ręce i trzymał jak niemowlę. Ruby minęła Harry'ego z kotem i skierowała się na schody.

Od dawna nie zaglądała na piętro w domu Marksów. Ostatni raz była na górze jako mała dziewczynka, ale od tamtej pory niewiele się zmieniło. Ściany w dalszym ciągu miały jasnopomarańczowy kolor lizaka lodowego, który rozpułnął się po przejściu gwałtownej burzy, na ścianach wisiały te same zdjęcia. Przy drzwiach prowadzących do pokoju Harry'ego znajdował się obraz, który zawsze się Ruby podobał. Przedstawiał widok małej wioski, w jednym rogu widać było Japonkę, która podlewała kwiaty, a w drugim kilka kur na wybiegu. W domu Marksów zawsze panował porządek. Każdy przedmiot miał swoje miejsce. W przeciwieństwie do mumusi Ruby, która z każdej podróży przywoziła jakieś cacko tylko po to, żeby je postawić na półce, gdzie latami pokrywało się kurzem, Elizabeth i Andrew najwyraźniej nie gromadzili bezużytecznych rzeczy. Ruby szła korytarzem i po drodze zaglądała do każdego pokoju.

– Mój pokój jest tam – powiedział Harry, który podążał za nią.

– Wiem – rzuciła i szła dalej. – A tu co jest? – zapytała i zatrzymała się przed otwartymi drzwiami do najmniejszego pokoju w domu.

– Pokój dla gości – odpowiedział Harry. – Rozkłada się kanapę. Poza tym to taka niby przechowalnia.

Ruby weszła do pokoju i stanęła przed metalowymi regałami ciągnącymi się wzdłuż ściany. Stały na nich duże pojemniki z jasnego tworzywa sztucznego i każdy był oznaczony. Przesunęła po nich palcem.

– No nieźle! Twoja mama jest lekko ześwirowana, nie uważasz?

Harry, szurając nogami, wszedł za nią. Przysiadł na kanapie i położył ręce na kolanach. Iggy Pop, który gonił ich po schodach, od razu na nie wskoczył.

– Nie wydaje mi się – odparł Harry. – Jest po prostu dobrze zorganizowana.

– Czy to jest to, na co wygląda? – zapytała Ruby. – O rany, ale jazda!

Harry zerwał się z kanapy, spychając kota na podłogę.

– Co tam zobaczyłaś? Mysz?

Ruby się odwróciła. Jej fioletowe włosy zawirowały w powietrzu. Zmierzyła go

wzrokiem.

– Dlaczego miałabym krzyczeć „Ale jazda!” na widok myszy? Odbiło ci? Zobacz, to są materiały zespołu Pociąg do Kitty. – Zdjęła z górnej półki jeden z pojemników i postawiła go na podłodze. Otworzyła pokrywę. Był po brzegi wypełniony ulotkami i kasetami, winylowymi singlami, plakatami i fanzinami, uczelnianymi gazetkami z recenzjami występów. Ruby przerzuciła pamiątki leżące na wierzchu i wyciągnęła spod nich błyszczącą fotografię. – Spójrz na tę fotkę – powiedziała.

Na zdjęciu, od lewej do prawej, stali Lydia, Andrew, Zoe i Elizabeth. Żadne z nich się nie uśmiechało ani nie patrzyło w obiektyw. Jej mama miała na sobie zamszową kurtkę z frędzlami, z ust wystawał jej papieros. Wyglądała jak zblazowana gwiazda filmowa, która właśnie wróciła z balangi na pustyni. Elizabeth była w długiej, czarnej spódnicy, usta miała pomalowane ciemną szminką, a wówczas długie blond włosy założone za uszy. Była pochylona i całą sobą wskazywała na pozostałych członków zespołu. Andrew nosił białą koszulę, a w pasie był przewiązany flanelową. Długie wijące się włosy spływały mu na ramiona. Lydia siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i trzymała swoje perkusyjne pałeczki złożone nad głową w literę X.

– Kiedy zostało zrobione? – zaciekawiał się Harry i wziął zdjęcie z rąk Ruby.

– W dziewięćdziesiątym drugim – powiedziała Ruby, wskazując na datę w narożniku fotografii, napisaną ręcznie przez Elizabeth. – Istne szaleństwo.

– Są tacy młodzi – powiedział Harry. – Trochę przerażające. Popatrz na dzinsy mego taty. I na jego włosy!

– Spójrz na cycki mojej mamy! – Ruby pokazała je palcem. Zoe nie miała na sobie biustonosza i brodawki jej piersi były wyraźnie widoczne, przebijały się nawet przez czasoprzestrzeń, mimo upływu tak wielu lat. Harry zasłonił oczy. – Popatrz na Lydię.

Zadziwiająca, aż trudno uwierzyć, że matka miała jakieś życie, zanim urodziła dziecko, ale ostatecznie trzeba się z tym pogodzić. Każda matka przynajmniej raz uprawiała seks, a matki wielu ludzi upijały się i wyczyniały niestworzone rzeczy. Ruby wiedziała, że nie jest odosobniona. Ale nadzwyczaj dziwnie było mieć świadomość, że własna matka bywała pijana i wygłupiała się w towarzystwie sławnej osoby. I to sławnej nie bez powodu, jak gwiazdy reality show, ale rzeczywiście powszechnie znanej i ważnej, ponieważ była bardzo dobra w tym, co robiła, i uwielbiana przez ludzi. Ruby udawała, że Lydia niewiele ją obchodzi, bo wiedziała, że gdyby okazywała zainteresowanie, jej mumusia uważałaby to za... irytujące? Zabawne? Jej mumusia pomyślałaby, że to urocze. Nie ma nic gorszego, gdy rodzice patrzą na swoje dzieci pełnymi troski oczami i rozczulają się nad ich wewnętrznymi rozterkami, uważając je za urocze. Zoe byłaby bardzo zadowolona, gdyby wiedziała, że Ruby ma w swoim telefonie wgrane dwie solowe płyty Lydii i słucha ich, spacerując sama po ulicy, i że czuje się wtedy niezwykła i wzburzona. Ale nie było mowy, żeby Ruby kiedykolwiek jej o tym powiedziała.

Ruby przejrzała plakaty i zdjęcia znajdujące się na wierzchu. Było jeszcze kilka fotografii zespołu, wśród nich jedno Lydii stojącej w środku z otwartymi ustami, która krzyczy, a pozostali troje są ustawieni na ukos za jej plecami. Na tym zdjęciu Lydia wygląda inaczej – jest sobą, prawdziwą Lydią, której wizerunek znajdzie się w domach na ścianach sypialni i na T-shirtach.

– Wyobrażasz sobie, ile kasy moglibyśmy za to zgarnąć na eBayu? – zapytała Ruby. Jej mama czasami sprzedawała tam na aukcjach swoje dawne ubrania, stare sukienki, które trzymała latami i w końcu dochodziła do wniosku, że ich nie potrzebuje.

– Nie – odparł Harry.

– Na szczęście masz mnie – oświadczyła Ruby. Jej pomysł na ulubione zajęcie w wolnym czasie już zaczynał procentować.

Rozdział 16

Andrew zaczekał, aż Harry wyjdzie na zajęcia, zaraz potem włożył klapki na gumowej podeszwie i szybkim krokiem podążył na Stratford Road. Tym razem ani chwili się nie wahał, od razu wszedł po schodach i do budynku. Ogłoszenie w dalszym ciągu wisiało na zewnątrz – MY JESTEŚMY TUTAJ. A TY? – ale teraz Andrew znał odpowiedź na to pytanie. On też tu był.

Jeżeli w ogóle ktokolwiek pełnił w EWOLUtorium funkcję kierownika – choć ono się do takich miejsc nie zaliczało – to bez wątpienia tą osobą był Dave. EWOLUtorium działało na zasadach wspólnoty i każdy, kto w nim mieszkał, również w nim pracował. Ani kwestie własności, ani hierarchii nie miały znaczenia. Liczyli się ludzie i uważna obecność.

Andrew przywitał młody mężczyzna z brodą i chudymi nogami. zaproponował filiżankę herbaty.

– Zastąłem Dave’a? – zapytał Andrew.

– Usiądź proszę, gdzie sobie życzysz, i rozgość się – powiedział mężczyzna.

W innych okolicznościach Andrew poczułby złość, bo tamten nie odpowiedział mu na pytanie, ale w tym miejscu takie panowały zwyczaje, więc nie zareagował. Na podłodze leżało mnóstwo poduszek. Podniósł jedną z nich, upuścił ją przy ścianie i usiadł. Bardzo chętnie poczeka. Po pomieszczeniu w ciszy krążyło kilka młodych osób, wszystkie były boso. Zdjął klapki i schował je pod kolanami. Minęło kilka minut i od strony schodów dobiegł śmiech, a potem zjawił się Dave, który z szerokim uśmiechem zmierzał w kierunku Andrew, jakby się go spodziewał.

– Cieszę się, że znów tu jesteś, Andrew – powiedział Dave. Był niskiego wzrostu, krępy, miał posturę gimnastyka, silnie rozbudowane mięśnie. Dave pochylił się, usiadł obok Andrew i dotknął jego ramienia. Znaleźli się w odległości kilku centymetrów, tak blisko jak czasem w metrze stoi się przy zupełnie obcej osobie, ale w tym przestronnym i otwartym pomieszczeniu ta bliskość sprawiała wrażenie niezwykle intymnej. Wydawało się, jakby Dave głąskał Andrew po policzku zewnętrzną stroną palca.

– Ja też – powiedział Andrew, czując, że się trochę zarumienił. – Zaciekawilo mnie to miejsce.

Rzeczywiście tak było – Andrew interesował się filozofią i połączeniem ciała i umysłu. Czuł potrzebę wyjścia z własnego domu, wykroczenia poza granice własnego umysłu. Chciał się przekonać, czy byłby zdolny rozciągnąć nić, która połączyłaby go z czymś, co znajduje się poza jednym i drugim, tak jak rozpięte między budynkami przewody zespalaające je ze sobą. Był zainteresowany skierowaniem energii swego gniewu na inne tory, na barwę, na atmosferę, na akceptację. Takiej narracji nie znosili jego rodzice: ich nie obchodził proces, oni przywiązywali wagę wyłącznie do rezultatów. Z tego powodu miał zmarnowane całe dzieciństwo, które upływało na bieganiu z jednych dodatkowych zajęć pozaszkolnych na drugie, z jednego kursu przygotowawczego na następny, tak jakby na nich rzeczywiście przygotowywano do czegokolwiek innego oprócz pracy w korporacji. A tam zapewne znalazłby się w otoczeniu takich samych ludzi

jak ci, wśród których się wychowywał. Dostawał skrętu kiszek na samą myśl o nich, ich spodniach w stylu chino i żeglarskich mokasynach, torbach podróżnych z antykowanej skóry i z wytłoczonymi inicjałami na boku. Dla nich liczyło się tylko to, czy Łódź będzie gotowa na paradę w Dzień Pamięci. Mieli obrzydliwy i lekceważący stosunek do kobiet i osób, które pomagały im w prowadzeniu bezproblemowego życia. Andrew zawsze marzył o życiu w społeczności funkcjonującej na zasadzie wymiany barterowej – takiej, w której pieniądze nie mają znaczenia, chyba że stanowią wspólne dobro. Wspólnota studencka w Oberlin była jego wielkim i podniecającym marzeniem ze snów. Tam wszyscy razem gotowali tofu i piekli małe bochenki twardego chleba. Gdyby Elizabeth miała mniej rozwiniętą osobowość typu A i gdyby nie mieli dziecka, żyliby tak do tej pory razem z Zoe lub kimś innym. Oczywiście za żadne skarby nie zamieniłby na nic innego ani jednej chwili spędzonej z Harrym. Jeśli w swoim życiu w ogóle coś robił dobrze, to z całą pewnością był dobrym ojcem. Co do reszty miał pewne wątpliwości. Andrew chciał cały swój gniew zepchnąć do żołądka, tam przykryć go podłożem ogrodniczym, podlać miłością i czekać, aż na tej cholernej rabatce zakwitną kwiaty.

Dom – dom Dave’a, wspólnota – naprawdę układało się w logiczną w całość. Pomieszczenia od frontu służyły do ćwiczeń jogi i medytacji. Były dostępne dla wszystkich. Każdemu, kto przyszedł na zajęcia z jogi, medytacyjne albo qigong, ktoś z mieszkańców EVOLUtorium przesuwiał po skroniach palcem zanurzonym w olejkach eterycznych i wychodziło się z nich z zapachem lawendy, pomarańczy i eukaliptusa. W planach mieli tu serwowanie jedzenia i starali się o zezwolenia czy licencje, ale z prawnego punktu widzenia uzyskanie ich wydawało się dość skomplikowane. Na razie mógł być tylko sok. Dave pochodził z Kalifornii, łatwo się było zorientować. Mówił tak, jakby słowa więzły mu w gardle i każde z osobna musiał stamtąd wypychać z pewnym wysiłkiem. W skrytości ducha Andrew uważał, że Dave przyszedł na świat w rodzinie surfingowców – takiej, która wciąż podróżuje wzdłuż wybrzeża między Kalifornią a Meksykiem i sypia w wielkim wozie kempingowym na plaży. Dave nic na swój temat nie mówił, ale Andrew był przekonany, że taką ma historię życia. Piasek w śpiworze i huk wzburzonych fal w nocy.

W sali pojawiło się kilka młodych kobiet w strojach do jogi. Dave przywitał się z nimi, a one zaczęły rozkładać maty do ćwiczeń w przeciwnym końcu sali i starannie układać koce i klocki obok każdego stanowiska. Były chyba rówieśniczkami Ruby, ale od pewnego czasu Andrew często czuł się zaskoczony wiekiem różnych osób. Dawniej, kiedy sam był nastolatkiem, każdy dwudziestoparolatek wydawał mu się bardzo dorosły, nosił nijakie ubrania, miał mało wyraziste rysy twarzy i był tylko trochę bardziej zauważalny od nauczyciela Charliego Browna, ale od tamtej pory życie się zmieniło. Teraz każdy wygląda młodo i trudno ocenić, w jakim jest wieku, bo równie dobrze może mieć dwadzieścia, jak i trzydzieści lat albo nawet dobiegać do czterdziestki, Andrew nie potrafił dostrzec różnicy. Przypuszczałnie dlatego, że teraz patrzył z innej perspektywy i w przeciwnym kierunku.

– Zaraz rozpoczynamy zajęcia – powiedział Dave. – Powinieneś zostać. – Znów poklepał Andrew po ramieniu, potem wstał i podszedł do kobiet, które czekały we frontowej części sali. Przykucnął między nimi i położył im dłonie na plecach, na

wysokości łopatek. Po chwili podniósł się i zdjął koszulkę, odsłaniając nagą klatkę piersiową. Wziął koc, rozłożył go i złożył inaczej, uklękął. Ułożył dłonie na kocu, splótł palce, umieścił głowę we wnętrzu dłoni i powoli uniósł nogi do pozycji pionowej.

Obie kobiety odwróciły się, skinęły głowami, zachęcając Andrew do ćwiczeń. Jedna z nich związała włosy w koński ogon, druga zaczęła się przeciągać raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Dobrze – zgodził się Andrew, choć nie wiedział, co się wydarzy. Przysunął się do nich bliżej i położył na jednej z mat na podłodze.

Przybywało coraz więcej chętnych do ćwiczeń i wkrótce sala się zappełniła, było w niej dziesięć, może dwanaście osób. Dave usiadł z powrotem i przeszedł do pozycji lotosu. Zapalił kilka świec i zaintonował mantrę, a Andrew początkowo nie potrafił się zorientować, czy te odgłosy wydaje Dave czy przejeżdżający ulicą samochód. Był to niski pomruk, który stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu głosy wszystkich zebranych przyłączyły się do głosu Dave'a i Andrew poczuł wibrację wypełniającą całe pomieszczenie. Wtedy zamknął oczy. Elizabeth byłaby rozbawiona, ale Andrew się to podobało. Przypomniały mu się lata dzieciństwa, gdy służył swoim starszym kuzynkom za maskotkę do czesania. Zaplatały mu warkocze, szczotkowały włosy. Robiły to godzinami, a jemu dotyk ich palców na głowie sprawiał przyjemność. Andrew próbował już reiki, a to, co się działo w sali w EWOLUtorium, ją przypominało: czuło się intensywny przepływ energii i jej uzdrawiające działanie. Doświadczył jej kojącego wpływu, nawet zanim Dave skończył śpiewanie mantry i poprosił, żeby położyli ręce na kolanach i pomyśleli o celu, który chcą osiągnąć poprzez ćwiczenia. Swoją cel Andrew uświadomił sobie natychmiast, podpowiadał mu go wewnętrzny głos, rozbrzmiewający mu w głowie donośnie jak dzwon: być tutaj. Być tutaj. Być tutaj. Dave poprosił o wykonywanie asany psa z głową w dół. Andrew przyjął pozycję. Był najstarszą osobą w sali, ale wypełni każde polecenie, które otrzyma. Może w EWOLUtorium przydałoby się kilka półek na akcesoria do jogi albo niewielki stolik na świece, żeby nie stały na podłodze. Andrew się zastanowi.

Rozdział 17

Elizabeth tyłem wyjechała autem z podjazdu na ulicę i po czterech sekundach znalazła się przed domem Zoe. Nie musiała nawet parkować samochodu, bo Zoe czekała już przed frontowymi drzwiami, w letniej sukience na ramiączkach i w kapeluszu z szerokim, opadającym rondem. Od razu wskoczyła na przedni fotel jak rozbawiony piesek.

– Od czego zaczynamy? – Zoe zdjęła kapelusz i położyła go sobie na kolanach. – Czuję się bardzo dziwnie, ale naprawdę chcę to zrobić, a przynajmniej odegrać rolę twojej stałej klientki. Dziś będę kimś jeszcze, nie tylko twoją przyjaciółką, która przechodzi kryzys wieku średniego, dobrze?

– Proszę uprzejmie, jesteś szefową, szefowo. Na początek dwa mieszkania w Fort Greene – powiedziała Elizabeth. – Dwa różne klimaty. Pierwsze mieści się w budynku Williamsburg Savings Bank, z widokiem, za który warto umrzeć, i bardzo nowoczesnym wyposażeniem. Drugie zajmuje całe piętro w budynku z elewacją z piaskowca na Adelphi. Oba mieszkania są naprawdę ładne. – Włączyła kierunkowskaz i skręciła w lewo, w Cortelyou, kierując się w stronę Flatbush. – Niedaleko do metra, w pobliżu sporo restauracji, w zasięgu ręki wszystko, co trzeba. – Zerknęła na Zoe. – Ale jeśli będziesz chciała zrezygnować, damy sobie spokój, zgoda?

– Brzmi sensownie – powiedziała Zoe. Obracała pierścionki na palcach. – Możemy obejrzyć jeszcze jakieś inne?

– Jest kilka mieszkań w apartamentowcach nad wodą w Williamsburgu i jedno w Dumbo.

– Na Williamsburg jestem już chyba za stara.

– Powiedziałabym, że niedzisiejsza – sprostowała Elizabeth. – Jak kaseta magnetofonowa. Oszaleją na twoim punkcie.

Zoe osunęła się na fotelu, udając ranną od nagłego ciosu.

– Świetnie – powiedziała. – Wielkie dzięki.

– Daj spokój – zbagatelizowała tę uwagę Elizabeth. – Rozejrzysz się, zorientujesz, co ci odpowiada. Przyjemnie spędzimy czas.

– Niech ci będzie – zgodziła się Zoe. Opuściła lusterko i dotykała palcami skóry pod oczami. – Czy ja naprawdę wyglądam na zmęczoną? Sypiam fatalnie. Klęska na całej linii. – Spojrzała na Elizabeth. – Powiedz mi prawdę.

Elizabeth zaczęła na czerwone światło, a potem obróciła się na tyle, na ile pozwalała jej ograniczona przestrzeń wokół fotela kierowcy. Zoe rzeczywiście wydawała się zmęczona – ale oni wszyscy wyglądali podobnie. Wydawało się, że zaledwie minutę temu mogli przesiadywać do drugiej w nocy i rano wyglądać normalnie, jak każdy człowiek dobrze przygotowany na wyzwania następnego dnia, tymczasem teraz okazuje się, że bez odpowiedniej porcji snu nie sposób zamaskować worków pod oczami, nawet gdyby użyć wszystkich kosmetyków z całej drogerii. Tak samo wyglądała Zoe, nawet piękna Zoe.

– Wyglądasz na trochę zmęczoną, to prawda – przyznała Elizabeth.

– Cholera, wiedziałam! – krzyknęła Zoe. – Przysięgam na Boga, że to spisek. Jane próbuje zrobić ze mnie odrażającego potwora, żeby już nikt nigdy nie chciał ze mną spać. Ja natomiast udaję, że nie pamiętam, że jesteśmy nieszczęśliwe. W końcu zostanie po staremu i zanim się zorientujemy, będziemy smutnymi, samotnymi osiemdziesięcioletnimi staruszkami.

Osobowa furgonetka nagle przemknęła tuż przed nimi i Elizabeth zatrąbiła klaksonem.

– Nienawidzę jeździć po Brooklynie.

Zoe zrobiła wymowną minę.

– Jakbym słyszała moją matkę.

Jechały na pierwsze umówione na ten dzień spotkanie do mieszkania na szesnastym piętrze, z widokiem na halę sportową Barclays Center. Na dom Zoe nabywca znajdzie się szybko, jeżeli zostanie dobrze wyceniony. Zoe chciała mieć lepsze rozeznanie, dokąd byłaby skłonna się przeprowadzić, zanim wystawi go na sprzedaż. Oczywiście, gdyby postanowiły go sprzedać. Jeżeli rzeczywiście dojdzie do rozstania. Powstawało tak dużo rozmaitych scenariuszy, że gdyby nie przyjaźń, która je łączyła, Elizabeth dostałaby szału – traciła tylko czas i energię. Ale ponieważ się przyjaźniły, w pewnym stopniu mogła się poświęcić. Wydawało się jej, że toczy się gra w ligę mistrzów – amatorzy piłki, którzy nie mogą w rzeczywistości uczestniczyć w rozgrywkach, udają, że mają wpływ na wyniki meczów rozgrywanych w telewizji.

– Mogłabym tutaj ustawić sofę – zauważyła Zoe, wskazując na ścianę z oknami.

– Albo tu – zaproponowała Elizabeth i pokazała na miejsce po przeciwnej stronie pokoju.

– Kuchnia jest trochę za mała – stwierdziła Zoe i miała rację. Właściwie był to aneks kuchenny w rogu pokoju z kilkoma szafkami z Ikei i tandetnym, błyszczącym, czarnym blatem. Przesunęła palcem po krawędzi piecyka. – Złom, do niczego się nie nadaje.

– Nie każdy jest żoną szefa kuchni – powiedziała Elizabeth, która tę uwagę chciała obrócić w żart, ale się nie udało.

Zoe odwróciła się do niej plecami.

– Niebawem i ja nią nie będę – skomentowała.

Nadszedł czas, żeby stamtąd wyjść.

Następne mieszkanie okazało się lepsze, przytulniejsze. Elizabeth otworzyła kluczem drzwi i pierwsza weszła do środka, o pół kroku wyprzedzając Zoe. Przekroczyła próg i od razu poczuła, że to o wiele bardziej przypadnie Zoe do gustu. Jej przyjaciółka, niezależnie od teorii, które wygłaszała, lubiła rzeczy z historią, więc lśniące, nowoczesne budynki nie wzbudzały w niej entuzjazmu. W tym mieszkaniu były sztukaterie i rzeźbione framugi, stuletnie okna ze szkła falistego. Takie wnętrza Zoe uwielbiała.

– Jest też ogród do wspólnego użytku – powiedziała Elizabeth, wskazując na okno w głębi mieszkania. – Mamy stąd tylko trzy przecznice do Akademii Muzycznej w Brooklynie.

Zoe ścisnęła ją za rękę. Między palcami Elizabeth pozostały ślady po srebrnych pierścionkach przyjaciółki.

– To jest piękne, Lizzy!

Elizabeth czekała w salonie, a Zoe zaglądała do szaf.

– Chcesz taśmę do zmierzenia? – zawołała, ale Zoe nie odpowiedziała.

W latach młodości Elizabeth wyobrażała sobie, że gdy dorośnie, będzie mieszkała w różnych miejscach – na poddaszu w Paryżu z widokiem na brukowaną ulicę, przy plaży w Kalifornii. Razem z Andrew lubili rozmawiać o możliwościach. Cechą męża, którą szczególnie ceniła wśród wielu innych, była jego otwartość na pomysły. Peru? Pewnie! Nowa Zelandia? Dlaczego nie?! Ale gdy już urodził się Harry i znaleźli swój dom, trudniej było podróżować, wieść życie artystycznej cyganerii, jakie kiedyś sobie wyobrażali. Wszystkie pieniądze włożyli w dom, w jego cegły i tynki, więc gdyby go sprzedali, musieliby poprosić rodziców Andrew o pieniądze na przeprowadzkę w inne, bardziej upragnione miejsce, a z tego nikt nie byłby zadowolony. Ani Elizabeth, ani Andrew. Ani jego rodzice, którzy drogę z Upper East Side do Ditmas Park przebyli nie więcej niż osiem albo dziewięć razy. Zawsze znalazły się jakieś szczególne przeszkody, tak jakby rzeczywiście trzeba było ich szukać: a to ojciec Andrew chodził o lasce, a to matka nie mogła przebywać w zamkniętym pomieszczeniu bez obawy o napad paniki. Z tego samego powodu tylko kilka razy w życiu jechała metrem. Oczywiście mogliby się wybrać samochodem, ale zbyt duża odległość stanowiła barierę psychologiczną nie do pokonania. Łatwiej się było wyprawiać każdego roku w przeciwnym kierunku, do wyłożonych piaskowcem domów z armią portierów i na Park Avenue, zwłaszcza do jej środkowej wymuskanej części.

Czy już za późno na opuszczenie obecnego miejsca? Harry wkrótce skończy szkołę średnią, a wtedy oni mieliby możliwość wyboru, na przykład mogliby się przeprowadzić do domu z suszonej cegły w Santa Fe. Tylko czy zdołają się tam z kimkolwiek zaprzyjaźnić? W wieku pięćdziesięciu lat? Może lepiej poczekać do siedemdziesięciu pięciu, bo wtedy będą już dostatecznie starzy na przeprowadzkę do wspólnoty domów spokojnej starości na wybrzeżu Karoliny Południowej, gdzie mają pole do gry w shuffleboard i karaoke. Andrew wolałby raczej umrzeć. Może więc Marfa albo inne miejsce na północy kraju, w pobliżu Instytutu Omega. Jedno jest pewne, nie może to być okolica, w której znaleźliby się w otoczeniu ludzi pokroju jego rodziców. Czasami Elizabeth przyglądała się mężowi i dostrzegała w nim tamtego dwudziestoczteroletniego Andrew z tą samą szpiczastą brodą i opadającymi powiekami. Był o wiele bardziej wybuchowy od Harry'ego, nawet teraz, po kilkudziesięciu latach starań, żeby się stać innym człowiekiem niż ten, na jakiego został wychowany. Czasem mu się udawało, ale nie zawsze. W chwilach wzburzenia na twarzy Andrew malował się gniew, jaki Elizabeth obserwowała u bohaterów kreskówek. Najpierw zabarwiała się na czerwono, potem czerwień stawała się intensywniejsza, po chwili przybierała odcień purpurowy i wtedy następowała eksplozja. Na ogół potrafił się opanować, ale zdarzało się, choć niezbyt często, że wybuchał złością. Harry był tego świadkiem tylko kilka razy w swoim życiu, i za każdym razem natychmiast uderzał w płacz, który działał na ojca jak gaśnica w strefie alarmu pożarowego czwartego stopnia. Andrew i Harry nawzajem się temperowali

– ilekroć Harry wpadał w furję z powodu popsutej zabawki albo obdartego kolana, do akcji wkraczał Andrew, który swoim spokojem i pocieszeniami potrafił opanować sytuację jak najlepsza na świecie niania. Elizabeth była wdzięczna losowi za tę ich wzajemną łagodność. Bardzo trudno przewidzieć, kiedy charakter dziecka na dobre się ukształtuje i utrwali, choć wydawało się, że Harry rzeczywiście jest grzeczny i spokojny, że jest dobrym chłopcem.

– Uff! – odsapnęła Zoe, która stanęła obok Elizabeth. – Podoba mi się to mieszkanie. – Pochyliła się do przodu i palcami rąk dotknęła do stóp. – Myślę, że mogłabym w nim mieszkać.

– Doskonale – ucieszyła się Elizabeth. – Ale nie możesz tutaj zamieszkać, chyba że zdecydujesz się na przeprowadzkę, zanim sprzedasz swój dom, albo kupisz to mieszkanie i przez sześć miesięcy będzie stało puste. Warto jednak wiedzieć, czego szukasz.

– No tak – przyznała Zoe. – Masz rację.

– Spore znaczenie może mieć tu czas... Nie wiadomo, jak długo potrwa przeprowadzka obecnych właścicieli. Mogłybyśmy pospieszyć się ze sprzedażą twojego domu i trochę opóźnić sprawy tutaj. W ten sposób, oczywiście jeśli nie będzie innych konkurencyjnych ofert, taki manewr może się udać.

Nie rozmawiały o konkretnych terminach. Jak już się coś zacznie, wypadki różnie się mogą potoczyć. Atmosfera w pokoju zrobiła się trochę napięta. Zarówno Elizabeth, jak i Zoe puściły wodze fantazji, która zaczynała się przybliżać do rzeczywistości. Słowo „fantazja” wyjątkowo nie pasowało do okoliczności – fantazją była chata pokryta strzechą na dalekiej plaży, fantazją był biały koń i pałac. Realne rozważania Zoe, która myślała o rozstaniu, i wizja, że zostanie sama, budziły przerażenie. Takiego wyboru ludzie dokonują za każdym razem, żeby rozwiązać małżeństwo, ale żadnej z nich nic podobnego do tej pory się nie przydarzyło, więc patrzyły na siebie ponuro. Gdyby Zoe i Jane zdobyły się na ten krok, to i ona mogłaby zrobić to samo. Taka myśl przemknęła Elizabeth przez głowę i w oka mgnieniu zniknęła jak urojony komar.

– Możemy tu chwilę posiedzieć? – zapytała Zoe.

– Oczywiście – powiedziała Elizabeth. Na ten dzień zaplanowały oględziny kolejnych mieszkań, ale dysponowała kluczami głównie do pustych tak jak to, więc kilka dodatkowych minut zwłoki nie zakłóci im rozkładu dnia. W jej branży decyzje dojrzewają właśnie w takich okolicznościach – podczas siedzenia w pustych pomieszczeniach, słuchania ludzkich marzeń o meblach i dzieciach.

Usiadły na podłodze w salonie, czy też pokoju, który się nim stanie, gdy ktoś się do tego mieszkania wprowadzi. Elizabeth siedziała z wyciągniętymi nogami, założyła jedną stopę na drugą. Zoe oparła się o przeciwległą ścianę i podciągnęła kolana. Drewniane podłogi były lśniące i tylko w narożnikach pokoju zbierał się kurz i zbijał w kłębki. Jest niezwykle trudno, prawie niemożliwe utrzymać pustą przestrzeń w idealnej czystości.

– Chodziłam po domu i robiłam w myślach listę rzeczy, które należą do mnie i do niej – powiedziała Zoe. – Sporządzenie jej okazało się za to zaskakująco łatwe.

– Naprawdę? Jakich rzeczy?

– Ładne dywany są moje, akcesoria kuchenne – jej. Kufer, który kupiliśmy na pchlim targu, jest mój, płyty też są moje, w każdym razie większość z nich. Paskudne lampy, których od samego początku nie znoszę, należą do niej.

– Plus Bingo.

– Bingo nie podlega dyskusji. – Zoe odrzuciła głowę do tyłu i Elizabeth patrzyła na jej szyję. – Ruby natomiast...

– O co chodzi z Ruby?

– Takie to wszystko typowe. – Zoe wyprostowała głowę i cmoknęła. – Kilkunastoletnie dziewczyny to kilkunastoletnie dziewczyny. Pamiętasz, jakie my byliśmy głupkowate? Ty właściwie nie, ale ja owszem. Ruby zachowuje się teraz zupełnie idiotycznie. No może nie zawsze. Kiedy ją boli brzuch albo ma grypę, albo jest jej źle, kładzie się obok mnie w łóżku, przytula i pozwala mi się pogłaskać. Ale poza tym?! Szkoda gadać! Traktuje mnie jak nadzorcę. Nawet nie dobrodusznego, który wydziela dodatkowe mydło, ale bezwzględne, takiego z pałką. Czuję się z tym okropnie.

– A jak jest z Jane? – Elizabeth od dawna i wielokrotnie była świadkiem niegrzecznych zachowań Ruby, ale starała się z nikim nie dzielić swoimi spostrzeżeniami. Brak sympatii do dzieci przyjaciół był gorszy od braku sympatii do współmałżonków przyjaciół. Nawet nie w tym rzecz, że Elizabeth nie lubiła Ruby. Dziewczyna często bywała zabawna i chmurna w sposób, który Elizabeth nawet się podobał, ale trzeba przyznać, że była też podła. Wiedziała, że nie wolno jej tego powiedzieć otwarcie, mimo że była to szczerza prawda. Gdy dzieci były małe, ona i Zoe przyjaźniły się z inną mamą z sąsiedztwa. Jej syn był okropnym rozrabiaką, więc obie zwróciły tamtej kobiecie uwagę, że jej malec zachowuje się jak młodociany seryjny morderca na etapie szkolenia. Jego matka przestała z nimi rozmawiać. Dość szybko się stamtąd wyprowadziła, a Elizabeth przypuszczała, że zamieszkała bliżej więzienia, ponieważ chłopiec wcześniej czy później w nim skończy. Nikt nie chce słuchać prawdy o własnych dzieciach.

– Jane jest bezradna. Ona nawet się nie stara reagować. Oczywiście dzięki temu jest jej o wiele łatwiej. Jane i Ruby mogą iść razem i zjeść tysiąc skrzydełek kurczaka i nie powiedzieć do siebie więcej niż trzech słów, i wszystko jest porządku. One są jak kumpelki z tego samego podwórka. Ruby nigdy nie mówi Jane, że jej nienawidzi. Ona nienawidzi tylko mnie.

– To nieprawda, Zo – powiedziała Elizabeth.

Zoe splotła dłonie.

– Pamiętasz czasy, kiedy martwiłyśmy się tylko, ile mleka nasze dzieci wypijają z piersi i jak wygląda kupka? – Roześmiała się. – Rodzicielstwo to jedyna praca, która z roku na rok staje się coraz trudniejsza i nigdy, absolutnie nigdy nie dostaniesz w niej podwyżki.

– Pozwól, że pomogę ci się podnieść. – Elizabeth wstała i podała Zoe rękę. – Harry mi powiedział, że chodzi z Ruby na kurs przygotowawczy. Podobno są w tej samej grupie i trzymają się razem. Wiedziałas o tym?

– Przypuszczalnie prędzej dowiem się czegoś o własnej córce od listonosza, niż uzyskam jakiegokolwiek informacje bezpośrednio od niej – odpowiedziała Zoe. – Ale to

mię. Rycerskie zalecanki?

– Być może. – Elizabeth zaczęła opisywać minę Harry’ego, kiedy o tym wspomniał. Bardzo się starał zachować swobodny ton, ale w jego policzkach dostrzegła pewną nienaturalność, niedowierzenie i szczęście. Te spostrzeżenia zachowała jednak dla siebie. Ruby, tak jak Zoe, miała przed sobą długie życie wypełnione adoracją. Elizabeth uznała, że nie ma potrzeby dolewać oliwy do ognia. Bez względu na to, ile ma się lat, istnieją pewne cechy, które pozostają z dzieciństwa – niegodziwość beztroskiej dziewczynki albo tęsknota niezdarnej dziewczyny za kimś, kto nie odwzajemnia jej uczuć. Elizabeth zauważała u Harry’ego wiele własnych cech, na przykład skłonność do cichych zauroczeń, które mu się wydawało, że trzyma w tajemnicy. Trudno być chłopcem, podobnie jak niełatwo być dziewczyną. – Chodźmy – powiedziała i otworzyła frontowe drzwi, szczęśliwa, że hałas dobiegający z ulicy dostał się do mieszkania i wypełnił je innymi dźwiękami niż głosy rozbrzmiewające w jej głowie.

Rozdział 18

Ruby nie podobał się pomysł pracy w restauracji, ale matki właściwie nie pozostawiły jej wielkiego wyboru. W grę wchodziły tylko dwa miejsca: albo Hiacyntka, gdzie pracowałyby jako hostessa, albo inna restauracja, ale wtedy musiałaby (w najlepszym razie) przedstawić życiorys, odbyć rozmowę kwalifikacyjną i na dodatek kupić odpowiednie ubranie w Banana Republic czy w innym sklepie, gdzie fajtłapy z nudną pracą zaopatrują się w szarobure mundurki i rozpinane białe koszule. Chloe na całe lato wyjechała do Francji, a Paloma czerwiec miała spędzić w wiejskim domu swoich rodziców, aż do wyjazdu z nimi na miesiąc na Sardinie do ich „domku” letniskowego. Ruby ani trochę za nimi nie tęskniła. Z kolei Sarah Dinnerstein została w mieście na całe lato, a Ruby wolałaby, żeby jej w nim nie było. Zaraz po uroczystości z okazji ukończenia szkoły Ruby wiedziała, że wszystko było ukartowane – nie tyle chodziło o samą uroczystość, ile o lata ją poprzedzające. Chciała się zgłosić do programu ochrony świadków i dać się wywieźć do jakiegoś miejsca w środkowej części Wyomingu, nauczyć ujeżdżać konie, może wyjść za mąż za kowboja, pluć do puszki dla zabawy. Zrobić cokolwiek, byle tylko wydostać się z Brooklynu i żyć po swojemu. Ale wciąż tkwiła w tym samym miejscu.

Allie, obecna hostessa, która kiedyś była też opiekunką Ruby, nagle odeszła z pracy, ale to nic nadzwyczajnego, takie sytuacje często się zdarzają w branży usługowej. Mamusia powiedziała, że natychmiast muszą kogoś zatrudnić, a najprędzej będzie przyjął Ruby. Zgodziła się pracować w porze lunchu (w tygodniu ruch w restauracji był niewielki), również w czasie brunchu i kolacji (po zajęciach w soboty i między dziesiątą a piętnastą w niedziele), kiedy trzeba było się uwijać jak żołnierz piechoty na gęsto zatłoczonym polu bitwy. Ruby uważała brunch za zupełnie bezsensowny posiłek, ale matki skwapliwie jej przypominały, że te długie godziny serwowania jaj i koktajli „Mimoza” przekładają się na chesne, które szkoła pobiera za jej naukę. Do jej obowiązków należało zaprowadzić gości do ich stolików i życzyć im miłego popołudnia. Nie musiała tego lubić.

Stanowisko hostess znajdowało się w pobliżu drzwi wejściowych, naprzeciwko baru. Jorge, barman, który pracował na dziennej zmianie, był również występującym solo komikiem. Lubił ćwiczyć monologi przed Ruby, która siedziała na swoim miejscu i czekała na restauracyjnych gości. Barmanem był raczej miernym, ale za to bardzo dobrym aktorem. Jego najnowszy monolog był o tym, że nikt już nie ogląda reklam, i chociaż Ruby prawie wcale nie zwracała uwagi na jego treść, wydawało się, że miał pewien związek z grupą podstarzałych, białych facetów, którzy zebrali się przy stole w sali posiedzeń zarządu i narzekali. Jorge miał być barmanem już zawsze. Ruby roześmiała się uprzejmie, kiedy przestał mówić, ponieważ uznała, że już skończył swoją prezentację. Ale w tym czasie akurat grała w *Candy Crush*, na poziomie dwudziestym czwartym, na swoim telefonie.

– Hej?! Widziałaś go? – zapytał Jorge, który wycierał szklanki ścierką kuchenną. Obracał je w dłoniach i odstawiał, obracał i odstawiał.

– O co ci chodzi? – Ruby zerknęła na niego znad telefonu.

– Spójrz tam. – Jorge wskazał na lewy róg okna. – Znasz tego białego chłopaka? Casper-zjawa, czy co? Od pięciu minut przechadza się tam i z powrotem i patrzy na ciebie.

Ruby wyłączyła telefon i zeskoczyła ze stołka. Na palcach podeszła do krawędzi bufetu i wyjrzała przez okno. Dust ze swoją deskorolką, którą trzymał pionowo na stopie, stał oparty o frontową ścianę meksykańskiej piekarni sąsiadującej z restauracją.

– Cholera! – rzuciła i pobiegła z powrotem na swoje stanowisko.

– Znasz go? – zapytał Jorge. – Mam iść mu powiedzieć, żeby się stąd wynosił?

– „Wynosił?” Skończyłeś już występować czy jeszcze udajesz tego starca? Trudno się zorientować. Nie, dziękuję. Sama to załatwię. Zaraz wracam. – Ruby rzuciła Jorgemu na bar plik jadłospisów. – Trzymaj u siebie, na wszelki wypadek.

Założyła włosy za uszy i pociągnęła do siebie ciężkie drzwi wejściowe Hiacyntki.

– Hej! – krzyknęła do Dusta, który palił papierosa i wpatrywał się w przestrzeń. Oddawał się swoim dwóm ulubionym zajęciom. – Czego chcesz? Przestań mnie prześladować!

Dust zobaczył zbliżającą się do niego Ruby i się uśmiechnął. Szeroko rozłożył ramiona, żeby ją uściskać.

Ruby odepchnęła go i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Co tutaj robisz?

– Chciałem cię zobaczyć. Słyszałem, że tu pracujesz. – Przeciągnął językiem po ostrej krawędzi nadłamanego zęba. – Byłem niedaleko stąd, za rogiem... wcale cię nie prześladuję.

Dust miał kumpla Nico, który mieszkał na Westminster. Hodował marihuanę w szafie i w skrzynkach balkonowych na zewnątrz, od strony swojej sypialni.

– Niech ci będzie. Już mnie zobaczyłeś – oświadczyła Ruby i nie ruszyła się z miejsca.

– Czyli niby ten chłystek jest teraz twoim facetem? Ten kurdupel ochroniarz-ninja z prywatnej szkoły? Chyba trochę za smarkaty dla ciebie... – Dust przechylił głowę. – Nie tęsknisz za mną?

Ruby, prawdę mówiąc, tęskniła za Dustem, ale raczej dałaby się żywcem pożreć wodnym szczurom, niż się do tego przyznać. Głównie za jego ciałem i nadłamanym zębem. Rozmowa z kimś, kto potrafi flirtować, i na dodatek flirtować podczas jazdy na deskorolce, zdecydowanie należała do przyjemności. Harry o flirtowaniu nie miał pojęcia, ale przebywanie w jego towarzystwie też było na swój sposób zabawne, chociaż czasami Ruby miała go dość, bo czuła się przy nim panią Robinson. Już postanowiła, że odwzajemni jego pocałunek, jeżeli Harry podejmie w tym kierunku inicjatywę, ale teraz będzie musiała się zastanowić, czy rzeczywiście zależy jej na całowaniu się z nim na tyle, żeby zacząć pierwsza. Szkoła im. Whitmana była mała. Gdyby Harry już się z kimś całował, pewnie by o tym wiedziała. Nic się tam nie mogło ukryć. W szkole panowała ciasnota – trzeba się było przeciskać między parami obściskującymi się przy szafkach – nie tak jak na filmach, gdzie szkoły miały trybuny i boiska do piłki nożnej, i różne inne miejsca. Na prawdziwą akcję można się było natknąć za klatką schodową – Ruby sama

kilka razy miała tam swoje poważne wejścia. Ale spotkać Harry'ego Marksa za schodami? To tak, jakby zobaczyć Dusta na kursie przygotowawczym. Na to nie ma co liczyć. Chociaż kto wie, może wystarczyłoby trochę praktyki?

– Muszę wracać do pracy – oznajmiła Ruby.

– Jakby co, to puść mi esemesa – powiedział Dust. Mrugnął do niej, rzucił deskę na ziemię i pomknął chodnikiem, zanim zdążyła mu powiedzieć, żeby o tym zapomniał.

Rozdział 19

Elizabeth nie lubiła myśleć o sobie, że jest pedantyczna, ale dokładała starań, żeby pewne rzeczy były załatwiane w określony sposób. Gdyby bardziej przykładała się do matematyki, mogłaby zostać architektem. Dzięki swojej staranności była dobra w pracy, którą wykonywała. Miała do czynienia z tysiącami arkuszy ofertowych, niezliczonymi plikami komputerowymi i stronami umów, a mimo to zawsze utrzymywała nieskazitelny porządek. Dobrze się czuła, gdy wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Właściwie na temat cnót w ujęciu ogólnym nie miała w pełni wyrobionego zdania, ale gdyby je miała, to umiłowanie czystości z pewnością stanowiłoby jedną z nich. Krzątała się po pokoju gościnnym i zauważyła, że jej pudła z pamiątkami stoją w niewłaściwej kolejności. Wszystkie poustawiała w porządku chronologicznym – ze swoimi rzeczami z dzieciństwa, z rzeczami z dzieciństwa Andrew, z pamiątkami zespołu Pociąg do Kitty, ze skorowidzami, w których przechowywała dawne listy, z dziecięcymi rzeczami Harry’ego. Pudło z pamiątkami zespołu stało po prawej stronie półki, na samym końcu, przesunięte o trzy półki wyżej niż tam, gdzie miało swoje miejsce, a pokrywa była założona odwrotnie. Elizabeth zdjęła pudło i postawiła je na podłodze.

Doskonale знаła każdy skrawek papieru w tym pudle: każdy wycinek prasowy, każde zdjęcie. Początkowo zachowywała różne rzeczy tylko dlatego, że wydawały się mieć związek ze szczególnym okresem jej młodości, ale po śmierci Lydii gromadzenie ich nabrało większego znaczenia. Nikt inny nie miał fotografii z pierwszej próby ich zespołu ani Lydii z jej pałeczkami perkusyjnymi, siedzącej na podłodze w pokoju w akademiku. Nikt inny nie miał zdjęć uśmiechniętej Lydii ubranej w bluzę i z włosami związanymi w koński ogon. To były artefakty kulturowe. Tak jak kości dinozaurów były dowodami na istnienie dawnego życia. Elizabeth uważała je za równie cenne jak swoje zdjęcia ślubne.

Brakowało kilku fotografii – dwóch zdjęć zespołu, z których jedno było ulubionym zdjęciem Elizabeth. Była na nim sama i w swoim przekonaniu wyglądała jak arcykapłanka: miała usta pomalowane ciemną szminką, a na sobie długą, czarną spódnicę. Tę spódnicę kupiła za cztery dolary w Armii Zbawienia, w Elyria. Była taka długa, że ciągnęła się za nią po ziemi i po kilku miesiącach noszenia tkanina poliestrowa, z której ją uszyto, zaczęła się strzępić od nieustannego szorowania o chodnik.

– Andrew?! – zawołała Elizabeth.

– Słucham? – Jego głos wyraźnie dobiegał z kuchni.

– Możesz tu przyjść? – Przeglądała zawartość pudła. Brakowało trzech rzeczy, była tego najzupełniej pewna.

– Jestem – powiedział Andrew, jedząc jabłko. – Co się stało?

– Przeglądałeś ostatnio moje zdjęcia? Wyjmowałeś któreś? – Elizabeth podniosła rękę i pokazała mu jedną z fotografii całego zespołu. – Pamiętasz erę flanelowej koszuli?

– Mój Boże! – Andrew pokręcił głową. – Nie oglądałem ich od wieków. – Wszedł do pokoju i wyjął zdjęcie zespołu z dłoni żony. – No, no! Nieźle tu wyglądamy. Nie uważasz? Chyba nie powiesz, że nie? Ty prezentujesz się fantastycznie.

– Też tak uważam. Powiedziałabym tylko, że dobrze wyglądaliśmy. Ty w dalszym ciągu jesteś podobny do siebie ze zdjęcia. – Pocałowała go w policzek.

Andrew oddał jej fotografię i powrócił do jedzenia jabłka, odgryzł kawałek i mgiełka soku rozproszyła się w powietrzu.

– Nie pryskaj na moje pamiątki! – Elizabeth wytarła fotografię o bluzkę. – Bardzo to dziwne, ale jestem pewna, że tu brakuje kilku rzeczy. Uważasz, że Harry mógł je wziąć? – zniżyła głos. – Siedzi w swoim pokoju?

Andrew skinął głową. Elizabeth schowała zdjęcie z powrotem do pudła i wstała, otrzepując z kurzu palce. Przepisnęła się obok Andrew i zapukała do Harry’ego. Usłyszała jego stłumiony głos, więc nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Harry siedział po turecku na łóżku. Przed nim leżał rozłożony przewodnik po kursach przygotowawczych. Na szyi miał zawieszony olbrzymie słuchawki i przy nich jego głowa wydawała się o wiele mniejsza, skurczona, jakby poważnie naraził się szamanowi voodoo.

– Cześć, mam – powiedział Harry. Miał podkrążone oczy.

Elizabeth nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Wyglądał, jakby nie sypiał po nocach. Chciała go objąć i przytulić do siebie, a potem pokołysać, chociaż przypuszczalnie ważył tyle, ile ona.

– Cześć, kochanie – odparła Elizabeth. Nie wiedziała, dlaczego w ogóle zamierza go o takie sprawy pytać, przecież Harry nigdy nie dotykał niczego, co nie należało do niego. Nie ruszał gumy do żucia w supermarkecie, nie sięgnął nawet po dodatkowego cukierka w Halloween z miski u sąsiada. Oprócz tego Harry nie kłamał. On był ich najcenniejszą wygraną na loterii. Za każdym razem, gdy spotykała się z matkami innych dzieci z jego klasy, zawsze nasłuchiwała się narzekań i żali na temat szatanów, które żyją z nimi w domu. Sama nie miała na ten temat nic do powiedzenia, więc się uśmiechała i uprzejmie kiwała głową. – Pozwól, że zadam ci prawdopodobnie głupie pytanie, ale chciałabym wiedzieć, czy przypadkiem nie zaglądałeś do pudeł z moimi rzeczami. – Pokazała ręką na ścianę. – Wiesz, tych w pokoju dla gości.

Harry bardzo, ale to bardzo uszczęśliwiłby każdego pokerowego gracza. Twarz mu posmutniała, zaczęła mu drżeć dolna warga.

– Uhm – mruknął pod nosem.

Elizabeth zrobiła kolejny krok w głąb jego pokoju. Zatrzymała się i zamknęła dłonie na krawędzi drzwi.

– Kochanie, co się dzieje?

Starał się opanować i nie rozplakać.

– To tylko kilka rzeczy. Nie przyszło mi do głowy, że będzie ci ich brakowało. Gdybym wiedział, nie zrobilibyśmy tego.

– My, czyli kto? – zapytała Elizabeth. Koledzy Harry’ego byli okularnikami, którzy chodzą w brudnych trampkach i noszą wytarte spodnie dresowe do szkoły o wiele dłużej, niż powinno się w takich spodniach chodzić. Arpad, Max, Joshua – oni nie byli złodziejami. Wszyscy razem stanowili dość zróżnicowaną grupkę typowych, lekko zwariowanych entuzjastów nauki, jakich pamiętała z własnych czasów szkolnych – w kanciastych okularach i z wadami zgryzu.

– Ja i Ruby – odpowiedział Harry. – Ona myślała, że te rzeczy są warte mnóstwo pieniędzy. – Rozchmurzył się na chwilę, bo przypuszczał, że ta informacja może go wybawić z opresji. – I miała rację! Już została przekroczona cena minimalna, spójrz! – Otworzył laptop, nacisnął kolejno kilka klawiszy i obrócił go ekranem do matki. Rzeczywiście, na eBaju były jej fotografie. Aktualna cena każdej z nich wynosiła już ponad dwieście dolarów.

– Harr – odezwała się Elizabeth. To, co zrobił, było do niego niepodobne pod wieloma względami: po pierwsze, wykazał się zbyt dużą przedsiębiorczością, po drugie wyjątkową przebiegłością i po trzecie nadmierną bezmyślnością.

Do pokoju zajrzał Andrew.

– Zdjęcia się znalazły? – zapytał.

– Owszem, znaleźliśmy je i są w doskonałym stanie. Ruby Kahn-Bennett wystawiła je na aukcję w eBaju. – Elizabeth wzięła komputer z łóżka Harry’ego i pokazała Andrew obraz na ekranie.

– Chyba żartujesz?! Co jeszcze zamierzasz zrobić? Sprzedać telewizor, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki? – Andrew ściągnął brwi, na jego czole w miejscu zmarszczek powstały głębokie bruzdy, które ułożyły się równolegle jak poziome kreski w zeszycie w linię.

– Przepraszam – wymamrotał Harry i wzruszył ramionami. – Właściwie czułem, że nie powinienem się zgodzić, ale Ruby uważała, że to nic wielkiego i że zarobimy na nich sporo pieniędzy...

– Z którymi co zamierzałeś zrobić? Kupić swojej matce kwiaty? – pytał Andrew coraz bardziej podniesionym głosem zbliżającym się do krzyku, aż Elizabeth zaczynało dzwonić w uszach. On prawie nigdy nie krzyczał na syna – zdarzyło mu się może trzy razy w ciągu ostatnich szesnastu lat. Wiedziała, jak jej mąż się stara trzymać nerwy na wodzy. W latach ich młodości Andrew miał spore problemy, z panowaniem nad sobą. Często wybuchał gniewem, wręcz wpadał w furję z zupełnie nieistotnych powodów, ale od narodzin syna te napady ustały niemal całkowicie.

– Nie wiem – odpowiedział Harry. – Nie wybiegałem tak daleko w przyszłość. – Na policzki wystąpiły mu jaskrawoczerwone rumieńce.

– Andrew, uspokój się – wtrąciła się Elizabeth. Zmartwiła się, że Harry zabrał zdjęcia, ale było jasne, zupełnie oczywiste, że to nie on zawinił. Uległ Ruby. – Pomysł podsunęła mu Ruby.

– I co, sprawa od razu wygląda lepiej? Dzwonię do Zoe. W tej chwili. – Wyjął telefon z tylnej kieszeni i wybrał numer Zoe. W ich zespole wyodrębniły się dwie podgrupy: Elizabeth i Zoe oraz Lydia i Andrew. Nie w tym rzecz, że Andrew i Zoe się nie przyjaźnili, oficjalnie, ale w rzeczywistości nie byli przyjaciółmi. Czasami Elizabeth się zastanawiała, jak wyglądałoby jej życie, gdyby trzymała się blisko Lydii, a nie Zoe. Jaki efekt domina taka konfiguracja wywołałaby w zderzeniu z praktyką.

– O mój Boże! – jęknął Harry i ukrył twarz w dłoniach.

– To nie jest twoja wina – uspokajała go Elizabeth. Jej syn po prostu stał się zakładnikiem. Z przedpokoju dobiegał głos Andrew. Jej mąż krzyczał coraz głośniej i głośniej, a ona podeszła do łóżka i objęła Harry’ego.

Rozdział 20

Andrew wykrzyczał się już na Zoe (a potem na Jane) na temat przestępstwa kradzieży, którego dopuściła się ich córka, a potem poszedł się przejść. Trzymał się jednak z dala od domu sąsiadek Kahn-Bennett, na wszelki wypadek, gdyby wszystkie trzy wyglądały przez okno gotowe na rewanz. Czuł pulsowanie krwi w uszach. Głośno wypuścił powietrze ustami, po chwili zrobił to ponownie. Występek Harry'ego nie był aż tak bardzo poważny, wiedział to, ale syn zachował się podstępnie i niewłaściwie, a to dlatego, że Zoe była beznadziejną matką i godnym pożałowania człowiekiem. Zawsze koncentrowała się wyłącznie na sobie, a Elizabeth w ogóle nie dostrzegła, że tamta traktuje ją jak psa. Gorzej niż psa! Binga Zoe uwielbiała, ale Andrew bardzo wątpił, żeby żywiła podobne uczucie do jego żony.

Niespodziewanie znalazł się przed siedzibą EWOLUtorium i dopiero przed wejściem się zorientował, że nieświadomie udał się w tę stronę. Pokonał schody po dwa naraz. Drzwi były otwarte. Trwała sesja medytacji grupowej. Dziewczyna z dwoma warkoczami upiętymi na czubku głowy zapraszającym ruchem ręki wskazała mu koc we frontowej części sali, gdzie siedział Dave. Andrew, przekraczając uczestników sesji, podążył do tego miejsca najciszej jak potrafił i usiadł na kocu. Zamknął oczy i niemal natychmiast poczuł się lepiej. Trudno określić, jak długo siedział w milczeniu. Być może przez piętnaście minut, choć równie dobrze mogła upłynąć godzina. Dave uderzeniem w dzwięczną misę tybetańską obudził medytujących. Zaczęli się poruszać, przesuwać dłońmi po kolanach i twarzach. Andrew otworzył oczy i poczuł na sobie wzrok Dave'a, który przyglądał mu się z uśmiechem.

Jeszcze nie widział, co znajduje się na piętrze, więc z zadowoleniem przyjął zaproszenie Dave'a do obejrzenia całego EWOLUtorium. Podobnie jak pomieszczenia na pierwszym poziomie, również klatkę schodową i korytarz na górze pomalowano na biało. Dywany i zasłony także były białe, więc przestrzeń robiła wrażenie znacznie większej, niż była w rzeczywistości. Kamienice w Ditmas, zbudowane w stylu wiktoriańskim, kryły w swoich wnętrzach wiele małych i mrocznych pomieszczeń wykończonych w drewnie, ale w tym domu, który miał licznych właścicieli, nie zachował się ani jeden element z oryginalnej stolarki. Młodzi ludzie chodzili po nim boso. Przy każdym kroku spod ich stóp dobiegały delikatne odgłosy przypominające cmoknięcie. To miejsce znacznie różniło się od innych centrów jogi w Slope, gdzie ćwiczyło się w specjalnych spodniach za dziewięćdziesiąt dolarów z logotypem danego studia. Gdy uczestnicy zajęć przyjmowali pozycję psa z głową w dół, znaki identyfikacyjne doskonale prezentowały się na wszystkich pośladkach, choć w niezbyt równym szyku. W EWOLUtorium każdy miał na sobie strój, w którym czuł się wygodnie. Szorty, koszulki, cienkie i krótkie sukienki. Dziewczyna stojąca w pobliżu kuchni miała na włosach opaskę w kwiaty i bonzurkę bez zapięcia – wypisz wymaluj Hugh Hefner z pokolenia milenialsów. Andrew przesunął dłonią po poręczu. Wspólnie z Elizabeth starali się ograniczać swoje potrzeby do minimum, ale po wizytach w EWOLUtorium zapragnął pozbyć się z domu

wszelkich niepotrzebnych przedmiotów, chciał mieć puste ściany i otwarte okna.

– Tu mamy jeden z gabinetów uzdrawiania ciała – wyjaśnił Dave. – Reiki, masaż. Do naszej społeczności należy wiele utalentowanych osób, które potrafią zadbać o jego dobrostan. – Szedł dalej, a Andrew podążał o pół kroku za nim. – To jest kolejny gabinet zabiegowy. – Młoda kobieta leżała na plecach, a druga po kropli наносiła jej jakiś specyfik na czoło. – Ajurweda.

– Czyli kto tu mieszka? – zapytał Andrew.

– Obecnie jest nas sześcioro: ja, Jessie, którą chyba już poznałeś. – Dave wskazał na dziewczynę z warkoczami. – Troje artystów pracujących na miejscu i Salome, która prowadzi kosmiczne transy w każdy piątek wieczorem. Jest niesamowita. Koniecznie powinieneś przyjść. Atmosfera w domu jest nadzwyczajna. Daję słowo, jeszcze przez trzy dni po takim wieczorze wszędzie tu pulsuje energia.

– Przyjdę – powiedział Andrew.

W EWOLUTORIUM było sporo pokoi mieszkalnych z różnymi roślinami doniczkowymi, fikusami benjamina i fikusami sprężystymi. Pokoi z matami, świecami i sprzętem muzycznym. Raz na jakiś czas obok nich przeszli powoli młoda kobieta albo mężczyzna, dotykając ręki Dave'a i uśmiechając się do niego. Andrew poczuł, że najchętniej zostałyby w tym domu i nigdy z niego nie wychodził.

– Może przydałaby się wam pomoc przy pracach wykończeniowych? – zapytał.

– Zamierzam się zająć stolarstwem i chętnie się włączę.

Dave klepnął Andrew po plecach. Pachniał szałwią i drzewem sandałowym.

– Doskonały pomysł, przyjacielu. Bardzo mi się podoba. Jeśli tylko masz ochotę, śmiało możesz tu wpadać. Miejsce w jakimś łóżku zawsze się znajdzie.

– Dzięki – ucieszył się Andrew. Nie potrafił wywnioskować, czy łóżka, które oferował Dave, były wolne, ale coś mu podpowiadało, że już je ktoś zajmował.

Jessie, dziewczyna z warkoczami, podeszła do nich szybkim krokiem baletnicy z małą filiżanką w jednej i drugiej ręce.

– Koniecznie musicie spróbować tego soku. Przed chwilą go zrobiłam – powiedziała.

Obaj sięgnęli po filiżanki i podnieśli je do ust.

Sok był zielony, o papkowatej konsystencji. Andrew poczuł między zębami włókniste pozostałości. Dave natomiast z łatwością wysssał resztki z przestrzeni międzyzębowych.

– Z czego jest ten sok? – zapytał Andrew po przełknięciu ostatniej porcji. Miał zaskakujący smak lekarstwa osiadający w ustach.

– Z jarmużu, papryczki chili, anyżu, jabłka, pomarańczy, dziurawca i kilku innych dodatków. Dobry, prawda?

– Wyśmienity – zachwycił się Dave. Poglaskał się po brodzie. – Mmmm.

– Też tak uważam – przyznała Jessie. Małymi krokami podeszła bliżej i pocałowała Dave'a w usta. Potem odwróciła się i oddaliła w tę samą stronę, z której przyszła.

Prawa rządzące młodością są niesprawiedliwe: młodzi ludzie niczym sobie na nią nie zasłużyli, a starzy w żaden sposób nie zawinili, żeby ją stracić. Andrew pomyślał o Harrym i o skradzionych zdjęciach, pomyślał też o Ruby i jej fioletowych włosach.

W głębi duszy miał ochotę jeszcze raz zadzwonić do Zoe i Jane i zrobić im jeszcze większą awanturę, ale o wiele bardziej chciał wiedzieć, jak to się mogło zdarzyć, że jego mały synek przestał być dzieckiem i stał się nastolatkiem, i jak doszło do tego, że on, Andrew Marx, niebawem skończy pięćdziesiąt lat. Artykuły prasowe, w których argumentuje się w punktach, że dawna pięćdziesiątka to dzisiejsza trzydziestka, nie mają najmniejszego znaczenia. Harry wkrótce zacznie uprawiać seks, a Andrew zostanie dziadkiem, a potem Andrew umrze. Tego łańcucha zdarzeń nie mógł powstrzymać, nawet gdyby użył wszystkich pieniędzy swoich rodziców. Oni już próbowali – postawili samochody sportowe w garażu wiejskiego domu w Connecticut, matka co trzy miesiące poddawała się „zabiegom kosmetycznym”, żeby się pozbyć zmarszczek i usunąć plamy z twarzy – ale to były tylko godne pożałowania pobożne życzenia. Andrew pragnął na chwilę zatrzymać czas, poudawać, że wciąż jeszcze jest na tyle młody, żeby czegoś ważnego dokonać. Pragnął pić sok, siedzieć w wypełnionym ciszą pomieszczeniu i czekać, aż młode ciała będą się wokół niego poruszać w tańcu.

Rozdział 21

Od kilku tygodni, to znaczy od uroczystości rozdania świadectw uczniom z rocznika Ruby, Harry codziennie rozważał wszystkie za i przeciw. Minęły już trzy tygodnie, a on wciąż nie podjął decyzji. Nosił się z zamiarem pocałowania Ruby, z jęczyzkiem. Jeśli ona właśnie tego chciała. I jeżeli mu pozwoli! Nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jak miałoby dojść do tego pocałunku. Oczywiście musieliby zostać sam na sam, siedzieć na tyle blisko siebie, żeby nie musiał gonić jej po pokoju jak żywy trup z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. W dodatku wcale nie był pewien, czy naprawdę o to mu chodzi.

Od czasu „największej kradzieży w 2014 roku” nie rozmawiał z Ruby. Rodzice narobili tyle szumu, jakby wykrała kody do broni atomowej z walizki prezydenta. Cała ta sprawa wcale nie wydawała się aż tak poważna, w każdym razie do czasu, gdy zostali zdemaskowani. Harry nie znosił popadać w kłopoty, ale też nie mógł pogodzić się z myślą, że Ruby uważa, że ją sypnął. Od pewnego czasu próbował różnych sprytnych sposobów, żeby jej dać do zrozumienia, że na nią nie naskarżył, ale do tej pory otrzymał tylko esemesa o treści „Hej!” z emotikonami bomby i ducha pokazującego język. Niezupełnie taki rezultat chciał osiągnąć.

Nadszedł koniec tygodnia, który strawił na niczym. W środę był w kinie na beznadziejnym filmie z Yurim, jednym ze swoich nielicznych kolegów z Whitmana, który nie wyjechał na atrakcyjne wakacje i siedział w mieście. Większość znajomych spędzała lato w wakacyjnych domach rodziców lub na wędrownkach z plecakiem po Nowej Zelandii albo Izraelu czy Francji. Yuri mieszkał w Windsor Terrace i pracował w Starbucksie. Trzy razy poczęstował Harry’ego, który go tam odwiedził, darmową kawą mrożoną. W piątek Harry pojechał z rodzicami pociągiem do tybetańskiej restauracji. Przez cały czas, równy tydzień, wyobrażał sobie swoje wejście do sali, w której odbywa się kurs przygotowawczy, ale martwił się, czy Ruby będzie chciała w dalszym ciągu siedzieć obok niego.

W ich sąsiedztwie wystawiono na sprzedaż trzy domy i wszystkimi zajmowała się jego mama. Jeden znajdował się przy Newkirk, drugi na końcu ich ulicy, a trzeci na Stratford. Elizabeth czasem zabierała ze sobą Harry’ego, gdy przygotowywała dom do oględzin. Lubił układać jabłka Granny Smith w dużych, szklanych misach i uczestniczyć w podobnych zabiegach dekoracyjnych. Jemu wydawały się dość bezsensowne, ale matka przekonywała, że odgrywają ważną rolę, bo ktoś może pomyśleć: „Przepadam za jabłkami, muszę mieć ten dom”. Najczęściej jednak mamy całymi dniami nie było w domu, tak jak i taty.

Ponieważ aukcja na eBayu jeszcze się nie skończyła, Elizabeth mogła ją anulować. Zoe i Ruby przyszły oddać zdjęcia. Zoe stała w drzwiach, a Ruby przeproszała Elizabeth. Harry siedział na schodach, czuł się zawstydzony. On też zawinił i zasadniczo trzeba uznać, że popadł w tarapaty, ale wszyscy, których ta sprawa dotknęła, wiedzieli, że nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego bez Ruby. Mówiła obojętnym głosem, w sposób wymuszony i trochę niegrzeczny. Elizabeth pokiwała głową i chłodno podziękowała,

a potem Zoe i Ruby wyszły. Harry'emu się wydawało, że Ruby mrugnęła do niego przelotnie w drodze do drzwi, ale po namyśle uznał, że raczej mu się przywidziało. Trzymał telefon w ręku przez całą noc i czekał na wiadomość, ale nie przyszła.

Zsunął się z łóżka i sięgnął po dżinsy, które leżały na stosie rzeczy skotłowanych na podłodze i wyglądały tak, jakby z nich wyparował. Ubrał się, spryskał się pod pachami dezodorantem i pociągając nogami, zszedł do holu.

– Tato?! – zawołał. Nie było odpowiedzi. Zatrzymał się u podnóża schodów, uniósł głowę i zawołał ponownie w kierunku sypialni rodziców. – Tato?! – W dalszym ciągu ojciec się nie odzywał. Andrew niezwykle rzadko wychodził z domu. Harry, kiedy był mały, uważał, że tata w ogóle nie śpi, tylko siedzi w kącie pokoju i czeka, aż ktoś się zacznie z nim bawić, bo jest największą zabawką w domu.

Harry powoli wszedł po schodach. W pokoju rodziców nie zastał nikogo. Tylko Iggy Pop spał zwinięty w kłębek w nogach łóżka. Harry zastanawiał się, czy Ruby dostała zakaz wychodzenia z domu i czy kiedykolwiek spotkała ją taka kara. Zabranianie wychodzenia z domu to metoda z zamierzchłych czasów, na przykład z ery feudalizmu albo z najlepszych lat jazzu. We współczesnym społeczeństwie nie ma racji bytu. Rodzice nie mogą nawet zabrać telefonu komórkowego ani pozbawić dziecka komputera, bo w jaki sposób dzieci miałyby wezwać pomoc w razie potrącenia przez autobus w drodze do szkoły albo dostać się do zestawu lektur czy arkuszy ćwiczeniowych z przedmiotów ścisłych? Wyznaczenie takiej kary byłoby tym samym, co wysłanie dziecka z liczydłem na egzamin końcowy z analizy matematycznej.

Na małym biurku matki, w głębi sypialni przy ścianie i z dala od okien, stał jej laptop. Był otwarty. Harry usiadł i nacisnął myszkę. Pojawił się obraz. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie Harry'ego i ich kota sprzed kilku lat, śpiących razem na kanapie. Bez zastanowienia kliknął ikonę poczty na dole ekranu. Otworzyła się skrzynka mailowa Elizabeth i rozległ dźwięk informujący o nowych wiadomościach.

Harry zwykle nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, zresztą maile matki były nudne. Wśród pięćdziesięciu znajdujących się w jej skrzynce odbiorczej połowa przyszła z pracy, a pozostałe to same śmieci i dawno powinna zrezygnować z licznych subskrypcji. Harry próbował jej wytłumaczyć, jak to zrobić, że wystarczy tylko kliknąć w kilku miejscach i nie będzie dostawać stu wiadomości dziennie ani ze sklepu z pojemnikami, ani z wielu innych, ale go nie słuchała. Ruby miała rację – jego matka miała obsesję, ale nie na punkcie wszystkiego. Skrzynka pocztowa Elizabeth wyglądała tak, jakby właścicielka miała zamiłowanie do kompulsywnego zbieractwa i była uzależniona od zakupów w internecie. Przeglądał przez chwilę korespondencję matki, sprawdzając, czy mamusie Ruby coś pisały, a jeśli tak, to czy w ich listach były wzmianki o nim. Czytanie cudzej korespondencji prywatnej zupełnie nie było w jego stylu, ale czuł się nie w porządku, wręcz źle, że Ruby prawdopodobnie solidnie oberwała za swoje, a jego wszyscy przytulają. Rodzice byli tak pewni, że nigdy nie zrobiłby nic złego, że nawet nie byłby zdolny do niewłaściwego zachowania, że aż ta ich wiara i miłość wzbudzały w nim chęć dokonania skoku na bank. Zaczął więc czytać maile. Naruszenie tajemnicy korespondencji zaliczało się do występków o niewielkiej szkodliwości, ale i tak nim było i to miało dla niego znaczenie.

Znalazł jeden mail od Zoe, ale cały dotyczył tylko mieszkań. Wprawdzie skopiował niektóre łącza do ofert, żeby pokazać je Ruby, ale żadnych rewelacji w nim nie znalazł. Smutne, że jedna z jej matek myśli o wyprowadzce, tylko która miałyby odejść? Czy Ruby zostanie? A może przeniesie się razem z matką? Harry wyobraził sobie Ruby przewracając oczami na wieść o tym, że informacje dotyczące nieruchomości uznał za soczyste. Rzeczywiście nowatorska taktyka zabiegania o względy dziewczyny jak na nastolatka. Znów przeglądał pocztę.

Mniej więcej w połowie zawartości skrzynki odbiorczej znajdowało się kilka oznaczonych flagą maili od osoby, która się nazywała Naomi Vandenhoovel. W tytule pierwszego przeczytał: MÓJ TATUAŻ TĘSKNI ZA TOBĄ. Wyglądało to na tekst napisany przez dziwnego robota, ale z tego samego adresu przyszło kilka kolejnych listów z tytułami: SAMA SOBIE PANIĄ FILM VIP VIP VIP, HEJ, PONOWNIE JA OSTATECZNY TERMIN UMOWY DLA POCIĄGU DO KITTY, HEJ HEJ HEJ HEJ HEJ TO JA, NAOMI. Ten ostatni był chyba podyktowany przez aplikację Siri.

Harry przeczytał wszystkie te maile, jeden po drugim.

Ostatecznie wyciągnął następujące wnioski: pomyłona kobieta o imieniu Naomi próbuje nakłonić jego matkę i ojca do sprzedania praw do piosenki *Sama sobie jestem panią*, do wykorzystania w filmie na temat Lydii. Filmie biograficznym. Takim jak *Ray* albo *Spacer po linie*. Miał to być film, który mógłby komuś przynieść Oscara, zwłaszcza gdyby naprawdę w nim śpiewano. Solistka nawet nie musiałaby być dobrą piosenkarką, wystarczyłoby, żeby śpiewała tak jak Lydia. Harry'emu wcale nie podobał się jej sposób śpiewania. Jego mama robiła to znacznie lepiej pod względem technicznym. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał *Amerykańskiego Idola* albo *The Voice*, potrafi wychwycić, kiedy wykonawca śpiewa nieczysto, a to była specjalność Lydii – nagminne wypadanie z tonacji i wydawanie z siebie przeraźliwego wrzasku, jakby wrzuciła włączony toster do wanny. Do tej pory Elizabeth zwlekała z odpowiedziami, ale ta nawiedzona Naomi (musiał otwarcie przyznać, że zdjęcie tatuażu jest mocne) była namolna jak diabli. Nic dziwnego, że jego mama przeglądała pudło z pamiątkami ich zespołu.

Harry na ogół nie zastanawiał się zbyt nad tym, że dawniej jego rodzice byli aż nadto beztroscy. W jego codziennym życiu nie miało to wielkiego znaczenia: z pewnością o wiele mniejsze od angielskich mufinek i może nieco większe od istnienia zdalnie sterowanych helikopterów. Cieszył się, że byli interesujący i zainteresowani, że czytali książki i chodzili do kina, czego nie dało się powiedzieć o rodzicach kolegów. Ojciec bliskiego kolegi Harry'ego, Arpada, był chirurgiem i nikt go nigdy nie widział. Wydawało się, że jest duchem, który zostawia kosztowne przedmioty porozrzucone po całym domu, żeby na podstawie tych śladów ktoś mógł rozwiązać zagadkę jego zabójstwa. Rodzice Harry'ego byli obecni i dla niego dobrzy. Uważał to za nudne, ale w pozytywnym sensie. Dlatego też Harry nie tracił czasu na myślenie o tym, jacy byli w jego wieku i w jakim stopniu wyluzowani. Nieprzyjemnie było sobie wyobrażać, że rodziców – obciachowych, rozhasanych rodziców – zapraszano kiedyś na imprezy, na które sam nigdy nie zostałbyś zaproszony, że brali narkotyki, których tobie nikt nawet nie zaproponował, że całymi nocami rozmawiali z innymi równie wyluzowanymi gośćmi tylko dlatego, że mieli na to ochotę. Harry chciał przesiedzieć całą noc do rana. Chciał wykurzyć Dusta. Chciał wziąć

za rękę Ruby i zaprowadzić ją w jakieś miejsce, w którym jeszcze nigdy nie była, i zrobić to z taką pewnością siebie, żeby ona nie miała najmniejszych wątpliwości, że Harry dobrze wie, dokąd idzie. Przeszłość to przeszłość. Był gotowy stać się kimś zupełnie nowym. Jaka jest męska forma słowa „pani”? „Pan”. Stanie się panem samego siebie, od zaraz. Wysłał esemesa do rodziców, że spędzi sobotni wieczór u Arpada i pojedzie do niego bezpośrednio po kursie. Matka przysłała mu w odpowiedzi uśmiechnięte buźki i kilka całusów. Miał cały dzień na zmianę biegu swego życia. Prościzna.

Rozdział 22

Elizabeth chętnie zjadłaby kurczaka. Na dodatek okazało się, że oprócz niego nic więcej nie miała w lodówce, więc na kolację trzeba było go przygotować w jakiejś postaci. Często przychodziło jej na myśl, że skoro łączą ich tak bliskie kontakty z Jane i Zoe, to siłą rzeczy ta znajomość – przynajmniej w pewnym stopniu – powinna zaowocować wysokimi umiejętnościami kulinarnymi, ale do tej pory u siebie ich nie stwierdziła. Elizabeth potrafiła docenić dobre jedzenie. Ze swoimi teściami odwiedziła większość najlepszych restauracji w mieście. Andrew na takie spotkania zapinał koszulę na ostatni guzik jak speszony chłopak na ceremonię bar micwy. Na niewiele się te wizyty zdały, bo i tak własnoręcznie nie potrafiła odtworzyć pięknie przygotowanych dań, których próbowała. Istniało tyle sposobów przyrządzania potraw – gotowanie w wodzie, smażenie, pieczenie – i jak się zdaje, inni ludzie całkiem naturalnie je stosowali. Ilekroć wstąpiła do Zoe na lunch, któraś z nich trzech akurat jadła z miski brązowy ryż i jajko na twardo z lekko przysmażonym jarmużem skropionym przed chwilą zrobionym sosem z awokado i miso. „Zjadamy resztki” – mawiały zawstydzone, jakby jadły coś, co nie nadawało się do umieszczenia w jadłospisie Hiacyntki. Jeżeli Elizabeth czuła się zażenowana potrawami w swoim domu, to dlatego, że jako osoba dorosła z kilkunastoletnim synem wciąż zaliczała mrożoną pizzę do podstawowych grup produktów żywnościowych.

Niełatwo było się przyjaźnić z osobą, która wydawała się Elizabeth o wiele lepsza od niej w tak wielu ważnych dziedzinach życia. Być może dlatego, że z Andrew od bardzo dawna byli parą, a może dlatego, że zbliżyli się do siebie w dość wczesnej młodości albo dlatego, że swój związek zaczęli od przyjaźni. Elizabeth nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek doświadczyła żywiołowej i całkowicie absorbującej miłości we wczesnej fazie związku, takiej jaka się przydarzyła Zoe i Jane. Obie znikwały w sypialni Zoe i nie opuszczały jej całymi dniami, mizdrzyły się do siebie, przemawiały piśszczotliwymi głosikami, irytująco zabawiały się stopami pod stołem w restauracjach, wyjeżdżały bez uprzedzenia na długie weekendy. Nie wspominając już o całowaniu. Elizabeth nigdy nie widziała, żeby ktoś się tak wszędzie całował: w taksówkach, w kuchni, na kanapie, bez względu na obecność innych osób. Przy nich Elizabeth czuła się tak, jakby żyli z Andrew w kazirodczym związku brata z siostrą albo bliskich kuzynów. Seks zawsze sprawiał im przyjemność, ale nawet Andrew nie pragnął ciała Elizabeth tak zachłannie jak Jane pożądała Zoe i odwrotnie. To prawda, że łatwiej było się po czasie odnaleźć w długoletnim małżeństwie, ponieważ wcześniej oboje dobrze się czuli w mniej intensywnym związku, chociaż Elizabeth czasem się zastanawiała, jak to jest czuć tak gwałtowne pożądanie i je odwzajemniać, zachłystywać się miłością, nawet jeśli miała w przyszłości zakończyć się wielkim rozczarowaniem. Nikt przecież nie może trwać wiecznie w takim stanie uniesienia, nawet Zoe.

Harry przemknął przez kuchnię ze spuszczoną głową. Szybkim krokiem zmierzał po swój plecak, który jak zwykle rzucił pod wieszakiem na ubrania.

– Hej! – zagadnęła go Elizabeth. – Dokąd się wybierasz? Jesteś głodny?

– Teraz nie będę jadł – odpowiedział Harry. Chwycił plecak i pobiegł z powrotem na górę.

Elizabeth opłukała filety z kurczaka nad zlewozmywakiem i położyła je na talerzu. Zoe, jeszcze zanim na stałe związała się z Jane, dobrze radziła sobie w kuchni. Któregoś dnia w Oberlin, gdy mieszkały razem, Elizabeth umyła żeliwny garnek Zoe w zlewie pełnym innych naczyń, szorowała go godzinami gąbką z mydłem, aż w pewnej chwili Zoe zorientowała się, co Elizabeth robi, i spojrzała tak, jakby ta zgoliła jej brwi podczas snu. Członkowie rodziny Bennettów byli smakoszami z Kalifornii, wszyscy wychowali się na farmie i jedli ekologiczną żywność, zanim stała się modna. Elizabeth przypomniała sobie swoją dietę z dzieciństwa opartą na ciastkach Oreo i maśle orzechowym Skippy i znów poczuła się zakłopotana. Rodzice Elizabeth mieli dobre serce – byli poczciwymi ludźmi, kochała ich, ale jej matka wolała dżin od warzyw. Ojciec przyrządzał krwiste steki na grillu w każdą niedzielę i na tym koniec. Przyjmował pigułki na obniżenie poziomu złego cholesterolu i podwyższenie dobrego i nigdy nie powiedział jej, że ją kocha, w każdym razie nie bezpośrednio. Rodzice nie słuchali muzyki. Matka czytała powieści, ale tylko romanse o pięknych, niewidomych dziewczynach albo o wojennych wdowach. Elizabeth musiała wielu rzeczy nauczyć się sama.

Andrew zszedł po cichu po schodach i objął ją od tyłu.

– Cześć – powiedział i położył głowę na jej ramieniu.

– Cześć – odpowiedziała. – U ciebie wszystko w porządku? Już myślałam, że zaginałeś w akcji.

– Przeciwnie, czuję się doskonale. – Wsunął jej rękę pod pasek, a ona się wywinęła.

– Mam ręce brudne od surowego kurczaka – powiedziała.

– Przyjmę więc trochę salmonelli. – Pocałował ją w szyję.

– Och, przestań! – Elizabeth delikatnie odepchnęła go łokciem, ale była zadowolona z jego przymilnego zachowania. – Gdzie byłeś?

Andrew chwilę milczał.

– Znalazłem takie nowe miejsce na Stratford. Studio jogi, w pewnym sensie. Byłem tam dziś na zajęciach.

– Ach tak? To dobrze, przyda się nam taka nowa atrakcja. – Elizabeth wciąż szukała nowych miejsc, które mogłaby dodać do swojej listy. Dla młodych ludzi zainteresowanych kupnem domu najbardziej liczą się studia jogi i restauracje, jak gdyby mieli być wiecznie młodzi i potrzebowali sposobów na wypełnienie wolnego czasu. – Ale, ale, myślałeś już o tamtej sprawie? O Lydii? – Odwróciła się przodem do męża. Zawsze miał dziwne podejście do Lydii – przyjaźnili się, ale gdy zrezygnowała ze studiów, ani razu o niej nie wspomniał. Zachowywał się tak, jakby nie żyła, a potem, kiedy rzeczywiście umarła, jeżył się na dźwięk jej imienia. Po śmierci Lydii Elizabeth żywiła do niej łagodniejsze uczucia, zadziwiające. Jakby tamta nic nie mogła poradzić na to, co zrobiła, jakby nie była tą samą Lydią, której Elizabeth nigdy nie lubiła. Przypuszczalnie było tak dlatego, że Elizabeth sama miała o wiele większe problemy. Niezbyt to ładnie z jej strony, ale działało pocieszająco. Może gdyby Andrew obejrzał ten film, zrozumiałby – zobaczyłby, jacy oni wszyscy byli młodzi, piękni i zabawni.

Andrew oparł się o kuchenkę. Obserwowała, jak jego twarz się chmurzy, równie szybko jak niebo w lipcu przed nadciągającą burzą.

– Naprawdę nie chcę tego robić – odezwał się w końcu. – Zdecydowanie nie chcę. Wiem, twoim zdaniem to niedorzeczne, ale dla mnie ma znaczenie.

– Ale tę piosenkę ja napisałam. – Elizabeth zazwyczaj starała się nie używać takiego argumentu: w zespołach panowało równouprawnienie, w małżeństwach również. Rzadko się zdarzało, żeby upominanie się o pełne prawa autorskie wyszło komukolwiek na dobre. Kończyło się na zranionych uczuciach i szybko narastającej niechęci. W tym wypadku podział pracy był jasno określony: Elizabeth Johnson – słowa; Andrew Marx, Lydia Greenbaum, Zoe Bennett i Elizabeth Johnson – muzyka. Miała większy udział w prawach do piosenki niż wszyscy pozostali.

– Owszem, napisałaś słowa. – Andrew pokręcił głową. – Ale nie możesz decydować za nas.

– Mają pozwolenie Lydii... Jej matka wyraziła zgodę. Zgodziła się Zoe. Ja również. Spodziewam się, że przeżycie będzie ekscytujące. I dziwne, tak, być może bardzo dziwne. Mimo to uważam, że powinniśmy się zdecydować. Ja w każdym razie chcę, żeby film powstał.

– Dlaczego? Żeby móc sobie popatrzeć na gromadkę chudych kilkunastoletnich gwiazdeczek filmowych wykrzykujących sto razy „Sama sobie jestem panią”? Aż tak jesteś w sobie zapatrzona? – Andrew poczerwieniał.

– Zapatrzona w siebie? Z tego powodu, że nie chcę przeszkadzać komuś w nakręceniu filmu o kimś innym? O czym ty w ogóle mówisz?

Andrew zacisnął usta i zamknął oczy.

– Ty naprawdę nie widzisz tej sprawy z szerszej perspektywy, Lizzy.

– Jestem całkiem pewna, że jednak widzę – powiedziała Elizabeth. Odwróciła się od niego i zajęła kurczakiem. Trzeba było go natrzeć czosnkiem i imbirem, potem chyba obsmażyć. Pogubiła się. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi frontowych i domyśliła się, że Andrew wyszedł z domu.

Były dwie możliwości: ugotować kolację albo jej nie gotować. Ale co będzie jadł Harry, jeśli ona nie przygotuje posiłku? Elizabeth postanowiła dokończyć to, co zaczęła. Pod wpływem podwyższonego ciśnienia trochę szybciej krzątała się po kuchni i swobodniej sięgała po przyprawy. Suszona natka pietruszki? Czemu nie. Czarny pieprz? Oczywiście. Filety z kurczaka wyglądały jak łysina Jacksona Pollocka, gdy je układała na rozgrzanej patelni. Obserwowała, jak mięso z różowego robi się mlecznobeżowe, od czasu do czasu spoglądała na drzwi, żeby sprawdzić, czy może Andrew postanowił wrócić. Wyszła przed dom, bo przecież mógłby siedzieć na schodach, ale tam go nie było. Debbie, sąsiadka z przeciwka, pomachała do niej, więc Elizabeth zrobiła to samo. Jeśli się jest agentem nieruchomości z sąsiedztwa, to nie można sobie pozwolić na zły humor ani robić awantur na oczach wszystkich. Agent nieruchomości jest jak znana osobistość, mimo że nie z najwyższego szczebla, i musi wiedzieć, że jego zachowanie będzie miało swoje konsekwencje, że jest pod ciągłą obserwacją. Elizabeth wróciła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Pół godziny później kolacja była gotowa, a Andrew wciąż nie wracał.

– Harry! Kolacja! – zawołała Elizabeth. Nakryła stół na trzy osoby, jak zwykle, choć wszystko wskazywało na to, że tylko ona jedna będzie jadła, a nawet nie była głodna.

Po kilku minutach Harry z hałasem zbiegł po schodach i szeroko otworzył oczy.

– Ooo?! – krzyknął, patrząc na swój talerz.

Wsunął się na krzesło, Elizabeth usiadła na swoim miejscu, naprzeciwko syna. Na talerzach pięknie prezentowały się filety z kurczaka, tarta marchewka i sałatka z kuskusem.

– Niecodziennie to wygląda, mamó.

– Jedz, Harry – powiedziała Elizabeth. Wzięła do ręki widelec i nóż, zaczęła jeść. Im dłużej żuła, tym bardziej robiła się głodna, jakby każdy kolejny połknięty kęs odblokowywał miejsce w jej żołądku.

Harry uważnie przyglądał się matce, a potem poszedł w jej ślady.

– Dobrze – pochwalił. – A gdzie tata?

– Poszedł na jogę – wyjaśniła Elizabeth z pełnymi ustami.

– Ach tak – powiedział Harry, zadowolony.

Posiłek skończyli w milczeniu, tak byli głęboko pochłonięci własnymi myślami. Harry poszedł z talerzem do kosza na śmieci, zgarnął resztki, odstawił talerz w zlewie i pobiegł z powrotem na górę.

– Muszę jeszcze wyjść do sklepu spożywczego, kochanie – zawołała Elizabeth, zanim zniknął w swoim pokoju. – Wrócę za dziesięć minut, dobrze? – Postawiła swój talerz na talerzu Harry’ego i wsunęła stopy w klapki. Andrew wspominał coś o Stratford Road.

Był cudowny wieczór – koniec czerwca, gdy nawet mieszkańcy Brooklynu musieli przyznać, że nie ma się czym martwić. Minęła już siódma, ale jeszcze nie robiło się ciemno. Elizabeth miała na sobie T-shirt i elastyczne spodnie do jogi, w których sypiała. Po drodze założyła włosy za uszy. Nie znosiła kłócić się z mężem. Nawet teraz, po tak długim czasie wspólnego życia, czasami przez głowę przemykała jej myśl – gwałtowna i jasna jak błyskawica – że wiele lat temu podjęła niewłaściwą decyzję i zrujnowała sobie życie. Andrew był mądry, poważny i przystojny. Z jednej strony zasobność jego rodziny doprowadzała go do furii, ale z drugiej nie musieli się martwić o przyszłość, szczególnie Harry’ego. Majątek Marksów rozpościerał się pod kołyską ich syna niczym strażacka siatka asekuracyjna, gotowa do użycia w razie potrzeby. Wszyscy znajomi Elizabeth i Andrew, zapytani o ich małżeństwo, powiedzieliby, że stanowią nadzwyczajną parę. Zgodną i idealnie dopasowaną. Doskonale się uzupełniali w dowcipkowaniu na przyjęciach. A jednak czasami się zastanawiała. Prawdopodobnie każdy robił to samo. Tak zapewne się dzieje w każdym małżeństwie. Ale wieczorami, gdy po ich kłótni wychodził z domu – stało się tak może cztery razy w czasie trwania ich związku, wliczając lata college’u – bo zamknięcie za sobą drzwi było o wiele łatwiejszym rozwiązaniem, które nie wymagało udziału adwokata, Elizabeth była pewna, że nadszedł koniec ich związku i mimo że bardzo kochała męża, uważała, że jest dla niej stracony na zawsze.

Dom na Stratford nietrudno było znaleźć – domyśliła się, o który chodziło. Sprzedawała go jakiś czas temu agencja Corcoran. Wprawdzie tego domu nie miała

w swojej ofercie, ale kiedyś w nim była. Elizabeth skręciła w Stratford od strony Beverly Road i skierowała się na południe. O stanie tego budynku mówiło się oględnie: „do odnowienia”. W biurze Deirdre nazywała go meliną narkomanów. W rzeczywistości nie była to melina narkomanów, przynajmniej nie oficjalnie, ale byli tam lokatorzy i najemcy i dziwne zamki w drzwiach prowadzących do sypialni z poplamionymi dywanami. Wszędzie prowizorka, ale nie każdy mógł zobaczyć, co się za tymi drzwiami znajduje.

Elizabeth zatrzymała się i wsparła ręce na biodrach. Od tego domu dzieliły ją tylko dwa budynki. Znajdował się na lewo, do strony Cortelyou. Miał ładną, szeroką werandę, a właściciele, gdyby ją chcieli odremontować jak należy, musieliby wydać około dwudziestu tysięcy. Co teraz miała zrobić? Wejść do środka? A jeśli go tam nie ma? Mógł równie dobrze siedzieć przy barze w Hiacyntce i rozmawiać z Jane. Może ją przeprosił za swoją przesadną reakcję i teraz, stukając się szklaneczkami napełnionymi whisky z najwyższej półki, wylewają żale na swoje żony? Elizabeth wyszła tylko na spacer, nic poza tym. Ponownie założyła włosy za uszy i ruszyła do tego domu.

Zanim cokolwiek zobaczyła, usłyszała głośną muzykę – taką jaka stanowi podkład dla scen ze śpiącymi bohaterami w kiepskich programach telewizyjnych – dźwięki sitaru na tle nieco bardziej współczesnych brzmień. Była to muzyka taneczna, zwana techno, elektroniczna i repetycyjna, na tyle donośna, że usłyszała ją z werandy. Z pewnością zaczną się zażalenia sąsiadów, gdy tylko zrobi się późno. W Ditmas Park nikt nie zwleka ze skargami na hałas.

Uczestnicy zabawy tańczyli. Wyglądem wszyscy przypominali Ruby, jeśli ją sobie wyobrazić ociekającą potem. Kręcili się wokół siebie z zamkniętymi oczami. Elizabeth zbliżyła się do jednego z dużych okien zasłoniętych roletami, ale ponieważ zrobiono je z przejrzystego materiału, a w środku paliło się światło, to z zewnątrz dobrze widziała, co się tam dzieje. W głównej sali było tłoczno, wszyscy rozbawieni, podskakiwali w rytm muzyki. Widziała ręce na pośladkach, ręce na twarzach, usta na ustach.

– O mój Boże! – powiedziała głośno. – Trafiałam na jakąś frywolną imprezę. – Już się miała odwrócić i iść do Hiacyntki, po tym, co zobaczyła, całkowicie pewna, że tam znajdzie męża raczącego się jakimś wspaniałym daniem, ale wtedy go dostrzegła.

Andrew ociekał potem. T-shirt przykleił się mu do szczupłego torsu. Głowę miał odrzuconą do tyłu, kołysał nią leniwie z boku na bok. Nie tańczył tak od dawna. Poczua się jak duch minionych lat własnego męża – tak, jakby obserwowała siebie i Andrew, gdy mieli po dziewiętnaście lat i po ekstazie przez całą noc lizali się nawzajem po twarzach tylko dla zabawnego dotyku na językach. Ale Elizabeth nie znajdowała się w środku zabawy, tylko stała na zewnątrz, i nie lizała męża po twarzy. Na jego szczęście nikt inny też tego nie robił, ale Andrew sprawiał wrażenie, że bez najmniejszego sprzeciwu dopuściłby do ust wszystkich młodych, mężczyzn i kobiety, przeciskających się obok i napierających na niego. Nie była to twarz wyrażająca przyzwoitość. Nie była to twarz żonatego mężczyzny. To była twarz jakiegoś mężczyzny w średnim wieku, któremu puściły hamulce.

Rozdział 23

Ruby nie mogła uwierzyć – zajęcia trwały od dziesięciu minut, a ona w ostatnim rzędzie siedziała sama. Harry dał drapaką, podczas gdy ona przysłała na kurs. Następna symulacja ataku grypy żołądkowej skończyłaby się wezwaniem jej matek przez Jaśnie Panią Dork. Siedziała na swoim miejscu, na wolnym krześle z lewej strony położyła torbę, a na stojącym po prawej dżinsową kurtkę, na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał usiąść za blisko niej. Rebecca uśmiechnęła się i pomachała do niej ręką. Eliza i Thayer zrobili do Ruby kilka idiotycznych min, ale ani na jedno, ani na drugie nie zareagowała. Przerzuciła kartki z pierwszym zadaniem – „Porównania z użyciem słowa «śmiech»” – i zaczęła rysować Binga z papierosem i w pelerynie superbohatera.

Zajęcia ciągnęły się w nieskończoność. Trzy godziny testów próbnych i wskazówek, jak sobie radzić z pytaniami zamkniętymi wielokrotnego wyboru, jeżeli się nie zna prawidłowej odpowiedzi. Ruby pomyślała, że skoro za pierwszym razem tak skutecznie zawałała test kwalifikacyjny, to z powodzeniem mogłaby prowadzić zajęcia zamiast Rebekki i robiłaby to o wiele lepiej od niej. Zastosowałaby jedną prostą metodę – poradziłaby, żeby robić wszystko odwrotnie, niż ona zrobiła, a dodatkowe punkty zebrać, nie pomijając co trzeciego pytania. Jutro będzie już lipiec, czyli połowa kursu zaliczona. Starła się to powtarzać jak mantrę. Ciałem musiała być obecna w tej sali, ale myślami wędrowała daleko poza nią. Próbowwała dokonać projekcji astralnej, ale okazało się, że Thayer, która przez cały czas żuła gumę, za bardzo ją rozprasza. Ruby zamalowywała więc dymki w kształcie ryb zjadających mniejsze ryby.

Nie w tym rzecz, że miała coś przeciwko college'owi jako takiemu. Czuła tylko, że świat ma jej do zaoferowania aż nazbyt wiele wyjątkowych doświadczeń, żeby miała się zajmować jedną sprawą przez tyle lat, zwłaszcza że przez całe swoje dotychczasowe życie, aż do tego momentu, robiła dokładnie to samo, co ją tam czekało. Kiedy miała swój czas na podróż w nieznane? Na wędrownie życie? Programy telewizyjne na żywo i biuletyny stowarzyszenia na rzecz etycznego traktowania zwierząt wyrządziły już wiele szkód, ale nie mogą zabić w niej marzeń o prowadzeniu życia wyzwolonej kobiety w Stanach Zjednoczonych Ameryki. A jeśli pewnego dnia będzie miała ochotę zostać striptizerką? Wcale nie chciała, ale gdyby? A jeżeli chciałaby sobie zrobić zwariowane tatuaże z nowymi przyjaciółmi? Ruby miała już dwa. Jej matki o nich wiedziały, ale nawet nie udawały, że je to choć trochę obchodzi. Jeden z nich to gwiazdka między pachą a piersią, drugi – litera B jak Bingo na lewym paluchu. Mumusia tak jej zazdrościła tego „B”, że sobie też zrobiła, ale dopiero wtedy, gdy złożyła Ruby obietnicę, że obie w tym samym czasie nie odślwią paluchów w obecności żadnego ze znajomych Ruby.

Uczniowie w rzędzie przed nią wstali, chowali materiały, które otrzymali do domu.

– Fantastycznie – powiedziała Ruby głośno i poszła w ich ślady. Pomachała Rebecce, pokazała środkowy palec Elizie i Thayer i pierwsza znalazła się za drzwiami.

Harry stał w słonecznych okularach na zewnątrz. Miał ze sobą wypchaną po brzegi torbę, zawieszoną na lewym ramieniu, i parasol plażowy, na którym wspierał się prawą ręką.

– Mademoiselle gotowa? – zapytał. – Kierunek brudna, hipsterska plaża w Rockaways! Znalazłem ją w internecie. Taksówka czeka. Taksówka to znaczy metro. Zanim się tam dostaniemy, minie kilkaset lat, ale przysięgam, to miejsce jest tego warte.

– Ale czad! Jasne, że jedziemy! – krzyknęła Ruby i podniosła ręce na znak zwycięstwa.

Część druga

JANE MÓWI...

DITMAS PARK – LOKALNE AKTUALNOŚCI

Joga na Stratford Road

EWOLUtorium powstało z inicjatywy Davida Goldsmitha, który przed otwarciem swego nowego studia jogi i centrum odnowy zdrowia na Stratford Road w Ditmas Park mieszkał niedługo. „Rozglądałem się po Brooklynie – głównie po Williamsburgu i Bushwick – aż pewnego dnia znajomy pokazał mi to miejsce”, powiedział nam David. „Podobnie jak wiele osób, od razu się nim zachwyciłem. W EWOLUtorium oferujemy zajęcia z jogi i masaże, serwujemy soki i inne napoje”. Goldsmith pragnie się zaangażować w życie lokalnej społeczności. Do EWOLUtorium warto zajrzeć! Jednorazowe wejście kosztuje 11 dolarów, w ramach karnetu obowiązuje cena z rabatem. Próbowaliśmy soku z jarmużu i jabłek z dodatkiem imbiru, jest przepyszny!

Rozdział 24

To była więcej niż zabawa – pierwszy raz od wielu lat trafił mu się taki wieczór – choć właściwie „zabawa” nie jest tu odpowiednim słowem. Salome nazywała te taneczne imprezy kosmicznymi transami i rzeczywiście ta, w której uczestniczył Andrew, okazała się piekielnie kosmiczna, bez dwóch zdań. Andrew nigdy nie należał do miłośników tańca – w szkole średniej czasem zdarzało mu się przyłączyć do kolegów tańczących pogo podczas pokazów i popisywać się w samym środku grupy, a w Oberlin zawieszał się na pięknych dziewczynach z krótkimi włosami i kolczykami w nosie, kiedy po solidnej dawce alkoholu ledwie się trzymał na nogach. Ale tak naprawdę nie lubił tańczyć. Miał za dobrze rozwiniętą samoświadomość. Zoe studiowała na wydziale tańca, wciąż się tarzała po podłodze i te swoje wywijasy nazywała układami choreograficznymi. Tym sposobem zdobywała wszystkie swoje dziewczyny. Elizabeth miała upodobania bardziej zbliżone do jego, najlepiej się czuła pod ścianą, gdzie kiwała głową do muzyki i trzymając na wysokości twarzy plastikowy, czerwony kubek, rozmawiała szeptem z każdym, kto znalazł się obok niej. Andrew nawet nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że to szeptanie aż do tego stopnia mu obrzydło.

Na początku, kiedy Salome włączyła muzykę, wszyscy siedzieli na podłodze. Niektórzy delikatnie masowali sobie nawzajem plecy. Andrew zamknął oczy i usadowił się na małej poduszce w narożniku sali. Chciał rozluźnić ciało, oczyścić umysł. Próbował terapii przez rozmowę, ale uznał, że nie jest ona dla niego. Nie można niczego zmienić, siedząc w pokoju w towarzystwie obcej osoby, której się przedstawia własną wersję wydarzeń. Andrew wolał interakcję i czerpanie uzdrawiającej siły z zewnątrz. Wciągnęła go muzyka, rytmiczna i oszałamiająca. Nie potrafił powiedzieć, czy jego uwagę przykuwały gitary czy syntezatory czy ani jedno, ani drugie, a tylko odgłosy komputerowo wygenerowane przez dzieciaka w domowej suterenie. Zapewne te ostatnie. Czy ktoś jeszcze się uczy grać na prawdziwym instrumencie? Nie, nie miał zamiaru się nad tym zastanawiać, nie zamierzał się zachowywać jak Clint Eastwood i przeganiać dzieci ze swego trawnika. Andrew postanowił się odprężyć i czekał.

Wyszedł stamtąd dopiero o trzeciej nad ranem przesiąknięty potem własnym i innych uczestników imprezy. EWOLUtorium przekształciło się w szklarnię, a każdy, kto się w niej znalazł, w cieplarniany kwiat. Chłodne powietrze na Stratford Road działało orzeźwiająco, podobnie jak woda ogórkowa z dzbanków krążących z rąk do rąk, którą wzajemnie polewali sobie głowy.

Elizabeth będzie wściekła, chyba że się o niego martwi. Andrew nie wiedział, co gorsze. Niepokój może nieco złagodzić jej gniew, gdy odetchnie z ulgą, że nic złego mu się nie przydarzyło. Przecież nie jest dzieckiem. Dlaczego miałyby zakładać, że spotkało go nieszczęście? Andrew zastanawiał się, co mu się tak spodobało w EWOLUtorium, że lubił w nim przebywać, ale nie przychodził mu na myśl żaden argument, który nie sugerowałby, że dzielił go zaledwie krok od pójścia do łóżka z dziewiętnastolatką.

Wcale nie o to mu chodziło. Andrew nie wykazywał żadnego zainteresowania seksem z pięknymi, młodymi kobietami. Przez studio przewijało się mnóstwo

niewiarygodnie atrakcyjnych dziewczyn, które przygotowywały soki, tańczyły i stawały na rękach, odsłaniając przy okazji brzuchy i bieliznę, a Andrew się czuł jak współczesny Humbert Humbert albo jak odpowiednik Stinga, tylko pochodzący z żydowskiej rodziny. Andrew patrzył na nie obojętnie. Jediną dziewiętnastoletnią osobą, z którą pragnął uprawiać seks, był on sam. Chciał się cofnąć w czasie i zobaczyć siebie zdejmującego ubranie z tak obezwładniającym strachem, że aż nie potrafił zapanować nad nieprzystępnym grymasem, nawet gdy przyszło mu się kochać z pewną osobą po raz pierwszy.

Andrew i Elizabeth znali się z akademika. W zajęciach z niektórymi przedmiotów – wprowadzenie do kreatywnego pisania, dzieje dinozaurów, nauki ścisłe – uczestniczyli oboje, bo były obowiązkowe dla wszystkich studentów wydziałów humanistycznych. W tym czasie trochę się ze sobą przyjaźnili. Zdarzało się, że spotkali się poza biblioteką i wtedy siadali na ławce i palili papierosy. Elizabeth była taka urocza, taka małomiasteczkowa – Andrew polubił ją od samego początku, jeszcze zanim razem założyli zespół i przekonał się, co ona naprawdę potrafi. Nie była zmanierowana jak jego dawni koledzy. Ani rozpuszczona. Umiała dziergać na drutach. Kiedyś wybrali się do kręgielni i ona w każdym rzucie strącała wszystkie kręgle. Okazało się, że grała w drużynie kręglarskiej w szkole średniej. W jakiej szkole istnieje drużyna kręglarska? Andrew przypuszczał nawet, że Elizabeth wychowywała się w latach pięćdziesiątych i w Oberlin znalazła się poprzez teleportację w czasie i przestrzeni. Z kolei Lydia mogłaby być jego siostrą bliźniaczką. Pochodziła ze Scarsdale, położonego niezbyt daleko od Upper East Side. Miała bogatych rodziców, własny samochód i kartę kredytową, której nie obawiała się używać. Podobnie jak jego znajomi z liceum, Lydia była przebiegła niczym wąż i tę cechę bez wątpienia przejęła od swoich rodziców. Ona łatwo odnalazłaby się u niego w domu. Jego matka byłaby nią zachwycona.

Andrew nie był poza domem o trzeciej nad ranem od czasu niemowlęstwa Harry'ego. Spacerowali z nim wtedy razem z Elizabeth po okolicznych ulicach, próbując go nakłonić do spania, przemykali się w ciemności jak trzy zjawy. Oboje uciszali się nawzajem i kołysali w zgodnym rytmie, niezależnie od tego, które z nich akurat niosło dziecko w nosidełku. W Ditmas Park zawsze panował spokój, ale z tej bliskiej odległości, dzielącej go od Coney Island Avenue, wyraźniej było słychać odgłosy samochodów ciężarowych i klaksonów, nawet w środku nocy. Prawdą jest to, co się mówi o Nowym Jorku i spaniu – Andrew zupełnie o tym powiedzeniu zapomniał. Skręcił w prawo, w Beverly, i zmierzał w kierunku Argyle. Lekki wiatr zrobił swoje. Andrew poczuł przyjemny chłód na wilgotnym od potu czole. Lato było jedyną porą roku, która się dla niego liczyła – zima istniała wyłącznie po to, żeby odczuwał jeszcze większą wdzięczność za nadejście czerwca właśnie teraz.

Po cichu otworzył kluczem drzwi do domu i postawił buty obok nich. Iggy Pop spał na kanapie. Andrew wziął kota na ręce i zabrał go ze sobą na górę. Kot wygiął się w pałąk w jego objęciach, wciąż bardziej zaspany niż przebudzony. Drzwi do sypialni były uchylone. Andrew z korytarza zobaczył, że Elizabeth zostawiła włączoną lampkę nocną po swojej stronie łóżka. Palcem od nogi uchylił szerzej drzwi, wszedł do środka i delikatnie położył kota na łóżku.

Elizabeth się poruszyła. Nie należała do osób, które śpią twardym snem, ale od urodzenia Harry'ego – a nawet przez długi czas potem, kiedy już przestał się budzić w nocy – otwierała oczy na odgłos samochodów przejeżdżających ulicą, dźwięk syren z oddali albo na szczekanie psów. Andrew wiedział o tym tylko dlatego, że opowiadała mu rano, bo on sam zawsze spał doskonale. Robiła mu z tego powodu wymówki, więc czasem się posprzeczali, ale nie były to poważne spięcia, tylko przekomarzanie się, że ona źle spała w przeciwieństwie do niego, a on nie słyszał, co ją wybiło ze snu. Andrew zdjął koszulkę i szorty. Wyschnięty pot pozostawił na skórze warstewkę soli i trochę nieprzyjemny zapach, ale Elizabeth nigdy z takich powodów nie robiła problemów.

– Gdzie byłeś? – zapytała cicho Elizabeth. Odwróciła się twarzą do niego.

– W studiu jogi. Na tańcach. – Andrew usiadł po swojej stronie na brzegu łóżka. Stopa Elizabeth wystawała spod prześcieradła. Położył dłoń na jej nodze na wysokości kostki.

– Na tańcach? – Patrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek, a Andrew starał się zgadnąć, czy powodem tego spojrzenia była jej senność czy odraza.

Zgasił światło.

– Tak, na tańcach.

Odwinął prześcieradło i wsunął się pod nie. W ciemności przybliżył się do żony. Ciało Elizabeth było niczym ocean, rozległe i chłodne. Najpierw pocałował ją w rękę, a ponieważ go nie odepchnęła, pocałował w ramię, potem w policzek. Zanim zaczął całować ją w usta, poruszała się to w jedną, to w drugą stronę jak wąż, który szykuje się do ataku, a Andrew wiedział, że niezależnie od tego, co się wydarzy potem, będzie dobrze. Podobnie bywało, gdy byli bardzo młodzi: figlarni, skłonni do pieszczot. Elizabeth była aktywną kochanką, jak wysportowana licealistka, którą była w szkole średniej, z zaróżowionymi policzkami i tryskająca energią. Turlali się po łóżku, wyprężeni jak dwa lwy, gryząc się i drapiąc nawzajem po różnych częściach ciała. Niedługo potem znaleźli się w dobrze znanej konfiguracji – wiedzieli, która najlepiej się sprawdza. W uszach wciąż słyszał wibrujące odgłosy imprezy, a w sypialni dudniło jak na peronie metra.

– Za bardzo hałasuję? – zapytał Elizabeth, leżąc płasko na jej plecach z rękoma pod jej biodrami i z twarzą między jej nogami.

– Harry jest u kolegi. Wracaj do swoich zajęć – odpowiedziała, przyciskając jego głowę swego ciała.

Rozdział 25

Dochodziła druga, gdy w końcu dotknęli stopami piasku. Harry rzucił na ziemię parasol i dwie ogromne torby. Ruby pochyliła się, żeby sięgnąć po plażowy ręcznik, ale Harry wyciągnął rękę i ją powstrzymał.

– Pozwól, proszę – powiedział. – Ja się tym zajmę.

Rozłożył dwa ręczniki, pomiędzy nimi wbił w ziemię parasol i zapraszającym gestem pokazał Ruby, że już może usiąść. Piasek był brudnawy, tu i tam wystawały z niego papierki po cukierkach i niedopałki papierosów, ale woda wydawała się czysta. Sporo osób się kąpało. Matka, od kiedy Harry pamiętał, powtarzała mu, że plaże w Nowym Jorku to strefy zalegania odpadów toksycznych i trzeba je za wszelką cenę omijać z daleka, ale on jej na szczęście nie słuchał. Ciekawe, jakie jeszcze czekają na niego przyjemności? Elizabeth nie lubiła boczku, więc go nie jedli, nigdy. Harry postanowił zafundować sobie burgera z boczkiem, sałatą i pomidorem i zamierzał poprosić o podwójną porcję boczku. Zje megaburgera z boczkiem, sałatą i pomidorem, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila.

– Co masz w tych torbach?

Harry pogrzebał w jednej z nich i wyciągnął plastikowe wiaderko i łopatkę.

– Nieźle! – Ruby się roześmiała. – Coś jeszcze?

Harry znów się pochylił nad torbą i wyjął niewielką lodówkę turystyczną. Wewnątrz znajdowały się dwie małe puszkki szampana. Musiał poświęcić całą godzinę i czterdzieści dolarów, żeby namówić pewną młodą kobietę napotkaną na Cortelyou do tego zakupu.

– Na zdrowie – powiedział, otworzył puszkę i podał ją Ruby, która pociągnęła zaledwie odrobinę płynu, i Harry od razu się zorientował, że zrobił na niej wrażenie.

Na plaży zebrało się sporo wiekowych Rosjanek, które przechadzały się z hantlami po promenadzie tam i z powrotem, trzymając się w bezpiecznej odległości od facetów z brodami i w ciemnych okularach i dziewcząt w skąpych spodenkach i obciętych T-shirtach.

– Czuję się tu jak na billboardzie z reklamą American Apparel – stwierdziła Ruby.
– Tylko dodatkowo jest piwo i piasek.

Harry nie wiedział, czy to miała być pochwała czy wręcz przeciwnie, ale wyglądało na to, że Ruby dobrze się bawi, więc tylko skinął głową na potwierdzenie.

– Taaak – dodał po chwili.

Ucięli sobie krótką drzemkę, potem popluskali się w wodzie. Żadne z nich nie miało stroju kąpielowego, ale się tym nie przejmowali. Ruby zdjęła sukienkę. Miała miękki, kremowobrazowy brzuch, oczywiście w tym samym kolorze co całą resztę, ale i tak każdy centymetr jej dotąd niewidocznego, a teraz odsłoniętego ciała przyprawiał Harry'ego o silniejszy dreszczyk emocji. Miała wyjątkowo kształny, mały pępek idealnie w samym środku brzucha! Przez cienki, koronkowy biustonosz widział więcej niż tylko zarys jej piersi, a kiedy oddalała się od niego, idąc do wody jedynie w biustonoszu i figach, starał się nie dostać ataku serca. Zdjął koszulę i dżinsy i poszedł się kąpać

w bokserkach, modląc się, żeby nie rozchylił mu się rozporek. Po drugiej stronie promenady znajdował się bar z burgerami. Ruby została przy ich ręcznikach, a Harry poszedł po jedzenie. Zlizała kroplę keczupu, która skapnęła jej na rękę. To była najpiękniejsza plaża, jaką ktokolwiek kiedykolwiek widział, mimo samolotów przelatujących nad ich głowami w kierunku lotniska im. Johna F. Kennedy'ego, krzyku mew, ogólnego zgiełku i mnóstwa ludzi. Gdzie okiem sięgnąć, leżały ręczniki, a na nich całe dominikańskie rodziny, hipsterzy z cudacznymi wąsami, starszki w elastycznych kąpielówkach i otyłe kobiety w bikini. Harry podziękował Bogu, że jego rodzice nigdy nie przenieśli się na przedmieścia albo do Francji czy w inne miejsce na świecie. Ruby rozbawiona po szampanie, śmiała się perliście, a on smarował jej ramiona kremem ochronnym. Harry robił to tak długo, jak się dało, malował nim różne wzory i zanim rozprowadził krem na jej skórze, fotografował je aparatem w telefonie.

W barze z burgerami robiło się gwarno. W drodze powrotnej do pociągu Harry i Ruby zatrzymali się przed wejściem i przez kilka minut przyglądali się tym, którzy przyszli potańczyć i posiedzieć przy piwie.

– Czuję się jak w kinie – powiedział Harry. – Na filmie o śmiertelnym potrąceniu włóczęgi przez pijanych kierowców.

– A my oglądamy tę scenę w ciągle powtarzających się retrospekcjach – dodała Ruby. – Też tak to widzę.

Harry pozwolił Ruby nieść mniejszą torbę, już lżejszą, bo nie było w niej napojów ani przekąsek, ani zabawek plażowych, które gdzieś mu się zawieruszyły, ale z łatwością pogodził się ze stratą. Zresztą zabrał je ze sobą raczej dla żartu, chociaż przyglądanie się Ruby budującej zamek z piasku sprawiło mu prawdziwą przyjemność. On sam nie zdecydowałby się na taką zabawę, bo wolał się nie narażać na posądzenie o dziecinadę, ale Ruby oczywiście takimi rzeczami się nie przejmowała. Wsiadli do pociągu i zajęli miejsca obok siebie, przodem do kierunku jazdy. Harry usiadł przy oknie, a Ruby od strony przejścia. Gdy tylko się usadowili, ona oparła głowę na jego ramieniu i objęła go w pasie.

– Było fajnie – stwierdziła. – Prawie tak dobrze, że nawet minęła mi złość na ciebie, że nie zjawiłeś się dziś rano na tych debilnych zajęciach.

– Mnie też się podobało – powiedział. Wyprostował się jak struna i starał się nie poruszyć, żeby Ruby przypadkiem nie pomyślała, że się wierci, bo nie chce, żeby siedziała tak blisko. Na kolejnej stacji jakiś mężczyzna próbował się wcisnąć na kawałek wolnego miejsca obok nich, ale było ciasno i mógłby przygnieść sobą kolana Ruby, a ona musiałaby zmienić pozycję, więc Harry posłał mu najbardziej śmiertelne spojrzenie, na jakie się do tej pory w życiu zdobył, i tamten się oddalił.

– Śmierdzimy czy co? – zdziwiła się Ruby. – Nikt przy nas nie chce siedzieć.

– To ty tak cuchniesz – szepnął Harry do ucha Ruby. – Jak spalone śmieci. – Zamilkł ze strachu, że posunął się za daleko. Czuł w powietrzu niebezpieczeństwo, że w każdej chwili Ruby może się odsunąć, spojrzeć na niego i zobaczyć, jak się przedstawia rzeczywistość, że w dalszym ciągu jest Harrym, tylko Harrym, a wcale nie tą osobą, do której ona chce się przytulać w metrze.

Ale Ruby mruknęła „mmm” i przysunęła się bliżej.

– To mój ulubiony zapach – powiedziała.

Wkrótce potem usnęła i spała całą drogę, aż do stacji, na której musieli przejść do metra linii Q, żeby dojechać do domu. Wyszli na stacji Cortelyou. Harry był podenerwowany. Ruby po drzemce wydawała się wypoczęta i zadowolona. Miała trochę za mocno opalony nos, mimo artystycznych starań Harry'ego i grubej warstwy kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Wbiegła po schodach i skierowała się w stronę Argyle Road. Harry się zatrzymał.

– Zaczekaj – powiedział półgłosem. Biuro jego matki znajdowało się zaledwie o kilka kroków dalej, a on nie chciał tamtędy przechodzić, na wszelki wypadek, gdyby ona akurat siedziała przy swoim biurku.

– Co się dzieje? – zapytała Ruby.

– Chodźmy tędy. – Harry wskazał głową w przeciwnym kierunku.

– Niech ci będzie – zgodziła się. – Ale chyba wiesz, że droga do naszych domów prowadzi w tamtą stronę, prawda? Walnąłeś się w głowę pod moją niewagę?

– Po prostu mi zaufaj – powiedział i ruszył do przodu.

Przekonanie przypadkowej osoby spotkanej na ulicy do kupienia mu szampana poszło dość łatwo, ale realizacja części B jego planu była o wiele trudniejsza. Klucze do wszystkich nieruchomości, którymi zajmowała się Elizabeth, przechowywała w biurze. Tylko w czasie weekendów, kiedy miała do pokazania kilka domów, zabierała je ze sobą i trzymała w etui z zamkiem błyskawicznym, które wieszała na haczyku nad domowym biurkiem. Latem zawsze był większy ruch i codziennie biegała z jednego miejsca do drugiego – w ofercie miała kilka domów położonych nieco dalej na południe, bliżej Brooklyn College, a jeden na Szesnastej Ulicy, we wschodniej części miasta. To był naprawdę duży dom przy torach metra. Dwa domy miała pokazywać w niedzielę, a w tym przy linii metra już była tego dnia po południu. Harry zdawał sobie sprawę z ryzyka, które wiązało się z wzięciem kluczy, mimo to je zabrał i udał się z nimi do sklepu z artykułami żelaznymi. Po pięciu minutach wyszedł z dodatkowym kompletem. Właściciele domu przeprowadzili się na Florydę. Dom z ogromnymi, starodawnymi, drewnianymi meblami w ciemnym kolorze i ciężkimi, tradycyjnymi krzesłami w jadalni stał pusty. W jednej z mniejszych sypialni znajdowała się kolekcja lalek, które Elizabeth pochowała do kartonów i zaniósła do piwnicy. Przejeżdżające przez ogród pociągi metra były już wystarczającą niedogodnością i lalki nie musiały jeszcze bardziej odstraszać potencjalnych klientów.

Na werandzie panował półmrok i Ruby wahała się trochę, zanim weszła za Harrym po schodach.

– Czyj to dom? – zapytała szeptem.

– Nasz – odpowiedział Harry. Wiedział, że w domu nie ma systemu alarmowego, chociaż na podstawie naklejek na okiennych szybach i znaku na trawniku można było sądzić, że jest. Matka mówiła mu, że taką praktykę stosuje się w siedemdziesięciu procentach domów w sąsiedztwie.

Ruby pospieszyła za nim.

– Mówisz poważnie? – dociekała, ale Harry już otworzył drzwi wejściowe. Wciągnął ją do środka i zamknął je za sobą. – Czyj to dom? Masz chyba narobione

w głowie!

Pomysł był szalony, trochę, i wiedział, że mogą sprowadzić na siebie gigantyczne kłopoty, i na jego mamę też.

– Mówiłem ci już. Jest nasz. – Harry nie był pewien, czy może uchodzić za tajemniczego, ale już same starania uznał za zabawne.

Ruby była ze dwa centymetry wyższa od niego, może trochę więcej. Wciągnęła dolną wargę i się rozglądała.

– Podejź tu – poprosił Harry.

– Gdzie tu? – zapytała Ruby. Zajrzała zza rogu do ciemnej kuchni.

– Tutaj. – Zrobił krok do przodu, znalazł się tuż przy niej i ją pocałował.

Oczywiście w całowaniu Ruby była dobra. Przystawali i zaczynali od nowa, przestawali i znów się całowali i przyglądali się sobie uważnie. Otwierała i zamykała usta, przesuwała językiem po jego języku, aż Harry wydał jęk przypominający wycie Chewbakki, ale wcale się tym nie przejął. Mógłby tam nawet wtargnąć oddział służb specjalnych policji z karabinami maszynowymi i zabrać go do więzienia federalnego, a on też by się nie przejął. Ryzyko, na które się zdecydował, w stu procentach warto było podjąć. Ruby odsunęła się, wzięła go za rękę i ruszyła w głąb mrocznego domu.

– Idziemy – powiedziała. – Bliżej się poznać.

Przez cały dzień Harry próbował zapanować nad swoim penisem, przekonywał go, żeby się nie podnosił i zachowywał spokojnie, ale teraz wszystkie starania spełzły na niczym. Erekcja była tak silna, że penis napierał na dżinsy. Gdy Ruby przypadkowo dotknęła Harry'ego w tym miejscu nadgarstkiem i zawołała: „Hej tam, witaj!”, zrobił się jeszcze większy. Jeżeli tak wygląda życie przestępcy, to Harry chętnie się na nie pisze.

Rozdział 26

Dom na wschodniej Dziewiętnastej Ulicy sprzedaje się szybko – po dniach otwartych wpłynęły trzy oferty, więc pozostała tylko kwestia, kto ostatecznie zdecyduje się zapłacić. Elizabeth bardzo lubiła szybki ruch w interesie, gdy zgłaszało się wielu potencjalnych klientów. We wszystkich ofertach widniały ceny niższe od sugerowanych przez sprzedających, ale jeżeli zainteresowani klienci wiedzą, że mają konkurentów, składają propozycje cenowe i kwoty dość szybko osiągną poziom powyżej dwóch milionów. Sprzedawcy będą zachwyceni. Ich dom w Boca kosztował prawdopodobnie poniżej miliona. Zbliżoną kwotę trzeba wydać na pokrycie kosztów nauki wnuków w college’u. Trudno tu mówić wyłącznie o chciwości. Elizabeth siedziała przy swoim biurku w pracy i przeglądała oferty. Deirdre zajrzała jej przez ramię.

– Nie najgorzej – powiedziała Deirdre, która obcięła włosy. Chciała – tak w każdym razie wyjaśniła – żeby ludzie brali ją za Halle Berry. Deirdre była bardzo atrakcyjną kobietą w rozmiarze czternastym, a Elizabeth uważała, że naprawdę wygląda jak gwiazda filmowa. Zawsze nosiła obcisłe sweterki w kolorze szmaragdowym albo rubinowym. Członkowie rodziny O’Connellów byli nią zauroczeni, a Elizabeth wcale się im nie dziwiła. Mary Ann i jej dzieci mieli ziemistą karnację, skórę gęsto usianą piegami, nawet na rękach i nogach. Każde z nich zawsze wyglądało jak po ospie wietrznej o łagodnym przebiegu.

– Fantastycznie! – ucieszyła się Elizabeth, trzymając w dłoni jedną z propozycji cenowych. – Naprawdę poczułam do tej pary sympatię. Oboje młodzi, przyjacielscy. Może przyszli członkowie naszego klubu książki.

– Czy twoi klienci wiedzą, że szukasz wśród nich przyjaciół dla siebie? – Deirdre uniosła brew, a potem się roześmiała. – Pamiętaj, że taki układ działa tylko pod warunkiem, że twoi przyjaciele nie wręczają ci czeku bez pokrycia! Osobiście sprzedałabym dom nawet pierwszemu lepsze dupkowi z czekiem, którego bank nie zakwestionuje. Ja lubię bogatych i bezdusnych.

– Nie, to nieprawda – obruszyła się Elizabeth.

Zanim Deirdre zdążyła zareagować, zadzwonił telefon Elizabeth.

– Łączę z Naomi Vandenhoovel – rozległ się czyjś głos w słuchawce.

– Cholera! – mruknęła Elizabeth. – Tylko nie znowu ona.

– Lizzzz-eeeeeeee! – krzyknęła Naomi. – Jestem w Nowym Jorku! Wpadnij do mnie na kawę! Przyjdź do biura! Chcę ci pokazać, co do tej pory udało się nam zrobić. Będziesz po wrażeeniem!

– Cześć, Naomi – przywitała ją Elizabeth. – Jak się miewasz? – Zrobiła zniecierpliwioną minę. – To nic ważnego – szepnęła do Deirdre.

– Zamarza mi tyłek, bo klimatyzacja w biurze chodzi na automatycznym pilocie, ale poza tym czuję się doskonale – odpowiedziała Naomi. – Przyślę ci mój adres mailem. Wpadnij dzisiaj po południu o dowolnej porze, jestem wolna. Musisz zobaczyć naszą Lydię. Ciao-ciao! – Odłożyła słuchawkę.

Elizabeth włożyła telefon z powrotem do stacji dokującej i spojrzała na stos

dokumentów na swoim biurku. Pracę zaplanowaną na ten dzień już wykonała – wysłała odpowiedzi do wszystkich agentów i do wszystkich klientów. Każdy otrzymał niezbędne wskazówki. Wprawdzie w biurze zawsze jest coś do zrobienia, ale nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli na kilka godzin wyjdzie do miasta.

Naomi urzędowała w sali konferencyjnej w budynku na Piątej Alei, znajdującym się w tej jej części, w której numery mieściły się w przedziale „pięćdziesiątek”. Elizabeth musiała podać swoje nazwisko trzem różnym osobom siedzącym przy biurkach, które potem kolejno szeptały coś do telefonu i sprawdzały jej nazwisko w komputerze. Ostatni strażnik przy wejściu, młody, niemrawy mężczyzna z muszką, poprosił, żeby zaczekała, i powiedział, że asystentka Naomi za chwilę przyjdzie. Dziewczyna z krótką i staranną fryzurą afro i ustami pomalowanymi jasnoczerwoną szminką zjawiała się po kilku minutach.

– Elizabeth? – zapytała wyraźnie znudzonym głosem. – Proszę za mną.

Szły wzdłuż ścian wyłożonych do połowy wysokości okładziną ze stali nierdzewnej. Po drodze mijały przeszklone gabinety. Elizabeth zaglądała do każdego z nich, na wszelki wypadek, żeby nie przeoczyć jakiejś gwiazdy filmowej, która być może akurat przyszła z wizytą. To studio wypuszczało prestiżowe filmy, nagradzane. Naomi nie była tu byle kim. Wreszcie dotarły do właściwych drzwi. Elizabeth z zewnątrz dostrzegła Naomi, która rozmawiała z młodą kobietą siedzącą tyłem do wejścia. Zatrzymała się – nawet widząc jedynie jej plecy, od razu się zorientowała, że ta młoda osoba, niezależnie od tego, kim jest w rzeczywistości, to ich Lydia. I gdyby nie wiedziała, jak jest naprawdę, pomyślałaby, że to również jej Lydia. Identyczne włosy – gęste i ciemne, rozczochrane, jak gdyby nigdy nie widziały grzebienia. Nie tylko ze względu na modę. Lydia nie miała ani szczotki, ani grzebienia, ani suszarki. Wyzbyła się tych akcesoriów, kiedy przeniosła się do Oberlin na studia. Scarsdale zniknęło we wstecznym lusterku jej samochodu, a ona nie miała zamiaru nigdy tam wracać.

– Wiiiiitaj! – zawołała Naomi, rozkładając szeroko ramiona. – Oto nasz geniusz!

Była wyższa, niż Elizabeth się spodziewała, miała okulary w grubych oprawkach i idealnie proste, jasnoblond włosy z jaśniejszymi pasemkami, sięgające jej do połowy pleców.

– Mówisz o mnie? – zapytała Elizabeth. Pozwoliła się objąć Naomi i wchłonęła w siebie chmurę perfum o słodkim zapachu.

– Oczywiście, że o tobie! – Naomi odstąpiła krok do tyłu, trzymając Elizabeth za rękę. – Darcey, to jest Elizabeth Marx, która napisała słowa do piosenki *Sama sobie jestem panią*. A niech mnie, ona naprawdę je napisała, wyobrażasz sobie? Istny cud, nie było nic, aż tu Elizabeth napisała słowa i proszę bardzo, jest piosenka, że głowę urywa.

Darcey wstała i się odwróciła. Nie tylko z powodu włosów wyglądała jak Lydia – miała uderzająco podobne oczy, policzki, brodę. Elizabeth w jednej chwili zrozumiała, dlaczego Naomi tak nalegała na spotkanie.

– O mój Boże! – zdumiała się Elizabeth.

Darcey zrobiła to, co robią aktorki, zamiast się rumienić: uśmiechnęła się i skłoniła głowę w jedną stronę, potem w drugą.

– Wiem – powiedziała. – Urodziłam się do tej roli. Gdybym dostała dolara za każdą osobę, która powiedziałaby mi, że wyglądam jak Lydia...

– Nie zebrałaś nawet połowy kwoty, którą dostaniesz za rolę w tym filmie! Ha!

– Naomi przyciągnęła Elizabeth bliżej i lekko popchnęła ją w stronę białego, skórzanego fotela biurowego.

Darcey usiadła na swoim miejscu, naprzeciwko Elizabeth, która próbowała oderwać od niej wzrok, ale nie potrafiła. Darcey wydawała się z tego zadowolona, uśmiechała się szeroko za każdym razem, gdy ich spojrzenia się spotkały.

– Znalazłam jeszcze coś – powiedziała Naomi. – Widziałas to, oczywiście, ale włożyliśmy trochę naszej pracy. Zobaczmy. – Wzięła do ręki pilota i skierowała go na sufit.

Powoli opuściły się zasłony i w pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Ekran na przeciwległej ścianie się rozjaśnił, po wciśnięciu kolejnego klawisza popłynęły dźwięki znanej piosenki.

Zespół Pociąg do Kitty nagrał trzy teledyski. Wszystkie nakręcił ich kolega z Oberlin, o pseudonimie Lefty, który naprawdę nazywał się Lawrence Thompson III. Miał dobrą kamerę i kochał się w Zoe. Przespała się z nim raz albo dwa – tak w każdym razie Elizabeth przypuszczała – żeby utrzymać go przy zespole, a może tylko pozwoliła mu popatrzeć na siebie nagą. Pierwsze dwa filmy wideo: jeden z piosenką *Rozpacz Frankiego* – Elizabeth napisała ją o właścicielu domu, w którym mieszkali, i drugi z *Czarodziejskim lassem*, piosenką o Wonder Woman, bohaterce komiksów, były zupełnie niezłe. Lefty kręcił je w miasteczku akademickim i najbliższej okolicy, głównie w ponurych mieszkaniach i w pustych salach wykładowych, i w arboretum, ale przy teledysku z *Sama sobie jestem panią* spędzili cały zimny dzień na plaży nad brzegiem jeziora Erie.

I oto byli na ekranie – wszyscy ubrani na czarno, w stylu gotyckim. Stali obok siebie na plaży. Na pierwszym planie znalazły się niewielkie śnieżne zaspasy. To było arcydzieło Lefty’ego w duchu szwedzkiego kina artystycznego.

– Skąd masz tę kopię? – zainteresowała się Elizabeth.

Włosy Lydii zasłaniały jej twarz. Zabrali ze sobą część instrumentów, ale Lefty postanowił, że zostawią je w samochodzie. Było jak na teledysku z piosenką *Wicked Game*, z Chrisem Isaakiem i Heleną Christensen, tylko zamiast jego głosu rozbrzmiewał zawodzący śpiew Elizabeth. W pewnym momencie Zoe przeturlała się po piaszczystej plaży. Lydia przybrała gniewną minę. Andrew przez połowę filmu stał tyłem do kamery. Twierdził, że w ten sposób zaznaczał swój milczący protest wobec własnej roli w społeczeństwie patriarchalnym.

Elizabeth pochyliła się do przodu. Na ekranie pokazała się w zbliżeniu twarz Lydii, ale to nie była ona, lecz Darcey.

– Zaraz, zaraz – powiedziała Elizabeth. – W jaki sposób...

– Wiem, wyszło bez zarzutu – przerwała jej Naomi. – Nasi chłopcy są bezkonkurencyjni. Kiedyś poradzili sobie ze znamieniem na piersi Angeliny Jolie do trzygodzinnego filmu. Dodali je! Nie zgodziła się na domalowanie podczas charakteryzacji, powiedziała, że to ma jakiś związek z porodem czy może jej dziećmi,

zaangażowaniem większej ilości czasu, coś w tym rodzaju. Charakteryzacja trwałaby kilka godzin każdego dnia, więc warto było pozwolić jej dłużej pospać z dziećmi, a potem po prostu wydać dodatkowy milion na obróbkę w Photoshopie czy jakimś innym programie. Niesamowite, prawda?

– Skąd wzięłaś te teledyski? Pytam o oryginały, oczywiście. – Elizabeth miała kopię na taśmie wideo, ale słyszała od przyjaciół, że Lefty spalił wszystkie swoje filmy, kiedy postanowił przystąpić do rodzinnej firmy w sektorze bankowości inwestycyjnej, żeby odciąć się od marzeń o karierze artystycznej. Uważała, że jedyną kopię zachowała u siebie.

– Nie na darmo zbiory Lydii są w zaskakująco dobrym stanie, jak na kogoś, kto zmarł z powodu przedawkowania heroiny – powiedziała Naomi. – Gromadziła wszystko, co tylko się dało. Gdybyś nie wiedziała, mogłabyś pomyśleć, że była bibliotekarką. Kolorowe oznaczenia, wszystkie pamiątki poukładane w porządku chronologicznym, z całych dziewięciu lat.

– Bardzo dziwne – powiedziała Elizabeth. – Lydia, którą znałam, była roztargnioną bałaganiarą. Nie potrafiła zapanować nawet nad swoją książeczką czekową.

Asystentka Naomi się roześmiała.

– Książeczki czekowe. To takie urządzenie jak telefon komórkowy z klapką, prawda? Tylko służyło do pieniędzy?

– Mówię poważnie – obruszyła się Elizabeth.

Naomi skinęła głową.

– Musisz na to zwrócić uwagę, Darce. Na zewnątrz była nieujarzmioną diabolicą, rozumiesz, nieudacznica, ale wewnątrz skrupulatna, w tajemnicy przed innymi zbierała dowody dokumentujące jej dorobek.

– Wiem doskonale, o co chodzi – powiedziała Darcey.

Elizabeth splótła dłonie na kolanach. Jej Lydia nie była nieujarzmioną diabolicą ani nieudacznicą. Jej Lydia była egocentryczna, niesolidna i podła. Jej Lydia nigdy nie była zainteresowana posiadaniem koleżanek, przynajmniej do czasu, gdy na jej występach zaczęły się pojawiać bardzo znane gwiazdy, a potem się okazało, że stała się jedną z nich. Ale Elizabeth wiedziała, że tamte zdjęcia – albo jej buddyzm, czy jak go tam nazywała – absolutnie nie oznaczały, że się zmieniła. Elizabeth próbowała się zbliżyć do Lydii, oni wszyscy próbowali, zwłaszcza Andrew. Początkowo z tego powodu Elizabeth zrobiła się zazdrosna o te wszystkie noce, podczas których Lydia, zwinięta w kłębek obok Andrew na jego kanapie, chowała stopy w skarpetach pod jego nogami. To było po tym, jak Elizabeth i Andrew oficjalnie poinformowali cały zespół i innych znajomych, że są prawdziwą parą, a mimo to Lydia wciąż trzepotała do niego rzęsami i prosiła go o pomoc w pompowaniu opon w swoim cholernym rowerze, jakby rzeczywiście zamierzała na nim jeździć.

– Chcę zobaczyć ten film – oświadczyła Elizabeth. On będzie oczywiście tylko częścią historii życia Lydii, ale może znajdzie się w nim coś więcej niż to, o czym Elizabeth wiedziała. Skoro gromadziła materiały na temat Pociągu do Kitty, to może prowadziła jakieś zapiski. – Czy Lydia miała pamiętniki?

– Opisywała każdy dzień swojego życia, odkąd skończyła piętnaście lat. – Naomi

się uśmiechnęła. – Zrobiła całą pracę za nas, masz pojęcie?! – Zdjęła skuwkę z pióra i podała je Elizabeth. – Potrzebujesz jeszcze jeden formularz? Ashley?! – zawołała i asystent zjawił się przy niej w niecałą sekundę.

Elizabeth nie myślała o Zoe, która o wszystkim wiedziała i tak czy inaczej będzie zadowolona. Po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę myślała o Lydii, swojej dawno straconej i pożegnanej na zawsze koleżance. Dwadzieścia siedem lat to okropnie bezsensowny wiek na śmierć. Ale bardziej niż o Lydii myślała o Andrew i o sobie. Dziewczyna znikąd, o której mówiła Naomi, to była Elizabeth, ona sama sprzed lat i ona dzisiejsza. Chciała zobaczyć siebie, jak bierze gitarę i pisze tę piosenkę. Chciała zobaczyć, jak Andrew się w niej zakochuje w chwili, w której dowiaduje się, co ona potrafi. Chciała tego dla nich obojga i złożyła swój podpis na dokumencie.

– Poproszę cię o jeszcze jeden formularz dla Andrew – powiedziała.

Po wyjściu od Naomi skierowała się do toalety, papierowym ręcznikiem wytarła do sucha blat przy umywalkach i podrobiła niestaranny podpis Andrew, tak jak już tysiąc razy składała go za niego na szkolnych oświadczeniach o zgodzie rodziców i potwierdzeniach płatności kartami kredytowymi. W ich rodzinie to ona zajmowała się wszystkimi formalnościami i w tym wypadku robiła to, co zwykle, dbała o ich wspólne interesy. Nic wielkiego się nie wydarzyło – wystarczyły dwie sekundy i tusz z długopisu znalazł się na papierze. W ciągu kolejnych dwóch sekund Elizabeth będzie w windzie, potem w metrze i z powrotem w biurze. Stamtąd wyśle formularz faksem, tak jak tysiąc innych, które faksuje przez cały dzień. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, absolutnie nic.

Rozdział 27

W domu sterty rzeczy Zoe przemieszczały się z miejsca na miejsce, piętrzyły się stosy nieprzeczytanych czasopism i wszędzie poniewierały się spinki do włosów. W Hiacyntce natomiast nad wszystkimi blatami panowała Jane. Każdy pojemnik był oznakowany taśmą maskującą i stał przodem do przodu. Różne rodzaje soli ustawione w równym rzędzie jedna obok drugiej były uporządkowane od drobnoziarnistej do tej w płatkach.

Niewiele osób wiedziało, że szefowie kuchni tylko częściowo zajmują się gotowaniem. Oprócz kompetencji kulinarnych muszą mieć wizję restauracji, własne zdanie, przekonanie do swoich koncepcji tak głębokie, że rodzi się z niego nieodparta potrzeba zrealizowania konkretnego projektu. Otwieranie restauracji z przeświadczeniem, że ktoś inny mógłby lepiej sobie poradzić z takim przedsięwzięciem, nie ma najmniejszego sensu. Po dwudziestu pięciu latach pracy w rozmaitych kuchniach i dziesięciu we własnej Jane wciąż uważała, że nikt lepiej od niej nie zarządzałby Hiacyntką. Restauracja funkcjonowała jak doskonała maszyna, a jej siłą napędową i mózgiem była Jane. Marzyła tylko o jednym: żeby tak zostało do końca jej dni.

Jane miała poważne zmartwienie – była nim Ruby. Zoe miała podobne zmartwienie i radziła sobie z nim gorzej. Wdawała się z córką w bezpośrednie spory, to prawda, ale obie potrafiły się do siebie przytulać, razem przymierzać ubrania z szafy Zoe, rozmawiać o zespołach, o których mało kto słyszał, i relacje między nimi się normowały. Jane natomiast występowała w roli negatywnej bohaterki. To ona zawsze musiała mówić Ruby, że nie może zjeść kolejnej porcji lodów, albo tłumaczyć, że nie powinna od wszystkich koleżanek i kolegów w przedszkolu wymagać, żeby nazywali ją królową, i zmuszać ich do słuchania jej rozkazów. Jane była szefową, a szefowe z zasady nikogo nie hołubią.

Jej lata młodzięcze upłynęły bez najmniejszych komplikacji. Miasteczko Massapequa było dobrym miejscem na dojrzewanie. Grała we wszystkich zespołach sportowych, chodziła na pizzę z przyjaciółmi i jak każda dziewczyna zakochiwała się w gwiazdach filmowych. Jej koleżanki, jak jedna, były dziewczycami, nie miało więc znaczenia, że Jane była lesbijką dziewczycą. Co za różnica? Wszystkie miały fatalne fryzury i słuchały stacji radiowej Z100. Każdy dzień lata poprzedzającego wyjazd do akademika Uniwersytetu Nowojorskiego Jane spędzała na miejscowym basenie i starała się trzymać z dala od małych dzieci, bo one ciągle tylko sikają. Miała piegi, wszędzie, nawet między palcami u nóg.

Przez całe lato rodzice traktowali ją tak, jakby była ze szkła, a ona zrozumiała dlaczego, dopiero gdy pod koniec wakacji zapakowali cały samochód poduszkami, pudłami i książkami. W przeciwieństwie do Ruby Jane miała rodzeństwo: dwóch braci i siostrę, którzy byli od niej młodszy. Natomiast podobnie do Ruby Jane nie miała pojęcia, co dla jej rodziców znaczyły przygotowania do opuszczenia domu przez ich najstarsze dziecko. Opuszczenie domu! Dla nich brzmiało to jak odejście na zawsze. W tamtym czasie Jane myślała, że jej matka przechodzi coś w rodzaju udaru, długotrwałego, który objawiał się nieustannym mruganiem, żeby powstrzymać łzy. Nawet na chwilę nie

odrywała oczu od Jane, jakby jej córka występowała w nowym odcinku serialu *Dallas*. Ale od tamtej pory Jane wiele zrozumiała. Dzieci chcą podążać własną drogą. One mają świadomość własnej dorosłości. Czas jej nadejścia podpowiada im umysł, w którym jest zapisana ta odwieczna wiedza. Tylko rodzice uparcie trwają w przekonaniu, że ich dzieci wciąż są niedojrzałe, gdy tymczasem w trafikach, kabinach do głosowania i sklepach porno łatwo zauważyć, że to przekonanie zupełnie rozbiega się z rzeczywistością.

Jane poruszała się po kuchni bez pośpiechu. Odwracała słoiki we właściwą stronę. Nad drzwiami wejściowymi zadźwięczał dzwonek. Spojrzała w ich stronę i zobaczyła wchodzącą Clare, zastępczynię szefa kuchni. Clara była dobrym pracownikiem – godnym zaufania. Też chciała w przyszłości mieć własną restaurację. Zawsze znajdą się jeszcze inne dzieci, które odejdą. Jane poczuła, że zaczyna zbaczać na niebezpieczne tereny, więc wytarła starannie kawałek miejsca na blacie. Sięgnęła po mąkę chlebową, sól i drożdże. Clare, która weszła do kuchni, przywitała tylko skinieniem głowy. Pieczenie chleba bez wyraźnego powodu było dla Jane ulubioną formą rozładowywania napięcia, a Clara na tyle dobrze ją знаła, żeby zająć się własną pracą i nie zadawać pytań.

Rozdział 28

Andrew czuł się najszcześliwszy wtedy, gdy był zajęty. Od tamtej nocy, którą spędził na imprezie, między nim a Elizabeth układało się doskonale. Najwyraźniej rozumiała, że jest mu potrzebna, żeby go wspierać, a on, że musi być przy niej obecny i służyć jej swoim wsparciem, jak zawsze. I tak płynął im czas. Bez przykrości częściej uprawiali seks – wprawdzie nie na tyle intensywnie jak wtedy, kiedy przez kilka lat po pojawieniu się Harry’ego starali się o drugie dziecko i ten okres dla obojga były uciążliwe, ale wtedy bardzo chcieli, żeby on miał rodzeństwo – i było im z tym dobrze, naprawdę dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że przeżyli razem dwadzieścia lat. Współżycie było częścią ich relacji – zawsze dostarczało im satysfakcji – i subtelnym przypomnieniem, że wciąż dobrze wiedzą, jak czerpać z niego przyjemność. Nie w tym rzecz, że Andrew rzeczywiście wiedział, jak często inni uprawiają seks. Domyślał się natomiast, że Elizabeth dobrze się orientuje, kiedy Zoe albo którakolwiek z jej bliskich znajomych miała orgazm, i że od razu po fakcie dostaje wiadomość w tej sprawie, ale mężczyźni są inni, nawet tacy jak on.

We wtorki rano odbywały się grupowe medytacje z instruktorem, w środy były zajęcia jogi, we czwartki rozmowy na temat dharmy, a w piątki kosmiczne transy. Andrew przypuszczał, że nie będzie mógł w nich uczestniczyć co tydzień, a w każdym razie bez składania Elizabeth skomplikowanych i długotrwałych wyjaśnień. Mógłby ją zabrać ze sobą, prawdopodobnie, ale jej te transy zapewne się nie spodobają albo zacznie stroić sobie z nich żarty, a potem Andrew będzie się musiał tłumaczyć przed Dave’em, że jego żona nie jest szczególnie zainteresowana wykraczaniem poza granice ludzkiego poznania. Elizabeth zawsze wspierała Andrew w jego rozmaitych przedsięwzięciach, ale obecne wolał zachować dla siebie.

Przez większość dni Andrew po wyjściu Elizabeth do pracy opuszczał dom. Urządzili razem z Dave’em stolarnię w garażu, gdzie Andrew wykonywał regały do pokoi na piętrze. Dave kręcił się tam i z powrotem, do połowy rozebrany. Czasami wydawało się, że dopiero przed chwilą się obudził, ponieważ zdradzały go drobne „špiochy” w kącikach oczu, ale też się zdarzało, że wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Trochę ze sobą rozmawiali – ucinali sobie pogawędki jak w biurze przy dystrybutorze wody. Ostatnio Dave rozprawiał o EWOLUtorium na wodzie.

– Latem mogłoby być tutaj, w Brooklynie. Zacumowane na przykład przy moście Brooklińskim, tam gdzie Bargemusic, eleganckie i okazałe, żeby przyciągało uwagę turystów. A zimą popłyniemy na południe – Vieques, Sint Maarten, może. – Dave stał z rękoma skrzyżowanymi na nagich piersiach. Na klatce piersiowej, w samym środku, miał małą kępkę kędzierzawych, ciemnobrązowych włosów układających się w kształt lilii.

– Pływasz? – zapytał Andrew. Szlifował papierem ściernym spory kawał drewna, z którego miała być półka na ścianie, na całej długości głównej sali do ćwiczenia jogi. Dysponował wystarczającą wiedzą, żeby tę półkę zrobić – dobrze sobie radził w pracach manualnych. Dave nigdy nie zapytał, czy Andrew zna się na tym rzemiośle. Na tym

polegał ten klimat – skoro uważasz, że potrafisz coś zrobić, to znaczy możesz to zrobić.

Jeden z młodzieńców z krótkimi dreadami zajrzał do garażu, uśmiechnął się szeroko i powiedział, że w bagażniku samochodu ma trochę narzędzi. Zaoferował też Andrew pomoc w zawieszeniu półki, kiedy już będzie gotowa.

– W dzieciństwie żeglowałem – odpowiedział Dave. – Tu i tam. Dość dawno temu, ale pamięć mięśniowa działa. – Dotknął palcem do skroni. – Tutaj jest wszystko zapisane.

– Ja też – powiedział Andrew. Nie lubił mówić o swojej rodzinie, ale teraz zupełnie przypadkiem tak wyszło. – Każdego lata brałem udział w kursie żeglarstwa, w pobliżu domu rodziców na Long Island. Spędzaliśmy trzy dni na łodzi na wiązaniu i rozwiązywaniu węzłów, zanim pozwolili nam zamoczyć stopy. Próbowałem nauczyć tej sztuki syna, ale nie wykazał żadnego zainteresowania.

Dave się roześmiał.

– Prawdziwy z ciebie omnibus, przyjacielu. Za to cię lubię.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – powiedział Andrew. – Myślę tylko, że potrafię robić wiele różnych rzeczy.

– Ścigałeś się?

– Masz na myśli regaty? Nie. Ale w wizjach mego ojca owszem. Byłby zachwycony trofeum regatowym w domu, albo dwoma, ale ja nie należałem do takich dzieci, zupełnie nie. Przysparzałem rodzicom rozczarowań, głównie tym, że bardziej interesowałem mnie buddyzm niż kluby dla śmietanki towarzyskiej.

– Mmmm – mruknął Dave ze zrozumieniem. – Byłeś kiedyś w Indiach?

– Tak, raz. Miałem wtedy dziewiętnaście lat. – Andrew przesunął szlifierkę w dół. Wyglądał rowek, który zrobił przez nieuwagę, i powierzchnia drewna w tym miejscu była pofałdowana. Dave najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. – Spędziłem trochę czasu na podróżowaniu. Dżajpur, Kerala.

– Ciekawe – powiedział Dave. – Już sobie to miejsce wyobrażam. Zupełnie inny klimat niż tu, w domu. Chcę, żeby tam dominował kolor różowy, wiesz? Żeby było jasno. Barwnie. Niepowtarzalnie. Żeby każdy, kto chce, mógł przenocować albo pomieszkać nawet tydzień i żeby to studio było ruchome. Można by pływać w różne miejsca, przeprowadzać zabiegi, pracowaliby w nim nasi. Byłoby takim ustroniem na wodzie. EWOLUCJOnarium? Może, jeszcze nie wymyśliłem nazwy.

– Nadzwyczajny pomysł – pochwalił Andrew.

– Cieszę się, że cię zainteresowałem – odparł Dave. – Musimy porozmawiać o tym później. – Klepnął Andrew po ramieniu. – Dobra robota, przyjacielu. Nieperfekcyjne piękno. *Wabi sabi*, prawda? – Wskazał głową na drewno, odwrócił się i poszedł do głównego budynku.

– Prawda – powiedział Andrew.

W garażu było chłodno i cicho. Z oddali dobiegały nikłe dźwięki muzyki. Nie potrafił jej rozpoznać. The Kinks? Big Star? Dwoje młodych ludzi wyszło tylnymi drzwiami. Nieśli do kompostownika obierki piętrzące się na talerzach. Andrew przyjaźnie zasalutował, a oni do niego pomachali.

Na kogo wyglądał, na ich ojca? Starszego brata-luzaka? Naprawdę nie wiedział.

Czasem we własnym garażu, gdy razem z Elizabeth siedzieli na rozchwianych,

drewnianych krzesłach, Andrew czuł się jak bezzębny starzec z appalaskiej przyśpiewki ludowej. Elizabeth, która zamykała oczy podczas śpiewania, trochę przypominała swoją matkę lekko zawianą po dwóch kieliszkach chardonnay. I tak lepiej, niż gdyby upodobniła się do jego matki, która wielokrotnie miała naciąganą twarz za uszy i aż dziw bierze, że wciąż jeszcze zachowała policzki.

Zapewne w internecie znalazłyby się instrukcje budowy łodzi. Andrew widział już oczyma wyobraźni wręgi olbrzymie jak żebra wieloryba, układające się w szkielet kadłuba pod jego rękami. Chciał zbudować łódź, którą mógłby wypłynąć na otwarte wody, wspaniałą i piękną.

Rozdział 29

W dni robocze w porze lunchu panowała taka nuda, że Ruby zaczęła tworzyć rysunkową opowieść o tajemnym życiu Binga jako fryzjerki z New Jersey. Przestała się śmiać z dowcipów Jorgego, więc jemu pozostało tylko zerkać na nią smutno zza baru przy rozgniataniu mięty i wyciskaniu soku z pomarańczy. Za każdym razem, gdy wchodził gość i prosił o stół, Ruby udawała cudzoziemkę: Francuzkę albo Japonkę, albo Meksykankę. Liczyła, że chociaż ktoś poczuje się dotknięty albo się uśmiechnie, ale ani jedna osoba nie poznała się na jej żartach. O tej porze najczęściej przychodziły kobiety po trzydziestce, z bliżej nieznanego powodu w trepach, nie stanowiły więc wyrafinowanej publiczności dla Ruby.

Jej mama krzątała się po sali. Przyniosła z bagażnika kwiaty do dekoracji stołów i kartony z płynem do naczyń. Matki postępowały zupełnie bezsensownie. Ruby czasem się zastanawiała, czy może powinna posadzić je przed sobą i wytłumaczyć im, że wystarczy, żeby postępowały normalnie, a będzie dobrze. Zoe zachowywała się tak, jakby weszła w okres rumspringa i pozostawała pod wpływem sterydowych stymulantów. W środku dnia paradowała w cukierkowych fantazyjnych strojach i raczyła się różowym winem. Jane z kolei wydawała z siebie złowrogie jęki jak budzący odrazę człowiek śniegu. Ruby nie chciałaby żyć w związku ani z jedną, ani z drugą, ale ostatecznie to przecież one, a nie Ruby, mają problemy ze sobą. W ich obecnej sytuacji nie ma żadnej różnicy, czy są razem czy osobno. W dalszym ciągu wspólnie prowadziły Hiacyntkę. Restauracja wyglądała w miarę przyjemnie tylko dlatego, że to Zoe wybrała każdą płytkę, każdy odcień farby, każde krzesło i solniczkę. Życie w związku naprawdę nie może się diametralnie różnić od prowadzenia restauracji. Zresztą nieważne. Na dodatek, jeśli dwie osoby mają wspólne dziecko, to znaczy, że i tak już do końca życia będą ze sobą związane. Od tego nie ma ucieczki, naprawdę nie ma, co więcej, wcale nie widać, żeby jej matkom było aż tak źle. Ruby miała znacznie gorzej od nich. Prawdopodobnie będzie musiała się zająć rolnictwem ekologicznym albo zostać egzotyczną tancerką, albo kimś takim, od kogo wymaga się tylko doświadczenia praktycznego, ale jasne, jeśli one chcą ją ignorować i skupiać się wyłącznie na własnych, idiotycznych problemach, to proszę bardzo. Narysowała ohydną, tandetną suknię balową jak z filmu *Kawaler*, pasującą do sceny wysiadania z limuzyny, a potem dorysowała do niej głowę Binga.

Była za piętnaście trzecia. O trzeciej kończyła się pora lunchu. Zostało zaledwie piętnaście minut i Jorge pożegna gości, a Ruby będzie mogła wrócić do domu. Harry obiecał, że po nią przyjdzie, więc na niego zaczeka.

Od tamtego wieczoru w obcym domu spotkali się trzy razy, dwa razy po zmroku na spacerze z Bingiem i raz po południu u Ruby, podczas nieobecności jej matek. Harry szybko się uczył. Wydawało się, że słyszał o istnieniu łechtaczki, ale nie za bardzo się orientował, gdzie jej szukać, i w przeciwieństwie do niektórych facetów, chętnie korzystał z instrukcji, a na dodatek wcale się nie obrażał, gdy Ruby dawała mu pewne wskazówki. Kiedyś mama udzieliła jej kilku rad na temat seksu – na przykład, że powinna dbać o własną przyjemność – i Ruby na szczęście wzięła je sobie do serca.

Półmrok sprzyjał zdobywaniu doświadczenia, zawsze. Odważniej można było szperać tu i tam, dotykać ciała w nowym miejscu bez jawnego przyznawania się, że o to chodziło. *Och, to jestem ja? Ach, naprawdę to jesteś ty?* Ruby lubiła się rozbierać i obserwować coraz szerzej otwarte oczy Harry'ego. Nawet po ciemku widziała jego gałki oczne, ogromne jak u postaci z kreskówek. Odczuwała wielką satysfakcję. Narysowała nawet jego podobiznę z latającymi spodkami zamiast oczu. Rozległ się dzwonek nad drzwiami i Ruby spojrzała w ich stronę, spodziewając się zobaczyć Harry'ego.

Dust osłaniał klatkę piersiową deskorolką jak tarczą. Ponad jego ramieniem Ruby dostrzegła stojącą na zewnątrz na chodniku koleżankę z klasy z Whitmana, Sarah Dinnerstein, i zarazem wielbicielek Dusta i jego koleśków z przykościelnych schodów. Sarah miała raczej purytańskie poglądy, aż do ostatniego roku szkolnego, kiedy to założyła sobie kolczyk w nosie i na wewnętrznej stronie dolnej wargi wytatuowała słowo MIŁOŚĆ. Wśród koleżeństwa mówiło się, że się zapatrzyła na heroinę, ale przede wszystkim wydawało się, że na Nica, który tak jak Dust nie chodził do żadnej szkoły i mógł mieć ze dwadzieścia pięć lat. Ale tego nikt dokładnie nie wiedział. Sarah jesienią wybierała się do Bennington. Ruby nie potrafiła uwierzyć, jak Sarah Dinnerstein, która miała cztery szare komórki w całej głowie, dostała się do college'u, a ona nie. Na świecie próżno szukać sprawiedliwości. Sarah Dinnerstein prawdopodobnie nigdy nie miała orgazmu. Pewnie myślała, że kobiece orgazmy to legenda – jak potwór z Loch Ness.

– Czego chcesz? – zapytała Ruby.

– Przychodzę w pokojowych zamiarach – odpowiedział Dust i oparł się o stanowisko hostessy. – U Nica jest dziś domówka. Cały dzień i całą noc. Wyszliśmy uzupełnić napoje. Sarah miała chęć na gatoradę.

Czekająca w pełnym słońcu na ulicy Sarah kręciła się wokół własnej osi. Miała dziecięce, pucolowate policzki i za krótką sukienkę.

– Jezu! – jęknęła Ruby. – Ona chyba całkiem odleciała?

– Zadziała Molly. Może ty też chcesz trochę? – Dust przesunął językiem po zębach.

Ponownie zadzwieczał dzwonek nad drzwiami. Harry spojrzął niepewnie z ukosa, gdy zobaczył Dusta, ale trzymał głowę wysoko, co bardzo spodobało się Ruby.

– Cześć – powiedział i skinął głową w jej stronę.

– Cześć – odpowiedziała Ruby i wyciągnęła do niego rękę z palcami rozłożonymi jak szczypce kraba.

Harry odwrócił się bokiem, żeby się precyzyjnie obok Dusta, i nie zareagował na kuksańca. Ruby objęła go i przyciągnęła do siebie.

– Skoro tak, to może wpadniemy – powiedziała do Dusta.

– Spoko. Wiesz, gdzie mnie szukać. – Dust uniósł brew. Rzucił deskorolkę na podłogę z łoskotem, aż Jorge się wzdrygnął. – Widzimy się. – Wypchnął deskę przez drzwi, na chodniku wykonał ollie, ku zachwytom Sarah Dinnerstein.

– Nie idziemy na imprezę z Dustem, prawda? – zapytał Harry.

– Nie wiem. – Ruby wzruszyła ramionami. – Moja koleżanka Sarah idzie. A Nico jest dość fajny.

– Dobrze – powiedział Harry. – Jeśli chcesz iść, pójdę z tobą.

Ruby zsunęła się ze stołka.

– Dmuchamy tę budę i spadamy. – Chciała się przekonać, czy Harry zarumieni się na słowo „dmuchamy”, i tak się stało.

Mimo że Ruby spotykała się z Dustem przez sześć miesięcy, nie miała zielonego pojęcia, gdzie on mieszka. Jego mama mieszkała w Sunset Park, prawdopodobnie, a ojciec gdzieś w Queens, ale to były tylko mgliste informacje. Nico natomiast mieszkał w dużym domu za rogiem, niedaleko Hiacyntki, i u niego była pewnie ze sto razy. Dom Nica był miejscem owianym tajemnicą – nikt nie natrafił w nim na ślady istnienia jego rodziców. Nie było woreczków z soczewicą w szafce kuchennej ani jajek w lodówce. Żadnych fotografii na ścianach. Zawsze zaciągnięte zasłony. Harry szedł powoli, włosy opadły mu na oczy. Ruby wzięła go pod ramię.

– Ci kolesie nie są moimi przyjaciółmi – oświadczył Harry. – Ani w szczególności, ani w ogóle, rozumiesz, czyli w sensie filozoficznym.

– Wcale nie są tacy źli – powiedziała Ruby, chociaż w rzeczywistości byli nawet gorsi, niż Harry mógł sobie wyobrazić. Ruby sama nie bardzo wiedziała, po co chciała pójść na tę imprezę, bo na pewno nie po to, żeby się spotykać z Sarah, której nigdy nie lubiła, ani po to, żeby się obściskować z Dustem, choć przedtem byłby to jedyny powód. Bezsprzecznie zebrała się tam najbardziej zróżnicowana rasowo grupa towarzyska, do której i ona należała i w której lubiła przebywać. Wszyscy u Whitmana mieli karnację w bielszym odcieniu bieli, jakby ubiegali się o palmę pierwszeństwa w konkursie na najbardziej nieskazitelny przedstawiciela swojej uprzywilejowanej białej rasy. To prawda, że chłopcy ze schodów przykościelnych byli łobuzami, ale przynajmniej nie do tego stopnia zepsutymi. Co więcej, spodobał się jej pomysł wzbudzenia zazdrości u Dusta, a przy okazji pokazania Harry’emu, jak dawniej wyglądało jej życie, bo po skończeniu szkoły wszystko wydawało się inne – nie była wyluzowaną nieudacznicą, no może tylko nieudacznicą. Chciała tam pójść, bo obawiała się, że z Dustem byli bardziej do siebie podobni, niż się jej wydawało. A może chciała tam pójść, bo obawiała się, że Harry się wystraszy i że ona zostanie z Dustem i Nikiem, i Sarah, czyli w takim towarzystwie, na jakie w istocie sobie zasłużyła.

Na werandzie stało kilka osób z papierosami – Ruby знаła wszystkich i pomachała do nich. Wzięła Harry’ego za rękę i splotła palce z jego palcami, chociaż do tej pory nie trzymali się za ręce w miejscach publicznych. Spojrzała na niego, a on się uśmiechnął w taki sposób, w jaki uśmiechają się ludzie, oglądając na YouTube film o pierwszych krokach w nawiązywaniu przyjaźni przez małego lwa i małego jeżozwierza, z niedowierzaniem, że świat może być taki przyjemny. Ruby w tej samej chwili ogarnęło poczucie winy, ale na nie było już za późno, więc weszli do środka.

Rozdział 30

Doktor Amelia wyjechała na wakacje. Wszyscy psychiatry na całym świecie jeżdżą na urlop w sierpniu, a doktor Amelia wybrała się w lipcu. Zoe dzwoniła do niej trzy razy i za każdym zostawiła wiadomość, aż wreszcie doktor Amelia oddzwoniła.

– Zoe – odezwała się w słuchawce, a w tle krzyczały mewy. – Jestem na Cape Cod. Pięknie tu jak na obrazku. Przedstawienie malarskie zdrowia! Co się dzieje?

Zoe leżała pod kołdrą. Jane była w restauracji, a Ruby tam, dokąd poszła. Zaniechała wszelkich prób kontrolowania córki, gdy Ruby miała piętnaście lat i wróciła do domu z tatuażem. Ogólnie rzecz biorąc, była dobrą dziewczyną i Zoe postanowiła jej zaufać. Dzieciom trzeba zapewnić trochę swobody – tak powiedziała Oprah. Świetnie, tylko że Oprah nie ma dzieci.

– Och, nic takiego – zbagatelizowała pytanie i poczuła, że głos się jej załamuje.

– Jane też do mnie telefonowała – powiedziała doktor Amelia. – Wracam za trzy tygodnie. Zapraszam was obie na wizytę po moim urlopie.

– Dobrze... – zawahała się Zoe, zsuwając się jeszcze niżej. Chciała znaleźć się w nogach łóżka i oprzeć głowę na Bingu. – Liczyłam na chwilę rozmowy, jeśli nie sprawię ci kłopotu.

– Co cię gnębi?

– Skąd wiadomo, kiedy należałoby się rozwieść? Masz jakiś wykres? Wydawało mi się, że jestem pewna, że tego chcę, ale teraz nie wiem. Poznałaś już nas... co o tym sądzisz?

– Zoe, wiesz przecież, że nie mogę ci powiedzieć, czy masz pozostać w związku czy nie.

Znów krzyk mew, tylko głośniejszy.

Zoe zamknęła oczy i wyobraziła sobie doktor Amelię w kostiumie kąpielowym. Wielobarwnym, jednoczęściowym, może z krótką spódniczką, takim jaki dawniej nosiła babcia Zoe. Doktor Amelia prawdopodobnie miała na nosie optyczne słoneczne okulary i słomkowy kapelusz. Dlaczego nie mogła jej tego powiedzieć? Tyle osób wciąż daje jej jakieś rady – matka Zoe z Los Angeles, ciotki Zoe z Michigan, ludzie na ulicy. Dlaczego terapeuta nie może po prostu powiedzieć albo tak, albo nie? Może Zoe zamiast terapeuty przydałby się jasnowidz albo papierowa zabawka do wróżenia. Piekło-niebo. Tak czy nie.

– Wynajęłaś dom sama czy z przyjaciółmi? Jak się urządziłaś?

– Wiesz, że tego też ci nie powiem.

– Jak tam smakują ostrygi?

– Są wyśmienite. – Doktor Amelia głośno wypuściła powietrze. – Co się dzieje, Zoe?

– Myślę, że dobrze wywiązuję się ze swoich obowiązków – powiedziała Zoe. Starła się nie rozplakać. – Zastanawiam się, czy będę musiała znaleźć sobie inną pracę, jeśli się rozejdziemy. Mam prawie pięćdziesiąt lat. – Aż się przestraszyła, gdy wypowiedziała tę liczbę. Jane przekroczyła tę granicę pięć lat temu. Z tej okazji urządziły wielkie przyjęcie z tańcami i goście bawili się do późnej nocy. Ruby zasnęła na barze jak

prawdziwy uliczny urwis, mała Eloise branży gastronomicznej w Brooklynie. Ale kiedy Zoe myślała o własnych pięćdziesiątych urodzinach, do których zostały jeszcze dwa lata, chciała się schować w głębokiej norze i w niej umrzeć. Pięćdziesiątka nie jest zła, pod warunkiem że nagle nie zostaje się na bocznym torze. Pięćdziesiątka nie jest zła, jeśli się zachowuje doskonałą formę i ma się kogoś, kto całuje co najmniej raz dziennie.

– Sprawy zawodowe możecie uporządkować potem, gdy już załatwicie osobiste. Nie trzeba robić wszystkiego naraz. Żadna z was nie zostanie wykluczona. Po kolei, jedna rzecz po drugiej. Kiedy ostatni raz podpisywałaś jakąś bardzo skomplikowaną umowę? Rozstanie w formalnym związku jest także poważną transakcją.

– Ale skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście tego chce? – wyszeptała Zoe. Zamierzała porozmawiać z Elizabeth i zapytać ją, czy kiedykolwiek też się zastanawiała nad sensem związku z Andrew, ale uznała, że wypowiedzenie takich słów na głos jest jak złowróźbna zapowiedź upadku małżeństwa. Wystarczy, że przemkną przez myśl, a potem wydostaną się przez usta, i małżeństwo jest skazane na porażkę. A Zoe nie chciała być skazana na porażkę ani przyznać się przed Elizabeth, że została skazana na porażkę.

– Kochasz swoją partnerkę?

Ucho i policzek Zoe były mokre i śliskie od potu, od przyciskania telefonu.

– Oczywiście, że tak. Mamy córkę, mamy nasze życie. Tylko brakuje nam przyjemności, rozumiesz? Czuję się tak, jakby ona była moją współlokatorką i musiałabym jej robić pranie. Czasami, gdy Jane mnie całuje, z trudem sobie przypominam, że wolno jej to robić. Mam wrażenie, że ona jest dla mnie obcą, bezdomną kobietą w autobusie czy kimś takim.

– Może spróbujcie sobie zorganizować jakieś rozrywki – podsunęła doktor Amelia. Zoe otarła pot z twarzy.

– Taaaak. Masz jakieś propozycje? – Zoe wysunęła głowę spod kołdry i zepchnęła Binga na podłogę.

– Kiedy ostatnio wybrałyście się na randkę? – zapytała doktor Amelia. – Może powinnyście otrzepać śnieg z butów. Kopnąć w opony. Sprawdzić, czy da się dopompować trochę powietrza do roweru.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedziała Zoe. – Umówimy się na spotkanie po twoim powrocie. Dziękuję za telefon. Przepraszam, że ci zawracam głowę w czasie urlopu.

– Nie szkodzi. Po to są telefony. Dbaj o siebie. – Po tych słowach doktor Amelia się rozłączyła, a Zoe i Bingo znów zostali sami w domu.

Z dołu dobiegł dziwny odgłos, jakby uderzenie. Zoe zawołała: „Halo?!”, ale nikt jej nie odpowiedział. Widać dom ma własne problemy.

Rozdział 31

Elizabeth nie widziała Iggy'ego Popa przez całe popołudnie. Kilkakrotnie wychodziła z domu – do biura, do sklepu, do kawiarni – i do niego wracała, ale brak kota w zasięgu wzroku wcale jej nie dziwił, ponieważ w ciągu dnia Iggy zazwyczaj prznosił się z jednego ulubionego miejsca do spania na drugie. Po pewnym czasie zorientowała się, że jego nieobecność trwa już prawie cały dzień. Harry grał w swoją ulubioną grę wideo w salonie, a książka z kursu przygotowawczego leżała otwarta na stoliku przy kanapie.

– Ig?! – zawołała Elizabeth. – Iggo Piggo?! Pop Pop?! – nawoływała, krążąc po kuchni.

– Widziałeś gdzieś kota? – zapytała syna.

Harry potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Hmm – mruknęła Elizabeth.

Zajrzała do wszystkich łóżek, sprawdziła umywalki w łazienkach. Czasem, w upalne dni, Iggy wędrował od umywalki do umywalki, mościł się w ceramicznej misie i się w niej chłodził. Andrew znowu poszedł do EWOLUtorium.

Elizabeth nie zamierzała zrzędzić. Cieszyło ją, że Andrew żyje w zgodzie z własnymi odczuciami. Nie chciała mieć męża podobnego do ojca, który mógłby żywcem płonąć i nie wezwałby pomocy. Ale nie była zachwycona, że Andrew najwyraźniej wolał zostać praktykantem w studiu jogi, zamiast poszukać sobie prawdziwej pracy, nawet gdyby miała polegać na terminowaniu u stolarza. Andrew nigdy nie dbał o pieniądze – nie musiał – ale przez większą część ich dorosłego życia przynajmniej starał się zachować pozory, że pracuje.

U Whitmana w podobnej sytuacji rodzinnej było wielu uczniów – dzieci aktorów i inwestorów w fundusze hedgingowe, wnuki osób, których nazwiska wypisano na tablicach znajdujących się na murach budynków instytucji publicznych. Brooklyn bardzo się zmienił od czasu, gdy zamieszkali w tej dzielnicy, wyrosło tuż obok nich miasto tętniące własnym rytmem i pulsem. Teraz w te rejony przelewa się Manhattan – rosyjscy oligarchowie pokupowali nieruchomości w TriBeCa i West Village, a Brooklyn był kolejną atrakcyjną lokalizacją. Z racji swojej pracy Elizabeth powinna wspierać te zmiany, ale nie była nimi zachwycona. Czułaby się szczęśliwsza, nawet mimo mniejszych prowizji, gdyby w ich dzielnicy mieszkali przede wszystkim rodziny średniozamożne. Jakiś czas temu sprzedała wiele domów nauczycielom szkół publicznych – kamienice w środkowej części Park Slope – których wartość obecnie osiągnęła absurdalnie wysoki poziom. Od czasu do czasu myślała o przeprowadzce do północnej części stanu, do jakiegoś uroczego miejsca położonego w pobliżu rzeki Hudson. Może gdy Harry skończy szkołę, Elizabeth i Andrew zdecydują się spieniężyć swój majątek. Sprzedać dom, sprzedać dotychczasowe życie. Gdyby wynieśli się z dużego miasta, to być może Andrew nie musiałby już pozorować, że ma pracę. Mógłby sobie chodzić na spotkania medytacyjne i tworzyć rzeźby albo toczyć naczynia ceramiczne na kole garncarskim czy zrobić kurs taekwondo. Elizabeth mogłaby sprzedawać wiejskie rezydencje zamożnym

klientom, którzy kupują domy w Brooklynie – poprosiłaby O’Connellów o zgodę na otwarcie oddziału ich agencji w Rhinebeck. Co roku Harry mógłby spędzać lato w domu, w osobnym mieszkaniu nad garażem. W jakim świetle stawialiby siebie i poczucie własnej wartości, gdyby mieszkali w wielkim mieście bez powodu? Czy do tego stopnia obawiała się, co pomyśleliby o niej znajomi, gdyby uznali, że łatwo się poddała? Czy rzeczywiście Elizabeth łatwo się poddaje?

– Mamo?

– Przepraszam, zamyśliłam się. – Elizabeth zamruwała kilka razy.

Harry przyglądał się jej uważnie, na ekranie jego laptopa obraz znieruchomiał, żaba-detektyw zawisała w powietrzu w połowie skoku.

– Pomożesz mi szukać kota? Niedługo zacznie się robić ciemno.

Elizabeth zatarła ręce.

– Tak, skarbie, oczywiście. Chodźmy. Możesz sprawdzić w piwnicy? Ja jeszcze raz poszukam go tutaj. Jeżeli się nie znajdzie, pójdziemy się rozejrzeć po okolicy?

Iggy Pop nie powinien wychodzić na zewnątrz – w sąsiedztwie żyło sporo półdzikich kotów, a on nie miał wojowniczego usposobienia – ale siatkowe drzwi z tyłu domu dość łatwo dawały się przesunąć i on nawet nieźle sobie z nimi radził. Już kilka razy zdołał się przez nie wydostać, ale znajdowali go przy rabatkach w ogrodzie, wokół których przemieszczał się ostrożnie, z niewyraźną miną.

Elizabeth otwierała i zamykała szafki w kuchni, zajrzała pod stół w jadalni.

– Na dole go nie ma – zameldował Harry, wchodząc po schodach.

– Tak myślałam – powiedziała Elizabeth.

Dalsze poszukiwania zaczęli od ogrodu. Elizabeth krążyła w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, Harry w przeciwnym. Po kocie nie było ani śladu.

– Przejdźmy się po najbliższych ulicach – zaproponowała Elizabeth.

Wyszli na podjazd, potem na chodnik i skręcili w prawo. Zaglądali pod zaparkowane samochody, sprawdzali na kwietnikach.

Harry’emu przydałoby się strzyżenie. Wijące się włosy zaczęły spływać mu na kark jak dawniej, kiedy jeszcze był dzieckiem. Elizabeth zapanowała nad gwałtowną chęcią wyciągnięcia ręki i owinięcia sobie wokół palca kosmyka jego włosów.

– Spotykasz się czasem z Ruby, prawda? – Od incydentu z eBayem Harry ani razu o niej nie wspomniał, ale Elizabeth widziała, że ekran jego telefonu rozświetla się częściej niż zwykle, a potem rozjaśnia całą jego twarz. Domyśliła się więc, że Ruby wciąż krąży w pobliżu. Nie miała nic przeciwko niej, naprawdę. Bardzo lubiła Ruby. Darzyła ogromną sympatią Zoe. Była zadowolona, że Harry spędza czas z tą dziewczyną, niezależnie od tego, czy są to spotkania romantyczne czy koleżeńskie, czy też najprawdopodobniej trochę takie i trochę takie, o niesprecyzowanym charakterze, między jedną sferą a drugą.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział Harry. – Tak, spotykamy się. To znaczy po zajęciach na kursie i tak dalej. Czasami.

– To miło – podsumowała Elizabeth. Nie chciała naciskać. Sama nie miała zwyczaju opowiadać rodzicom o swoim życiu uczuciowym ani jako nastolatka, ani gdy już dorosła. Kiedy z Andrew postanowili się pobrać, jej ojciec zażartował na temat małżeńskiego łoża, a Elizabeth czuła mdłości przez kilka dni. Harry miał swoje sprawy.

Ruby była trochę niesforna, ale Elizabeth bardzo wątpiła, żeby jej słodkiemu synkowi odpowiadały romantyczne standardy Ruby. Zoe też miała takie upodobania – była skłonna do flirtu z każdym, kto spojrzał w jej stronę, ale znacznie trudniejsza do usidlenia. Zabawne, że historia do tego stopnia lubi się powtarzać. Nie, to wcale nie jest zabawne. Ha, ha.

Kiedy Zoe i Jane zaczęły napomykać o dziecku, nie było wiadomo, jak zamierzają swój plan zrealizować. Zoe była młodsza od Jane, ale też delikatniejsza. Matka Jane urodziła czworo dzieci w domu przy asyście położnej i bez żadnych medykamentów; geny Jane wydawały się obiecujące. Powstała dość skomplikowana sytuacja pod względem organizacyjnym – obie będą matkami dziecka, oczywiście, ale która z nich miałaby nosić ciężę, która karmić dziecko piersią, który miałaby wystawić na ciężką próbę swoje hormony i miednicę? Obie były gotowe podjąć się zadania. Gdyby chciały mieć więcej dzieci, to może Jane powinna zacząć pierwsza? Ale jak miały przewidzieć, czy będą chciały? Ani Zoe, ani Jane nie snuły wizji o dużej rodzinie. A potem, rzecz jasna, trzeba było rozpoznać możliwości zapłodnienia.

One wywoływały największą ciekawość Elizabeth, ale w tej materii nie miała śmiałości zadawać zbyt wielu pytań, mimo tak bliskich relacji, które łączyły ją z jedną i drugą. Czy chciały skorzystać z uprzejmości znajomego czy może z zasobów banku nasienia? Gdyby wybór padł na znajomego, to czy w grę wchodziłby prawdziwy seks, czy posłużyłyby się pipetą do polewania pieczeni sosem? Elizabeth aż wzdrygała się na myśl, że Ruby być może musiała się zmierzyć z tymi wszystkimi pytaniami – w szkole czy na obozie letnim – zadawanymi przez świętoszkowatych znajomych, przyjaciół czy kogokolwiek innego. Zanim Zoe urodziła Ruby, Elizabeth nigdy nie pomyślała, że pary heteroseksualne mają tak łatwo w życiu, choć oboje z Andrew przechodzili istny koszmar, gdy starali się o dziecko, zarówno przed przyjściem na świat Harry'ego, jak i potem. To był ich osobisty dramat, wielka boleść, ale wyłącznie ich. Nikt nigdy ich nie zapytał o plany związane z dzieckiem ani o nadzwyczajne środki, które będą musieli podjąć.

Aż trudno uwierzyć, że zapłodnienie – nasieniem młodszego brata Jane, jeśli już każdy musi wiedzieć – zaowocowało pojawieniem się Ruby, która była pyzatyńskim niemowlęciem, potem wesołym i uroczym dzieckiem, a później nadąsaną nastolatką i absolwentką szkoły średniej. Elizabeth dziesiątki razy ją podcierała, kąpała w umywalce, a teraz Harry zarumienił się na dźwięk jej imienia.

– Ona nie wie, co będzie robić w przyszłym roku – powiedział Harry sam z siebie.

Dotarli do skrzyżowania i skręcili w prawo. Wciąż nie natrafili na żadne ślady kota.

– Nie? Zoe powiedziała mi, że Ruby zamierza zrobić sobie roczny odpoczynek. W Europie. Prawie każdy młody człowiek daje sobie trochę wolnego czasu. Moim zdaniem to jest świetny pomysł.

– Tak, ale ona nawet nie wie, co chce robić, to znaczy w ogóle.

Elizabeth spojrzała na syna.

– Masz na myśli przyszły rok? Czy chodzi o resztę życia?

– O jedno i drugie.

– W wieku osiemnastu lat nie miałam pojęcia, co chcę robić w życiu. – Elizabeth pomachała do sąsiada, starszego pana z przeciwka. – W dalszym ciągu nie wiem. A twój

ojciec tym bardziej.

– Co masz na myśli? – Harry wyglądał na przestraszonego.

– Mam na myśli to, że nigdy nie jest za późno, żeby zdecydować się na coś innego.

Człowiek dorosły wcale nie musi znać odpowiedzi na wszystkie pytania. – Elizabeth stanęła nad sporą szczeliną w chodniku, a potem pochyliła się i zajrzała jeszcze pod kilka samochodów.

– Wiem – powiedział Harry. – Nie wychowywałem się w igloo. Ale co miałaś na myśli, mówiąc, że tata tym bardziej nie wie?

– Och... – zaczęła Elizabeth. – Właśnie to. Że tata ma liczne zainteresowania i że nie podążał typową ścieżką kariery. Wiesz, chodzi mi o wspinanie się po drabinie korporacyjnej.

– Rozumiem – przyznał Harry. Wydawał się usatysfakcjonowany takim wyjaśnieniem. Doszli do następnego skrzyżowania i ponownie skręcili w prawo. – Może powinniśmy zostawiać jakieś znaki.

– Dla taty?

– Nie, dla kota.

– Słusznie. – Elizabeth wsparła ręce na biodrach. Słońce chyliło się ku zachodowi. Okolice najpiękniej wyglądała o zmroku, podobnie jak cała reszta świata. Czasami marzyła, żeby móc zrobić zdjęcia wszystkich domów tuż przed zachodem słońca, kiedy każdy pokój nabiera uroku i ożywają w nim możliwości. W wijących się włosach Harry'ego połyskiwało złoto. Chciała pocałować syna w usta, tak jak dawniej, kiedy był dzieckiem. Chciała być jak robot wyposażona w funkcję automatycznego rejestrowania w pamięci każdej sekundy ich wspólnego życia. Andrew był w tym lepszy, to znaczy w pamiętaniu wszystkich chwil z dotychczasowego życia Harry'ego. Wiedział dokładnie, którego dnia tygodnia ich syn uśmiechnął się do nich po raz pierwszy i kiedy nauczył się jeździć na rowerze bez dodatkowych kółek. Na świecie nie było dość czasu, w każdym razie nie na sprawy najważniejsze, nawet na liczenie niekończących się dni, kiedy Harry miał gorączkę i nie chodził do szkoły, a oni ani na krok go nie odstępowali. Nawet na liczenie dni, które spędzili całą trójką, nie wychodząc na zewnątrz podczas zamieci śnieżnych. Nawet na liczenie dni przed jego poczęciem, kiedy Elizabeth i Andrew pragnęli tylko jednego: żeby zatliła się iskierka, z niej rozpałił się płomynek i nie zgasł.

Rozdział 32

W domu panował bałagan. Wszędzie piętrzyły się sterty ubrań Ruby, stały porzucone szklanki z niedopitą wodą, snuły się pasemka psiej sierści. Zoe wiedziała, jak wygląda jej dom w oczach Elizabeth: obraz niezdecydowania i braku planu działania, a zarazem zapowiedź, że Zoe skończy jak bracia Collyer pogrzebani żywcem pod górą własnych śmieci. Tego ranka przetrzebiła biblioteczkę przy swoim łóżku i szufladę z bielizną. Nie miała pewności, czy segreguje rzeczy, bo być może zamierza zacząć się zastanawiać nad sprzedażą domu (o tym kroku nawet nie potrafiła myśleć z przekonaniem), czy też ta czystka jest sposobem na odwlekanie takich rozważań.

To była jej ulubiona pora dnia. Miała wtedy trochę wolnego czasu między lunchem a kolacją – w domu panował spokój, a w Hiacyntce trwało ładowanie akumulatorów: krzątania kucharzy zajętych przygotowaniami do wzmożonego, wieczornego ruchu i przyrządzaniem posiłku – dużego i pokrzepiającego – dla personelu, którym pożywią się wszyscy kucharze i kelnerzy, posłańcy i pomocnicy kelnerów. Zoe zazwyczaj wołała posiłek dla pracowników od dań z menu. Tak często w ciągu roku je jadła – porcyjkę tego, kawałek tamtego, po łyżce każdego po trochu w domu – że mimo różnorodności potraw, które zmieniały się wraz z porami roku, nie mogła się zmusić do kolejnej porcji polenty z grzybami z Hiacyntki ani do szparagowych wstążek z serem pecorino. Posiłek dla pracowników składał się z konkretnych dań: smażonego kurczaka, moo shu, hamburgerów przykrytych serem pleśniowym. Nie zawsze była w pobliżu Hiacyntki, żeby w niej zjeść, ale tego dnia wieczorem gotowała Jane, więc Zoe tym się zainspirowała i zapowiedziała, że przyjdzie, zwłaszcza że akurat Ruby też w tym czasie była w pracy. W domu Zoe jedynie przenosiła rzeczy z pokoju do pokoju, więc z przyjemnością oderwie się od tego zajęcia przynajmniej na chwilę.

Do restauracji dotarła w ciągu niespełna sześciu minut. Ruby siedziała po turecku na krześle przy stole naprzeciwko okna. Długie, fioletowe włosy opadły jej na twarz. Zoe zapukała delikatnie w okno, a Ruby uniosła głowę i wytknęła język.

W Hiacyntce roznosił się zapach bazylii, brzoskwiń i brązowego cukru. Zoe usiadła na krześle obok Ruby i pomachała ręką do kelnerów przygotowujących stoły.

– Cześć, słonko – powiedziała i założyła córce włosy za uszy.

– Mamo! – obruszyła się Ruby. – Proszę cię. – Z powrotem wyciągnęła włosy z za uszu.

Na stole stała salaterka z groszkiem cukrowym na przekąskę. Zoe wzięła jedno ziarenko i włożyła sobie do ust.

– Hej – przywitała je Jane, która wyłoniła się z za ich pleców. Była w stroju roboczym: wykrochmalonej na sztywno, białej bluzie kucharskiej rozpiętej pod szyją.

Zoe lubiła Jane w stroju szefa kuchni – przyprawiała ją o dreszczyk podniecenia. To był mundur galowy Jane, jej wersja balowej sukni. W nim wyglądała na osobę, którą była w rzeczywistości, kompetentną i odpowiedzialną. Jane zawsze sprawiała wrażenie dojrzałej, nawet już wtedy, gdy się poznały, gdy Zoe miała dwadzieścia trzy lata, a Jane trzydzieści. W przeciwieństwie do Zoe, która nigdy nie musiała pracować i która płaciła

czynsz z opóźnieniem – z powodu roztargnienia, nie braku pieniędzy – Jane była dorosła. Gdy pewnego dnia oświadczyła, że chce otworzyć restaurację, Zoe wiedziała, że Jane ten plan zrealizuje. Nie miała w sobie ani odrobiny młodzieńczej bez troski, ani krztyny niezdecydowania. Jane położyła dłonie na ramionach Ruby i zacisnęła palce.

– Cześć – odpowiedziała Zoe. – Co macie dzisiaj na obiad?

– Carnitas, kochanie. Pożywne, smakuje jak czekolada. Sałatkę z arbuza. Wyśmienitą.

– Brzmi zachęcająco.

Zoe uwielbiała rozmowy z Jane o jedzeniu. Jej opowieści w niczym nie przypominały gadaniny kucharzy, którzy na samym wstępie zniechęcają do posiłku informacjami o pochodzeniu każdego ziarenka ryżu. Jane dbała o takie rzeczy, oczywiście, ale najchętniej siadała naprzeciwko i kiwając głową, z satysfakcją przyjmowała pomruki zachwytu nad jedzeniem. Była raczej dobrą gospodynią niż ekspertem – nie przywiązywała wagi do tego, czy ktoś potrafi rozpoznać szałwię czy szafran. Jej zależało na opinii, czy komuś smakuje to, czym ona częstuje. Dość często gotowała dla Zoe w czasie zabiegania o jej względy. Na tym etapie, kiedy Zoe zastanawiała się nad zakochaniem się w Jane i wyobrażała sobie, jak siedzą obie nago w kuchni Jane, zanurzają palce w surowym cieście na brownie i maczają widelce w idealnie pomarańczowym żółtku, które wzbogaca smak domowego makaronu. Jane właśnie skończyła naukę w Amerykańskim Instytucie Kulinarnym i lubiła ćwiczyć różne techniki przygotowywania potraw. Świeże rogaliki, czasem nadziewane masą migdałową. Zoe codziennie oblizywała palce. Przytyła pięć kilogramów w ciągu pierwszych sześciu miesięcy ich wspólnego życia, a ilekroć w ciągu kolejnych lat ich związku traciła na wadze, Jane traktowała to jako osobistą porażkę, jak prawdziwa, dobra żona.

Jorge pomachał do Zoe zza baru.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

Zoe pokręciła głową, ale Jane zniknęła za kontuarem i wróciła z dwoma kieliszkami cavy.

– Daj się namówić – powiedziała do Zoe. – Poczuj trochę smaku życia. – Jane podała swój kieliszek Ruby. – Spróbuj, ale tylko odrobinę, bo trafię za kratki. Siedzisz w oknie.

Ruby pociągnęła łyczek. Zoe zacisnęła usta, ale po chwili się uśmiechnęła.

– Jak ci idzie na kursie? Niewiele o nim mówisz, w każdym razie mnie – zauważyła Zoe.

Stojąca za plecami Ruby Jane przewróciła oczami, ale ponieważ na rozmowę, która nie odpowiada nastolatce, zawsze pora jest nieodpowiednia, to Zoe brnęła dalej.

– Myślisz, że zdążysz się przygotować i przystąpić do egzaminu jeszcze raz?

– Mówiłam już wam, drogie matki, że punkty nie stanowiły problemu. – Ruby zacisnęła zęby. – Dostałam ich wystarczająco dużo. Miałam lepszy wynik od połowy moich głupich koleżanek.

– Ale nie na tyle dobry, jak drugiej połowy twoich głupich koleżanek? – wtrąciła się Jane, która usiadła z nimi przy stole.

– Właściwie one nie są głupie. Nawet dość inteligentne, przyznaję. Ale dla mnie są

głupie, bo ich nie cierpię. – Ruby zamknęła leżącą przed nią książkę.

– Dzięki, pojęłam – powiedziała Zoe.

– A test, jasne, mogę go powtórzyć, jeśli tak wam na tym zależy. Ale nie wydaje mi się, żeby to miało coś zmienić. Mamusia nie poszła do college’u i jakoś nic się jej nie stało. – Ruby zwróciła do Jane. – Mam rację? Wszystko jest z tobą w porządku, prawda?

– Chodziłam do szkoły gastronomicznej – odpowiedziała Jane. – Jak wolisz, możesz iść do handlowej, to już byłoby coś.

– A co ty robiłaś w college’u, mumusiu, oprócz palenia papierosów i grania w zespole?

Zoe się roześmiała.

– O ile sobie przypominam, mam ukończony wydział sztuki! Robiłam też reprodukcje!

– Naprawdę nie zachęcajcie mnie do swojego planu. – Ruby potrząsnęła głową. – Trudno się dziwić, że żadna z was nawet nie spojrzała na moje zgłoszenie. College to tylko strata czasu i pieniędzy, dobrze o tym wiecie! Przyznajcie się, że wam ulżyło, bo nie będziecie musiały bulić pięćdziesięciu tysiaków rocznie za to, że będę się uczyć wyplatania koszyków czy czegoś tam innego, czego uczą w tym Oberlin. Albo robienia sufletów.

– Suflet już umiesz zrobić – zauważyła z dumą Jane.

– Znów to samo. Nie o to mi chodzi. – Ruby obróciła się na krześle i spojrzała w stronę kuchni. – Gotowe są te takosy? Umieram z głodu. Cały długi dzień zszedł mi tu na niczym. – Odsunęła krzesło i weszła do kuchni.

Jane ciężko usiadła na pustym krześle.

– Czy postępowałyśmy z nią właściwie, robiłyśmy wszystko źle? Czasami nie potrafię sobie odpowiedzieć na takie pytania.

Zoe pochyliła się i oparła na ramieniu Jane.

– Jeśli dojdiesz do jakiegoś wniosku, daj mi znać. – Jane rozsiewała zapachy pieczonej wieprzowiny, czosnku i czekolady, a Zoe się nimi delektowała. Gdyby sprawy zawsze były takie proste, to obie najzwyczajniej w świecie byłyby razem. Gdyby restauracja nie była powodem do przepychanek, gdyby Ruby nie dawała powodów do niepokoju, który codziennie pęczniał w żołądku jak balon... Zoe chciała, żeby związek dwojga ludzi składał się z samych przyjemności, tylko takich cząstek, które dają szczęście, ale niestety rzeczywistość przedstawiała się inaczej. Nawet ona to wiedziała.

Rozdział 33

Harry traktował to wyjście jako oficjalną randkę. Solista zespołu Aeroplanes mieszkał po sąsiedzku i codziennie przychodził na lunch do Hiacyntki, więc był zaprzyjaźniony z matkami Ruby. Znajomy wpisał ich na listę gości zaproszonych na koncert w Barclays Center i dostali dobre miejsca. Ruby napisała wiadomość, w której dawała do zrozumienia, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale Harry wiedział, że szykuje się wielkie wydarzenie. Będzie musiał powiedzieć rodzicom, a ona swoim matkom. Jedno z nich prawdopodobnie przyjdzie przed koncertem do domu drugiego i trzeba będzie usiąść w salonie na jakieś dwie minuty i porozmawiać. Harry naprawdę, ale to naprawdę miał nadzieję, że rodzice pozwolą mu pójść po Ruby, ale nie był zaskoczony, gdy ostatecznie usadowili się na kanapie w ich domu i czekali na jej przyjście. Twierdzili, że przygotowują ogłoszenia ze zdjęciami Iggy'ego Popa, żeby je rozwiesić w okolicy, ale Harry im nie dowierzał. Specjalnie się ociągali.

– I co takiego? – zapytała Elizabeth. – Po prostu chcę się z nią zobaczyć! Przecież to Ruby!

Harry przechadzał się tam i z powrotem, przystawał za każdym razem, gdy usłyszał odgłosy na chodniku. Andrew obserwował go, rozbawiony, co w tym wszystkim było najgorsze. Odchylił się do tyłu i wyjrzał przez okno.

– Już idzie – oznajmił.

Harry czmychnął do kuchni i otworzył lodówkę. Musiał się ochłodzić zimnym powietrzem, a poza tym nie chciał się uporczywie wpatrywać w drzwi. Impreza u kumpla Dusta wypadła beznadziejnie, chociaż Harry nie uczestniczył dotychczas w zbyt wielu, żeby mieć porównanie. Przyszło sporo bractwa. Goście głównie siedzieli po kątach i palili, a Harry wędrował za Ruby z pokoju do pokoju. Co pewien czas zatrzymywali się, z kimś się witali, a potem szli dalej. Po drodze Ruby mu opowiadała, że w rzeczywistości wcale nie lubi tej czy tamtej osoby, chociaż w bezpośredniej rozmowie powiedziała jej zupełnie co innego. W końcu znaleźli wolny kąt i usiedli na podłodze. Ruby strząsała popiół z papierosa do porzuconego przy ich stopach kapsła. Dust nie zwracał na nich uwagi i Harry poczuł ulgę. Imprezy były o wiele mniej ciekawe od wypadów do kina. Nikt nie tańczył, nikt nie wymiotował, a w każdym razie nie przed końcem spotkania, bo dopiero wtedy koleżanka Ruby, Sarah, zaszyła się w łazience i zza drzwi dały się słyszeć obrzydliwe odgłosy. Jediną atrakcją wieczoru było to, że Ruby trzymała go za rękę, nawet wtedy, gdy schowali dłonie między kolana przed spojrzzeniami imprezowych spacerowiczów. W gruncie rzeczy ta okoliczność nie miała specjalnego znaczenia. Najważniejsze, i tylko to się liczyło, że po powrocie do domu wysłała mu wiadomość z prośbą o prawdziwą randkę.

– Hej. Jak się miewasz?

Harry usłyszał ojca, który się witał z Ruby. Zamknął drzwi lodówki i odgarnął włosy znad oczu. Ruby obejmowała jego ojca i matkę. Zrobiła sobie inną fryzurę. U góry, blisko przy głowie, zaplotła ciasno warkoczyki, które kilkanaście centymetrów niżej rozsypywały się w gęste loki.

– Ooooch?! – zdumiał się Harry. – Kiedy to zrobiłaś?

– Mniej więcej przed godziną. – Ruby nawinęła kosmyk włosów na środkowy palec.

– Piękne uczesanie – pochwaliła Elizabeth. Zamknęła w dłoni garść włosów Ruby.

– Wyglądasz jak twoja babcia. Może w opinii ogółu ten komplement mógłby się wydać dziwny, ale naprawdę ją przypominasz.

– Staralam się zrobić na postapokaliptyczną boginię słońca, ale niech będzie babcia. – Ruby się uśmiechnęła. – Dzięki.

– Musimy już iść – ponaglił Harry. – Nie chcemy przecież niczego przegapić.

– Bardzo słusznie – przyznała Elizabeth. – Dobrej zabawy. Pozdrówcie od nas chłopców!

Harry zatrzymał się z ręką na klamce.

– Mamo, nikomu nie będę przekazywał pozdrowień od was.

– W porządku. – Elizabeth posłała mu całusa, którego Harry odpędził machnięciem ręki, jakby chciał go odesłać w powietrzu z powrotem na usta matki. Zniknęli za drzwiami, zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze.

Ruby nie wzięła go za rękę w drodze do stacji metra, ale zrobiła to potem, kiedy jechali pociągiem linii Q na koncert.

Centrum Barclays było ogromne. Harry nie wykazywał żadnego zainteresowania koszykówką, więc do tej pory nie widział tego miejsca. Z zewnątrz hala widowiskowo-sportowa kojarzyła mu się ze statkiem kosmicznym, który właśnie wylądował na Flatbush Avenue. Wszedł do środka i w otoczeniu czarnych i lśniących podłóg poczuł się jak w kryształowej kuli szatana. Ruby była w tej hali na kilku koncertach z mamą, więc poprowadziła go pomiędzy licznie zgromadzonymi widzami w kierunku okienka, gdzie czekały na nich bilety. Wśród bywalców koncertowych większość stanowili trzydziestolatkowie z niestereotypowymi brodami i w szydełkowych czapkach. Ich wygląd skłonił Harry'ego do głębszego zastanowienia się nad własną gładką, białą koszulką w serek. Ruby wystroiła się mniej więcej tak, jak wcześniej powiedziała, czyli na wzór bogini: nastroszone wokół głowy włosy sprawiały wrażenie aureoli, a dopełnieniem wizerunku była zwiewna krótka sukienka i ciężkie, czarne buciory. Krzywiła się na każdego, kto znalazł się przy niej w odległości poniżej metra, czyli mniej więcej na około stu osób na minutę. W końcu dotarli do swoich miejsc, które znajdowały się w odgródzonej linami części hali, po lewej stronie, zaledwie kilka kroków od sceny.

– Umm – mruknął Harry. – Blisko. Tym gościom naprawdę smakuje jedzenie twojej mamy.

– Przygotowywała przyjęcie weselne wokalisty – powiedziała Ruby. – Fajnie. Oni są... zresztą nieważne. Nie tak bardzo znani.

Harry zatoczył ręką, wskazując na publiczność.

– Powiedzmy, że cieszą się powodzeniem. Nie chodzi mi o to, że w pełnym tego słowa znaczeniu, ale że na dzisiejszy koncert sprzedali sporo biletów.

– Dość tak – przyznała Ruby i przytuliła nos do szyi Harry'ego. – Nie przepadam za ich muzyką. Takie tam granie dla smutnych chłopców i tatusiów.

Harry potrafił sobie wyobrazić dzień, w którym dotyk Ruby na jego szyi nie wywołałby u niego natychmiastowego wzwołu, ale akurat ten nie był dniem z jego wyobraźni.

– Ja mogę się mieścić w tej kategorii albo i nie – zauważył.

– Wiem, dlatego cię zaprosiłam – powiedziała Ruby. – I jeszcze dlatego, że chciałam się z tobą całować w miejscu publicznym i na oczach dziesięciu tysięcy obcych ludzi.

– Na to się zgadzam – oświadczył Harry, ale zanim zdążył powiedzieć więcej, poczuł język Ruby na ustach i jej dłonie na twarzy. Na scenie pojawił się zespół witany głośnymi owacjami. Harry poczuł, jak potężna fala dźwięku zalewa jego ciało. Od tamtej chwili już zawsze, bez względu na to, gdzie by się znalazł i co robił, na dźwięk kilku pierwszych akordów tej piosenki miał się przenosić w myślach do chwili, w której poczuł dotyk języka Ruby i był najszczęśliwszym chłopcem w całym Brooklynie.

Zespół grał. Wszyscy wokół nich wstali i kołysali się w rytm muzyki albo podskakiwali, kręcąc się w kółko przy swoich miejscach. Harry i Ruby poczuli się zjednoczeni z ogółem i robili to samo. Harry zorientował się, że gdyby nie całował Ruby, ona wyśmiewałaby się z otaczających ich ludzi i członków zespołu. Uznał więc całowanie za swój obywatelski obowiązek i starał się wypełnić go jak najlepiej. Mniej więcej w połowie koncertu wokalista – wysoki, chudy, z przetłuszczonymi, czarnymi włosami sięgającymi mu do uszu – zapowiedział kolejną piosenkę: „Wprawdzie to nie jest nasz utwór, ale myślę, że wszyscy doskonale znacie słowa”. Gitarzysta zagrał pierwsze taktory *Sama sobie jestem panią*. Ruby i Harry odsunęli się od siebie i zaczęli się śmiać. Wszyscy – dosłownie wszyscy, kilka tysięcy fanów zespołu – śpiewali ją chórem.

– Ale niesamowite! – krzyczał Harry, próbując przebić się przez wrzawę.

– Wiem! – Ruby kiwała głową, bezgłośnie poruszając ustami, recytowała słowa.

– Solista podkochuje się w Zoe.

Harry wzruszył ramionami. Wiele osób się w niej podkochiwało. W ich rodzinie seksapil Zoe stał się nawet tematem do żartów. Harry, kiedy był młodszy i zanim zrozumiał, jak to jest z lesbijkami, pewnego dnia zapytał ojca, czy miał romans z Zoe. Była taka piękna i zawsze znajdowała się w pobliżu. Może dorośli, tak jak samochodziki w wesołym miasteczku, zderzają się z tym, który znajduje się najbliżej. Harry nie wiedział. Andrew się roześmiał, a Harry natychmiast się zawstydził, bo najwyraźniej nie zrozumiał czegoś ważnego.

Solista wykręcał się na boki, pochylał do przodu i gwałtownie powracał do pionu, jakby go wciąż na nowo poddawano elektrowstrząsom. Ruby uniosła ręce i tańczyła.

– Tylko nie mów mamie – poprosiła, podskakując rytmicznie.

– Za żadne skarby nie powiem. – Harry potrząsnął głową.

Nie całowali się, ani nawet nie dotykali, aż do końca piosenki, bo czuliby się tak, jakby robili to pod okiem rodziców. Wydawało im się, że ta piosenka działa jak nadajnik sterowany falami radiowymi, który uruchamia sygnał alarmowy w jego i w jej domu i że ich rodzice mogą podglądać dzieci. Czuli się prawie tak, jakby dopuszczali się kazirodztwa. Nic podobnego się nie działo – oczywiście wychowywali się razem, ale Harry w swoim domu, a Ruby w swoim, tyle że na tej samej ulicy. Jasne, że istniały

zdjęcia sprzed lat, na których oboje stoją nago obok siebie, ale to było, jeszcze zanim zaczęło się prawdziwe życie, jeszcze przedtem, zanim Harry zaczął mieć pierwsze wspomnienia z przeszłości. Pamiętał natomiast, jak odczuwał niepokój, kiedy Ruby przechodziła obok niego, i że nie zwracała na niego uwagi, gdy oboje chodzili do szkoły średniej. Ich rodzice nie spędzali razem tak dużo czasu jak dawniej, odwiedzali się o wiele rzadziej. Teraz wszyscy są zbyt zajęci. To było wtedy, gdy Ruby i Harry byli innym osobami, dzieciakami, które wyglądały jak oni. Teraz przestali być dziećmi, stali się prawdziwymi ludźmi. Harry obawiał się, że jego rodzice nigdy nie zauważą, że on nie zostawia już brudnej bielizny na podłodze i że zaczął jeść awokado. Prawie wszystko w nim się zmieniło, albo się zmienia, a oni nie mają o tym pojęcia. Harry oglądał filmy pornograficzne, palił trawkę, onanizował się tysiące razy. W ich domu! Czasami wydawało mu się, że ze swoich dawnych zdjęć mógłby skonstruować robota, a rodzice między nim a Harrym nie zauważyliby różnicy.

Harry pragnął tylko jednego: uprawiać seks z Ruby, najlepiej codziennie od rana do nocy przez co najmniej tydzień. Zbliżyli się do siebie, przynajmniej tak sądził. W tamtym obcym domu zrobiła mu laskę, pierwszy raz, ale od tamtego dnia nic wielkiego się między nimi nie wydarzyło, poza dotykaniami przez ubranie, co oczywiście należy uznać za ogromny postęp w porównaniu z czasami, kiedy przyglądał się jej ukradkiem na szkolnym korytarzu, ale po tym, jak jej usta naprawdę (trudno w to uwierzyć) znalazły się na jego penisie, nie było już odwrotu. Ruby zaprosiła go do siebie do domu, ale Zoe zawsze krążyła w pobliżu i nie miała zwyczaju pukać, więc Harry nie był gotowy na swój pierwszy akt płciowy, który mógł zostać zakłócony. Wkrótce jego mama będzie miała więcej domów, w których będą trwały dni otwarte. Zresztą wcale nie musiało być jak w filmach o szkole średniej, gdzie taki akt odbywa się pod puszystą, różową kołdrą, a chłopak, ostrożny i poważny, co dwie sekundy pyta: „Czy tak jest dobrze? Czy wszystko w porządku?”. Miejsce nie miało znaczenia. Samo przebywanie w pobliżu Ruby sprawiało, że czuł się odważniejszy niż przedtem – jak w akcji z Dustem na uroczystości rozdania świadectw. Do tamtego dnia Harry’emu nawet przez myśl nie przeszło, żeby kogoś uderzyć, nigdy – ale chodziło o Ruby, więc mógł to zrobić. I to, co mu aktualnie chodzi po głowie, też mógłby zrobić.

– Chodźmy – szepnął Ruby do ucha.

– Co mówisz? – zapytała, ciągle tańcząc.

Wyciągnął do niej rękę, a ona ją przyjęła i tym razem to on ją prowadził, przeciskając się między widzami.

Hala była ogromna, a Aeroplanes występowali zaledwie od godziny, więc hol świecił pustkami. Tylko sprzedawcy piwa i T-shirtów pilnowali swoich stoisk.

– To jest twoje nowe wcielenie? Hmm, pan Międzynarodowy Agent Wywiadu? – zdziwiła się Ruby.

Harry rozglądał się dookoła, aż zobaczył wyjście.

– Może i tak.

– A mnie może się to podoba.

Rozdział 34

W głębi parku, w jego południowej części, znajdował się plac zabaw. Ruby wolała go od placzyku na Cortelyou, ponieważ był na tyle duży, żeby można się na nim zawieruszyć. Bardzo często różni rodzice krążyli tu, nawołując swoje dzieci. Ruby i Harry otworzyli niewielką, metalową furtkę i wślizgnęli się na ogrodzony teren. W odróżnieniu od pozostałej części parku, „otwartej” do północy, place zabaw praktycznie zamykano po zmroku, ale to wcale nie znaczyło, że były niedostępne. Po prawej stronie, bliżej ulicy, rzędem stały huśtawki, nieco dalej znajdowały się zwierzęta z włókna szklanego na elastycznej wykładzinie, na tyle miękkiej, że nawet gdyby małe dziecko spadło na ziemię podczas zabawy, nie stałoby mu się żadna krzywda. Na placu oprócz nich nie było nikogo.

Harry okrążył sporego, fioletowego słonia, przesuwając dłonią po jego grzbiecie.

– Zrobiłabyś to samo z moimi włosami? – zapytał Harry, nie podnosząc wzroku.

– Chcesz wyglądać jak bogini disco?

Harry potargał sobie włosy i zatrzepotał rzęsami.

– Tak. A może by je skrócić? – Chwycił skręcony w spiralę kosmyk włosów z czubka głowy i rozciągnął na całą długość.

– Obetnę ci je, ufarbuję na blond, zrobię, co tylko zechcesz. Możesz wybierać bez ograniczeń.

Ruby podeszła do Harry’ego. Prawdopodobnie dawniej bawili się razem właśnie tutaj. Ostatnio w ogóle go nie dostrzegała. Widywała go oczywiście na ulicy i w szkole, ale był tylko kimś o znajomej twarzy, kto powstał w wyniku zespolenia i zredukowania do mniejszych rozmiarów jego ojca i matki. W aparacie służącym do prokreacji. Wszyscy bez wyjątku byli osobnikami z fabryki robotów, gdzie zostali zbudowani z jajeczek i plemników, a potem pokryci gęstym i lepkiem śluzem. Ruby widziała swoje zdjęcia zrobione w chwili, gdy wyłania się z waginy Zoe. Zrobił je znajomy jej matek, który przybył na salę porodową właśnie w tym celu – żeby fotografować waginę Zoe i owłosioną główkę Ruby, krew i całe to paskudztwo. Potem ta filigranowa osóбка, lalczka, rosła i rosła, i rosła, aż znalazła się na placu zabaw o dziesiątej wieczorem w środę, w środku lata, i była o krok od zdjęcia bielizny, kopnięcia jej w stronę wieloletniego przyjaciela, swego nowego chłopaka, czy tego kogoś, kim dla niej był.

Samochody przejeżdżały ulicą, ale Harry i Ruby ani na chwilę nie przestawali patrzeć na siebie. Harry trzymał jej bieliznę w dłoni, palcami ledwie dotykając bawełnianego materiału. Ruby podeszła do niego tak blisko, że spotkały się ich usta, a potem popchnęła go lekko do tyłu i oboje położyli się na ziemi. Rozpięła zamek błyskawiczny jego spodni i wyjęła ogonek.

– Nic nie mam przy sobie – wyjąkał Harry. Gdyby się nie bał chodzić teraz sam po parku, to pobiegłby do Duane Reade i kupił cały zapas prezerwatyw, jaki mają w sklepie, żeby nigdy więcej, przenigdy, nie znaleźć się w takiej sytuacji.

– Ja mam – powiedziała Ruby. Sięgnęła do torby i wyciągnęła prezerwatywę.

– Mam nawet więcej niż jedną, na wszelki wypadek, gdyby dobrze poszło. Albo szybko.

Harry zakasłał.

– Ruby – szepnął.

Miał różowe policzki, widziała nawet w ciemności. Bardzo się jej podobał taki rumieniec u chłopców z jasną cerą, jak u Harry’ego. Z łatwością można im było dodać kolorytu, zmieniali barwę jak kameleon, który próbuje się wtopić w zieleń drzewa.

– Wiem. – Ruby rozwinęła prezerwatywę i delikatnie założyła ją Harry’emu.

Już nim wstrząsało, gdy usiadła mu z powrotem na brzuchu i wprowadziła go do swego ciała.

– Cholera – jęknął Harry. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Ruby kołysała się, zadowolona z cichych odgłosów zachwyty Harry’ego. – Cholera – wymamrotał znowu, a Ruby poczuła, że doszedł.

Pocałowała go i zacisnęła mięśnie Kegła, co wywołało u niego kolejny przeciągły jęk.

– O mój Boże! – westchnął Harry. – Czyżby to się stało?

Ruby roześmiała się i znów go pocałowała.

– Hm, tak. Właśnie dlatego mam ze sobą więcej niż jedną gumkę.

– Nie – powiedział Harry. – To znaczy, nie o to chodzi. To znaczy, tak, myślę, że o to. Ale też chciałem powiedzieć, a niech to! – Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Ruby spała dotąd z czterema facetami – włącznie z Harrym i Dustem. Ten bilans obejmuje tylko rzeczywisty seks, bo gdyby wziąć pod uwagę inne rzeczy, lista byłaby dłuższa. Ale z tych czterech tylko Harry patrzył na nią w ten sposób. Nawet z Mikhailem, z którym straciła dziewictwo w wieku czternastu lat, nigdy nie czuła się tak, jakby zrobiła dla kogoś coś naprawdę ważnego. Jej drugim facetem był Jamal, miejscowy asystent organizatora obozu letniego. Ruby byłaby gotowa iść o zakład, że uprawianie seksu z uczestnikami programu w żadnym razie nie mieściło się w zakresie jego obowiązków, więc nie było powodów do dumy. Nie w tym rzecz, że ci, z którymi spała, mieli z nią nieudaną randkę albo że jej nie pragnęli – nawiasem mówiąc, ona też z każdym z nich chciała iść do łóżka i swojej decyzji absolutnie nie żałuje – ale Ruby ani razu, aż do tej chwili, nie czuła, że na własnych oczach staje się częścią czyjejś historii. Na placu zabaw uświadomiła sobie to bardzo wyraźnie. Nieważne, jak się dalej potoczą sprawy z Harrym, ale nawet gdyby nie mieli się już nigdy więcej ze sobą przespać, nawet gdyby została potrącona przez autobus w drodze powrotnej do domu, nawet gdyby wyprowadziła się na bieżący północny i porozumiewaliby się przez Świętego Mikołaja, wiedziała, że Harry zawsze będzie pamiętał ten plac zabaw i jej twarz, i to, że się zgodziła być jego pierwszą dziewczyną.

Nie ma wielu różnic między posiadaniem dwojga homoseksualnych rodziców a rodziców dwóch różnych ras. Dzieci w takich rodzinach nie wychowują się zgodnie z tradycjami pogańskimi ani w duchu religii Wicca, ani według innych dogmatycznych reguł, jak to konserwatyści próbują wmawiać swoim wyborcom. Takim dzieciom nie wpaja się uporczywie żadnych idei. Nawet wprost przeciwnie. Większość znajomych Ruby, którzy mieli heteroseksualnych rodziców, dorastała w przekonaniu, że swoje zainteresowania, tak jak rodzice, koncentrują wyłącznie na osobach płci przeciwnej i że w przyszłości założą rodzinę z kimś podobnym do siebie. Jeśli natomiast ktoś ma dwie mamusi albo dwóch ojców lub matkę i ojca o odmiennym kolorze skóry, to przychodzi

na świat ze świadomością, że żadne fundamentalne reguły nie obowiązują. Ruby była otwarta na każdą relację. Wielokrotnie się zastanawiała, czy by nie uznać się za lesbijkę, mimo że wyraźnie czuła pociąg do chłopców. Nie potrafiła stwierdzić, czy dzieje się tak dlatego, że chce być inna od swoich matek, czy ulega presji społecznej objawiającej się wciskaniem dziewczętom lalek Barbie, czy może są jeszcze jakieś inne powody. U Whitmana było kilka dziewcząt o innych preferencjach, dwie małe lesbijki, które nosiły muszki i oksfordki, i jedna ładna dziewczyna w przedostatniej klasie, która miała partnerkę z college'u. Tę okoliczność Ruby uważała za oburzającą z czysto prawnego punktu widzenia. Do szkoły chodziło też kilkoro innych dzieci z gejowskich rodzin, ale one były jeszcze w gimnazjum, więc Ruby nie miała zamiaru zasięgać ich opinii w tej sprawie. Sama była niemal pewna swojej heteroseksualnej orientacji, ale od czasu do czasu nawiedzały ją wątpliwości. Możliwe, że kiedyś zmieni zdanie, kto wie? Jej mumusia jako nastolatka spotykała się też z facetami. Mamusia natomiast nie uprawiała seksu z facetem nawet za bilion lat. Każdy jest inny.

Seks wcale nie jest wielką sprawą. Seks jest bardzo wielką sprawą. Już miała powiedzieć: „No, no! Zdziwiłeś sam siebie!”, ale nagle rozbłysły latarki i rozległ się czyjś głos z megafonu. Ruby i Harry zaczęli się uwijać jak karaluchy spłoszone światłem.

Rozdział 35

W środowe wieczory nie było zbyt wielkiego ruchu w Hiacyntce, więc Jane i Zoe wróciły wcześniej do domu. Jane siedziała na kanapie i oglądała jakiś idiotyczny program, a Zoe na górze leżała w łóżku. Obie udawały, że nie czekają na powrót Ruby. Jane usłyszała brzęczenie wibrującego telefonu, który leżał na stoliku, ale nie rozpoznała numeru, więc go zignorowała i sięgnęła po pilota. Minutę później usłyszała dzwonek telefonu Zoe na piętrze. Zoe krzyknęła: „Co takiego?” i po chwili rozległo się dudnienie jej stóp po podłodze, które wzmogło czujność Jane. Wyprostowała się i nasłuchiwała. Zastanawiała się, co się tam dzieje i czy może jednak powinna się wybrać na górę i sprawdzić, ale nim się obejrzała, Zoe już zbiegała po schodach.

– Cholera! Musimy jechać na komisariat – wyrzuciła z siebie Zoe. Głowę miała owiniętą szalem. Prawdopodobnie drzemała, bo na jej lewym policzku wyraźnie odcisnął się brzeg poduszki. – Psia krew! Ruby i Harry gzili się, rozumiesz, gzili się w parku. Na jakimś przeklętym placu zabaw!

Jane włożyła trepy i poklepała się po kieszeniach.

– Mam swoje klucze, chodźmy.

Komisariat policji w okręgu sześćdziesiątym siódmym nie należał do imponujących bastionów wymiaru sprawiedliwości jak w serialu *Prawo i porządek: sekcja specjalna*, z monitorami komputerowymi na każdym stanowisku pracy i starannie ostrzyżonymi policjantami. Tu podłoga była brudna, a na biurkach funkcjonariuszy panował bałagan. Jane często w nim bywała na początkowym etapie działania Hiacyntki, kiedy nie było miesiąca bez jakiegoś incydentu – skradzionej karty kredytowej, włamania, wybitej szyby. Policjanci byli przepracowani, niemiłosiernie zmęczeni. Na powitanie skinęła głową do funkcjonariusza Vernona, którego znała, ponieważ jeździł w patrolu w okolicy Hiacyntki. Zoe zachowywała się histerycznie, jej srebrne bransoletki brzęczały jak tysiąc dzwonek. Jane wzięła ją za rękę.

– Będzie dobrze, zobaczysz – uspokajała ją.

– Chyba ją zamorduję – mruknęła Zoe. – Dowiem się tylko, czy jest cała i zdrowa. Gdyby Harry kotłował się z białą dziewczyną, odesłaliby ich do domu. Jeszcze chwila i nie wytrzymam. Poduszę wszystkich, ilu ich tu jest.

Zatrzymały się przy biurku. Jane rozejrzała się dokoła i przez otwarte drzwi pokoju na zapleczu zobaczyła nogi Ruby.

– Przyjechałyśmy po naszą córkę – powiedziała Jane, wskazując palcem. – Ruby Kahn-Bennett?

Policjantka przy biurku kiwnęła głową i podniosła słuchawkę. Czekwały mniej więcej minutę i zjawiała się inna policjantka, która ciężkim krokiem zbliżała się do nich korytarzem.

– Funkcjonariuszka Claiborne Ray – przedstawiła się. – Proszę na zaplecze. Rodzice zatrzymanego już są – powiedziała i pokazała, że mają iść za nią.

Zoe wyrwała się do przodu, jak gdyby szły do celi w więzieniu w Kambodży i zapowiadało się, że nigdy więcej nie zobaczą Ruby.

Pokój był niewielki, a wydawał się jeszcze mniejszy, ponieważ oprócz Ruby, Harry'ego, Elizabeth i Andrew był jeszcze policjant, który siedział za biurkiem. Młody mężczyzna, może dwudziestopięcioletni, wyraźnie zadowolony z siebie. Bez wątpienia to on zatrzymał tamtych dwoje. Jane miała chęć go spoliczkować. Zachowywał się, jakby złapał groźnych przestępców. Pewnie awansował z sekcji ochrony zwierząt i dopiero co przestał się zajmować ratowaniem kotów z mieszkań kompulsywnych zbieraczy.

Andrew kiwał się na krześle, w przód i w tył, czemu towarzyszyło irytujące skrzywienie. Elizabeth obejmowała Harry'ego. Ruby skubała paznokcie. Gdy zjawily się Jane i Zoe, podnieśli głowy i skierowali wzrok na nie. Ruby tylko machnęła do nich ręką, nie mogła się zdobyć nawet na nieszczery uśmiech. Andrew potrząsnął głową i zacisnął zęby.

– Proszę wejść – powiedziała funkcjonariuszka Ray.

Zoe ciężko usiadła na krześle obok Ruby i ścisnęła jej kolano. Wszystkie krzesła były już zajęte, więc Jane stanęła przy ścianie i oparła się o nią plecami. Czuła na sobie gniewne spojrzenia Andrew i Elizabeth, świdrujące jej policzek z taką mocą, że zasłoniła go dłonią.

– Co konkretnie się wydarzyło? – zapytała Jane.

Młody policjant odchrząknął.

– Tych dwoje odbywało stosunek seksualny na placu zabaw.

– Stosunek seksualny? A pan kim jest, Billem Clintonem? Mam rozumieć, że widział pan na własne oczy? – wykrzykiwała Zoe ostrym, piskliwym głosem. Wpadała w gniew niezwykle rzadko, ale gdy już do tego dochodziło, wybuchała jak wulkan po stu latach uśpienia. – Szczerze wątpię. Ruby, proszę, opowiedz nam, co się właściwie stało. Doprawdy nie wydaje mi się, żeby ich pan złapał na czymkolwiek. Owszem, może i zapuścili się na plac zabaw po zmroku. Niech będzie. W porządku! Proszę. – Wciągała i wypuszczała powietrze nosem jak byk na chwilę przed szarżą.

Policjant odchrząknął.

– Panienska siedziała na tym młodym człowieku. Jej bielizna leżała na ziemi. Obok znajdowała się zużyta prezerwatywa. Niczego sobie nie wymyśliłem, proszę pani. – Ten smarkaty waźniak niemal się uśmiechał. – Zostało popełnione poważne wykroczenie.

– Zużyta prezerwatywa? – W porównaniu z głosem Zoe głos Elizabeth był nikły, jakby słowa nie chciały się jej precyzyjnie przez usta. Zdjęła rękę z ramienia Harry'ego i odchyliła się do tyłu.

– Właśnie tak, proszę pani. – Funkcjonariusz skrzyżował ręce na piersiach.

– Dodam, że pani Kahn-Bennett ma skończone osiemnaście lat, a wobec tego cała sprawa wygląda o wiele poważniej.

– Wielkie rzeczy! – odezwał się Harry.

Elizabeth schowała twarz w dłoniach.

– Ruby, czy to prawda? – Zoe pochyliła się w stronę córki i nastawiła ucho.

Ruby wzruszyła ramionami.

– To znaczy, powiedzmy, że tak. Harry Marx i ja nie uprawialiśmy seksu akurat w chwili, gdy ci wspaniali funkcjonariusze nieuprzejmie nam przeszkodzili, ale jak

wiadomo, seks to ludzka rzecz, więc bardzo możliwe, że całkiem niedawno się kochaliśmy. Nie mam w tej sprawie nic więcej do powiedzenia, oprócz tego, że jest mi naprawdę przykro, że niefortunnie wykorzystaliśmy park po zmroku do własnych celów. Za to bardzo przepraszam.

Harry tłumił śmiech, a jego matka położyła mu palec na ustach.

– Ani się waż! – Elizabeth potrząsnęła głową. – To, co tu słyszę, nie mieści mi się w głowie.

– Chyba nikt nie ma wątpliwości, kto zawinił – powiedział Andrew i uniósł dłonie. – Harry do tej pory nigdy nie wpakował się w żadne kłopoty, proszę pana, ani razu. Podczas gdy Ruby...

– Och! – przerwała mu Zoe. – Coś podobnego! Już widzę, do czego to zmierza!

– Czy ja coś zmyślam? – Andrew zwrócił się do Elizabeth, oczekując od niej potwierdzenia. Wyglądała na zmieszaną.

– Nie ma znaczenia, kto wpadł na ten pomysł – oświadczyła policjantka. – Nie bnijmy w ślepy zaułek. Tych dwoje znalazło się tutaj pierwszy raz, a ponieważ zarówno pani Marx, jak i pani Kahn są szanowanymi osobami w naszej lokalnej społeczności, jesteśmy gotowi poprzestać na ostrzeżeniu i ukaraniu mandatem. Ale jutro chcę mieć na biurku pisemne przeprosiny od obojga waszych dzieci.

– Dziękuję – powiedziała Jane, wyciągając rękę do funkcjonariuszki. – Naprawdę jesteśmy zobowiązani. – Położyła drugą rękę na ramieniu Ruby. – Nic podobnego już się nie powtórzy, obiecuję.

Zebrali swoje rzeczy i wstali. Jane zauważyła, że Elizabeth szeptem powiedziała „przepraszam” do Zoe. Wyszli na ulicę rzędem, najpierw panie Kahn-Bennett, za nimi Marksowie.

Gdy tylko znaleźli się na chodniku naprzeciwko stacji, Zoe ruszyła do samochodu, popychając przed sobą Ruby, jakby chroniła ją przed paparazzi.

– Zaczekaj – wstrzymała ją Jane. Przystanęła i odwróciła się do Elizabeth. – Za co ją przepraszałaś?

– O co ci chodzi? – zapytała Elizabeth z najbardziej naiwną miną dziewczynki z chóru, na jaką się potrafiła zdobyć.

– W komisariacie szeptałaś do Zoe, że ją przepraszasz. Chcę wiedzieć, z jakiego powodu. Jest ci przykro, że moja córka uprawiała seks z twoim synem? Niedobrze mi się robi od tego waszego kitu. Wam się wydaje, że macie idealne dziecko, doskonale ułożone życie, zasrani perfekcyjniści, a tak naprawdę, słowo daję, jesteście szurnięci jak my wszyscy. – Jane poczuła szybsze bicie serca. Ledwie się powstrzymywała, żeby nie przewrócić Elizabeth na ziemię, nie połamać jej tych patykowatych kończyn i nie posłać jej do diabła.

– Naprawdę nie rozumiem, o czym ty mówisz, Jane – zdziwiła się Elizabeth. W nocnym powietrzu czuło się chłód, zrywał się wiatr, który zdmuchiwał śmieci spod ich stóp. – Nigdy nie twierdziłam, że jesteśmy doskonali. – Nie byli doskonali, ani ona, ani Andrew, ani Zoe. Pomyślała o Lydii, która zanim umarła, trafiła do komisariatu co najmniej sześć razy. Śmiałyby się szydęrczo z tego wszystkiego. Co za drobnomieszczaństwo! Wielkie mi rodzicielstwo! Nawet nie potrafią się przyznać do

własnych przewinień.

– Och, już dobrze. – Jane wyłamywała sobie palce, które strzelały w stawach. Nie chciała nikogo przestraszyć, tylko takie miała przyzwyczajenie. Zauważyła, że Elizabeth odskoczyła do tyłu na ten odgłos, ale wcale nie było jej z tego powodu przykro. – Myślisz, że nie widzę, jak patrzysz na Zoe, na mnie i na Ruby? Jakbyś była ponad tym wszystkim i spoglądała na nas z wyższością ze swego małego tronu?

– Mamo – odezwała się Ruby. – Wyluzuj.

– Jane – wtrąciła się Zoe. – Po pierwsze się uspokój. Po drugie, to są kompletne bzdury i nie ma w nich ani słowa prawdy. Po trzecie, czy możemy nie prowadzić tej rozmowy przed komisariatem. Robimy tu widowisko jak w programie Maury'ego Povicha.

– Przeprosiłam ją za Andrew, który próbował zrzucić winę na Ruby – wyjaśniła Elizabeth. Wsunęła ręce do kieszeni bluzy. – Co do reszty, jest mi bardzo przykro, że tyle trudnych spraw spada na was równocześnie, problemy w związku i wiele innych. Naprawdę mi przykro. Bardzo wam współczuję. Przecież was kocham, dziewczyny! Dajcie spokój! Doskonale o tym wiecie.

– Przepraszasz ją za mnie? – zapytał Andrew z niedowierzaniem. – Chyba nie mówisz poważnie?

– Dobrze już, dobrze – poddała się Jane, unosząc ręce. – W porządku. Ruszyła do samochodu i po drodze kopnęła gazetę, która przykleiła się jej do nogi. Idąc, przeklinała pod nosem, zadowolona, że przynajmniej nie tylko one wracają do domu, żeby się tam kłócić dalej.

Rozdział 36

W college'u w Oberlin (liczba studentów: 3000) było więcej lesbijek niż w całym Wellesley (liczba ludności: 27 982) w stanie Massachusetts, jeśli nie liczyć wszystkich żeńskich college'ów, do których Elizabeth nawet nie zamierzała się ubiegać, ponieważ oznaczałoby to, że nigdy nie zdołałaby wyjechać z domu. Postanowiła sobie, że miłości lesbijskiej spróbuje na studiach, tak jak wielu innych rzeczy, na przykład tofuczniczy albo grania w zespole. Raz pocałowała dziewczynę, podczas szczególnie udanej zabawy w „Prawdę lub wyzwanie” na imprezie w ostatniej klasie szkoły średniej, ale tamta była uczennicą drugiej klasy, która przypadkowo znalazła się w towarzystwie, w dodatku pijaną, i natychmiast zaczęła chichotać, więc ten raz w zasadzie się nie liczy.

Potem pojawiła się Zoe Bennett. Elizabeth czasami zastanawiała się nad przypadkowością własnego życia, które zaczęło się w tym kształcie, w jakim trwało do teraz, w akademiku przypominającym blok więzienny. Co by było, gdyby Andrew nie mieszkał w tym samym korytarzu? Jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Zoe nie mieszkała na dole? College w Oberlin był niewielką uczelnią, ale znaleźli się w niej ludzie, których na pewno nigdy wcześniej nie znała, i tacy, których poznała wiele lat później. Elizabeth i Andrew spotkali się w czasie programu integracyjnego dla studentów pierwszego roku, a Zoe poznała w pierwszym tygodniu pobytu w Oberlin, kiedy siedziała przed akademikiem i paliła papierosa. Wiele dziewczyn miało rozjaśnione włosy, jednak niewiele z nich miało ciemną skórę i nosiło ciężkie, czarne buciory na platformie w stylu gotyckim. Elizabeth zgubiła klucz do budynku i czekała, aż ktoś będzie z niego wychodził i wpuści ją do środka. Było to pierwszego września. W Ohio był piękny, bezchmurny i słoneczny dzień, wszędzie mnóstwo kwiatów. Po pewnym czasie pojawiła się Zoe i otworzyła drzwi, a potem odprowadziła Elizabeth aż do pokoju, jakby pracowała tam w charakterze gońca hotelowego będącego do dyspozycji mieszkańców akademika. Zaprzyjaźniły się tak szybko, że Elizabeth czasami myślała, że Zoe z pewnością pomyliła ją z kimś innym, ładniejszym i zabawniejszym, kto ma do powiedzenia ciekawsze rzeczy i lepiej toleruje alkohol.

Nie uprawiały seksu.

W ogóle nic nie robiły.

Taka mniej więcej była prawda. Elizabeth i Andrew już ze sobą chodzili, można tak przyjąć. Całowali się wieczorem na pożegnanie i nigdy na ten temat nie rozmawiali w ciągu dnia. Ich zespół, Pociąg do Kitty, grał koncerty na imprezach domowych raz lub dwa razy w tygodniu. Po całym miasteczku akademickim fruwały ulotki o treści „PUF-PUF” i z adresem, pod którym odbywał się ich występ. Dwa dolary za beczkę piwa. Wszyscy ich znali. Zoe i Andrew mieszkali poza miasteczkiem akademickim, ponieważ dostali już pozwolenie – Zoe w jednopokojowym mieszkaniu obok popadającego w ruinę oberlińskiego kina Apollo, więc neon rozświetlał jej pokój każdego dnia po zmroku i palił się do około dziesiątej rano. Stanowiły dziwny tandem – nawet, gdy znalazły się w zespole, Elizabeth przy Zoe wciąż się czuła amatorką: amatorką jako kobieta, amatorką jako studentka, amatorką jako fajna kumpelka. Mimo to razem bawiły się o wiele lepiej,

niż wydawało się to możliwe. Chodziły do Armii Zbawienia, kupowały tam całe worki odzieży za dziesięć dolarów, do kręgielni, skąd wracały cuchnące dymem papierosowym i frytkami, razem bywały w kinie, upijały się w swoim towarzystwie i śmiały przez całą noc. Elizabeth chciała być najlepszą przyjaciółką Zoe, nosić dobrze dobrane naszyjniki i inne rzeczy. Do przyjaźni było już blisko, prawdopodobnie, ale Zoe miała tak wielu znajomych w różnych zakątkach miasteczka akademickiego, że Elizabeth nie bardzo potrafiła się zorientować, jakie miejsce jej przypada w życiu Zoe.

Elizabeth do tej pory czuła się zażenowana na samo wspomnienie tamtej sytuacji, którą wciąż dobrze pamięta – Zoe prawdopodobnie o całym zdarzeniu zapomniała jeszcze przed pójściem spać tamtego wieczoru. Obie leżały na kanapie w mieszkaniu Zoe i oglądały film – *Bonnie i Clyde* z Warrenem Beattym i Faye Dunaway. Zoe entuzjastycznie komentowała stroje Faye. Głowa jednej znajdowała się w nogach drugiej, nogi jednej spoczywały na brzuchu drugiej, ale potem, prawie w połowie filmu Zoe stwierdziła, że jest zmęczona. Wykonała półprzewrót i półobrót i umościła się tuż za plecami Elizabeth i obie leżały zwrócone twarzami do niewielkiego telewizora. Zoe objęła Elizabeth w pasie i mocno się przytuliła.

– Idę spać – powiedziała. – Obudź mnie przed śmiercią Bonnie.

Ale Zoe nie usnęła, w każdym razie Elizabeth nic podobnego nie zauważyła.

Na ekranie Faye Dunaway stała oparta o samochód, paliła papierosa. Elizabeth poczuła dotyk nosa Zoe na kręgosłupie. Za oknem rozciągało się niebo, zachmurzone, równe i bezkresne. Pokój wypełniało zielonkawe światło. Dłoń Zoe znalazła się na brzuchu Elizabeth.

Mimo otwartego umysłu i nieposkromionej ciekawości Elizabeth wciąż nie znalazła dziewczyny do pocałowania. Sądziła, że kiedyś w końcu trafi na odpowiednią, podobnie jak jest z chłopakami – najpierw jakiś będzie z nią flirtował na imprezie, potem będą się szamotać przy ścianie, a później pójdą do pokoju w akademiku, a tam ręce znajdą się na ubraniach, ręce powędrują pod ubrania, usta przylgną do skóry. Ale tak się nie stało. Owszem, spotykała się z kilkoma, a potem nastął Andrew i na tym koniec.

Elizabeth uważała, że nie jest lesbijką. Wprawdzie zdarzało się jej myśleć, że oczywiście może się okazać, że nią jest, ale prawdopodobieństwo według niej było takie samo jak tego, że świstak zobaczy swój cień. Zoe natomiast, pomimo że spała z wieloma facetami, twierdziła, że o swojej orientacji wiedziała od wczesnego dzieciństwa. Przekonywała, że to jest tak samo jak z praworęcznością czy leworęcznością. Oczywiście w tych sprawach nie ma wyboru – na tyle Elizabeth się orientowała – jednak co do siebie, niczego nie była pewna, nawet nie potrafiła ze sobą ustalić, co chce zjeść na lunch. Jak w takim razie miałyby rozstrzygnąć taką kwestię?

Prawa ręka Zoe zawisła na ramieniu Elizabeth. Usta Zoe teraz dotykały jej karku. Elizabeth ani drgnęła – gdyby się poruszyła, Zoe mogłaby się wycofać. Gdyby Elizabeth wykonała choćby najmniejszy ruch, mogłaby obudzić Zoe, która pewnie śni o kimś innym, o jednej z dziewczyn ze wspólnoty studenckiej z tej samej ulicy, z kolczykami w nosie, gotowym zakwasem do chleba i specjalnymi, materiałowymi woreczkami na ekstazę, które nosiły zawieszane na szyi. W pokoju robiło się coraz cieplej. Na dole w kinie wyświetlali *Bodyguarda* i butelki po piwie prawdopodobnie turlały się po

pochylej podłódze pod stopami widzów. Poprzedniego wieczoru wybrały się na ten film. Wszyscy wyśmiewali się z Whitney Houston do czasu, aż otworzyła usta i zaśpiewała. Wtedy zapadła cisza i każdy już tylko jej słuchał. To właśnie Elizabeth chciała zrobić w tej chwili, spokojnie leżeć i słuchać. Gdyby się mocno wysiliła, zapewne usłyszałyby wiewiórki w parku po drugiej stronie ulicy albo samoloty latające nad głową. To były pocałunki, właśnie je Elizabeth czuła na karku. Zoe ją całowała, a ona czuła to na całym ciele, jakby językiem dotykała stu gniazdek elektrycznych jednocześnie.

Rozległo się pukanie do drzwi – często się zdarzało, zwłaszcza że mieszkanie znajdowało się naprzeciwko jedyne go baru z wyszynkiem w mieście, w którym panowała alkoholowa posucha. Zoe przestała robić to, co robiła, i obie czekały. Ten, kto stał za drzwiami, zapukał ponownie, tym razem natarczywiej.

– Hmm – mruknęła Zoe.

Elizabeth usiadła i odwróciła się w stronę drzwi.

– Powinam już iść do domu, tak? – zapytała.

– Zaczekaj, sprawdzę tylko, kto to jest – powiedziała Zoe. Wydostała się z kanapy, podeszła do drzwi i sięgnęła do okrągłej klamki.

Elizabeth włożyła buty.

– Zoeeeeeeeeeeeeeeee, otwórz! – Drzwi otworzyły się gwałtownie i szeroko, a popchnięta nimi Zoe się przewróciła. Stała w nich TJ, znajoma Zoe, dziewczyna z tatuażami na obu rękach, które były nimi pokryte miejsce przy miejscu, od góry do dołu. Była z ostatniego roku studiów, starsza od nich obu, ordynarna w sposób, jaki drażnił Elizabeth. Zoe na czworakach wycofała się z przejścia, a TJ ominęła ją i weszła do środka. – Masz jakieś fajki? Gibson zamknięty.

– To ja już pójdę – powiedziała Elizabeth. Nie mogła spojrzeć Zoe w twarz, więc wbiła wzrok w brudny dywan, najpewniej nigdy nieodkurzany.

– Naprawdę chcesz iść? – zapytała Zoe przyciszonym głosem. Wstała powoli.

Elizabeth precyzyjnie się obok niej na korytarz, uważając, żeby jej nie dotknąć. Usłyszała, że TJ wyłączyła *Bonnie i Clyde'a* i nastawiła muzykę.

– Tak, już pójdę – powiedziała Elizabeth, mimo że wcale nie była pewna swojej decyzji. Doszła do szczytu schodów, zeszła kilka stopni i dopiero wtedy spojrzała w górę. Zoe wciąż tam stała, jeszcze czekała, wysunęła głowę za drzwi. Bardzo łatwo byłoby pokonać z powrotem te kilka stopni. Całe ciało Elizabeth pulsowało. Miała wrażenie, jakby brała udział w wyścigu sztafetowym na trasie wiodącej przez miejsca, w których nigdy nie była. Zoe z pewnością poczuła elastyczną tasiemkę między nimi, więc Elizabeth, nie czekając, aż siła przyciągania stanie się zbyt mocna, zbiegła po schodach i wyskoczyła na ulicę w jasną noc.

Rozdział 37

Inne możliwości absolutnie nie wchodziły w grę – Andrew nie godził się na żaden kompromis. Harry otrzymał całkowity zakaz spotykania się z Ruby, z jednym wyjątkiem. Były nim zajęcia na kursie przygotowawczym. Od nikłej iskiej dumy z syna, który na swój seksualny debiut (prawdopodobnie) wybrał miejsce publiczne i naprawdę piękną dziewczynę (trzeba spojrzeć prawdzie w oczy), Andrew szybko przeszedł do bardziej pragmatycznych ojcowskich uczuć. Dla Harry’ego Ruby Kahn-Bennett stała się niewidzialną sąsiadką, dziewczyną-duchem, wspomnieniem. Gdyby jej matki sprawdziły się dobrze w każdym aspekcie swoich obowiązków rodzicielskich, to Ruby wkrótce opuściłaby rodzinne gniazdo i wyjechała do jakiegoś drugo- lub trzeciorzędnego college’u, gdzie mogłaby terroryzować wszystkich tamtejszych obwiesiów, posługując się skutecznym orężem: własną niefrasobliwością i wrodzonym wdziękiem. Ale Ruby prawdopodobnie pozostanie w domu na zawsze i będzie pracować w restauracji swoich matek. Andrew nie dbał o to. Ruby nie była jego problemem – Zoe i Jane roztargnieniem i lekkomyślnością same sobie zapracowały na to, co mają. Ruby do trzeciego roku spała pomiędzy nimi w ich wspólnym łóżku. Stąd się teraz to wszystko bierze. Aż nazbyt wielu rodziców pobłaża dzieciom, postępuje z nimi niekonsekwentnie, a z biegiem lat się okazuje, że problemy tylko narastają.

Łatwiej było się skupić na przyjemnych sprawach. Andrew i Dave snuli plany na temat barki. Wymieniali się pomysłami. Wprawdzie garaż przy EWOLUtorium bardziej przypominał teraz miejsce nieformalnych spotkań przy kawie niż warsztat, ale Andrew zasadniczo nie miał nic przeciwko temu. Nie wiedział, jak zbudować barkę na tyle dużą, żeby mogła pomieścić mieszkańców. Początkowo myślał, że Dave będzie niezadowolony, ale nie był i wyjątkowo lekko podchodził do wszystkich spraw. Znalazło się też o wiele lepsze rozwiązanie: młodzieniec z narzędziami przejął realizację projektu polegającego na wykonaniu i zawieszeniu półki, a Dave i Andrew spędzali popołudnia na rozmowie i medytacji. Pewnego razu, po wypiciu bez zbędnej zwłoki porcji soku, Dave poprosił Andrew, żeby wybrał się z nim do Rockaways. Właśnie tam, tuż przy plaży, pewien zielarz miał swój sklepik, a Dave musiał zrobić u niego uzupełniające zakupy. Andrew pomyślał, że pewnie chodzi o trawkę, ale nie chciał być niegrzeczny, więc nie zapytał. Wielu rzeczy związanych z EWOLUtorium nie rozumiał, ale nie szkodzi. Czasami na najwyższym piętrze domu śmierdziało wodą z bongo, ale to wcale nie znaczy, że Dave rozkoszował się tam fajką wodną, a jeśli nawet, to co z tego?

Ciężarówka należąca do EWOLUtorium była po obu stronach wyłożona drewnianymi panelami. Klimatyzacja nie działała, ale to nie miało znaczenia, bo przez otwarte okna napływało wystarczająco chłodne powietrze. Jechali Bedford Avenue w kierunku wody i Andrew bębnił palcami w tapicerkę poniżej okna.

– Czyli od dość dawna mieszkasz z rodziną w Ditmas? – zapytał Dave. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne pilotki, światła kontrastujące z jego gęstą, ciemną brodą.

– Od bardzo dawna. Może nawet już zbyt długo. – Andrew nic konkretnego nie

miął na myśli.

– Nosisz się z zamiarem przeprowadzki? – zapytał Dave. – Jesteśmy na miejscu, przyjacielu. – Uśmiechnął się.

– Ależ nie, donikąd się nie wybieramy – odpowiedział Andrew.

U Zoe i Jane prawdopodobnie dojdzie do rozwodu i to ich przeprowadzka byłaby jasną stroną całej tej przykrej sprawy, ale tego nie mógł powiedzieć Lizzy. Dawniej, w latach ich młodości, Zoe była całkiem fajna – inteligentna, zabawna, seksowna. Nawet teraz ją lubił, ale nie podobało mu się, że Elizabeth okazywała jej zbyt wiele sympatii. Za każdym razem, gdy wracała z ich wspólnej kolacji, czuł ostre, sterczące kolce wszystkiego, co na jego temat powiedziała Zoe. Elizabeth zawsze zaprzeczała, ale Andrew wiedział, że Zoe bardzo chętnie wygaduje bzdury, zawsze to lubiła i robiła, a kiedy osiągnęło się ten wiek i żyje się w związku małżeńskim, to na jaki temat oprócz małżeństwa można wyrzekać? Do Jane nie miał zastrzeżeń – ona była w porządku. Smakowało mu jej jedzenie i lubił ją za otwartość. Jane nie stanowiła problemu.

Tyle rzeczy wyzwalalo w nim gniew. Ruch uliczny, korki, ludzie. Harry’emu pozostał jeszcze rok do skończenia szkoły. Wtedy wszystko się zmieni. Kiedy Harry był młodszy, gdy był dzieckiem (Andrew uznaje, że jego syn przestał nim być), chodzili do Muzeum Historii Naturalnej oglądać dinozaury, pływali promem na Staten Island i z powrotem bez wyraźnego celu. Przyjemnie spędzali razem czas. Ostatnio Andrew stwierdził, że rola ojca nastolatka przestała być zabawna, a właściwie okazała się zdecydowanie niezabawna. Zastanawiał się, od jak dawna trwa taki stan rzeczy – o mój Boże, byli tacy głupi, on i Elizabeth. Od kiedy ich syn jest tym innym Harrym, zdolnym do seksu i kłamstw? Ile czasu minęło, odkąd był dzieckiem? Nie sposób powiedzieć. Andrew zamknął oczy i przychylił głowę do okna. Orzeźwiający powiew działał jak chłodny kompres na czole.

– Rozumiem, o czym mówisz – powiedział Dave, mimo że Andrew mówił niewiele. – Kilka lat temu wybrałem się do Parku Narodowego Joshua Tree z kilkoma znajomymi. Był wśród nich uzdrowiciel i co wieczór przez tydzień zażywaliśmy ayahuascę. Zanim spróbowałem, zastanawiałem się, po czym się zorientuję, jak zareaguje mój organizm. Może lepiej zadzwonić po taksówkę i wrócić do Los Angeles? Ale już po pierwszym wieczorze wiedziałem, bo znalazłem się w świecie prawdziwej magii. Próbowałeś tego kiedyś? Jest jak otwarcie trzeciego oka na całe sześć godzin. Doświadczasz przebudzenia, połączenia z obszarami wyższej świadomości. – Bębnił palcami o kierownicę. – Wtedy zrozumiałem, że muszę otworzyć EWOLUtorium.

– Czym się zajmowałeś przedtem? – Andrew nie chciał wyjść na aroganta. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to jego pytanie zabrzmiało niezręcznie, trochę tak, jakby próbował się dowiedzieć od osobistej terapeutki, jakie ją dręczą problemy, ale trudno mu było sobie wyobrazić Dave’a w pracy za biurkiem, a nawet w pracy bez biurka, w której miałby nosić zwyczajne ubrania. Na tyle, na ile zdążył się zorientować, Dave nie miał ani jednej pary skarpetek i ani jednej pary spodni zapinanych na suwak.

– Trochę pracą nad ciałem, doradztwem w dziedzinie rozwoju osobistego. Byłem też instruktorem jogi. Wiesz, o co chodzi, takie różne cykle.

– Jasne.

– A jak było z tobą, Andrew? W jakim cyklu jesteś obecnie? – Dave się uśmiechnął. Miał piękne zęby, marzenie każdego ortodonta: duże, białe i idealnie proste, z wąziutką szczeliną między jedykami. Zęby kaznodziei. Zęby gospodarza talk show. Zęby guru. Andrew zawsze wyobrażał sobie, że guru powinien wyglądać trochę jak Gandhi albo przynajmniej Ben Kingsley. Poniżej brody Dave prezentował się jak sympatyczny chłopak, należący do bractwa, zawodnik drużyny lacrosse’a.

– Mam wrażenie... Nie jestem pewien – powiedział Andrew. – Byłem w cyklu muzycznym. Potem w dokumentalnym. W cyklu ojcowskim. W nim byłem zdecydowanie dobry. Sprawdziłem się na placu zabaw. Potem przyszedł czas na cykl wydawniczy. A w tej chwili jestem chyba w cyklu zastanawiania się, co dalej ze sobą począć. – Przerwał i westchnął głęboko. – Jest może gdzieś jakaś podręczna lista, żebym mógł sobie z niej wybrać coś dla siebie?

Dave wyciągnął rękę i poklepał Andrew po nodze.

– Doskonale, przyjacielu. Mam wrażenie, że wszystko ci się poukłada. Rzecz w tym, żeby się znaleźć w odpowiednim miejscu we właściwym czasie, rozumiesz? Energia. Chodzi o przygotowanie i o energię. A ty masz jedno i drugie, czuję twoje wibracje, wiesz – coś w tym sensie. W chwili, w której wszedłeś do naszego domu, od razu to zauważyłem. – Dave zwolnił.

Andrew rozejrzał się dookoła. Byli już w Rockaways, na niewielkim półwyspie w zabawnym kształcie szczoteczki do zębów, znajdującym się w pobliżu Brooklynu (a może Queens?), który wcina się w wodę i biegnie równoległe do lądu. Dave zjechał na bok i zatrzymał samochód. W pewnej chwili Andrew przemknęła przez głowę myśl, że Dave zamierza go pocałować. Guru tak robią, czyż nie? Pozyskują zwolenników, a potem śpią z nimi wszystkimi? Andrew nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że Dave spał z każdą dziewczyną z EWOLUtorium i z połową chłopców. Ci młodzi byli tacy wspaniali, mieli silne i jędrne ciała, a takie ciała powinny być używane! Andrew nie był pewien, komu i do czego mogło się przydać jego ciało.

Zaparkowali przed nieco podupadającym domem ze ścianami obłożonymi drewnianym gontem, który przypominał Andrew letni domek jego rodziców w Vineyard, gdzie nie był od prawie dwudziestu lat. Na lewo od niego stały jeszcze cztery mniejsze domy, choć bardzo podobne do tego pierwszego – wyglądały jak kaczęta drepzące wzdłuż ulicy za swoją mamą.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Dave. – Właśnie to chciałem ci pokazać.

– Tu mieszka ten zielarz?

Dave się roześmiał.

– Nie, zielarz mieszka w nędznym mieszkaniu w pobliżu meksykańskiego baru. Tu mamy nasz kolejny etap. – Podniósł ręce tak, że kciuki jego dłoni prawie się dotykały, pochylił do przodu i wykonał głęboki skłon. Niewiele brakowało, a położyłby się na kolanach Andrew. – Czy ty to widzisz, przyjacielu?

– Czy co widzę? – Andrew uniósł się nieco na skórzanym fotelu i wychylił przez okno. – Przyjemnie wieje. Daleko stąd do wody?

– Zaledwie jedna przecznica – odpowiedział Dave. – Jedno skrzyżowanie i mamy fale. Fale! Może tak go nazwiemy?

– Co tak nazwiemy? – Domy były urokliwe. Okna i drzwi wprawdzie nieco wyblakłe, ale wyglądały na solidne. Podobało mu się tutaj. Może taka będzie kolejna odsłona w ich życiu – dom na plaży w Brooklynie. Mógłby wreszcie nauczyć się surfować, a Elizabeth mogłaby sprzedawać mieszkania hipsterom z Williamsburga. Harry wyjechałby do szkoły, ale przyjeżdżałby do nich w odwiedzinach. Oboje byliby ładnie opaleni, na co dzień chodziliby w klapkach.

– Nasz hotel, przyjacielu. – Dave sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął jointa.

Zdaniem Ruby Zoe i Jane głównie zajmowały się pokrzykiwaniem na nią. Jane zazwyczaj robiła to w restauracji, pod pozorem wydawania jej poleceń służbowych: „Posprzątaj w toalecie! Tylko tym razem porządnie!” albo: „Wytrzymaj na szóstce! Weź szczotkę i pozamiataj – pod nogami leży pełno cheeriosów. Tu nie jest Chuck E. Cheese!”. Zoe krzyczała na Ruby w domu. Wybuchy jej złości były bardziej gwałtowne, a ich powody nieprzewidywalne, ale nie mogła nic na to poradzić: czasem gniewała się, że Ruby zostawiła butelkę szamponu zakrętką do góry zamiast dnem do góry i trzeba dłużej czekać, aż szampon wypłynie, a poza tym, jeśli zakrętka nie będzie dokładnie dokręcona, to do butelki naleje się woda. Czasami napad złości wyzwalała w niej myśl, że Ruby obnażyła ciało w miejscu publicznym po zmroku, że mogło ich – zarówno Ruby, jak i Harry’ego – spotkać coś złego, że groziło im niebezpieczeństwo i że sami się na nie wystawili. Innym razem rozeźliła ją sprawa wniosków o przyjęcie do college’u i wyniku Ruby z testu kwalifikacyjnego, i że zrobiła się już połowa lipca, a nie widać żadnych perspektyw i zapowiada się to samo, co do tej pory. Najtrudniej przychodziło jej krzyczeć w tej ostatniej sprawie, więc zamiast się wściekać, Zoe zrobiła popcorn, posypała go warstwą drożdży odżywczych i postawiła przed drzwiami pokoju Ruby.

Zoe czuła się jeszcze gorzej (przenigdy nie przyznałaby się do tego głośno, zwłaszcza przed Jane), ponieważ w pewnym sensie odetchnęła z ulgą. Gdyby Ruby wyjechała z domu do szkoły, to Zoe i Jane musiałyby uporządkować swój bałagan bez odwlekania, bez robienia przerw na poprawne zachowanie przy stole w obecności córki. Teraz wydawało się, że rozmowy między nimi na temat ich związku zostały zawieszony, a taki stan Zoe nawet odpowiadał, przynajmniej tymczasowo. Nie upierała się przy rozwodzie, chociaż uważała, że jest nieunikniony, bo w końcu ile poziomów degradacji związku można znieść? Od miłości do przyjaźni, do wspólnego mieszkania w jednym domu, do sympatycznej znajomości? Wprawdzie zawsze mogło być gorzej. Elizabeth i Andrew, jak się zdaje, utrzymują się na poziomie poniżej sympatycznej znajomości. Ile jeszcze musi minąć lat, żeby Zoe i Jane zaczęły próbować otruć się nawzajem arsenikiem albo „przypadkowo” przejechać kołami po stopach na podjeździe? Ile lat musi jeszcze upłynąć, żeby skończył się ich film o życiu oparty na faktach? Zoe nie potrafiła stwierdzić, jak długo jeszcze chce to ciągnąć. Jane zawsze była zazdrosna. O Elizabeth i inne znajome, o wszystkich, których Zoe kiedykolwiek kochała albo dotykała, albo o jedno i drugie. Bez względu na to, czy znajomość miała charakter erotyczny czy platoniczny, czy mieszany – Jane była zaborcza jak goryl i chciała mieć swoją partnerkę zawsze przy sobie. Początkowo było przyjemnie, trochę staroświecko. Jane obejmowała Zoe w tali, gdy przechodziły przez ulicę, przeniosła ją przez próg, gdy sformalizowały swój związek, znała i uwielbiała każdy centymetr jej ciała, każdy pieprzyk, każde wgłębienie. Teraz Zoe wcale nie jest przekonana, czy to było dobrze.

Jeżeli Elizabeth narzekała na Andrew, to zazwyczaj chodziło jej o to, że on dokądś poszedł, do jakiegoś hipisowskiego szamba, albo pojechał się wspinać w górach ze swoim osobistym tybetańskim Szerpą. Jane natomiast nigdy nie opuściła ich dzielnicy. Zoe

chciała mieć trochę swobody. Oczekiwała zainteresowania. Chciała, żeby Jane tęskniła za nią, gdy znajdzie się poza domem, ale ona nigdy donikąd nie chodziła, z wyjątkiem łóżka.

– Jane? Jesteś tu? – Zoe wiedziała, że Jane jest w domu. Wzięła pomarańczę z blatu i poszła na górę. Zbliżało się południe, co oznaczało, że Ruby wyszła już do restauracji, a Jane prawdopodobnie była jeszcze w piżamie. Zapukała do drzwi pokoju dla gości i otworzyła je, usłyszawszy głos Jane, która burknęła coś w odpowiedzi na pukanie.

Ktoś kiedyś powiedział Zoe, żeby nigdy nie wiązała się na stałe z osobą, z którą nie chciałyby się rozwieść, ale Zoe zawsze uważała grubiaństwo i pospolitość Jane za jej najbardziej atrakcyjne przymioty. Jane kompletnie nie przywiązywała wagi do swego wyglądu. Nie lubiła wdawać się w pogawędki. Nie udawała, że czuje sympatię do ludzi, których nie lubi, a to – zdaniem Zoe – pozwoliło jej zaoszczędzić co najmniej dziesięć lat, które nie poszły na marne. Rozkapryszeni rodzice u Whitmana? Jane traktowała ich jak powietrze. Była szorstka i sprawiedliwa. Była jak pies na złomowisku, który atakuje nagle i bez żadnego powodu, ruszała do boju tylko dlatego, że akurat taki miała nastrój. Zoe zajrzała do pokoju.

– Możemy porozmawiać?

Jane przekręciła się na materacu, który częściowo zrolował się wraz z nią. Zrywami przesuwając się do tyłu, aż usiadła i oparła się o ścianę. Stuknęła głową o zawieszoną nisko ramkę, w którą oprawiły rysunek Ruby z przedszkola.

– Oczywiście – powiedziała, przecierając oczy.

– Elizabeth nie jest problemem.

– Wiem o tym.

– Na komisariacie rzuciłaś się na nią jak Hulk. – Zoe usiadła na podłodze przy materacu.

– To też wiem. Ale wiem również, jak ona na ciebie patrzy, jakbyś była porcją lodów czekoladowych w rożku, a ona najchętniej zjadłaby twój mózg i żyła w twoim ciele.

– Czyli twoim zdaniem ona chce mnie lizać czy uśmiercić? Nie bardzo rozumiem.

– Zoe obierała pomarańczę i sok z owocu tryskał na wszystkie strony.

– Może jedno i drugie? I to, i to. – Jane zastanawiała się przez chwilę. – Nie przypuszczam, żeby naprawdę chciała cię zgładzić. Ale czuję, że tam się coś święci, i wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że myśli o tobie, jak sobie grzebie między nogami.

– Nie wydaje mi się, żeby Elizabeth grzebała sobie między nogami.

– Mnie też nie. Ale zdecydowanie uważam, że tam się coś święci. Posłuchaj, dajmy sobie z tym spokój, dobrze? Nie ma to żadnego znaczenia. Wnerwiłam się i bałam się o Ruby, a potem zobaczyłam Elizabeth i te jej głupie miny, które stroiła do ciebie, i mnie poniosło. Przykro mi. Przepraszam. Wiem, że od pewnego czasu sprawy nie układają się nam dobrze, ale ja naprawdę już doszłam do siebie, a ty? Albo mam źle w głowie, że tak uważam? Jak właściwie jest między nami? Dobrze? Czy może lepiej przestanę zarzucać cię tymi pytaniami?

Zoe się roześmiała. W mokrych i lepkich palcach trzymała cząstkę pomarańczy i podała ją Jane. Kiedy się poznały, Zoe miała za sobą różne związki: dobre i nieudane,

krótkie i długie. Ale żadnego z nich nie traktowała poważnie, nigdy. Wydawało się jej, że była już zakochana – w koleżance z liceum, kilku dziewczynach w Oberlin i w jednej po studiach – ale gdy poznała Jane, od razu wiedziała, że się myliła. Zrozumiała, że tamte związki były na niby, że tylko zdobywała doświadczenie, szykując się do tego prawdziwego. Nauczyła się wypowiadać romantyczne słowa, używać języka, ale to, co robiła, było udawaniem. Ćwiczeniem z bocznymi kółkami. Przy Jane Zoe mogła odkręcić kółka i na skrzydłach unosić się nad ziemią.

Nigdy nie myślała o formalnym związku: wydawał się jej nienowoczesny i strasznie nudny. Ale kiedy poznała Jane, tak zdecydowaną i wytrwale dążącą do celu, zrozumiała: to jest ona, gwarancja stabilności, osoba godna zaufania, jej wybranka. Jane była już dorosła, podczas gdy Zoe i wszyscy jej znajomi zachowywali się jak nastolatki. „Och”, pomyślała Zoe. Formalny związek jest dla dorosłych, więc gdyby sama dojrzała, też mogłaby tak żyć. Dzięki Jane zapragnęła się ustatkować i postanowiła przestać traktować siebie jak dziewczynkę. Jane sięgnęła po pomarańczę i ich dłonie się spotkały. Zoe się uśmiechnęła.

Rozdział 39

Harry przez cały tydzień z niecierpliwością czekał na zajęcia na kursie. W domu matka zabierała mu telefon i czuł się jak w pionierskich czasach, ale tylko podczas posiłków i grania w gry wideo na Roku w salonie. Elizabeth nie potrafiła zrozumieć, że na komputerze miał dostęp do takich samych funkcji jak w telefonie, oprócz połączeń telefonicznych, ale kto chciałby rozmawiać przez telefon? Podporządkował się jednak ustalonym przez rodziców zasadom i odkąd wyszli z komisariatu, w ogóle nie kontaktował się z Ruby. Scenariusz jak w dramacie *Romeo i Julia*, oprócz samobójstwa. Mimo to rozumiał. Gdyby został przyłapany na uprawianiu seksu w swojej sypialni, to byłaby zupełnie inna sprawa, ale miejsce publiczne i komisariat policji... za to należy się kara. Jego rodzice nigdy nie postępowali surowo ani niedorzecznie, zwłaszcza ojciec, który zawsze był gotów usiąść i prowadzić długie rozmowy, tłumaczyć, dlaczego Harry musi czekać aż do Chanuki na nową kolejkę z serii „Tomek i przyjaciele”, albo wyjaśniać inne sprawy.

Już od tygodnia Iggy Pop nie wracał do domu. Rozwiesili w całej okolicy ogłoszenia, na przystankach autobusowych i na słupach telefonicznych, również na tablicach korkowych we wszystkich kawiarniach na Cortelyou. Iggy nigdy nie zniknął na dłużej niż jeden dzień, więc Harry zaczął brać pod uwagę coraz bardziej ponure ewentualności. W rozmowie telefonicznej ze swoim najbliższym kolegą, Arpadem, opowiedział mu o kocie i o seksie z Ruby, ale Arpad zadawał pytania tylko o kota, ponieważ drugie zdarzenie uznał za żart. Harry nie potrafił się zdecydować, co bardziej było żartem – czy to, że stracił dziewictwo z dziewczyną swoich marzeń, czy że nigdy już nie będzie uprawiał seksu, w każdym razie z Ruby, a żadne inne perspektywy się nie zarysowywały. Do Whitmana chodziły dziewczyny, na które spoglądał ukradkiem z drugiego końca biblioteki, ale teraz, odkąd dotknął ciała Ruby i wiedział, jakie możliwości ma do zaoferowania wszechświat, w żadnym razie nie zadowolony byłby kim.

Rodzice postawili sprawę jasno: znalazł się w tarapatkach po raz pierwszy w życiu, za karę otrzymał zakaz siedzenia obok Ruby i rozmawiania z nią, chyba że nie będzie miał innego wyjścia. Ale na kurs rodzice z nim nie pójdą. Harry czuł się podenerwowany w drodze do studia karate. Analizował wszystkie warianty, żeby chociaż się z nią przywitać: mógł wolnym krokiem wejść do sali i udać, że jej nie zauważa, usiąść obok niej jak zwykle i podać kartkę z wiadomością. Mógł pocałować ją w usta na oczach Królowej Dork, Elizy i Thayer, i wszystkich obecnych. Mógł zaczekać i sprawdzić, czy ona pierwsza się do niego odezwie. A może ona w głębi duszy jest zadowolona, że się od niego uwolniła? Ostatecznie mało kto bywa zachwycony, gdy musi uczyć swego chłopaka, jak ma się zabrać do seksu. Czy w ogóle jest jej chłopakiem? A raczej czy był jej chłopakiem? Harry chciał zobaczyć neon na niebie albo inny znak, który podsunałby mu pomysł na jakiś sensowny plan.

Ruby jeszcze nie było, oczywiście. Początek całkiem niezły, ponieważ to ona zdecyduje, gdzie usiąść. Harry zajął swoje zwykłe miejsce w ostatnim rzędzie i wyjął zeszyt z plecaka. Zabawne, ale dzięki obecności Ruby na zajęciach czuł się o wiele mniej

zaniepokojony testami kwalifikacyjnymi. Robił notatki, przynajmniej wtedy, kiedy się nimi mieli wymienić, i czuł, że kilku rzeczy się nauczył. College okazał się światłem na końcu tunelu, a Harry'emu było ono bardzo potrzebne. Myślał o małej uczelni, ale nie bardzo małej – na przykład w Amherst, być może, albo o college'u im. Johna Wesleyana. Zresztą, nieważne! Może nabierze chęci i pójdzie do Deep Springs, czy jak tam się ta szkoła nazywa, i tam nauczy się, jak być jednocześnie farmerem i człowiekiem intelektu, poetą. Odwracał się na krześle za każdym razem, gdy usłyszał otwierające się drzwi. Wyglądało na to, że uczestnicy kursu zaprzyjaźnili się ze sobą, ale Harry wcześniej tego nie zauważył. Nawet gdyby reszta grupy uczyła się po chińsku, też nie zwróciłyby uwagi.

Rebecca otworzyła komputer i wyświetliła na ekranie temat z geometrii. Trójkąt równoramienny. Łatwy. Harry wyłączył się, gdy zaczęła wykład. Wiedział na ten temat wystarczająco dużo, żeby go zaliczyć. Zajęcia się zaczęły, a Ruby się spóźniła.

Poczuł zapach jej szamponu, zanim ją zobaczył. Rebecca zgasła światło, żeby obraz na ekranie był lepiej widoczny, i zaraz potem Ruby usiadła na krześle obok niego i pocałowała go w policzek, co u niej znaczyło: „Fajnie-że-jesteś-bo-się-stęskniłam”. Harry odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął szeroko, odsłaniając wszystkie zęby. Ruby wyciągnęła rękę i delikatnie uszczypnęła go w język. Głośno upuściła torbę na podłogę i przegrzebywała ją jak pies, który kopie dół w ziemi w poszukiwaniu kości.

– Wrzuciłaś tam kartki luzem? – zdziwił się Harry.

– Ciii – szepnęła Ruby. – Mam – oznajmiła, gdy znalazła to, czego szukała, i rzuciła na ławkę Harry'ego. Był to terminarz zajęć jej matek, zaplanowanych na najbliższe dwa tygodnie, wydrukowany z ich wspólnego kalendarza. – Doktor Amelia – powiedziała. – Ich seksuolog. A od dzisiaj jest też naszym lekarzem od tych spraw, jeśli domyślasz się, o czym mówię. Jej gabinet mieści się w Park Slope, a to znaczy, że mamy co najmniej dwie godziny od chwili, gdy one zamkną za sobą drzwi. Umówiły się też na spotkanie z dostawcą w Jersey i tego dnia znikną na mniej więcej pięć godzin, pojedą wąchać krzaki pomidorów albo czegoś tam i czegoś tam. – Wskazała palcem na nazwę firmy dostawcy. Do tego czasu zostało jeszcze sześć dni, ale właśnie znalazł się termin na kolejną randkę.

Harry poczuł ulgę w całym ciele. Może po prostu pójdzie do college'u w Brooklynie. Jak w takich okolicznościach miałby wyjechać? Mógłby wynająć mieszkanie, Ruby zamieszkałaby z nim i chowała się w szafie na czas wizyty jego rodziców. Powiedziałyby, że ma inną dziewczynę, która dużo podróżuje, bo dostała stypendium Rhodesa! Otóż to, utrzymywałyby, że spotyka się ze stypendystką Rhodesa, która wyjechała na rok do Barcelony, a on u siebie przechowuje jej rzeczy, dlatego w łazience stoją dwie szczoteczki do zębów, a na klamkach wiszą torebki. Może do tej pory przejdzie im złość i dojdą do wniosku, że Ruby wcale nie jest złą dziewczyną, ale najlepszą i jedyną. Wszystko będzie dobrze. Ułoży się doskonale.

– Kocham cię – powiedział Harry głośniejszym głosem, niż zamierzał. Chłopak z dziwaczną fryzurą w rzędzie przed nimi zachichotał, a Harry kopnął w oparcie jego krzesła. – Właśnie tak, Ruby, bardzo cię kocham.

– Wiem – oznajmiła Ruby. Wyciągnęła rękę i uszczypnęła Harry'ego w ramię. Tyle mu na razie wystarczy.

Rozdział 40

Elizabeth naprawdę zaczęła się martwić, że Iggy Pop nie żyje. Nie żyje albo dostał się w ręce jakiegoś niedouczzonego dzieciaka z najbliższej okolicy, który nie umie czytać i nie zwraca uwagi na ogłoszenia na słupach telefonicznych. Często się zdarza, że ktoś wystawia miseczkę ze śmietaną, a kot myśli, że znalazł dla siebie lepsze miejsce do życia. Co najmniej kilka razy dziennie Elizabeth zerknęła kątem oka na coś, co miało znajomy kształt, i myślała: „Och, dzięki Bogu, tam siedzi nasz Iggy”, ale okazywało się, że to były koty z kurzu albo zwinięty w kłębek T-shirt. Wchodząc do biura lub z niego wychodząc albo udając się do domów w ich rejonie, które miała w swojej ofercie, spoglądała na podjazdy i frontowe werandy jeszcze uważniej niż zazwyczaj. Deirdre twierdziła, że koty są obrzydliwe, i wcale nie okazywała jej współczucia.

– To dzikie bestie – argumentowała między jedną a drugą kopiastą porcją sałatki, którą jadła widelcem przy swoim biurku. – Nigdy nie przystosowały się do życia z człowiekiem. Słyszałam o ludziach, którzy stracili życie – zostali zamordowani – przez własne koty. Dlatego my mamy tylko ryby. – Deirdre wydłubała palcami z sałatki kawałek orzecha włoskiego. – Ten sklep prowadzą skąpcy. W całej sałatce znalazłam tylko cztery orzechy.

– Iggy Pop mnie nie skrzywdzi – powiedziała Elizabeth. – Ma wprawdzie paskudne przyzwyczajenie, bo depta mnie po twarzy podczas swoich nocnych wędrówek, ale ja najczęściej i tak nie śpię.

– Sama widzisz, gdybym miała kota, który łąziłby mi w nocy po twarzy, uznałabym to za znak ostrzegawczy. Moim zdaniem twój kot wcale się nie zawieruszył, tylko wymknął specjalnie i zbiera posiłki, buduje kocią armię, mówię ci.

– Doceniam twoją troskę. – Elizabeth odchyliła się do tyłu na krześle. Miała dużo pracy – musiała zebrać informacje do umowy dotyczącej domu na Dziewiętnastej wschodniej i mieszkania na Newkirk. Musiała też przygotować duży dom na Ditmas Avenue na pierwszy dzień drzwi otwartych, a jadalnia w nim w dalszym ciągu wyglądała jak w telewizyjnym filmie dokumentalnym o kompulsywnych zbieraczach pluszowych zabawek. – A co do kota, możesz być pewna, że przyjmę go nawet z tą zgrają, byleby wrócił.

Deirdre wyciągnęła rękę i poklepała Elizabeth po kolanie.

– Wiem, skarbie. Znajdziemy tego małego, parchatego mordercę.

Zadzwoił telefon biurowy. Deirdre obróciła się na fotelu i podniosła słuchawkę. Elizabeth pomasaowała sobie skronie palcami.

– Ktoś do ciebie, jak sądzę – powiedziała Deirdre. Miała zabawną minę, a to oznaczało tylko jedno.

Elizabeth podniosła słuchawkę telefonu na swoim biurku.

– Halo?

– Łączę z Naomi Vandenhoovel.

– Proszę – powiedziała Elizabeth.

– Co jest do cholery? – zapytała niemal bezgłośnie Deirdre.

– Sama ledwo rozumiem – odpowiedziała jej Elizabeth.

– Halo ooooo z Ohio! – W słuchawce rozległ się głos Naomi.

– Naprawdę kręcicie film w Oberlin? – Elizabeth nie potrafiła sobie wyobrazić Naomi w Ohio. Nawet w Cleveland. Nawet w hotelu Ritz-Carlton w Cleveland, gdzie rodzice Andrew zamieszkali, gdy przyjechali na uroczystość rozdania dyplomów, mimo że do uczelni trzeba było jechać dobrą godzinę. Nie przypuszczała, że sprawy przybiorą taki szybki obrót. Właściwie ten temat poszedł u niej w zapomnienie, celowo odsunęła go na daleki plan, odkąd złożyła podpis w imieniu ich obojga, bo była przekonana, że miną wieki, zanim będzie musiała powiedzieć o tym Andrew. Może do tej pory zmieniłby zdanie? Plan wydawał się doskonały, zresztą jedyny, jaki miała.

Naomi się roześmiała.

– Nie, oczywiście, że nie. Jesteśmy w Pasadenie. Ale koniecznie powinnaś to zobaczyć! Robimy lata dziewięćdziesiąte, bardzo mgliście.

– Ogromnie się cieszę – powiedziała Elizabeth, choć czuła się wytrącona z równowagi. Była jeszcze w biurze, mimo wszystko, więc nie mogła sobie pozwolić na spontaniczną reakcję w obecności Deirdre i pozostałych O’Connellów. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Biznes to biznes! To mi się podoba! Jedną sekundę – powiedziała, a po chwili Elizabeth usłyszała, jak Naomi zamawia kawę z mleczkiem migdałowym z dodatkowym potrójnym espresso. – Oglądałam, jak ty i Lydia piszecie tę piosenkę, i od razu postanowiłam zadzwonić do ciebie! Świetnie wyglądasz! Taka szczuplutka, włosy jak marzenie. Wydatne usta. Nie takie wielkie jak Stevena Tylera, ale prawie jak Liv Tyler. Prawdę mówiąc, bardzo przypominasz Liv Tyler, gdyby miała jasne włosy. Jak byłaś młoda oczywiście.

Elizabeth wolną ręką złapała się za głowę.

– O Boże! – jęknęła.

– W ogóle się nie przejmuj! Wyglądasz fantastycznie! Chciałam cię tylko powiadomić, na jakim jesteśmy etapie! Obie dziewczyny są słodziutkie. Porobiły sobie wspólne zdjęcia. Możesz je zobaczyć na Instagramie jednej i drugiej.

– Obejrzę – powiedziała Elizabeth. Pomyślała o sobie i Lydii. Lydii, która nigdy jej nie lubiła. Z nią było inaczej niż z Zoe, która zdecydowanie wypadała o klasę wyżej pod względem obycia, co Elizabeth z jakiegoś powodu uważała za zabawne. Lydia specjalnie odwracała się plecami jak dumny kot albo urażona nastolatka – którą rzecz jasna była – kiedy Elizabeth wchodziła do pokoju.

– Zaczekaj, Naomi? – Elizabeth poczuła ucisk w żołądku.

– Mm-hmm?

– Opowiadasz takie zabawne rzeczy, że nawet nie zapytałam wcześniej, w jakich latach osadzony jest film? Sądziłam, że chodzi o okres szczytowej popularności Lydii albo... no i wiesz, aż do samego końca. Że nie ma w nim wielu odwołań do czasów college’u, prawda? – Elizabeth była przekonana, że jej rola w tej historii sprowadza się tylko do kilku momentów na samym początku, czyli do czasu, gdy Lydia stała się LYDIĄ i rozpoczyna się opowieść filmowa. Chciała zobaczyć na ekranie ich wszystkich jako wyjątkowych, bardziej atrakcyjnych niż byli w rzeczywistości, przedstawionych tak, jak

się naprawdę czuli w tamtym czasie, ale nabrała przekonania, że cała opowieść szybko przechodzi do bardziej emocjonujących wątków. Teraz jednak nagle przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl, że nie ma żadnego wpływu na sposób, w jaki ich wspólna młodość zostanie przedstawiona i że Andrew nie będzie zachwycony, ani trochę, bez względu na to, jak ona próbuje interpretować swoje bezpodstawne nadzieje. Chciała, żeby ten film powstał dla niego i dla niej – Elizabeth wiedziała, jak Andrew kochał ich zespół, i Lydię, i ją. Tak, o to jej między innymi chodziło, żeby Andrew zobaczył ten film i przypomniał sobie, jak bardzo ją kochał, kiedyś, gdy byli jeszcze młodzi, a życie wydawało się bezkresnym, otwartym oceanem, rozciągającym się jednocześnie we wszystkich kierunkach.

– Posłuchaj, nie mogę teraz dłużej rozmawiać – powiedziała Naomi. – Ale jak chcesz, to możesz przeczytać scenariusz. Powiem asystentowi, żeby ci go wysłał. Zgoda?

– Chcę tylko wiedzieć jedno: tak czy nie?

– Oczywiście, że tak.

– Tak, nie ma dużo na temat college’u, czy tak, jest sporo? I pamiętasz, że Lydia nie napisała tej piosenki, to znaczy samodzielnie jej nie napisała, tak? – Na szyi Elizabeth wystąpiły duże, czerwone plamy. – Halo?

Naomi już odłożyła słuchawkę. Elizabeth wyjęła palec z ucha i oddała słuchawkę Deirdre, która odłożyła ją na miejsce. Deirdre przyglądała się jej z tak wysoko uniesionymi brwiami, że prawie całkiem się złąły z jej fryzurą.

– Jestem gotowa, mów, o co chodzi – powiedziała i przyjęła wyczekującą pozycję.

Elizabeth zamierzała powiedzieć Andrew o filmie, o podpisaniu umowy w jego imieniu. Zastanawiała się nad telefonem do Zoe, na której mogłaby przećwiczyć scenę wyznania, ale za bardzo wstydziła się za siebie. Zwlekała, ciągle czekała na odpowiedni moment, a potem Harry popadł w tarapaty z Ruby, czuła się przygnieciona nawałem spraw i za bardzo zdenerwowana. Andrew nie potrafił żonglować wieloma piłeczkami naraz, jeżeli nie były wypełnione helem. Dobre nowiny można przekazywać z przyjemnością przez cały dzień, ale złą wiadomość trzeba dawkować porcjami jak antybiotyki.

– To bardzo długa historia – powiedziała Elizabeth. – Ale dobrze, spróbuję poćwiczyć na tobie.

Deirdre odpakowała gumę do żucia. Była tak podekscytowana, jakby Elizabeth właśnie się zgodziła zrobić striptiz.

Rozdział 41

Elizabeth wróciła do domu i zastała Andrew siedzącego na werandzie. Na zewnątrz było upalnie. Lato z wolna wchodziło w tę fazę, podczas której w Brooklynie robi się parno i panuje zaduch. W sypialniach mieli klimatyzatory, jeden także w jadalni, ale niewiele pomagały, zwłaszcza na dole, gdzie pomieszczenia były duże i otwarte. Weranda z ciemnego kamienia pozostawała często najchłodniejszym miejscem w domu.

– Przyniosłem wentylatory z piwnicy – powiedział Andrew. – Jeden postawiłem w salonie, a drugi na górze.

Elizabeth podziękowała.

– Mogę z tobą o czymś porozmawiać?

Z przeprowadzaniem rozmów niezbyt dobrze sobie radziła, nawet po tylu latach małżeństwa. Oczywiście zawinili jej rodzice. Nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek była świadkiem ich kłótni – najzwyczajniej nie leżały w ich naturze. Elizabeth przez całe życie starała się w miarę możliwości unikać nieprzyjemnych sytuacji. Milczała, przełykała, uśmiechała się i przepraszała za rzeczy, z powodu których w rzeczywistości wcale nie było jej przykro, i nigdy, absolutnie nigdy nie zaczynała niechcianych rozmów. Jeśli jednak nie powie Andrew o filmie, to kiedy się ukaże, wszędzie będzie pełno wizerunków nieprawdziwej Lydii i on je zobaczy. Przez moment rozważała propozycję wyjazdu do Włoch albo do innego kraju na rok, tylko z tego powodu, ale w obecnych czasach wiadomości tak szybko się rozchodzą po świecie, że w jego skrzynce mailowej pewnego dnia wyświetliłaby się reklama jak baner o Dniu Niepodległości bez względu na to, gdzie by się znaleźli.

– Jak najbardziej – powiedział Andrew i poklepał poduszkę leżącą obok niego. Był w znoszonym T-shircie, wystrzępionym wokół dekoltu, który miał prawie tak długo, jak Elizabeth jest jego żoną. Zamiast usiąść obok niego, oparła się o barierkę werandy.

– Wiesz o tym filmie o Lydii?

– Tak – odpowiedział Andrew, już najeżony.

– Już go robią. Zgodziłam się. – Elizabeth patrzyła na Andrew z zaciśniętymi ustami.

– Ale przecież ja nie wyraziłem zgody – powiedział. Zwężyły mu się oczy. Czasami Andrew przypominał kota – przymykały mu się oczy w taki sam sposób, w jaki kotu przed zaśnięciem opuszcza się trzecia powieka. Andrew opadała trzecia powieka, gdy wzbierała w nim złość. – Chcieli mnie skłonić do podpisania formularza, a ja go nie podpisałem.

– Wiem – powiedziała Elizabeth. To było stwierdzenie faktu, wiedziała. Cała reszta sprowadzała się do kwestii technicznych. – Ale słowa do piosenki są moje i pozwoliłam im je wykorzystać. Byłam szefem zespołu. Zgodziłam się w twoim imieniu.

– Co dokładnie znaczy, że zgodziłaś się w moim imieniu?

– To znaczy... – Elizabeth przerwała i zastanawiała się, jakimi słowami przekazać mu wiadomość. – To znaczy, że złożyłam podpis na twoim formularzu. W twoim imieniu.

Andrew potrząsnął głową.

– Czy mam rozumieć, że podrobiłaś mój podpis? Jakiś cholerny żart? – Zerwał się na równe nogi i otrzepał dzinsy. – To nie jest potwierdzenie płatności kartą kredytową w restauracji, Lizzy! Sprawa zrobiła się naprawdę poważna! Nie mogę uwierzyć, że się do tego posunęłaś. Ten film będzie kompletną porażką, rozumiesz? Śmieciem bez krztyny prawdy.

– Martwisz się o Lydię? – Elizabeth pomachała do sąsiada po drugiej stronie ulicy i posłała mu wymuszony uśmiech.

– Martwię się o ciebie, Lizzy, nie o Lydię. Lydia przynajmniej otwarcie mówiła, czego chce. Może i w pewnym sensie była wredna, ale przynajmniej nikogo nie udawała. A o tobie inni myślą, że jesteś taka słodka, taka miła. – Andrew zmrużył oczy i wyjął telefon z kieszeni. – Muszę już iść.

– Czas na kolejne zajęcia z jogi? – Elizabeth zrobiła ironiczną minę zupełnie mimowolnie, żeby sprawdzić, kto komu bardziej dogryzie.

– Nigdy mnie nie rozumiałaś – rzucił Andrew. – A jeśli ty potrafisz zrobić coś takiego, to znaczy, że i ja cię nigdy nie rozumiałem.

Elizabeth skrzyżowała ręce i przechyliła na bok głowę.

– Co za idiotyzm!

– Czyżby większy od zgody na coś takiego bez porozumienia ze mną?

Miał rację, czym jeszcze bardziej wyprowadził ją z równowagi.

– Harry obejrzy ten film i pomyśli, że w końcu potrafi rozumieć nas lepiej, wiesz? – irytował się Andrew. – A co lepiej zrozumie? Zrozumie, że Lydia w wersji przedstawionej jest prawdziwą Lydią. A jakie będą tego konsekwencje? Otóż takie, że Lydia wyjdzie na męczennicę, a to największa bzdura na świecie. Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie z Lydią? – Andrew odwrócił się i oboje stali na wprost domu plecami do ulicy. Elizabeth pamiętała.

Wybrali się do restauracji Veselka w East Village na wczesną kolację: pierogi z musem jabłkowym. Harry miał sześć miesięcy, spał w foteliku samochodowym, który stał na podłodze między nimi. Lubił szmer otoczenia – rozmowy, brzęk sztućców – więc wszędzie go ze sobą zabierali.

Zasady dotyczące gwiazd były oczywiste: nie należało ich zauważać, a jeśli już się dostrzegło, trzeba było z godnością ignorować, niezależnie od tego, kto był tą gwiazdą. W restauracji zrobiło się gwarno, w ruch poszły telefony. Szepty odbijały się echem od ścian i sufitu. Elizabeth, wciąż niewyspana i borykająca się z intensywnym wypływem mleka, przesunęła się w prawo na tyle, na ile się dało, i ze swego miejsca spoglądała na frontową część sali.

Restauracyjni goście rozstąpili się jak Morze Czerwone, utworzyli dwa równoległe szpalery, między którymi powstało przejście o szerokości około metra. Tylko dwie polskie kelnerki w ogóle nie zwracały uwagi na Lydię. Wszyscy pozostali znieruchomieli z szeroko otwartymi oczami. Elizabeth pomachała do Lydii, ale tamta jej nie zauważyła, skupiona na torowaniu sobie drogi.

– Co się dzieje? – zapytał Andrew, obracając się na krześle. – Och!

W pewnej chwili Lydia znalazła się na wysokości ich stolika. W restauracji zaległa

cisza. Andrew odchrząknął, jak zawsze, kiedy był podenerwowany. Z jakiego powodu się zaniepokoił? Była ich przyjaciółką, podobnie jak dawniej.

– Lydia – odezwała się Elizabeth, odsunęła krzesło do tyłu i wstała.

Goście w pseudopunkowych strojach spojrzeli w jej stronę, oburzeni tym wybrykiem. Już i tak Elizabeth i Andrew wywołali poruszenie, bo przyszli do restauracji z maleńkim dzieckiem, a taka zaczepka została powszechnie odebrana jako kolejny przejaw niestosownego zachowania.

Oczy Lydii były rozbiegane, mętne i zaczerwienione. Odwróciła się powoli w stronę, z której dobiegł ją dźwięk jej imienia, wyraźnie gotowa zignorować zdarzenie, zgodnie ze swoim zwyczajem. Ostatecznie jej wzrok zatrzymał się na stojącej Elizabeth i na Andrew, który wciąż siedział po drugiej stronie stołu z widelcem w dłoni i nasadzonym na niego pierogiem. Lydia uśmiechnęła się i rozłożyła szeroko ręce, minęła Elizabeth i ruszyła prosto do Andrew, który objął ją niezgrabnie, nie wypuszczając z ręki widelca. Punkowe dzieciaki przy stole obok starały się nie zamienić w dziewczyny na koncercie Beatlesów, ale mimo wysiłków nic im z tego nie wychodziło. Lydia albo ich nie zauważyła, albo specjalnie zlekceważyła, ale tym razem bez udawanej arogancji. Znajdowała się w samym środku pola energetycznego swojej sławy, za szklaną przegrodą pancerną o wysokiej odporności. Przesunęła kciukiem po twarzy Andrew.

– Jak się miewasz? – zaszczębiotała i przeniosła wzrok na Elizabeth. – Zmieniłaś się, zwłaszcza na twarzy.

– Niedawno urodziłam dziecko – powiedziała Elizabeth. – Mamy małe dziecko.

– Reprodukujecie! – rzuciła Lydia i się roześmiała. Osoby z jej towarzystwa poszły w jej ślady. Poklepała Andrew po klatce piersiowej. – Niech na ciebie popatrzę, tatusiu.

– Gratulujemy filmu, tego ze składu magazynowego – powiedział Andrew. – Czy to może była jakaś fabryka? Jeszcze nie oglądaliśmy, ale słyszałem, że świetny.

Lydia wzruszyła ramionami.

– Chwałą go – powiedziała. – Ale chwałą wszystko, co ma związek ze mną, więc...

Spod stołu dobiegł płacz Harry'ego, urywany jak czkawka. Elizabeth schyliła się po niego, wzięła na ręce i przytuliła do siebie, a on przylgnął do jej piersi. Wciąż stała na środku restauracji i wszyscy patrzyli na nią, na Lydię, a teraz na różowy sutek Elizabeth, który to zniknął w ustach Harry'ego, to się z nich wymykał, bo mały grymasił.

– Boże, to mały kanibal! – krzyknęła Lydia i udawała, że gryzie własną rękę. – Aż się boję! – Cmoknęła w powietrze. – Bardzo się cieszę ze spotkania – powiedziała, patrząc na Andrew. Kilkakrotnie głośno mlasnęła do Elizabeth i się odwróciła. Kelner zaprowadził ją i jej znajomych do stołu w odległym narożniku sali, a gdy usiadła, w restauracji zrobiło się głośniejsze i Lydia zatopiła się w ogólnym gwarze.

Elizabeth mrugała raz po raz i próbowała powstrzymać łzy.

– Co się stało? – zapytał Andrew.

– Nic takiego – opowiedziała. – Ale chodźmy stąd. Mały skończy i wychodzimy.

– Patrzyła na słodką twarzyczkę Harry'ego, który ssał dalej.

Półtora roku później Lydia nie żyła.

– Przepraszam cię. Źle postąpiłam – przyznała Elizabeth. Nie mogła nawet winić

Naomi za to, że ją przekonała. Elizabeth sama pochwałała ten pomysł i bardzo chętnie złożyła podpis na wykropkowanej linii. Postąpiła jak bohaterka z opowiadania O. Henry'ego, tyle że niedźwiedzią przysługę oddała sobie. Sama stała się swoją ofiarą. – Ale dla twojego dobra – dodała, chociaż wiedziała, że on w ten sposób jej czynu nie postrzega. – Zrobiłam to dla ciebie.

– Czyżby? – zdziwił się Andrew. – Drzwi nie są zamknięte na klucz. Wrócę późno. A jeśli chcesz wiedzieć, to chodzę tam nie tylko z powodu zajęć jogi, ale również z troski o siebie. Nie będę udawać, że w ten sposób tobie robię prezent. Powinnaś też tak kiedyś spróbować. – Włożył sandały i szedł po schodach na chodnik.

Rozdział 42

Przyszłość Fal zapowiadała się nadzwyczajnie – inicjatywa przyczyni się do ożywienia społeczności Rockaway, kultywowania głęboko zakorzenionych wartości Brooklynu, koszty remontu będą niższe niż hotelu na Manhattanie. Okazało się, że realizację tego projektu Dave planował już od pewnego czasu i był on częścią ogólnych zamierzeń dotyczących EWOLUtorium. Odbił kilka spotkań z architektami, z niektórymi instruktorami jogi z EWOLUtorium, którzy mieszkali w tej okolicy, żeby się zorientować w możliwościach czasowych i finansowych. Teraz Dave chciał przekonać Andrew, żeby się włączył do projektu, argumentując, że jest osobą, która „czuje klimat”. Spotkali się w kawiarni na Cortelyou, nieopodal Hiacyntki. Dave i Andrew z EWOLUtorium dotarli na miejsce pieszo.

– Słyszałem pozytywne opinie o tej restauracji – zagadnął po drodze Dave.

– Uzasadnione. Właścicielki są naszymi dobrymi znajomymi – powiedział Andrew.

– Może wobec tego usiądziemy tutaj? – Dave przystanął.

– Wolałbym nie – powiedział Andrew i szedł dalej.

Zatrzymali się przed kawiarnią, a Dave pomachał do mężczyzny siedzącego w oknie. Tamten uniósł palec – „za moment” pokazał – a potem odwrócił do nich plecami.

– Noszę się z pewną propozycją dla ciebie – zaczął Dave. – Nie bardzo wiem, jak ci ją przedstawić, bo czuję się trochę niezręcznie. Nie chcę cię stawiać w kłopotliwym położeniu, nie chcę też, żebyś pomyślał, że wywieram na ciebie presję. Wiesz, że dla mnie liczy się przede wszystkim poczucie komfortu i dobra energia, więc jeśli uznasz, przyjacielu, że nie jest to twoja bajka, zapominamy o sprawie. Mam jednak wrażenie, że pomyśł ci się spodoba.

Andrew zmrużył oczy w słońcu.

– Ummm – mruknął.

– Chcę cię zaprosić do projektu w charakterze inwestora. Chodzi o Fale. Uważam, że to znakomite przedsięwzięcie i realizowalibyśmy je razem. Co o tym sądzisz? Byłbyś skłonny zostać moim współnikiem?

– O jakim wkładzie mówimy? To znaczy, o jakiej kwocie? – Andrew z łatwością potrafił sobie wyobrazić siebie w roli właściciela hotelu. Wybierałby lampy i płyty winylowe do pokoi gościnnych, rozmawiał z dziennikarzami z „New York Timesa” o przywróceniu obiektu Brooklynowi, o wprowadzeniu ludzi na tereny za mostem, za dzielnicą Williamsburg.

– Trudno powiedzieć – odparł Dave. – Mam wrażenie, że całość zamknęłaby się kwotą poniżej miliona dolarów, plus minus. Ten obiekt wystawiono na sprzedaż za siedemset tysięcy. – Przesunął rękoma po brodzie, ujął ją w dłonie. – Rzecz jasna są też inni inwestorzy, ale oni nie czują klimatu, rozumiesz, a to utrudnia realizację całego przedsięwzięcia.

– Oczywiście – zgodził się Andrew. Mógłby to być jego nowy cykl. Mógłby

podczas zajęć medytacyjnych siedzieć sobie z tyłu i przeglądać listę dostawców, z którymi należałoby nawiązać kontakty. Mógłby wystawiać czeki, zająć się czymś zupełnie nowym. – Chętnie przyjmę tę propozycję – powiedział. Wyciągnął do Dave’a rękę, ale ten zamiast ją uścisnąć, zachichotał i chwycił Andrew w objęcia.

Rozdział 43

Elizabeth ciągle o czymś zapominała. Przez zapomnienie zostawiła wyjściowe buty w biurze, nie zabrała kluczy do domów, które obsługiwała. Wysłała wiadomość do Zoe, z którą chciała się umówić na kolację, ale nie otrzymała odpowiedzi. Z Andrew nie rozmawiali i Elizabeth niechętnie uświadomiła sobie powód, chociaż to on bez wątpienia zachowywał się, jakby mu odebrało rozum. Podpisanie się jego nazwiskiem na dokumencie nie miało nic wspólnego z nielojalnością. Rozumiała oczywiście, że małżeństwo powinno być jak święte przymierze, a jeśli tego rodzaju jedność w codziennym życiu była nieosiągalna, to polegało na uzyskaniu zgody drugiej osoby w sprawach o zasadniczym znaczeniu. Chcesz skoczyć na bungee albo zmienić warunki ubezpieczeń zdrowotnych? Chcesz przebić dziecku ucho i założyć mu kolczyk? Chcesz kupić nową kanapę, zarezerwować bilety lotnicze do Francji? Trzeba się naradzić. Nie było to równoznaczne z pytaniem o pozwolenie, nie miało też żadnego związku z dawnym porządkiem. Chodziło o zespołowe działanie równoprawnych partnerów. Chciała całą winę za podpisanie zgody zrzucić na swój charakter – jest osobą, która pragnie dostosować się do każdego – ale takie podejście tylko częściowo załatwiało sprawę. Drugim i o wiele ważniejszym powodem była ogromna chęć obejrzenia tego filmu. Elizabeth wyobrażała sobie siebie oglądającą go w środku dnia, po południu, i pochlipującą nad wiaderkiem popcornu. Pragnęła jednocześnie świętować i wylewać łzy z tęsknoty za swoją młodością – na tym jej zależało.

Elizabeth chciała zrobić kilka zdjęć w domu Zoe, głównie na własne potrzeby. W dalszym ciągu nie uruchomiły biegu zdarzeń – kto wie, może nigdy do tego nie dojdzie – ale Elizabeth chciała te zdjęcia zachować dla siebie. Tamten dom nigdy nie należał do niej, oczywiście, ale Lydia też nigdy do niej nie należała, a mimo to zarówno dom, jak i Lydia miały udział w stworzeniu tego, co złożyło się na życie Elizabeth. Chciała pospacerować po domu podczas nieobecności Zoe, po raz pierwszy od stu lat bez konkretnego powodu – znaleźć się w nim nie dlatego, że zgodziła się wyprowadzić na spacer Binga albo przypilnować Ruby, albo opróżnić skrzynkę pocztową. Chciała pomyśleć o domu i o Andrew. Dość łatwo przekonała samą siebie, że to wizyta służbowa – niezależnie od tego, jak dobrze zna się dom, zdjęcia są ważne; mając je, mogłaby ostatecznie porozmawiać z Deirdre o cenie katalogowej, oczywiście tylko po to, żeby uzyskać drugą opinię.

To prawda, że ostatnio Zoe ani słowem nie wspomniała o dalszych krokach – w ogóle raczej trudno ją było skłonić do zajęcia jakiegoś stanowiska – ale w ramach swoich rozważań nad ewentualnymi zamiarami bez wahania pozwoliła jej się porozglądać – tak uważała Elizabeth. Nie chciała się czuć jak anioł śmierci unoszący się nad związkiem przyjaciółek, starała się jedynie służyć pomocą. Gdyby rozstanie Jane i Zoe doszło do skutku, to przecież podobna sytuacja mogłaby się przydarzyć również komuś innemu. One stanowiły stabilną i szczęśliwą parę, takich prawie nie ma. Oczywiście, czasami Zoe narzekała na Jane, ale wcale nie bardziej niż Elizabeth na Andrew. Gdy

osoby z tak bliskiego otoczenia decydują się rozejść, a nawet tylko poważnie taki krok rozważają, to znaczy, że doszło do podważenia podstawy związku. *Dlaczego one?* Elizabeth przyłapała się na takim pytaniu. *Dlaczego teraz?* Zoe w tych kwestiach nie wypowiedziała się jasno i to było najbardziej niepokojące.

Elizabeth zawsze miała klucze do domu pań Bennett. Kahn-Bennett. Czy Zoe zamierza wrócić do swego nazwiska Bennett? Tyle było powodów do zmartwienia, poważnych i drobnych, zbyt wiele, żeby wszystkie udźwignąć. Elizabeth wbiegła po schodach i otworzyła drzwi. Zoe powiedziała jej, że żadnej z nich nie będzie w domu – ona i Jane mają do załatwienia sprawy restauracji, a Ruby będzie w Hiacyntce. Bingo spał na podłodze w salonie, podniósł głowę i na powitanie przyjaźnie obwąchał Elizabeth.

Lepiej być w czyimś domu podczas nieobecności właścicieli. Można naprawdę dokładnie przyjrzeć się rysom na suficie, lepiącym się od brudu szafkom, podłogom w garderobach. Nikt nie chce wydać góry pieniędzy na cudzy nieporządek. Gdyby Zoe rzeczywiście zdecydowała się na realizację swego zamysłu (rozwód, sprzedaż domu – niby dwie odrębne sprawy, ale idą w parze, są ze sobą powiązane), Elizabeth będzie musiała sprowadzić profesjonalną ekipę sprzątającą i to co najmniej dwukrotnie: przed zrobieniem oficjalnych zdjęć i przed pierwszym dniem otwartym. Elizabeth знаła dwie Salwadorki, które wysprzątałyby dom tak, że będzie lśnił jak rezydencja papieska w Watykanie – na pewno poradzi Zoe, żeby się z nimi skontaktowała, jeżeli rzeczywiście dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

Właściwie wyglądał tak samo jak sto lat temu, kiedy Elizabeth i Andrew mieszkali w nim razem z Zoe i tamtymi chłopakami z Oberlin. Elizabeth zamknęła oczy i zobaczyła dywany w indyjskie wzory, które wisiały na ścianach, i pełne popielniczki na stoliku. Pieniądze na utrzymanie domu płynęły z koncertów disco, a dowody na to były widoczne w każdym miejscu: wszędzie leżało mnóstwo płyt, niektóre, oprawione w ramki, ozdabiały ściany. Kiedyś było też sporo starych, zabawnych fotografii rodziców Zoe z olbrzymimi fryzurami afro i w błyszczących kombinezonach, ale zniknęły i ich miejsce zajęły zdjęcia Ruby z okresu niemowlęctwa i państwa Bennettów w starszym wieku, już w cywilnych strojach.

Elizabeth obfotografowała kuchnię, w której znajdował się najwspanialszy piecyk kuchenny w całym Ditmas Park. Prawdopodobnie nikt z zainteresowanych podczas oglądania nie pozna się na nim i na jego wartości, więc będzie musiała informacje na ten temat uwzględnić w ofercie. Salon ze stosami czasopism, jadalnia ze składem krzeseł. Sfotografowała klatkę schodową, stojąc u podnóża schodów, ładnych i oryginalnych. Na piętrze zapaliła światło w korytarzu i zrobiła kilka ujęć łazienki. Zatrzymała się przed pokojem Ruby, w którym dawniej mieszkała z Andrew. Wtedy pierwszy raz poczuła, że są parą dorosłych, którzy zdecydowali się być razem. On doskonale radził sobie ze wszystkim, zręcznie zrobił im półki z cegieł i desek, wspaniale całował jej ramiona przed snem. Lubił pokazywać jej swoje miasto, ładne i brzydkie dzielnice, muzea i części Central Parku, które odkrywał sam jeszcze jako nastolatek. Wciąż miał długie włosy, które raz po raz zakładał za uszy – taki miał natrętny odruch – gdy siedzieli naprzeciwko siebie w łóżku i jedli chińskie dania na wynos. Rozśmieszał ją. Tańczył. Elizabeth przekręciła klamkę u drzwi do pokoju Ruby, otworzyła je, wpuszczając do środka smugi

światła.

– Mamo! Jezu! Pukaj głośniej! – krzyknęła Ruby.

Elizabeth zauważyła fragment nagiej piersi. Zakotłowało się na łóżku.

– Och, przepraszam cię, kochanie. To ja, Elizabeth. Twoja mama mówiła, że nikogo nie będzie w domu – tłumaczyła się Elizabeth, zasłaniając oczy dłonią. – Zaraz, zaraz, chwileczkę – powiedziała i opuściła rękę.

– Cześć, mamo – odezwał się Harry i podciągnął prześcieradło pod samą brodę.

Siedzieli z Ruby obok siebie, z zarumienionymi policzkami i potarganymi włosami, które sterczały im na wszystkie strony. Pokój wypełniała ostra woń potu, brudnych ubrań i inne zapachy, których źródeł Elizabeth wołała nie nazywać.

– Harry, co ty tu robisz? – zapytała i z powrotem zasłoniła sobie oczy. – Mógłbyś się ubrać? – Znow nastąpiło poruszenie. Usłyszała dźwięk zapinanej klamry od paska. Nie mogła się powstrzymać i raz po raz pojękiwała.

– Gotowe – powiedział Harry minutę później, siedząc już na brzegu łóżka.

Ruby włożyła sukienkę i wielką klamrą spięła włosy na czubku głowy. Warkoczyki splecione na wyjście na koncert już zniknęły. Harry wyglądał poważnie, zbyt poważnie – jak własny ojciec. Elizabeth poczuła wysięk z nosa, który zazwyczaj pojawiał się u niej bezpośrednio przed wybuchem płaczu.

– Do diabła, mamo, przepraszam. Paskudna sytuacja, ale nie ma dramatu. Stosujemy, hmm, zabezpieczenia i wszystko, co trzeba, przysięgam.

Elizabeth zamrugała szybko. Czowała zawroty głowy, jakby się nawdychała rozpuszczalnika do farb.

– Mogę gdzieś tu usiąść, Ruby? – Rozejrzała się i zobaczyła fragment gruszkowej pufy wystający spod sterty odzieży.

Ruby kiwnęła głową w stronę fotela. Policzki Harry’ego zdawały się wskazywać, że wolałby, żeby matka opuściła pokój, w którym jeszcze przed chwilą leżał z nagą dziewczyną, ale nie miał zamiaru jej o to prosić.

– No tak – zaczęła Elizabeth. – I co teraz?

– Może przyniosę trochę wody? – zaproponowała Ruby. Wyczołgała się na skraj łóżka jak piesek, eksponując przy tym rowek między piersiami.

– Tak, poproszę – powiedziała Elizabeth, patrząc na sufit.

Ruby w oka mgnieniu znalazła się przy drzwiach i zbiegła po schodach.

– Mamo – powiedział Harry. – Bardzo przepraszam.

– Przepraszasz za co, kochanie? Za to, że nie trzymałeś się z dala od Ruby, czy za to, że dorosłeś? – Coś uwierało Elizabeth w plecy. Sięgnęła ręką i wyciągnęła podręcznik chemii, który rzuciła na podłogę.

Ruby otworzyła sobie drzwi, popychając je łokciem, i podała jedną szklankę z wodą Elizabeth, drugą Harry’emu.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – zaczęła Ruby. Zerknęła na Harry’ego, który skinął głową i w tej samej chwili zacisnął wargi, bez wątpienia obawiając się tego, co Ruby miała zamiar powiedzieć Elizabeth. – Ani Harry, ani ja nie próbujemy zachowywać się jak podstępne gnojki, Elizabeth. Po prostu lubimy spędzać razem czas. Za wszystkie nasze kłopoty winę ponoszę ja, ale również winien jest on, i to jest w porządku.

– Wiem – przyznała Elizabeth. – Nie ma to już dla mnie znaczenia.

– Co takiego? – zdumiał się Harry.

– Nie mam nic przeciwko temu, że jesteście parą. Jestem pewna, że nikt już na ten temat nawet nie wspomina. Nie mam nic przeciwko temu, że się spotkacie za zamkniętymi drzwiami w łóżku. Dla mnie nie ma problemu. Takie spotkania służą zdrowiu! Ale również bardzo mi smutno z powodów, których nie potrafię ująć w słowa.

– Spojrzała na Harry’ego. – Jesteś moim dzieckiem. Chcę tylko wiedzieć, że jesteś bezpieczny i że nic złego cię nie spotka.

– Mamo, ja mam siedemnaście lat – powiedział Harry i się zaczerwienił.

– Będiesz moim dzieckiem, nawet kiedy skończysz trzydzieści pięć i kiedy będziesz miał pięćdziesiąt. – Intensywnie się pociła. – Chyba mam uderzenie gorąca. Czy to możliwe?

Ruby i Harry spojrzeli na siebie z zażenowaniem.

– Posłuchaj, Harry – ciągnęła Elizabeth. – Nie wspomnę ojcu ani słowem, twoim matkom też, Ruby. Ale proszę, żebyście mi coś obiecali. – Było jej gorąco, czuła się zmęczona. Wydawało się jej, jakby miała sto lat i była pomarszczoną babą z bajki.

– Obiecuję ci wszystko, co chcesz, mamo – podchwycił Harry.

– Zależy, co to ma być – powiedziała Ruby.

– Pomóżcie mi się dowiedzieć, co robi twój ojciec, i wyciągnąć go stamtąd, dokąd chodzi. Będziecie moją małą Nancy Drew i Hardym. Mogę na was liczyć?

Harry’ego wprawiła w zdumienie jej prośba, ale Elizabeth mówiła dalej:

– Potrzebuję pomocy. Możecie mnie wesprzeć?

Przytaknęli z poważnymi minami. Elizabeth wypila wodę ze szklanki pokrytej kropelkami rosy.

– Wstawię ją po drodze do zlewozmywaka. Posprzątaj w pokoju, Ruby. Wygląda, jakby mieszkał tu na dziko jakiś pomyłony menel.

– Uhm – mruknęła Ruby.

– Do zobaczenia w domu, Harry – powiedziała Elizabeth. Z trudem się podniosła i powoli skierowała się w stronę do korytarza. Zamknęła za sobą drzwi i odczekała chwilę, żeby sprawdzić, czy rozlegnie się śmiech. Zadowolona zeszła ostrożnie po schodach, wyszła na ulicę i wysoko uniosła głowę, jakby szła po równoważni.

Rozdział 44

Późnym popołudniem Zoe napisała do Jane wiadomość: „Kolacja wieczorem? U Chińczyka na Sunset Park?”. Na takie spotkania umawiały się, żeby porozmawiać o sprawach zawodowych przy posiłku. Nie mogły wybrać się do żadnej restauracji w swojej okolicy, ponieważ знаły właścicieli każdej z nich, dosłownie każdej (zresztą takich miejsc w pobliżu, gdzie można by coś zjeść, było zaledwie sześć), i zwykle kończyło się tak, że ktoś się do nich przysiadał i rozmowy toczyły się na temat dostawców, gospodarstw rolnych i kelnerów, którzy mieli problemy z narkotykami. Jane odpisała: „Podjedź po mnie o ósmej” i punktualnie o tej godzinie stała przed Hiacyntką z rękami w kieszeniach i czekała, aż Zoe wyłoni się zza rogu i zatrzyma przed wejściem do restauracji. Samochód pojawił się trzy minuty po ósmej – niezłe, jak na jej żonę. Jane w dalszym ciągu lubiła nazywać Zoe żoną. Jeśli nawet takie upodobanie wyniosła z Long Island, to i tak przy nim zostanie. Nie wykazywała żadnego zainteresowania wprowadzaniem rewolucyjnych zmian w swoim życiu. Z przyjemnością mieszkała w jedynej dzielnicy w Nowym Jorku, w której czuła się jak na przedmieściu, ze swoją żoną i dzieckiem, garażem i spiżarnią, do której można było swobodnie wchodzić. Zoe zwolniła, zatrzymała się i opuściła szybę.

Jane wsiadła do samochodu i zapięła pasy.

– Hej – powiedziała.

– Cześć – odpowiedziała Zoe. Miała na sobie sukienkę, która Jane bardzo się podobała, niebieską i zwiewną, przewiazaną paskiem w talii. – I jak tam? – Spędziły dzień na rozmowach o warzywach, zamówieniach i jadłospisie, ale Zoe nie o te sprawy chodziło.

– Nie jest źle. Miła niespodzianka. – Jane potarła dłońmi o kolana.

– Fajnie. Nabrałam ochoty na chińskie jedzenie.

– Dobrze się zapowiada. – Jane skrzyżowała ręce na piersiach, a po chwili znów położyła dłonie na kolanach.

– Uspokój się – powiedziała Zoe. Wyciągnęła rękę i umieściła ją na dłoni Jane.

– To tylko kolacja.

– Gdyby to nie była tylko kolacja, byłybyśmy w domu. – Jane dłubała przy zamku od drzwi.

Skręciły w Coney Island Avenue.

– Wobec tego przyjmijmy, że to randka. Zadowolona? – zapytała Zoe.

Jane prychnęła.

– Jeśli już tak koniecznie chcesz wiedzieć. Owszem, jestem zadowolona. – Wyjęła telefon z kieszeni i podłączyła go do radia samochodowego. Wieczór robił się chłodny, powietrze wpadające przez otwarte okna samochodu było na tyle rześkie, że na jej rękach pojawiła się gęsia skórka. Jane przewijała utwory, aż znalazła właściwy. Nastawiła muzykę głośniej. Z głośników popłynęły dźwięki największego przeboju rodziców Zoe z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku (*Moja dziewczyna chce przetańczyć całą noc*), a Zoe się roześmiała. Zrobiło się przyjemnie.

Rozdział 45

Wieczorami w Hiacyntce Ruby zastanawiała się nad swoją przyszłością. Tamtego wieczoru nie było w restauracji dużego ruchu. Tylko przy kilku stolikach w ogródku goście jeszcze siedzieli przy deserze. Dochodziła dziesiąta. Żadna z jej matek nie kręciła się w pobliżu, z czego Ruby była zadowolona, bo mogła się objąć i lenić w pracy. To był chłodny wieczór pod koniec lipca i żałowała, że nie wzięła ze sobą swetra. Pożyczyła sobie bluzę z kapturem od Jorgego, którą znalazła za barem, i się w nią ubrała, wiedząc, że nie miałby nic przeciwko temu. Nie wyglądała w tym stroju profesjonalnie, ale przecież byli w samym sercu Brooklynu, w środę wieczorem, więc kto zwracałby uwagę na takie rzeczy?

Ruby doszła do wniosku, że ma do wyboru kilka możliwości: mogła zostać w domu i za rok ponownie ubiegać się o przyjęcie do szkoły; mogła zapisać się na jeden z tych intensywnych niemal upodlających programów, w ramach których trzeba się włączyć przez trzy miesiące po pustyni bez papieru toaletowego; mogła też przenieść się do Nowego Orleanu i otwierać ostrygi dla turystów. Na tym etapie mogła zrealizować każdy z tych planów, wystarczyło tylko zdecydować się na jeden z nich. Harry będzie w Brooklynie przez kolejny rok, co już miało pewne znaczenie, ale nie, jeśli nie mogliby pokazywać się razem bez wywoływania panicznych reakcji jego rodziców. Ruby podeszła do drzwi i przycisnęła nos do szyby.

W kieszeni brzęknął jej telefon. Ruby wyjęła go i przeczytała wiadomość: „Impreza@ Nico, wpadnij po robocie. Dust”.

Dust nie miał żadnego planu, ale najwyraźniej się tym nie przejmował. Kiedy chodzili ze sobą, powiedział Ruby, że nigdy nie chce mieć pracy za więcej niż piętnaście dolarów na godzinę ani spędzać w niej więcej niż dziesięć godzin tygodniowo. Dotychczas pracował tylko w sklepie z deskorolkami i w skateparku. Ani w jednym, ani w drugim nie zagrzał miejsca dłużej niż kilka miesięcy. Wydaje się więc, że do tej pory dołożył wszelkich starań, żeby osiągnąć swoje cele.

Gdyby Ruby wyszła do ogródka i ponownie powycierała już wytarte stoły, co czasem robiła, próbując w ten sposób skłonić klientów do opuszczenia restauracji, mogłaby usłyszeć odgłosy imprezy. Dom Nica znajdował się w odległości jednej czwartej przecznicy od restauracji i przy ładnej pogodzie, gdy goście bawili się w ogrodzie, wyraźnie słychać było gwar. Tego wieczoru nie okazywała żadnego zainteresowania imprezą. Widziała po południu Sarah Dinnerstein, która wlokła się ulicą w szortach. Nad takim strojem nawet Ruby zastanowiłaby się dwa razy i wcale nie musiała patrzeć na dodatkowe efekty, jakimi popisze się jej koleżanka, która spędziła pół dnia na słońcu i nie unikała alkoholu.

Za plecami słyszała pogawędkę pary na rauszu po paru kieliszkach przeciętnego wina.

– Przepraszamy – powiedzieli, przeciskając się obok Ruby w drodze do wyjścia.

– Zapraszamy ponownie! – zawołała za nimi najbardziej obojętnym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Zanim wróciła na swoje stanowisko, druga para już poprosiła o rachunek. Czas oczekiwania wypełnili kilkoma wilgotnymi pocałunkami. Na koniec oboje wstali i skierowali się w stronę drzwi. Kelner, który miał dyżur, wysoki mężczyzna o imieniu Leon, zrobił wymowną minę do Ruby, gdy przeciągał przez terminal ich kartę kredytową.

– Czyli koniec, spindaliśmy stąd – powiedział. – Och, przepraszam!

– Nic nie szkodzi.

Ruby poukładała jadłospisy i zaczęła ustawiać krzesła na stołach, a Leon przyniósł szczotkę do zmiatania. Na koniec, gdy wszystko inne już było zrobione, posprzątali w ogródku. Słyszała odgłosy imprezy, a w każdym razie dźwięki, których źródłem mogła być zabawa. W całym ogrodzie unosił się zapach przypominający woń palonej trawki i perfum z dodatkiem rastafariańskiego olejku eterycznego, których używała Sarah Dinnerstein, kupionych od przypadkowego faceta z karcianym stolikiem ustawionym przed stacją metra Union Square. Jorge i Leon zamknęli obie kasy, a Ruby czekała na nich na chodniku z kluczami do opuszczanej rolety zabezpieczającej drzwi wejściowe. Po chwili już wszyscy troje byli na zewnątrz i Ruby zamknęła kłódki. Wyśle wiadomość do Harry'ego, kiedy znajdzie się bliżej domu, sprawdzi, czy on już śpi. Z jednej strony fajnie, że Elizabeth na nich nie naskarży, ale z drugiej strony trochę dziwnie i zaskakująco. Matki Ruby zawsze były zrelaksowane, nawet za bardzo, i Ruby uważała Elizabeth za prawdziwą dobrą mamuszkę, która wie, gdzie się podziewa jej dziecko, ma domowe jedzenie w lodówce i zna wszystkie najlepsze kołysanki. Nikt by się po Elizabeth nie spodziewał, że będzie piła wodę ze szklanki na pufie z półprzymkniętym wyrazem oczu.

W głębi restauracji mignęło światelko. Prawdopodobnie świetlik. Ruby zajrzała przez roletę. W samym rogu ogródka zauważyła coś czerwonego, przy drewnianym parkanie, ale nie potrafiła stwierdzić, co to. Pewnie nic takiego. Było późno, Ruby była zmęczona.

– Dobra, chłopaki – powiedziała do Jorgego i Leona, przybiła piątkę z jednym i drugim. – Do zobaczenia.

Szli razem w stronę skrzyżowania, ale potem, zamiast skrócić w lewo i udać się do domu, Ruby skręciła w prawo i ruszyła w kierunku domu Nica. Kiedy dzieliło ją od niego kilka długości samochodu, przeszła przez ulicę i zwolniła. Na werandzie stało kilka osób, ale żadnej nie potrafiła rozpoznać. Wyglądało na to, że impreza przygasa, w każdym razie od frontowej strony domu.

Ruby przykucnęła między dwoma samochodami i oparła się o zderzak. Widziała werandę i małe, czerwone punkciki żarzących się papierosów. Chloe przysłała jej rano wiadomość. Paryż jest w innej strefie czasowej i Ruby nie wiedziała, czy Chloe się nie zorientowała, że pisze esemesa o szóstej rano, czy przypadkiem tak wyszło. To było kilka słów: „Hiiiiiii tęsknię za tobą!” z długim rzędem serduszek. Co za bzdura! Dyrzymały. Wszystkie koleżanki Ruby wkrótce wyjadą, opuszczą ją na zawsze. Skąd w ogóle taki pomysł, żeby się przyjaźnić z kimkolwiek w liceum? Wszyscy tak lubią opowiadać, że znajomi z liceum są głupi i nudni, a czy trzymanie się z nimi nie znaczy, że samemu jest się głupim i nudnym? Czy to nie jest tak, że każdy próbuje udawać kogoś lepszego? Chloe wstąpi do siostrzeństwa studenckiego i zamieszka w domu z przesadnie strojnym żyrandolem, a potem pójdzie na studia prawnicze, znajdzie sobie męża, urodzi troje dzieci

i przeniesie się do Connecticut. Po latach obie spotkają się na uroczystości z okazji dwudziestej rocznicy ukończenia Whitmana, będą się obejmować i całować, i obiecywać sobie, że jedna czy druga wsiądzie do pociągu Metro North, żeby się znów mogły spotkać. Paloma była taka sama, tylko że gorsza – ale bywała interesująca. Przynajmniej Dust i Nico na zawsze pozostaną tacy sami. I tym się Ruby pocieszała, bo przy nich ona ze swoimi wyborami życiowymi czy bez nich nie wypadła tak bardzo beznadziejnie.

Na werandzie było wesoło. Jeszcze kilka miesięcy temu Ruby wolnym krokiem weszłaby po schodach, wyjęła komuś papierosa z ust i włożyłaby go sobie jak królowa tego cholernego miejsca. A teraz co? Kim była? Hostessą. Polecała crostini i sos aioli do frytek, robiony na miejscu. Jej chłopak, niedawno rozprawiczony, dla rozrywki chodził na kurs przygotowawczy do testów kwalifikacyjnych do college'u. Ruby wyobrażała sobie, że przechodzi przez ulicę i zostaje przejechana przez samochód ciężarowy. Ruby wyobrażała sobie, że przechodzi przez ulicę, dociera do schodów prowadzących do domu Nica i przed nosem zamyka się jej brama. Wyobrażała sobie swoich przyjaciół – dawnych przyjaciół – którzy nie zwracają na nią uwagi, gdy spaceruje po domu, bo jest dla nich niewidzialna. Ruby wyobrażała sobie Dusta dmuchającego Sarah Dinnerstein na łóżku rodziców Nica, których nikt nigdy nie widział.

– Ależ to głupie – powiedziała.

Kolana bolały ją od przyciskania do zderzaka obcego samochodu. Wstała powoli jak starsza pani, pochyliła się i już miała ruszyć ulicą w przeciwną stronę, gdy poczuła zapach dymu. Był silniejszy niż wcześniej – nie był to zapach trawki ani paczuli, ani marlboro. Teraz zdecydowanie czuła woń ogniska.

– Co to za gówno? – mruknęła. Dotarła do skrzyżowania i zobaczyła kilka osób stojących przed Hiacyntką. Patrzyli w okna i trzymali w dłoniach telefony komórkowe. Ruby zaczęła biec co sił w nogach.

Część trzecia

SAMA SOBIE JESTEM PANIĄ

CORTELYOU ROAD – STACJA METRA LINII Q:

OKOLICE DITMAS PARK BLOG

Wysłano o godzinie 23:37

Kto jeszcze czuje dym? Stoimy na ulicy od pół godziny i próbujemy ustalić, gdzie się pali. Dym ciągnie chyba od strony południowej. Czekamy na informacje. Piszcie w komentarzach.

Rozdział 46

Zadzwoił telefon Jane, a po chwili telefon Zoe. Oba znajdowały się we wgłębieniach na kubki pomiędzy przednimi fotelami, ale Jane i Zoe były na kanapie z tyłu. Majtki Zoe owinęły się jej wokół kostki, a prawa ręka Jane zniknęła głęboko pod sukienką żony. Obie miały brzuchy napelnione pierożkami, a usta sobą. Fotele w subaru obite tkaniną tapicerską widziały już gorsze rzeczy.

– Kto, do cholery, tak ciągle dzwoni? – wymamrotała Jane wprost w szyję Zoe. Prawdopodobnie Elizabeth do Zoe, żeby ją zapytać, na którym boku powinna się ułożyć do snu albo w której ręce ma trzymać szczoteczkę do zębów. Jane nie była ciekawa, niech sobie dzwoni.

Jedzenie było sprawdzonym sposobem na powrót do dobrych relacji. Dlaczego o tym nie pomyślała? Jane lubiła wyśmienitą kuchnię jak każda dziewczyna, ale tak naprawdę apetyt zawsze miała na słone i smażone potrawy, które można jeść pałeczkami. Skóra Zoe smakowała równie doskonale jak pełna miska glutaminianu sodu, więc Jane próbowała zlizać ten smak z całej jej powierzchni, od samej góry do samego dołu, z każdego centymetra, do którego mogła się dostać bez nadwreżenia mięśni. Minęło już chyba dobre dziesięć lat, jeśli nie więcej, od ostatniego razu, kiedy baraszkowały na tylnej kanapie samochodu. O ile Jane sobie przypomina, było to podczas długiej jazdy nocną taksówką z Union Square do Ditmas Park – akcja z co najmniej trzema orgazmami pod rząd. Ale co tu wspominać takie dawne czasy? Jej ciało pulsowało, podobnie jak ciało Zoe. Oddychały w tym samym rytmie, tym samym gęstym powietrzem.

– Mam nadzieję, że to nie znowu policja – powiedziała Zoe. Roześmiała się, ale po chwili spoważniała. Uwolniła się z objęć Jane, która przekręciła się na bok i oparła plecami o fotel. Zoe wcisnęła się między przednie siedzenia i sięgnęła po swój telefon.

– Dzwoniła Ruby – powiedziała. – I Leon. O mój Boże! – Zoe schyliła się i włożyła drugą nogę w majtki. Przesiadła się z powrotem na przedni fotel, dając Jane okazję do podziwiania pięknego widoku, fundując jej chwilę czystej przyjemności, jaką sprawia oglądanie dzieł Renoira w oryginale. – Chodzi pewnie o Hiacyntkę.

Zaparkowały przed restauracją równolegle do wozu strażackiego. Komenda straży pożarnej znajdowała się zaledwie dwie przecznice dalej, więc strażacy przyjechali szybko – Ruby nawet ich nie wzywała telefonicznie, tylko pobiegła tam i grzmociła do drzwi, aż jej otworzył oficer dyżurny. Ruby, Leon i Jorge wciąż byli na ulicy. Wszyscy troje siedzieli na srebrnej ławeczce przed sklepem obok, na zmianę wyglądali zza rogu i palili papierosy. Ruby trzymała papierosa w zębach, kiedy zjawiły się jej matki. Jane wyrwała jej go z ust i rzuciła na chodnik.

– Co się stało?

Ruby się rozplakała, a Leon otoczył ją ramieniem.

Jane pokręciła głową.

– Czy ktoś, do cholery, może mi powiedzieć, co się tu dzieje? – Wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do restauracji ponad głowami strażaków.

Jeden z nich, w ogromnym kombinezonie, podszedł do niej powoli.

– Pani jest właścicielką?

– Obie jesteśmy właścicielkami – powiedziała Jane, przyciągając Zoe bliżej. – Co się stało?

W powietrzu czuło się ostrą woń dymu.

– Wszystko wskazuje na to, że w ogrodzie, z tyłu restauracji, wybuchł pożar i rozprzestrzenił się na wasz budynek. Na szczęście pani córka była tu wcześniej, zanim ogień na dobre rozgorzał. Zniszczenia są poważne, ale sam budynek jest do uratowania. Proszę wejść i zobaczyć.

Jane i Zoe ostrożnie weszły przez otwarte drzwi – szkło z potłuczonych szyb pokrywało podłogę w przejściu, odłamki zalegały nawet przy stanowisku hostessy. W środku wciąż było gęsto od dymu i w powietrzu unosił się zapach wilgotnych węgli z niewypalonego ogniska. Podłoga w miejscach, gdzie nie leżały okruchy potłuczonego szkła, była śliska od wody z tryskaczy i węży strażackich. Jane podciągnęła sobie T-shirt na usta i nos i przytrzymała go ręką. Wzdłuż ściany sali restauracyjnej biegła czarna smuga. Z popękanego sufitu luszczyla się farba jak skóra po oparzeniu słonecznym, a szklane drzwi prowadzące do ogródka były potłuczone. Jane zacisnęła pięści gotowa wymierzyć sprawiedliwość pierwszej osobie, która się jej nawinie pod rękę. Wyrzała na zewnątrz i od razu się zorientowała, co zaszło: w grze „Papier, kamień, nożyce” wszystkie trzy symbole przegrywają z ogniem.

Drewniane stoły w ogrodzie były całkowicie zniszczone i trzeba będzie je wymienić. Krzesła też poszły na straty. Drewniany parkan oddzielający ogród od sąsiedniej posesji wyglądał tak, jakby rzucił się na niego rozjuszony rekin.

– Cholera! – zaklęła Jane.

– Cholera! – dorzuciła swoje Zoe, która stanęła za nią i położyła jej dłoń na plecach. Strażak wzruszył ramionami.

– Dobrze, że ogień nie zajął całego pomieszczenia i nie przedostał się na drugą stronę. Całe szczęście, że wasza córka była na miejscu – kilka minut zwłoki, a budynek zniknąłby z powierzchni ziemi.

– Dziękuję – powiedziała Jane i uściśnęła strażakowi rękę. Gdy odszedł, zwróciła się do Zoe. – Wygląda na to, że ostatnio mamy szczęście do służb miejskich, nie uważasz? Ciekawe, która będzie następna? Straż przybrzeżna?

– Nawet nie żartuj w ten sposób – oburzyła się Zoe. – Jak myślisz, ile czasu nam potrzeba, żeby ją znów otworzyć.

– Miesiąc? Dwa? Boże, nie wiem. Och, mój Boże! – Dopływ prądu został odcięty. Żywność ze spiżarni będzie do wyrzucenia. Były w niej wspaniałe ryby, piękne steki do pieczenia na kamieniu. Te przekłete pomidory. Trzydniowy zapas świeżej mozzarelli na sałatkę caprese. Wszystko pójdzie na marne. Powinna zabrać do domu te produkty, które będzie można wykorzystać, póki są dobre, jeżeli w ogóle jeszcze się nadają do użytku. – Cholera! – Nawet nie sprawdziła, jakie szkody powstały w kuchni. Tam tryskacze włączają się najpierw, niezależnie od tego, w którym z pomieszczeń pojawia się ogień, ale Jane w myślach sporządzała listę swego pięknego sprzętu, słoików, tej cholernej soli w różnych gatunkach – całego stanu posiadania.

– Nie denerwuj się tak – uspokajała ją Zoe. – To przecież tylko pieniądze. – Wyjęła telefon z kieszeni i zaczęła robić zdjęcia. – Idź i zobacz, co z Ruby.

Jane z powrotem wyszła na zewnątrz, przed restaurację. Pod butami trzaskało jej szkło. Ruby zapaliła kolejnego papierosa i spacerowała w tę i z powrotem przed sklepem ze zdrową żywnością na rogu ulicy. Miała na sobie czyjaś bluzę z kapturem ciasno ściągniętym wokół twarzy. Jej fioletowe włosy tryskały spod niego na boki jak strumienie wody wzburzonego wodospadu. Jane podeszła do niej powoli.

– Mamusiu... – zaczęła Ruby i głos się jej załamał. – Tak mi przykro. To moja wina, powinnam była wcześniej się zorientować. Przy zamykaniu rolety wydawało mi się, że coś zauważyłam. – Ruby miała zaczerwienione oczy. Głęboko zaciągnęła się papierosem i zaczęła nerwowo podskakiwać na palcach. – Przepraszam za te fajki, ale nie mogę się opanować. Gdyby nie one, powyrywałabym sobie włosy z głowy.

Jane wyciągnęła rękę i wzięła papierosa od Ruby. Zamiast rzucić go na chodnik, włożyła sobie do ust i głęboko się zaciągnęła.

– Tylko ani słowa mumusi.

Ruby głośno westchnęła i przytuliła się do matki.

Rozdział 47

Elizabeth czuła się oszołomiona. Bardzo źle spała. Przez całą noc tylko przewracała się z boku na bok. Andrew jak zwykle zasnął natychmiast, a oglądanie go śpiącego jak kamień w czasie niezgody między nimi wydawało się dziesięciokrotnie gorsze niż wtedy, kiedy układało im się dobrze. Okno było otwarte, a o północy ktoś pijany hałasował na ulicy. O trzeciej kilkakrotnie włączał się alarm samochodowy. Jak zwykle w oddali rozlegały się sygnały samochodów uprzywilejowanych, na stałe obecne w odgłosach życia miasta, przeciągłe i natarczywe. Elizabeth wreszcie zasnęła około czwartej nad ranem, tak w każdym razie się jej wydawało, chociaż równie dobrze mogła dochodzić szósta. Drzemała z godzinę i Andrew obudził ją kaszlem. Otworzyła oczy i zobaczyła go stojącego przy łóżku po swojej stronie i patrzącego na nią. Trzymał w dłoni jej telefon.

– Co jest? – zapytała. – Co się stało?

Harry siedział na kanapie pochylony nad miską płatków zbożowych. Elizabeth włożyła szlafrok, mocno przewiązała go paskiem wokół talii i usiadła obok niego.

– Kochanie – powiedziała. – Właśnie dowiedziałam się od Zoe. Wczoraj wieczorem wybuchł pożar w restauracji. Nikomu nic się nie stało. Uważam, że powinieneś wiedzieć.

– Tak, wiem – przyznał Harry. – Ruby przysłała mi w nocy wiadomość. Zaraz jak przyjechała straż pożarna. Napisała, że wybili drzwi toporkami, mimo że ogień był dość daleko. – Głośno pociągnął łyk mleka z łyżki.

– Wiedziałeś o wszystkim? Jak mogłeś mnie nie obudzić? – Elizabeth sięgnęła do szyi Harry’ego, udając, że chce go udusić. – Boże, Harry!

– I co byś zrobiła? Pobiegła tam z wiadrem wody? – Podniósł miskę wyżej do twarzy, zasłaniając się nią przed gniewnym spojrzeniem Elizabeth. – Przepraszam. Powiniennem być ci powiedzieć. Niech ci będzie.

– Zajrzę do nich. Sprawdzę, może czegoś potrzebują. Zostań tutaj i nie pakuj się w żadne kłopoty, dobrze?

Harry pomachał jej łyżką na pożegnanie.

Frontowe drzwi były otwarte. Elizabeth zajrzała do środka i zapukała w ościeżnicę. Zoe siedziała za stołem z telefonem przy uchu. Przed nią leżała sterta papierów. Ruby i Jane krzątały się w kuchni, obie odwrócone plecami do drzwi. W całym domu pachniało naleśnikami i boczkiem.

– Hej! – zawołała Elizabeth. – Mogę wejść? Przed chwilą dotarły do mnie wiadomości.

Zoe uniosła głowę, skinęła ręką, zapraszając ją do domu, ale jej wzrok powędrował ponad głową Elizabeth, więc ta zatrzymała się w drzwiach.

– Mogę przyjść później, jeśli zjawiłam się nie w porę – powiedziała półgłosem.

Zoe machnęła ręką ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Czekam na rozmowę. Wciąż tylko czekam na połączenie z kolejną osobą –

wyjaśniła Zoe. – Nie do wiary, wiem... Do firm ubezpieczeniowych zdumiewająco trudno się dodzwonić, kiedy ci wszystko pochłonie pożar.

Jane powiedziała coś do Ruby półgłosem i dziewczyna się roześmiała.

– Ooo! Cześć, Elizabeth – przywitała się Ruby. Wykonała nieporadny obrót wokół własnej osi. Mrugnęła porozumiewawczo.

Elizabeth pochyliła się nad Zoe, przytuliła ją do siebie, a potem ciężko opadła na sąsiednie krzesło.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała. – Jak się czujesz? Mogę wam w czymś pomóc?

Zoe uniosła palec.

– Zaczekaj, chyba teraz mam połączenie z właściwą osobą. Halo? – powiedziała do telefonu. – Tak, halo, czekam, dziękuję bardzo. – Wyszeptała do Elizabeth „przepraszam”, zakryła ręką lewe ucho i poszła na górę.

Jane postawiła przed Elizabeth ogromny talerz naleśników – grubych, puszystych, bogato ozdobionych amerykańskimi borówkami.

– Zostań z nami – poprosiła. – Zawsze nasmażę ich w nadmiarze.

Ruby usiadła na krześle naprzeciwko Elizabeth i widelcem nałożyła sobie na talerz cztery ogromne naleśniki.

– Och, nie powinnam się wam naprzykrzać – wymawiała się Elizabeth. Naleśniki pachniały jak w Hiacyntce w niedzielny poranek. Poczowała, że burczy jej w brzuchu.

– Naprawdę nie przeszkadzasz – powiedziała Jane. – Sama wiesz, że Zo zje najwyżej dwa. Lepiej ty się poczęstuj, niż miałby je dostać Bingo. – Uśmiechnęła się i podała Elizabeth talerz.

– Niech będzie – zgodziła się Elizabeth.

Jak na kogoś, komu właśnie zawaliła się restauracja i przestała funkcjonować nie wiadomo na jak długo, Jane była w niezwykle optymistycznym nastroju. Elizabeth odkroiła krawędzią widelca kawałek naleśnika.

– O mój Boże! – zachwyciła się. – Istne szaleństwo.

– Owszem – przyznała Jane i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jak kot, który nie tylko zjadł kanarka, ale i jego gniazdo. – Nie masz żalu z powodu wczorajszego wieczoru?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Elizabeth. – Nic z tych rzeczy.

– Zupełnie zapomniałam o syropie! – krzyknęła Jane. – Bez niego jedzenie naleśników się nie liczy. – Szybko poszła z powrotem do kuchni i po chwili wróciła, wymachując wielką butlą syropu. Nalała na każdy talerz solidną porcję słodkiego płynu, który zamienił się w sporą kałużę.

– Jesteś dziś wesoła jak nigdy, mamo. Dodałaś do tego Prozacu? – zapytała Ruby.

– Ha, ha. Być może. – Jane włożyła do ust jedną czwartą naleśnika. – Bardzo smaczny, prawda? Pyszny i kojący.

Ruby przewróciła oczami, ale patrzyła na matkę przyjaźnie. Elizabeth korciło, żeby się powoli wycofywać i dla pewności jeszcze raz wejść do ich domu, bo miała wrażenie, że przypadkiem trafiła do równoległego świata.

Zoe z hałasem zbiegła po schodach, szybko jak Ruby przebijając nogami.

– Hej! – zawołała. – Przepraszam was! Chyba trafiłam na odpowiedniego faceta, Jane. Może nie będzie aż tak źle. To znaczy sprawa jest paskudna i Bóg jeden wie, jak długo potrwa załatwienie wszystkich formalności, ale nasza polisa obejmuje szkody z takiego zdarzenia, i oni już o nim wiedzą, czyli tracimy tylko czas i zarobki, rozumiesz?

– Dobra nasza – ucieszyła się Jane. – Świetnie. Jesteś głodna?

– Zawsze – odparła Zoe. Zamiast przecisnąć się za plecami Ruby, bo tamtędy było najbliżej do jej krzesła, Zoe obesła stół dookoła.

Elizabeth udała, że nie zauważyła, jak Zoe po drodze delikatnie muska płatek ucha Jane, i że nie usłyszała cichego pomruku, którym zareagowała tamta.

– Dodałeś do nich ricottę czy jogurt, czy roztopione masło? A może wszystko razem? – zapytała Elizabeth, zamiast powiedzieć to, co zamierzała.

– Kiedy Zoe w końcu usiadła, Elizabeth szerzej otworzyła oczy i spojrzała na nią pytająco, ale Zoe tylko się uśmiechała. Przepelniał ją błogi, obezwładniający i rozkoszny nastrój.

Plany powstały wyjątkowo szybko – Dave okazał się dobrze zorganizowany. Phillip, architekt, którego jakiś czas temu poznał w kawiarni, naszkicował kilka różnych wariantów rozwiązań i sporządził kalkulację kosztów, a potem rozpoczęły się rozmowy z wykonawcami – trzema wstępnie wybranymi. Dave przedstawiał Andrew jako „swoją prawą rękę, swego współnika”, a za każdym razem, gdy tak go nazywał, Andrew nabierał coraz większego przekonania do całego przedsięwzięcia. Oczywiście, wydatek duży, ale przecież po to są pieniądze, żeby je inwestować w projekty, w które się wierzy. Jeśli sprawy potoczą się pomyślnie i inni inwestorzy zaangażują się tak, jak zaplanował Dave, to roboty budowlane ruszą jeszcze przed jesienią, a zimą będą prowadzone roboty wewnątrz budynków, prace dekoracyjne, związane z programowaniem i wykończeniowe. Latem ośrodek Fale będzie już funkcjonował. W wyobraźni Andrew przesuwają się realistyczne obrazy, widział siebie i Dave’a wspierających się nonszalancko na drewnianym kontuarze w recepcji. Właściciel hotelu! Jego matka bez wątplenia uznałaby ten status zawodowy za przynoszący ujmę, ale Andrew z przyjemnością myślał o takiej przyszłości dla siebie. Świadoma droga kariery, z odrobiną splendoru. To był dobry plan.

Pierwszy czek opiewał na niezbyt wysoką kwotę stu tysięcy dolarów. Dave powiedział, że przy pewnych staraniach być może udałoby się zmieścić w siedemdziesięciu pięciu tysiącach, a gdyby mieli do dyspozycji sto pięćdziesiąt – byłoby idealnie. Andrew uznał więc sto tysięcy za kwotę optymalną, z którą można przystąpić do realizacji przedsięwzięcia. Andrew i Elizabeth mieli księgowego w Slope i doradcę inwestycyjnego w mieście, ale on zajmował się tylko ich kontami emerytalnymi i funduszem na kształcenie Harry’ego. Wszystkie swoje oszczędności gromadzili na tych rachunkach. Pieczę nad dużymi pieniędzmi – pieniędzmi rodziny Andrew – sprawował jeden z młodszych Marksów z liczego grona biznesmenów w garniturach. Andrew i Elizabeth korzystali z tych pieniędzy wyłącznie w nagłych przypadkach, kiedy trzeba było wymienić to czy tamto w domu albo od czasu do czasu, gdy zaszła potrzeba zaciągnięcia pożyczki z tego funduszu na opłacenie czesnego w szkole Harry’ego. Kapitału zdeponowanego w funduszu nie można było porównywać z nieograniczoną fortuną Sknerusa McKwacza codziennie nurkującego w pieniądzach w swoim skarbcu, ale zebrałoby się z nich spore bajorko, w którym dałoby się wykąpać.

Andrew leżał na wznak w głębi studia w EWOLUtorium. Była pora grupowych medytacji relaksacyjnych. Prowadził je Dave, a Salome krążyła po sali i korygowała uczestnikom ułożenie głowy lub ramion i każdemu masowała czoło. Andrew od pewnego czasu nie wnosił opłat za zajęcia – Dave nalegał – stał się jednym z członków zespołu.

Pociąg do Kitty był pierwszym z dwóch zespołów, do których Andrew w swoim życiu należał. Małżeństwo uznawał za związek partnerski, a rodziny, która wprawdzie nosi pewne znamiona zespołu, w zasadzie nie można tak traktować, zdecydowanie nie. W zespole muzycznym odbywały się spotkania, wspólne próby, głosowania w różnych sprawach. W małżeństwie o głosowaniu nie ma mowy, w nim wszystkie decyzje zapadają w drodze podwójnego kompromisu. Rodzicielstwo Andrew uważał za zajęcia

pozbawione sensu, w równym stopniu przyziemne, jak wzniosłe, a odkąd Harry nauczył się mówić, chodzić i korzystać z toalety, Andrew i Elizabeth dzielili się codziennymi obowiązkami w taki sposób, żeby każde z nich miało trochę wolnego czasu dla siebie. W dawnym zespole, jeśli się chciało mieć wolny czas, to się z niego odchodziło, i nikt się specjalnie tym nie przejmował. Zawsze można było znaleźć innego przeciętnego basistę.

– Wyobraźcie sobie, że z każdym oddechem wpuszczacie do waszego ciała białe światło – powiedział Dave. – A światło to przepływa nosem do zatok, przenika przez policzki aż do głowy. Teraz wyobraźcie sobie, że światło jest najbardziej miękką na świecie kulką z automatu do gier, która podskakuje wewnątrz głowy, aż całkowicie ją wypełni swoim blaskiem, centymetr po centymetrze. Poruszam flipperami tego automatu, a kulka podskakuje. Światło! Światło! Światło!

Jedną z najlepszych cech Elizabeth była umiejętność ignorowania wad innych ludzi. Elizabeth potrafiła się dość szybko zorientować, że ktoś ma podły charakter, mimo to starała się traktować takiego kogoś wyrozumiale, jak gdyby na swojej drodze napotkała maltretowanego dzieciaka i próbowała go zniechęcić do znęcania się nad zwierzętami. W taki sposób postępowała z Lydią, która na pewno na to nie zasługiwała. Andrew nigdy nie potrafił wypracować w sobie podobnej dobroci i wielkoduszności. Trudno mu było zestawić życzliwość Elizabeth z tym, co zrobiła, ale próbował. Białe światło otaczało jej twarz, lśniły w nim jej blond włosy. Ale chłodne białe światło Dave'a nie miało takiej mocy, żeby wypalić Lydię, chociaż już zrobił nie wiadomo ile głębokich oddechów.

Pociąg do Kitty był najbardziej popularnym zespołem w Oberlin – koncertowali w Grog Shop w Cleveland, gdzie występowali jako grupa supportująca przed zespołami z Nowego Jorku i Chicago, które tam przyjeżdżały w czasie tras koncertowych. Grali na imprezach w miasteczku uniwersyteckim i wtedy budynki, w których odbywały się ich występy, stawały się obiektami o nadzwyczajnym zagrożeniu pożarowym. Sale były wypełnione po brzegi, często nawet nie wszystkich mogły pomieścić, więc ich fani bawili się na dziedzińcach, a sąsiedzi wzywali policję. Zoe i Andrew studiowali razem, rok wyżej od Elizabeth i Lydii. Prowadzili niekończące się rozmowy, zastanawiali się, co zrobią, gdy połowa członków ich zespołu skończy studia. Andrew nie spieszył się z powrotem do Nowego Jorku. Chciał zostać w Oberlin i być blisko Elizabeth, zamieszkać poza miasteczkiem akademickim i pracować w sklepie rowerowym – koszty utrzymania byłyby minimalne, a Elizabeth mogłaby ukradkiem wynosić jedzenie ze stołówek i z kuchni wspólnoty akademickiej w ilości wystarczającej dla nich dwojga, gdyby wyszło rodzicielskie źródółko. Na suszę się nie zanosilo, więc Andrew się nie martwił. Nie byłoby żadnych problemów, gdyby nie Zoe, która chciała jak najszybciej wynieść się z Ohio, a jak, do cholery, mogliby ćwiczyć bez niej? Mieli już na swoim koncie singla *Pociąg do Kitty i męski wzrok*, wytłoczonego przez niezależną wytwórnę płytową w trzystu egzemplarzach, a Andrew i Elizabeth zależało na nagraniu pełnej płyty.

Wtedy Elizabeth napisała piosenkę. To był przebój nie z tej ziemi – bez dwóch zdań. Nawet gdyby nigdy nie pokazała go nikomu i tylko grała dla siebie w swoim pokoju, to i tak byłby hitem. Piosenki mają to do siebie, że są jak wolno stojące pomniki. Wróciła z biblioteki do ich sali ćwiczeń, zagrała ją na gitarze i zaśpiewała. Andrew, Lydia i Zoe

słuchali, siedząc przed nią podłozie. Lydia bębniła swoimi pałeczkami w podłogę, wybijała rytm. Zanim Elizabeth dotarła do drugiego refrenu, Zoe zerwała się na nogi i śpiewała razem z nią, a Andrew wiedział, że ona donikąd nie wyjedzie. Pracowali do późna, próbowali piosenkę wielokrotnie, aż rumieńce wystąpiły im na policzki, a palce zaczerwieniły się od grania.

Skończyli o północy. Bar w podrzędnym hotelu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mieszkania Zoe, był otwarty jeszcze przez dwie godziny. Poszli tam wszyscy, kompletnie oszołomieni. Elizabeth i Zoe usiadły przy stole w kącie, Andrew poszedł do baru po dzban piwa, a Lydia do toalety, która znajdowała się w holu. Na całym parterze hotelu śmierdziało dymem papierosowym (w pokojach prawdopodobnie również, ale Andrew nigdy w żadnym nie był) i nieświeżym popcornem, którym można się było częstować bezpłatnie z automatu stojącego w narożniku barowej sali. Zoe знаła wszystkich barmanów, dobrze zbudowanych facetów z motocyklami i zepsutymi zębami, więc co drugi dzban zwykle dostawali darmo. Andrew był podekscytowany – lubił ich zespół, mieli sporo dobrych utworów, wśród nich również jego kompozycji, ale ta nowa piosenka była zupełnie inna. Przyniósł piwo i postawił dzban na stole.

– Muszę się odsikać – oznajmił.

– Dzięki, bez tej wiadomości chybabym nie przeżyła – powiedziała Elizabeth, która przy Zoe zazwyczaj robiła się zgryźliwa. Obie dziewczyny się roześmiały.

Andrew pokazał jednej i drugiej środkowy palec i skierował się do holu. Toalety znajdowały się za półścianką, która miała świadczyć o tym, że hotel jest dość przyzwoity i przechodnie nie wchodzi tu, żeby załatwiać swoje potrzeby. Andrew popchnął wahadłowe drzwi, głośno skorzystał z pisuaru, a na koniec westchnął z ulgą. Wyszedł z toalety, pogwizdując melodię nowej piosenki, ale zrobił tylko krok w stronę holu i drogę zastąpiła mu Lydia.

– Czekałam na ciebie – powiedziała. Jej oczy prawie całkowicie zasłaniała grzywka. – Chodź ze mną. – Pociągnęła go za rękę przez drzwi wejściowe, niewidoczne z baru. Był kwiecień, jeszcze nie nadeszła ciepła wiosna, chociaż na rabatach w parku po drugiej stronie ulicy zaczynały kiełkować rośliny.

– Piekielnie dobra jest ta dzisiejsza piosenka, nie sądzisz? – zagadnął ją Andrew. Czuł, że solidnie szumi mu w głowie, chociaż nie zdążył wypić ani kropelki, i podrapał się po brzuchu. Stali w mrocznym zakątku ulicy i Lydia objęła go wpół. Była niewielkiego wzrostu, miała ledwie ponad metr pięćdziesiąt. Głową sięgała mu pod pachę, tak jak lubił. Elizabeth była od niego wyższa i też mu się to podobało, ale przy Lydii czuł się o trzydzieści procent przystojniejszy, jak mistrz wśród rozgrywających drużyny futbolowej szkoły średniej.

– Co się stało? – zapytał Andrew, głaszcząc ją czule po głowie.

– Nie chcę wracać do baru – odpowiedziała. – Chcę być tylko z tobą.

– Ale przecież świętujemy! – Andrew odsunął się i położył jej ręce na ramionach.

– Chodź, będzie fajnie, zobaczysz!

– Nie na takie świętowanie mam ochotę – powiedziała Lydia. Chwyciła w dłonie jego twarz i go pocałowała.

Taka sytuacja nie była nieoczekiwana. Czyżby były jakiegokolwiek powody, żeby się

jej nie spodziewać? Elizabeth wielokrotnie robiła mu wyrzuty, bo uważała, że Andrew flirtuje z Lydią, a on za każdym razem jej tłumaczył, że nic go z Lydią nie łączy, bo tak było łatwiej, niż wyznać Elizabeth prawdę. Andrew spał z Lydią wiele razy – ale tylko wtedy, gdy oboje za dużo wypili i kiedy Elizabeth spędzała noc gdzie indziej. Lydia zdawała się wiedzieć dokładnie, kiedy Elizabeth nie będzie, i zjawiała się u drzwi Andrew z butelką podrzędnego wina i bez bielizny. Nigdy z Lydią nie poruszali tego tematu po fakcie, więc raczej nie była to ich wspólna tajemnica, tylko oboje, jak się zdaje, przejawiali amnezję wsteczną typową dla stanu fugi dysocjacyjnej. Relacje z Lydią nie miały nic wspólnego z Elizabeth; Andrew kochał Elizabeth. Była dla niego szklanką pełnotłustego mleka prosto od krowy – chodzącą dobrocią w najczystszej postaci. Lydia natomiast jej zupełnym przeciwieństwem – najeżona kolcami. Były jak komiksowe Betty i Veronica. Archie kochał obydwie, one obie bardzo się lubiły, mimo że wciąż o niego rywalizowały. Andrew wymyślił, że gdyby Elizabeth się o wszystkim dowiedziała, tym przykładem posłużyłby się w swojej obronie. Pomysł niekoniecznie udany, ale lepszy taki niż żaden. Miał nadzieję, że nie będzie musiał z niego skorzystać, że pewnego dnia Lydia po prostu zniknie i ułatwi mu życie. Przecież z Elizabeth jeszcze nie byli małżeństwem. Nawet ze sobą nie mieszkali. To, co robił, było tylko trochę gorsze od przechodzenia przez ulicę w niedozwolonym miejscu, ale nie tak złe jak kanałowe leczenie zęba. Gorsze od rzygania w taksówce, ale nie tak złe jak wizyta w Biurze Pojazdów Mechanicznych.

– Chodź – powiedział Andrew. – Wracamy.

– No dobrze – niechętnie zgodziła się Lydia. Wydeła dolną wargę i spod przymrużonych powiek patrzyła na niego. – To może chociaż tutaj zrobię ci loda.

Przeszli przez ulicę i zagłębili się w parku. Andrew rozpiął rozporek, gdy Lydia chowała się pod krzakiem. Po chwili pociągnęła go w dół, a on osunął się na kolana.

Czy taka scena znalazłaby się na filmie? Białe światło nie istniało. Głową Andrew zawładnęła Lydia. Spali ze sobą jeszcze kilka razy, potem skończył się semestr i zamieszkał z Elizabeth. Było po wszystkim. Lydia zarzekała się, że wcale nie z jego powodu opuszcza szkołę, twierdziła, że nie jest w stanie jej ścierpieć, a on w żadnym razie nie jest dla niej ważny, ale o tym nie był do końca przekonany. Tamtego lata pomógł jej załadować rzeczy do żółto-białej ciężarówki wynajmowanej do samodzielnych przeprowadzek. Wskoczyła na fotel kierowcy, potrząsnęła głową i spojrzała na niego tak samo jak tysiąc lat później w restauracji Veselka, gdy Harry był już na świecie. Spojrzała na niego tak, jakby chciała powiedzieć, że jest głupcem, że dokonał niewłaściwego wyboru i że ona o tym wie. Dla Andrew wcale nie było to tak oczywiste – dla niego nic nie było oczywiste. W życiu pragnął jednego: żeby choć coś było dla niego oczywiste, tak jak wszystko i zawsze było oczywiste dla Lydii. Chciała mieć go dla siebie, a ponieważ nie dostała tego, czego chciała, odeszła. Ilekroć Lydia śpiewała tę piosenkę, tę przekłętą, doskonałą i piękną piosenkę, Andrew słyszał tylko ją. Była spokojna, odeszła daleko, a on pozostał z jej głosem i słowami Elizabeth. Andrew był pewien, że słyszy dokładnie to, co Lydia chciała mu przekazać. W swoim życiu z tego powodu miał największe poczucie winy, a kiedy Lydia umarła, przede wszystkim odetchnął z ulgą. Nikt oprócz niego nie znał jego tajemnicy, a po jej śmierci nigdy nie będzie zmuszony wyznać prawdy Elizabeth. Uczucie ulgi było drugim powodem wyrzutów sumienia. Nosił ze sobą kanapkę

z dwóch kromek poczucia winy z Lydią pomiędzy nimi.

Andrew poczuł dotyk rąk Salome, która głaskała go po włosach, i usłyszał, jak przykucnęła za jego plecami. Kciukami dotknęła jego ramion, pomogła mu się wygodnie ułożyć na podłodze i kolistymi ruchami masowała mu czoło. Jej ręce pachniały lawendą. Andrew wdychał ten zapach i wraz z wydechem wypuszczał z siebie tyle Lydii, ile zdołał. Ale jej nigdy nie ubywało. Przykleiła się do niego w środku, przylgnęła do niego wewnątrz cienką powłoką pożądania i żalu jak smoła. Białego światła wciąż było za mało, ale oddychał z nadzieją na zmianę.

Rozdział 49

Teraz, kiedy nastąpiła przerwa w pracy nie wiadomo na jak długo, Ruby miała więcej czasu i mogła wejść w rolę tajnej informatorki Elizabeth. Zapowiadało się ciekawie. Mogła udawać Harriet szpiega, ale najważniejsze, że miała jakieś zajęcie. Postanowiła najpierw wybrać się na zajęcia jogi, chociaż zadanie to według Ruby miało raczej marginalne znaczenie w misjach szpiegowskich. Witryna internetowa EWOLUtorium wyglądała prymitywnie – kilka zdjęć ładnych dziewcząt z zamkniętymi oczami, uśmiechających się tak, jakby ktoś językiem dotykał im łechtaczki – ale na werandzie, w przezroczystej plastikowej skrzyneczce, wisiały harmonogramy zajęć, wypisane na różowych kartkach. Ruby związała włosy w kucyk i z szafy w przedpokoju pożyczyła sobie matę Zoe.

„Rozejrzyj się tylko, jak tam jest”, poprosiła Elizabeth. „Spróbuj się zorientować, czy w tym studio dzieje się coś dziwnego. Pogadaj z ludźmi”.

Ruby miała taki zamiar.

Jednorazowe wejście na zajęcia kosztowało piętnaście dolarów. Ruby zapłaciła gotówką i imieniem i nazwiskiem Jennifer Lopez podpisała się pod oświadczeniem o rezygnacji z roszczeń, ponieważ uznała to za dość zabawne i mieszczące się w granicach realnych możliwości. „Możesz mówić do mnie Jen”, zamierzała powiedzieć osobie prowadzącej zajęcia, zanim udzieli długiego wyjaśnienia na temat swoich osiągnięć w gimnastyce uprawianej w dzieciństwie i o przykurczonych ścięgnach.

Wstępnie przygotowane przemówienia okazały się zbędne. W EWOLUtorium – inaczej niż w tych studiach, które raczej świeciły pustkami w ciągu dnia – było pełno ludzi, a instruktorka prowadząca ćwiczenia nawet się nie przedstawiła. Była smukłą blondynką. Krążyła po wąskich przejściach na drewnianej podłodze pomiędzy matami, dotykając po drodze każdego uczestnika zajęć. Ruby rozłożyła matę w pierwszym rzędzie – musiała dać się poznać jako pilna uczennica, jeśli miała zdobyć informacje wywiadowcze – i głośno wypowiadała OM za instruktorką.

– Witaj w EWOLUtorium – powiedziała dziewczyna. – Mój duch cię widzi.

– Mój duch cię widzi – powtórzyli chórem wszyscy uczestnicy zajęć.

– Zróbmy to! – powiedziała blondynka. Odwróciła się i wyjęła iPhone'a, nacisnęła klawisz i niemal w tej samej chwili salę wypełniła muzyka Afrobeat. – Chciałabym zobaczyć wasze piękne ciała w ruuuchu!

Jeżeli Andrew rzeczywiście narobił sobie problemów, to z całą pewnością nie z tą idiotką. Ruby przyjęła pozycję psa z głową do góry tyle razy, na ile wystarczyło jej sił, zanim opadła na matę i czekała na koniec zajęć.

Wszyscy zwijali swoje maty, a Ruby w tym czasie niedbale podeszła do instruktorki, która z wysokiej szklanki piła zielony napój z pianką.

– Dobre zajęcia – pochwaliła Ruby. – Wczoraj przebiegłam prawie dziesięć kilometrów i moje ciało domagało się relaksu. Naprawdę dobre zajęcia.

– Dziękuję bardzo. – Dziewczyna uniosła kciuki do wysokości czoła i lekko się

skłoniła. – Mój duch mi podpowiedział, że twojemu duchowi potrzebny jest odpoczynek. Właśnie to jest najważniejsze, naprawdę. Tego na samym początku uczą na szkoleniach dla trenerów – że trzeba słuchać wyłącznie głosu własnego ciała i nie zajmować się tym, co się dzieje na sali. – Położyła dłoń na ramieniu Ruby. – Dzisiaj ty jesteś moim najlepszym nauczycielem.

– Czuję dokładnie to samo – odwzajemniła się Ruby i dotknęła kciukami do czoła. – *Namaste*. Rozejrzała się po sali, w której się przerzedziło, chociaż zostało kilka osób wyraźnie dobrze wyćwiczonych. Przechadzały się niespiesznie, masowały sobie nawzajem plecy i pomrukiwały z zadowoleniem. Skojarzyły się jej z Dustem i chłopcami z przykościelnych schodów, tylko że te tutaj miały zdrowszą skórę i mniej zanieczyszczoną wątrobę. – Świetne miejsce – dodała. – Dużo masz tu zajęć?

– Och, my wszyscy jesteśmy tu instruktorami – odpowiedziała kobieta i pochyliła się do Ruby. – Wiesz, wydaje mi się, że byłabyś naprawdę interesującą osobą w naszym zespole. Jestem Lena. Jak chcesz, to cię oprowadzę. Może masz ochotę na odrobinę kombuczy? Sami ją tu robimy. Jest wyjątkowa. Próbowалаś kiedyś? Smakuje trochę jak mrożona herbata, tylko z prądem.

– Jasne, baaardzo dobry pomysł – ucieszyła się Ruby, starając się nie zwracać uwagi na ból mięśni ud, który dokuczał jej przy wchodzeniu po schodach.

Rozdział 50

Doktor Amelia miała pięknie opalone stopy – chociaż opalenizna nie pokrywała wyraźnie jaśniejszych i krzyżujących się linii na skórze, powstałych w miejscach zasłoniętych paskami sandałów – które wyglądały, jakby siedziała w smugach cienia z weneckich żaluzji. Zoe pomyślała, że ktoś powinien był powiedzieć doktor Amelii, że należy całe ciało smarować filtrem trzydziestką, a nie tylko twarz i ramiona, ale uznała, że niezręcznie byłoby lekarzowi udzielać porad medycznych, więc siedziała w milczeniu.

Wiele spraw Zoe wolała przemilczeć – wiedziała, że Ruby i Harry figlowali za każdym razem, kiedy się im wydawało, że Zoe i Jane śpią, ale mniejsza o to. Zoe i Jane też figlowały, tylko podczas nieobecności Ruby, tak jak wtedy, gdy ich córka była dzieckiem, i uprawiały seks, gdy drzemała, ponieważ były na to zbyt zmęczone i zapracowane, gdy ułożyły ją do snu na noc. Nie chciała powiedzieć Elizabeth o Jane, chociaż ukrywanie przed nią tych wiadomości wydawało się śmieszne, bo przecież Jane była jej żoną, a Elizabeth przyjaciółką. Obawiała się jednak, że Elizabeth poczuje się rozczarowana, jeżeli Zoe i Jane pozostaną w związku. Najwyraźniej przed nią stchórzyła.

Doktor Amelia lubiła siedzieć ze skrzyżowanymi nogami na swoim obrotowym fotelu biurowym.

– Co u was słyhać, dziewczyny? – zapytała. – Chyba miałyście udane lato.

– Niedawno wybuchł pożar w naszej restauracji – powiedziała Jane. – W głównej sali.

– A Ruby wciąż nie dostała się do college’u – dodała Zoe. – Wszystko wskazuje na to, że ona w ogóle nie wybiera się do college’u – sprostowała.

– I zabrali ją na komisariat za seks w Prospect Park – uzupełniła Jane.

– Rozumiem – powiedziała doktor Amelia i zapisała coś w notatniku. – A wy obie się dogadujecie? Wydaje się, że spadło na was sporo dodatkowych zmartwień.

– Tak – odpowiedziała Zoe. Spojrzała na Jane, która siedziała po jej lewej stronie.

Jane nie znosiła terapii. Jej matka była terapeutką i przyjmowała pacjentów w swoim domowym gabinecie w Massapequa. Psuła im wszystkie popołudnia, ponieważ Jane i jej rodzeństwu nie wolno było oglądać telewizji, bo salon przylegał do gabinetu matki i był z nim połączony drzwiami francuskimi. Ale teraz Jane wyglądała na zadowoloną z wizyty, nawet się uśmiechała bez konkretnego powodu.

– Rozmawiałyście o kłopotach, które miałyście do tej pory? Doskonale, że doszłyście do porozumienia, oczywiście, ale chcę mieć pewność, że nie mamy tu do czynienia ze zmiennością nastrojów, dlatego pytam, czy rozmawiałyście o sprawach, które głównie przyczyniły się do waszych problemów?

Jane milczała.

– Prawdę mówiąc, właściwie nie było kiedy – odpowiedziała Zoe. I rzeczywiście nie miały czasu – po pożarze trzeba było załatwić mnóstwo spraw, przygotowywać posiłki, miały zaległe odcinki serialu *Układ* z dwóch sezonów, więc oglądały je na portalu wypożyczalni Netflix. Zoe codziennie myślała o przeprowadzeniu takiej rozmowy, ale też codziennie dochodziła do wniosku, że to niej jest dobry pomysł.

– Byłyśmy bardzo zajęte – dodała Jane. – Ponadto, zresztą sama nie wiem, wydaje mi się, że taka rozmowa byłaby zbyt ryzykowna. Dla mnie to próba rozkołysania łodzi. Czy wyraziłam się jasno?

– Tak, wiem, o co ci chodzi – potwierdziła doktor Amelia. – Boisz się spłoszyć tubylców. Nie chcesz zmacić wody. Wolisz nie drażnić niedźwiedzia. – Postukała się w brodę nasadką wiecznego pióra.

– No właśnie. – Jane położyła dłonie na kolanach. – Coś w tym stylu.

– Rozumiem – powiedziała doktor Amelia. – Wobec tego spróbujmy to zrobić teraz. Jesteście w bezpiecznym miejscu. Pamiętajcie, że wszystkie uczucia są ważne. Zoe, możesz zacząć?

– Niech już będzie – zgodziła się Zoe. Skrzyżowała nogi, przechyliła je na jedną stronę i zaraz przełożyła na drugą. Włosy zsunęły się jej na oczy, więc schowała je za uszy. – Czuję, że sprawy układają się naprawdę dobrze, ale trochę się obawiam, że Jane się boi zostać sama i dlatego ostatnio interesuje się mną bardziej niż normalnie. Boję się, że wkrótce znów straci zainteresowanie i będziemy na powrót w tym samym miejscu, w którym byłyśmy niedawno. – Zoe zasłoniła oczy.

– Nie dobijaj mnie – rzuciła Jane i dodała: – Nie mam zamiaru. Masz rację. Nie chcę zostać sama, ale dlatego, że cię kocham. Wcale nie chodzi o to, że muszę mieć kogoś przy sobie. Zależy mi tylko na tobie. – Przewróciła oczami. – Czy naprawdę musimy te sprawy roztrząsać tutaj? – Odchrząknęła. – Moim zdaniem powinniśmy porozmawiać o Elizabeth.

– Chyba żartujesz! – Zoe była naprawdę zaskoczona.

– Nie mówię o erotyce, Zo. Mam tylko wrażenie, że między wami dzieje się coś dziwnego. Czy to coś się liczy, doktor Amelio, nawet jak... No nawet jeżeli się tych rzeczy nie robi?

– Oczywiście – przyznała doktor Amelia. – Istnieją różne formy zdrady: fizyczna, emocjonalna, duchowa. Co konkretnie twoim zdaniem się dzieje, Jane?

– Wiele lat temu kłóciłyśmy się z tego powodu. Rzecz w tym, że Zoe ma oprócz mnie kogoś innego, do kogo chodzi, kiedy jest zdenerwowana albo szczęśliwa, albo z innymi sprawami. Wiem, że teraz to nie ma takiego dużego znaczenia jak kiedyś, ale w dalszym ciągu uważam, że psuje relacje między nami. Z jakiejś przyczyny ludzie nie mieszkają blisko swoich rodziców, rozumiesz, albo obok najlepszych przyjaciół. Może to dziwne. Ludzie potrzebują przestrzeni. W każdym razie ja muszę mieć jej więcej.

Zoe ściągnęła usta. Przestrzeń była jej domeną.

– Co? – powiedziała Jane. – Naprawdę ci się wydaje, że ja żyję w oderwaniu od rzeczywistości?

Doktor Amelia czekała z niecierpliwością na rozwój zdarzeń, przebierając palcami od nóg.

– Według mnie to absurd – skwitowała Zoe, ale starała się uspokoić i zastanowić nad tym, co robiła albo czego nie robiła. Poczowała, że wzbiera w niej gniew i niewiele jej brakuje do kłótni. Zapewne podobnie czują się matadorzy przed wejściem na arenę. Im więcej o tym myślała, tym bardziej nabierała przekonania, że Jane ma wiele wspólnego z hiszpańskim bykiem – jest rozjuszona i nieustępliwa, ostra i ma skłonności do

parskania. Zoe zdawała sobie sprawę, że winna jest nie tylko Jane, bez względu na to, co się z nimi stało. Może i Jane miała rację. Taka myśl przychodziła Zoe do głowy za każdym razem, gdy w różnych sprawach udawała się do Elizabeth zamiast do swojej żony. W ostatnim czasie nie zdarzało jej się to tak często, naprawdę, chyba że chciała porozmawiać o domu, ale wiele lat temu ciągle. Na początku związku z Jane Zoe i Elizabeth były nierozłączne i Zoe prawie każdą rozmowę rozpoczynała od zdania: „No, właśnie powiedziałam Elizabeth”, albo „Elizabeth mi mówiła...”, co oczywiście było uciążliwe i irytujące. Zastanawiała się, jak sama by się czuła, gdyby Jane miała taką bliską osobę, powierniczkę, którą naprawdę by kochała, i gdyby ta osoba mieszkała tuż obok. Nie były już w college’u, nie były jak Jerry Seinfeld i jego przyjaciele stanu wolnego, którzy o dowolnej porze wpadali z wizytą bez uprzedzenia i bez specjalnego powodu. Były dojrzałymi osobami, z rodzinami, podatkami i kredytami hipotecznymi. Zoe ze zgrozą zaczynała nabierać przekonania, że jej żona może mieć rację. Poszczególne zarzuty nie miały żadnego uzasadnienia, ale Jane słusznie zwróciła uwagę, że Elizabeth zawsze jest na zawołanie, wciąż krąży w pobliżu, nadgorliwie odpowiada na telefony.

– Uważam, że powinniśmy zaplanować jeszcze kilka spotkań – powiedziała w końcu.

Doktor Amelia skinęła głową i znów zapisała coś w notatniku.

Rozdział 51

Dave umiał surfować – pochodził z południowej Kalifornii, tak jak przypuszczał Andrew – a Andrew zgodził się spróbować. Znajomy Dave’a prowadził wypożyczalnię desek surfingowych i kombinezonów kilka przecznic od miejsca, w którym miał powstać hotel, wystarczyło zatem nie więcej niż piętnaście minut i wszystko, czego potrzebowali, było do ich dyspozycji. Dave stwierdził, że najlepiej się sprawdzi dziewięciostopowa, miękka deska piankowa, a Andrew pokiwał głową, jakby wiedział, o co chodzi.

– Ani się obejrzysz, a staniesz na nogach, przyjacielu – powiedział Dave.

Andrew odbył jedną lekcję surfingu podczas miodowego miesiąca, który spędzali z Elizabeth na Hawajach. Wtedy prawie nic innego nie robili, tylko czytali książki na plaży, a w przerwach całowali się i obracali obrączki na palcach. W tamtym czasie Andrew czuł się bardziej niż szczęśliwy – był zachwycony, że Elizabeth, taka łagodna i dobra, wybrała jego, który był kawałkiem węgla. Od samego początku czuł, że na nią nie zasługuje, ale postanowił spróbować. Swój miesiąc miodowy spędzili więc na kochaniu się i opalaniu do poparzenia skóry, i na spacerach donikąd, podczas których trzymali się za ręce. Może powinni tam wrócić – Harry mógłby zostać w domu. Jest już prawie dorosły. Andrew wciąż był rozgniewany z powodu filmu, ale gdyby zajrzał głębiej w siebie, to potrafiłby zrozumieć, jaki cel przyświecał Elizabeth.

Oni – EWOLUtorium, Andrew, Dave, Fale, dopiero się okaże, jaką nazwę otrzyma nowe centrum – złożyli ofertę dotyczącą hotelu. Trzeba było przeprowadzić szczegółowe rozpoznanie warunków zagospodarowania przestrzennego, które potrwa kilka miesięcy. Tą sprawą zajmowali się Dave i Phillip. Pierwszy czek został wystawiony i środki trafiły na rachunek agencji nieruchomości, wraz z pewną dodatkową kwotą od inwestorów. Tam będą zdeponowane do podpisania kontraktu. W tym czasie Andrew wystawił drugi czek na kolejne pięćdziesiąt tysięcy dolarów, tym razem na Dave’a. EWOLUtorium szybko się rozwijało i niezbędne były pieniądze na wynagrodzenia dla instruktorów, wyposażenie, skrzynki z butelkami na kombucę, zgrzewki plastikowych kubków na soki i na pokrycie kosztów dalszych udoskonaleń w domu. Wszystkie pieniądze Dave’a miały pójść na remont hotelu. Prosił o dofinansowanie z takim zakłopotaniem, jakby się obawiał, że Andrew odmówi, gdy tymczasem EWOLUtorium było najbardziej przejrzystym i najmniej skomplikowanym przedsięwzięciem Dave’a.

Razem powiosłowali w głąb oceanu. Andrew szybko przypomniał sobie uczucie sprzed wielu lat, uśpione mięśnie klatki piersiowej i ramion skrzypiąc, powoli budziły się do życia. Trudno mu było utrzymać deskę płasko pod sobą. Czuł się jak Wańka-wstańka, tylko bez ciężarka w podstawie. Pokonali przybój i wtedy Dave udzielił Andrew kilku wskazówek – nie wskakiwać na deskę i nie próbować od razu stanąć na nogach, tylko wciągnąć je i starać się umieścić stopy we właściwym położeniu. Ten sposób wydawał się łatwiejszy, ale tylko pozornie, bo w praktyce okazało się zupełnie inaczej. Wskakiwanie było techniką dla takich jak Dave, który miał na brzuchu kaloryfer z mięśni, a wszystkie części jego ciała pracowały synchronicznie i każdy ich ruch prowadził do osiągnięcia precyzyjnie określonego celu.

– Instrukcje nie są takie ważne – tłumaczył Dave. – Musisz kierować się uczuciem, rozumiesz? Fala, aura. Na tym polega surfing. Ocean sam ci podpowiada, kiedy masz swój czas, a wtedy ruszasz.

– Jasne – powiedział Andrew.

Nieopodal nich trwały zajęcia szkoły surfingowej. Trzy dziewczyny w podobnych dwuczęściowych, mokrych kostiumach śmiały się głośno, kiedy co chwilę spadały z desek do płytkiej wody. Wtem zaczęła się tworzyć duża fala. Dave skinął na Andrew, mrużąc oczy.

– Ta jest moja! – krzyknął i zaczął wiosłować. W oka mgnieniu stanął na desce. Balansował ciałem, na plecach zarysowały mu się wszystkie naprężone mięśnie.

Andrew leżał na desce na brzuchu, kołysząc się na falach. W tym roku sierpień nastał bardzo szybko. Miasto opustoszało, ale na plażę tłumnie wylegli plażowicze, młodzi i starzy. Andrew żałował, że częściej nie zabierał Harry'ego nad ocean, kiedy jego syn był małym chłopcem – owszem, chodzili na plażę, ale rzadko, może raz albo dwa razy w czasie całego lata, nie więcej. Uznał to za wielką niesprawiedliwość, wielki błąd, który popełnił. Dzieci bawiły się na piasku, kopały dołki, budowały zamki, posługując się plastikowymi wiaderkami. Harry był jak Elizabeth – bardziej zainteresowany zajęciami domowymi, a Andrew uważał, że to on ponosi winę, ponieważ nie interweniował. Nigdy nie wyjeżdżali na kemping bez samochodu. Ani razu nie jechali kamperem. Nigdy nie wybrali się na zjazd tyrolski ani nie palili ogniska. Andrew zbierało się na płacz, gdy tak myślał o tym, czego pozbawił syna, tylko dlatego, że nawet nie przyszło mu do głowy, żeby mu te atrakcje zorganizować. Daleko przed sobą zobaczył Dave'a, który z łatwością wylądował na piasku. Woda była płytka i Dave, zanim dotarł do plaży, szorował po dnie, jakby sunął na gigantycznej deskorolce, którą jego deska surfingowa w pewnym sensie była. Bardzo łatwe wydawało się to surfowanie. Dave miał prawdopodobnie trzydzieści pięć lat. Andrew się zastanawiał, czy jego znajomy był kiedykolwiek żonaty, czy ma dzieci. Z pewnością wspomniałby o dziecku, chyba że znajdował się w wyjątkowo trudnej sytuacji i nie utrzymywał z rodziną kontaktów, ale tego Andrew nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Dave wyglądał na kawalera, w dobrym tego słowa znaczeniu, nieobciążonego żadnymi obowiązkami.

Andrew poczuł pod sobą większą falę, podniósł się, znów usiadł okrakiem na desce, nogi spuścił do wody. Dave pomachał do niego z plaży i coś krzyknął, ale Andrew nie usłyszał. Odwrócił się, żeby zobaczyć, jaka fala nadchodzi – surfing trochę przypominał wędkowanie na jeziorze: czekanie i obserwacja, tylko z większym prawdopodobieństwem utonięcia. Nadchodziła fala i Andrew zdecydował się wiosłować. Rzucił się na brzuch, ale zbyt energicznie i poczuł na skórze piekący ból. Nie miał jednak czasu na myślenie o nim – wiosłował z uniesioną głową i klatką piersiową podobnie jak na zajęciach jogi, aż wyraźnie poczuł, że fala się pod nim wypiętrza. Deska zaczęła się zachowywać tak, jak się należało spodziewać, utrzymywała go na łamiącej się fali. W sekundę Andrew zrobił to, co zamierzał – podciągnął nogi, postawił stopy na pokładzie i nisko kucnął, a następnie uniósł się, żeby wstać, i prawie mu się udało. Kolana miał ugięte, ręce rozłożone. Czuł się jak Philippe Petit podczas spaceru na linie rozciągniętej pomiędzy wieżami World Trade Center. Andrew chciał poszukać wzrokiem Dave'a,

unieść kciuk lub do niego pomachać, ale wiedział, że jeśli się będzie rozglądał, to spadnie z deski. Po chwili i tak stracił równowagę. Zsuwając się do wody po lewej stronie deski, spojrział w kierunku plaży. Wydawało mu się, że zobaczył Harry'ego i Ruby stojących obok Dave'a, jej nastroszone, kręcone włosy zwinięte w kok na czubku głowy. Wtedy znalazł się pod wodą, trochę się pokotłował w atlantyckiej pralce i wypłynął na powierzchnię. Znowu spojrział w tamtym kierunku, ale ich już nie było. Złapał deskę i po drodze do plaży popychał ją przed sobą nogą.

– Doskonale ci poszło – pochwalił Dave, podając rękę Andrew. – Następnym razem będzie jeszcze lepiej.

– Wydawało mi się, że widziałem tu gdzieś mojego syna – powiedział Andrew i się rozejrzał. Wokół było mnóstwo młodych ludzi, leżących na piasku pod tandetnymi parasolami, czytających plotkarskie czasopisma z supermarketu, ale Harry'ego wśród nich nie dostrzegł. – Mógłbym przysiąc, że stał obok ciebie.

– Pewnie złudzenie, coś w rodzaju wizji – powiedział Dave, kiwając głową. – Dziwne.

– Nie, to znaczy, on stał tam, dokładnie w tamtym miejscu! – Andrew wskazał tak, jakby na piasku była mapa.

– Rozumiem – powiedział Dave. Miał zaciśnięte wargi i wzrok bez wyrazu.

Czyli wiadomo, on nie ma dzieci, Andrew od razu się zorientował. Dave patrzył znowu na wodę. Jego deska, wbita pionowo w piasek, wznosiła się ku bezchmurnemu niebu.

– Chcesz spróbować jeszcze raz?

– Oczywiście – podchwycił Andrew. Ponownie się rozejrzał, licząc, że zauważy gdzieś Ruby, którą łatwo pozna po fryzurze, ale nigdzie nie było widać ani jej, ani Harry'ego. Ta dziewczyna tylko sprawia kłopoty, tak jak jej matka. Andrew miał dość udawania, że one mu nie przeszkadzają. – Chodźmy – ponaglił i rzucił deskę na wodę, zapominając, że wciąż jest przywiązana do jego nogi. Potknął się, przewrócił i wpadł do morskiej piany.

– Wspaniale – powiedział Dave. – Zaczynasz chwytać, o co w tym chodzi.

Andrew czuł się zakłopotany, ale nie dawał tego po sobie poznać.

– Idziemy, nie ma co zwlekać.

Rozdział 52

Elizabeth siedziała na werandzie i okropnie się pociła. Umówiła się na popołudniowe spotkanie z klientami z Carroll Gardens, którzy interesowali się domem w tej dzielnicy – mieli trzyletnią córeczkę, a drugie dziecko było w drodze. Dom Zoe idealnie odpowiadał ich potrzebom, właśnie takiego szukali – wystarczająco duży dla wszystkich członków ich rodziny, a jednocześnie na tyle zaniedbany, że mogli sobie na niego pozwolić. Deirdre miała w swojej ofercie inny dom, na Ditmas Avenue, ale Elizabeth wiedziała, że temu małżeństwu zależy na zamieszkaniu bliżej parku. Odległość kilku przecznic robiła sporą różnicę, czasami – nie tak rzadko – zdarzali się klienci, którzy dokładnie określali granice, w obrębie których szukali miejsca dla siebie, na przykład liczyła się lokalizacja szkoły, ale też w grę wchodziły osobiste upodobania. Gdyby Elizabeth miała się kiedykolwiek przeprowadzać, wybrałaby mieszkanie na Commerce Street albo na Grove Street, albo na Bedford w West Village, wśród plataniny małych uliczek. Nie dlatego o tym myślała, że w ogóle chciała się przenieść – takie rozważania od czasu do czasu snuła tylko teoretycznie, bo w swojej pracy codziennie obserwowała życie innych ludzi i siłą rzeczy porównywała je do swego. W rzeczywistości wcale nie chciała sprzedać domu Zoe, bo wiązałoby się to z utratą przyjaciółki z bliskiego sąsiedztwa, a gdyby nie były sąsiadkami, to jak wyglądałyby ich relacje? Czy pisałyby regularnie wiadomości, żeby w ostatniej chwili umówić się na kolację? Ostatnio Zoe niezbyt chętnie odpowiadała na esemesy – ale przecież sporo się u nich wydarzyło: i pożar, i inne sprawy. Czasami usprawiedliwienia wcale nie są usprawiedliwieniami. Gdyby Zoe się stąd wyprowadziła, to czy siadałyby na werandzie u jednej albo u drugiej i piły wino? Jak często Zoe wsiadałaby do metra po to, żeby się z nią spotkać? Elizabeth nie chciała się znaleźć w sytuacji, w której musiałaby się tego dowiedzieć.

Siedziała na werandzie, ponieważ Zoe jej unikała – nie odpowiadała na wiadomości mailowe ani esemesy, jakby Elizabeth nie wiedziała, że Zoe je wszystkie odczytała. Zdarzało się, że tęskniła za dawnymi czasami, kiedy nie miało się pojęcia, czy ktoś odsłuchał wiadomość albo że dzwonił sześć razy w ciągu dnia. Elizabeth nie chciała się naprzykrzać, ale naprawdę musiała porozmawiać z Zoe. Obiecała klientom, że zapyta, jakie jest prawdopodobieństwo, że dom zostanie wystawiony na sprzedaż, ale przede wszystkim chciała się dowiedzieć, co z Jane. Oczywiście obie sprawy są ze sobą powiązane i chodzi o ten sam temat, którego Zoe wyraźnie starała się unikać. Ale Elizabeth, jako jej sąsiadka i zarazem przyjaciółka, dobrze wiedziała, kiedy Zoe wychodzi z Bingiem na późny, poranny spacer i na pewno nie uchybiała żadnemu protokołowi, siedząc na własnej werandzie w tym samym czasie. Nie miała co do tego wątpliwości.

Najpierw zobaczyła Binga, który zadowolony, dreptał z otwartym pyskiem, ciągnąc za sobą smycz po chodniku. Psy to cudownie nieskomplikowane stworzenia – jedzenie i zabawa, spanie i miłość, niczego więcej nie potrzebują. Ludzie na ich tle wypadają o wiele gorzej. Zoe podążała kilka metrów za Bingiem i patrzyła w telefon.

– Hej – przywitała ją Elizabeth, schodząc po schodach.

– O, cześć! Miałam właśnie do ciebie zadzwonić – powiedziała Zoe i schowała

telefon do tylnej kieszeni. – Czekaj, Bing. – Schyliła się i wzięła do ręki smycz.

– Wszystko w porządku? – zapytała Elizabeth, mrużąc oczy i zasłaniając je dłońmi.

– Chodzi mi o nas. Zrobiłam coś nie tak?

– Co? Ależ nie! Co miałybyś zrobić? – Zoe patrzyła w ziemię.

– No właśnie nie wiem – odpowiedziała Elizabeth. – Dlatego cię pytam.

– Nie – zaprzeczyła Zoe. – Naprawdę. Wszystko jest dobrze! Ostatnio po prostu było nerwowo, w związku z pożarem, rozumiesz.

– Oczywiście, rozumiem – odparła Elizabeth, opuszczając ręce. – Wydawało mi się, że nie jest normalnie. No i przez jakiś czas nie rozmawialiśmy o domu, a potem tamtego dnia, przy naleśnikach, zauważyłam, że ty i Jane chyba...

– Co takiego? Ona jest moją żoną, jeżeli pamiętasz – powiedziała Zoe, a w jej głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

– Jasne! Ależ oczywiście! Pomyślałam, że między wami różnie się układało, a my już wcześniej rozmawialiśmy o domu, więc przyszło mi na myśl, że może u was nastąpił przewrót ...

– Przewrót? Sugerujesz, że ja i moja żona chyłkiem wracamy do siebie, poza zasięgiem twoich chciwych rączek? Boże, Lizzy! – Zoe pokręciła głową. – Może i ona miała rację! Czy to nie szaleństwo? Nie wiem! Ty chyba naprawdę bardziej troszczysz się o swoją prowizję niż o naszą przyjaźń, jeśli mam być szczerą.

– Nic podobnego! – obruszyła się Elizabeth. – Co też ci przyszło do głowy! Nie o to mi chodziło. Przysięgamy! – Wszystko szło nie tak. Elizabeth chciała powiedzieć Zoe, że obawia się jej przeprowadzki, że z niepokojem myśli o tym, że też będzie się chciała przenieść i zamieszkać w pobliżu Zoe, żeby jej nie stracić i żeby mogły się przyjaźnić przez kolejne dwadzieścia lat, a potem jeszcze przez dwadzieścia, i że jest jej smutno, że Zoe i Jane chcą się rozejść, i że ogarnia ją żal z powodu własnego małżeństwa, że Ruby i Harry robią się coraz starsi i już nie można nazywać ich dziećmi, i co będzie dalej, jak się o nich będzie mówić? Ale jej usta odmawiały posłuszeństwa i nic z tego się z nich nie wydostało. – Naprawdę nie o to – zapewniała. – Możesz mi wierzyć.

– Porozmawiamy na ten temat innym razem, dobrze? – Zoe wskazała na Binga, który oddawał mocz na chodnik.

– W porządku – zgodziła się Elizabeth. – Nie miałam na myśli nic złego, no i oczywiście, powtarzam, oczywiście chcę, żebyś była szczęśliwa. I nie próbuję wyrwać ci domu i go sprzedać, chcę tylko wiedzieć, co się dzieje. Jeśli mówisz, że włączamy hamulce, ja je włączam, dobrze?

– Dobrze – przytaknęła Zoe. Na jej twarzy pojawił się smutek. – Wiesz, nic się ostatnio nie układa, chwilę jest dobrze, a zaraz potem źle, a ja naprawdę nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Przepraszam. – Pochyliła się i pocałowała Elizabeth w policzek. – Zadzwoń do ciebie.

– Doskonale – ucieszyła się Elizabeth. – Odezwij się koniecznie.

Jej klienci mogą się wprowadzić do mieszkania z oferty Deirdre. Elizabeth nie ma nic przeciwko temu. Ma natomiast nadzieję, że Jane i Zoe dojdą do jakiegoś porozumienia. One nie były jak te pary, które Elizabeth знаła i zdecydowanie uważała, że powinny się rozwieść, bo ciągle się kłóciły w miejscach publicznych. O sobie i Andrew

myślała, że znajdują się mniej więcej w punkcie równowagi. Nie byli gruchającymi gołąbkami jak rodzice Zoe ani nawet jak Deirdre i Sean, małżonkowie, którzy dla przyjemności głaskali się wzajemnie po plecach, bez proszenia czy marudzenia, że koniecznie jest im potrzebny masaż. Większość par, które znała, znajdowała się w strefie umiarkowanej. Swoje relacje wypracowywali w pocie czoła. Nie rozwiedziemy się! Taką się kierowali wspólną dewizą. Był to jedyny sposób na długoletnie małżeństwo, jedyny sposób na naprawdę trwałą rodzinę. Po co komu szczęście, jeżeli jest stabilność? Czy nie taka koncepcja leży u podstaw metody znanej pod nazwą ferberowania dziecka? Kilka nieprzespanych nocy spędzonych na wyczekiwaniu, aż się wypłacze, przynosi efekty w postaci większej ilości snu dla wszystkich. Elizabeth spojrzała na swoją rękę i uświadomiła sobie, że zaciska pięść tak mocno, że aż na dłoni ma głębokie ślady po paznokciach.

Ludzi dzielią się na pozostawiających i pozostawianych. Zoe należała do pierwszych. Pociąg do Kitty zaczął podupadać po odejściu Lydii, chociaż pozornie wszystko układało się normalnie. Lydia była w zespole najslabszym ogniwem, a dziewczyna Zoe miała wtedy kolegę w konserwatorium, który grał na perkusji, więc perkusista łatwo się znalazł na miejsce Lydii. Jedyny problem polegał na tym, że był on znacznie lepszym muzykiem niż pozostali członkowie zespołu. Okazało się więc, że ich piosenki brzmią marnie, po amatorsku. Mimo to grali na imprezach i występowali na koncertach przez cały kolejny rok, nawet po ukończeniu studiów, kiedy Zoe i Andrew oprócz grania nie mieli innej pracy ani żadnych zajęć. Nadszedł styczeń i Zoe ponownie stwierdziła, że ma już dość. Była zmęczona graniem dla studentów pierwszego roku, trzymających w dłoniach swoje pierwsze czerwone plastikowe kubki z piwem. Oznajmiła, że w Oberlin nie ma już dla niej nikogo interesującego. Powiedziała, że czuje się stara i żałosna, co wydawało się tym bardziej nedorzeczne, że w mieście wszyscy chodzili za nią krok w krok, jakby była Flecistą z Hameln.

Być może w tym tkwił problem – jeśli się jest najfajniejszą osobą rozpoznawaną na kilometr, to samemu nie ma się kogo podziwiać. Zoe wiedziała, że muzyka nie jest dla niej, nie należała do dzieci, które chcą iść w ślady rodziców. Zaczęła spędzać coraz więcej czasu ze swoimi profesorami z akademii sztuk pięknych, piła wino przy ich kuchennych stołach i rozmawiała o Nowym Jorku. Zbliżała się zimowa przerwa semestralna i wtedy oświadczyła, że zdecydowanie ma dosyć. Powiedziała, że zobaczą, co będzie z zespołem na wiosnę, kiedy Elizabeth i Andrew skończą szkołę. Robią sobie przerwę – tak opowiadali wszystkim znajomym. Ale uczelnianemu zespołowi przerwa nie mogła wyjść na dobre. Najbardziej zasmucona była Elizabeth, ponieważ wiedziała, że prawdopodobnie nigdy już nie będzie grać w zespole, w prawdziwym zespole. College był miejscem, w którym rodziły się nadzieje, w którym można było postanowić, że coś się zrobi, i po prostu to się robiło. Było wiadomo, że nikt nikomu nie powie, że nie jest wystarczająco dobry czy niewystarczająco utalentowany. Elizabeth miała silne poczucie pewności siebie, ale też zdawała sobie sprawę z własnych ograniczeń.

Jakie znaczenie ma rok? Podczas studiów wydawało im się, że rok to spory kawałek czasu i że ma istotny wpływ na ich życie. Zoe była starsza i mądrzejsza, i w taki sposób traktowała ją Elizabeth, która czuła się, jak gdyby obie występowały w filmie *Dźwięki*

muzyki tylko bez wątku nazistowskiego, w scenie tańca w altanie: Elizabeth w roli Liesl, a Zoe – Rolfa. Później ciekawe doświadczenia przyniosło rodzicielstwo – okazało się, ile naprawdę znaczy rok, że niewiele się liczy! A rok szkolny jeszcze mniej. Wystarczy się urodzić o jeden dzień później lub wcześniej i w zależności od daty urodzenia można trafić do młodszej lub do starszej klasy. Takie decyzje zapadają arbitralnie. Elizabeth żałowała, że wcześniej sobie tego nie uświadomiła. Zoe wcale nie była od niej mądrzejsza. Rok wcale nie był takim długim okresem. Zoe po prostu nudziła się w Ohio i tak się zakończyła historia Pociągu do Kitty.

W Nowym Jorku Zoe miała oczywiście dziewczynę – nigdy nie była sama zbyt długo. Ta dziewczyna – artystka znana z chodzenia po miasteczku akademickim w Oberlin tylko w kombinezonie (i z tego powodu podziwiana) – chciała stworzyć nowy zespół, duet. Zoe się zaangażowała i przepadła. Duet nie przetrwał długo – istniał tyle, ile trwał romans, może sześć miesięcy – ale gdy Elizabeth i Andrew przyjechali do Nowego Jorku, Pociąg do Kitty był już tylko wspomnieniem, nawet nie najnowszym projektem Zoe. Niewiele liczyła się ich wcześniejsza spora popularność ani płyta. Pojawiło się tak wielu niezależnych producentów, że wszyscy wykonawcy, których Elizabeth i Andrew znali, również mogli się pochwalić wydaną płytą, plakatami koncertowymi, teledyskami, pudełkami pełnymi pamiątek. Pociąg do Kitty niczym nadzwyczajnym się nie wyróżniał. Tylko dzięki Lydii zrobiło się o nim głośno po czasie, dzięki niej wzmianka o nich pojawiła się w przypisie publikacji poświęconej historii muzyki. Każde z nich poszło więc swoją drogą i dopiero po kilku latach okazało się dziwnym trafem, że zachowali miłe wspomnienia i mieli co opowiadać swoim dzieciom. *Byliśmy fajni*. Elizabeth czasami wydawało się nawet, że to prawda, pod warunkiem że nie za wiele się zastanawiała nad szczegółami.

Rozdział 53

Do końca kursu przygotowawczego zostały jeszcze jedno zajęcia, a po nich test. Harry chciał, żeby kurs trwał wiecznie – przeprowadziłby się do studia karate, gdyby musiał, i jadłby wszystkie swoje posiłki na oczach Elizy i Thayer wciąż poruszających ustami i wpatrujących się w niego półprzytomnym wzrokiem jak przeżuwające pokarm krowy. Ruby poprawiała mu humor, pozwalając się przepytować ze słówek z kart obrazkowych. W ciągu dnia często mieli do własnej dyspozycji dom Ruby, a jeśli nawet zjawiała się w nim jedna z jej matek, to nie trzeba było długo czekać, aż znowu z niego wyjdzie. Tajemnicza prawda o rodzicach (w domach innych niż Harry’ego) była taka, że prawie zawsze mieli jakieś problemy na głowie – przyziemne sprawy, takie jak podatki, wizyty u dermatologa, obowiązki w pracy i kupno mleka. Ruby powiedziała mu, że przez trzy lata paliła papierosy w swoim pokoju, zanim jej matki się zorientowały. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można nie zauważyć czegoś, co ma związek z Ruby. Przed dwoma dniami skróciła sobie grzywkę o pięć centymetrów i była to pierwsza rzecz, która rzuciła mu się w oczy. Wyglądała jak egipska królowa – od razu jej to powiedział. „Jestem gotowa ogolić się na łyso, żeby się dowiedzieć, jaki wymyślisz komplement” – oznajmiła na to.

Miała na sobie jego znoszony T-shirt – Boże! Na niej nawet stare, poplamione koszulki Pełzaków prezentowałyby się atrakcyjnie – i elastyczną, czarną minispódniczkę. Klimatyzator w oknie jej pokoju hałasował tak bardzo, że musieli nastawić głośniejszą muzykę, więc Harry ledwie słyszał odpowiedzi Ruby, których udzielała, gdy pokazywał jej kolejne karty z obrazkami, ale odczytywał je z ruchu jej warg. Słuchali Otisa Reddinga i co pewien czas Ruby zeskakiwała z łóżka i tańczyła po pokoju.

– Bardzo zadowolony, rozradowany... Proszę cię, to łatwizna. Triumfator! – Ruby przewróciła oczami. – Znajdź jakieś trudniejsze.

– Nie możesz się skupiać tylko na trudnych. Musisz mieć pewność, że dobrze ci idzie z łatwymi. Nie można się mylić na łatwych! Na nich się zdobywa punkty!

– Harry, to jest test kwalifikacyjny, a nie gra wideo. – Ruby klasnęła w dłonie. – Jedziemy dalej.

Harry przerzucał karty. Powściągliwy. Zmierzch. Krużganek. Ruby знаła je wszystkie. Wstała i skierowała wentylator bezpośrednio na swoją twarz. Miała kilka krostek na prawym policzku i zaognioną skórę przy jednym kolczyku – założyła go sobie sama w szkolnej toalecie i skóra w miejscu przekłucia wciąż była trochę zaczerwieniona. Harry żałował, że nie może nagrać filmu z każdej sekundy, którą spędzał z Ruby, żeby mógł sobie go obejrzeć za dwadzieścia lat. Żeby mógł go jej pokazać za dwadzieścia lat. Żeby oboje mogli sobie na niego popatrzeć razem i pokazać swoim dzieciom. Chłopcu i dziewczynce. Bliźniakom, może. Czy to dziwne, że Harry wyobrażał sobie bliźniaki? Miałyby jasną skórę Ruby i balaskowate ręce i nogi jak on.

Harry sporo myślał o przyszłości.

Za niespełna rok skończy szkołę im. Whitmana – uroczystość rozdania świadectw odbywa się w czerwcu. Do tego czasu zostało tylko dziesięć miesięcy. Wyznał już Ruby

miłość i nie wyobrażał sobie, żeby w jego uczuciach miała kiedykolwiek nastąpić zmiana. Nie wyobrażał sobie żadnej zmiany, koniec i kropka. Jakie zasady mają zastosowanie do sytuacji, w której najwspanialszą osobą na świecie jest ktoś, kogo się zna przez całe życie? Czy jest w ogóle sens udawać, że szuka się partnerki gdzie indziej, tylko po to, żeby się wykazać należytą starannością przy jej wyborze? Harry'emu było obojętne, czy istnieje jeszcze ktoś, kto by się na nią nadawał. Zasadniczo uważał za absolutnie niemożliwe, żeby po tej planecie chodziła dziewczyna, którą polubiłby bardziej od Ruby. Nie słyszał większej bzdury od teorii istnienia bratniej duszy, która powtarzała się w beznadziejnych, rozmydlonych i sentymentalnych historyjkach z filmów z kanału Lifetime. Dla niego liczyła się czysta matematyka. Ktoś inny + Harry = głupota. Miał nadzieję, że tak będzie brzmiało jedno z zadań testowych.

Jeżeli dobrze wypadnie na teście kwalifikacyjnym, z łatwością dostanie się do każdej szkoły w mieście, do której będzie chciał pójść. Jeśli Ruby nie przestanie pracować w restauracji matek, będzie zarabiał pieniądze. Musieliby tylko znaleźć sobie mieszkanie. Za osiem miesięcy Harry skończy osiemnaście lat, a wtedy rodzice nie będą mogli mu zakazać spotkań z Ruby. Zresztą robi to tylko jego ojciec, więc Harry uważał, że wkrótce prawdopodobnie sobie z tą przeszkodą poradzi.

Od dawna Harry nie widział się ze swoimi znajomymi, ale niewiele sobie z tego robił. Może to normalne u zakochanych. Ruby też nie spotykała się ze swoimi koleżankami, a przecież Harry codziennie w ciągu ostatnich czterech lat widywał ją w towarzystwie Chloe i Palomy, i Aniki, i Sarah Dinnerstein, chociaż na żadną z nich, oprócz Sarah, nie natknął się przez całe lato. Tym bardziej dziwne. Wolał jednak tego tematu nie poruszać, ponieważ mogłaby nagle powstać wyrwa w tym jego magicznym, tajemniczym śnie o świecie, w którym Ruby odwzajemnia jego miłość. Ale chciał wiedzieć.

– Co robią w te wakacje twoje koleżanki? Na przykład Chloe? – Harry obgryzał paznokcie.

– Chloe jest w Paryżu, Paloma już w Dartmouth. Obie mają studiować w systemie kwartalnym, a przedtem czeka je wycieczka z biwakiem dla pierwszaków. Fuj, wolałabym umrzeć, konać powoli w bólach, niż jechać na coś takiego. – Ruby westchnęła.

– Wszyscy powyjeżdżali, oprócz mnie.

– Ja nie wyjechałem. Jestem tutaj. – Harry przerzucał karty z obrazkami i sam się sprawdzał w słownictwie.

– Wiem – powiedziała Ruby. – Ale ty się nie liczysz.

Harry spojrział na nią.

– Och, daj spokój, nie o to mi chodzi. Miałam oczywiście na myśli, że jesteś tutaj, bo jeszcze nie skończyłaś szkoły. A poza tym jesteś tu, no wiesz, od zawsze.

– Aha. Owszem, to prawda. Wolałabyś, żebyśmy był gdzie indziej?

– Jesteś moim ulubionym niewolnikiem – oświadczyła. – I tu jest jedyne miejsce, w którym chcę, żebyś był. – Wskoczyła na łóżko, uniosła nogi i zdjęła spódnicę.

– Taki masz sposób na przeprosiny – zapytał i podciągnął kolana do klatki piersiowej.

Ruby przewróciła się na brzuch i podczołgała do niego.

– Tak.

– Myślę, że mogę ten nietakt puścić w niepamięć, ale z zastrzeżeniem: tylko ten jeden raz.

Harry zamknął oczy i pozwolił Ruby wyjąć sobie z ręki karty z obrazkami. Z hałasem rozsypały się po drewnianej podłodze. Zaczęła go całować, a on wyobrażał sobie, że wszystkie słowa unoszą się w powietrzu i organizują w zdania o nich dwojgu, a te wirują i układają w wiersze miłosne. Być może wcale nie miało znaczenia, czy Ruby go kocha, bo jego miłości wystarczy dla nich dwojga.

Rozdział 54

Andrew tak rzadko bywał w domu, jakby pracował codziennie od dziewiątej rano do piątej po południu. Elizabeth zaczęła wystawać w oknie jak narzeczona marynarza. Wdowa po marynarzu? Czy tak je nazywano? W kilku domach w jej okolicy na dachu znajdowały się tarasy, zwane wdowimi, zupełnie bez sensu, gdyż rozpościerał się z nich widok tylko na dachy innych budynków, więc nawet nie warto o nim wspominać, i jak się zdaje, atrakcyjne mogły być jedynie dla włamywaczy, którzy mieliby doskonałą drogę ucieczki, bo z punktu widzenia warunków na brooklińskim rynku nieruchomości innego sensownego wytłumaczenia na ich istnienie nie dawało się znaleźć. Nawet wtedy, gdy Andrew był w domu, traktował Elizabeth z uprzejmą oziębłością, która dotychczas zazwyczaj utrzymywała się tylko przez kilka godzin. Tym razem trwała już kilka tygodni, a Elizabeth martwiła się, że już nigdy nie nastąpi ocieplenie. Tęskniła za kotem. Tęskniła za Andrew takim, jaki był dawniej, albo takim, jaki był w jej przekonaniu. Czasami w nocy, kiedy próbowała usnąć, zamykała oczy i w jej wyobraźni pojawiał się Iggy, jego mały, koci pyszczek – wychylający się spod samochodu albo zza kosza na śmieci – który zaczynał przybierać kształt twarzy Andrew, więc otwierała oczy i patrzyła w sufit, a serce mocno łomotało jej w piersiach. Iggy zaginął, Andrew jest stracony, a ona zagubiona. Został tylko Harry. Biedny Harry! Obarczony dwoma problemami jednocześnie: skłócenie rodzice i zaginięcie kota. Może powinna zaaranżować mu jakieś spotkanie? Niechby się z kimś zaczął widywać?

Zadzwoił jej telefon – domowy, telefon stacjonarny. Właściwie z niego nie korzystali. Tylko czasem ktoś dzwonił z sekretariatu szkoły Harry'ego i niektórzy jej klienci, szczególnie zaniepokojeni czymś, co nie mogło czekać do rana. Elizabeth podniosła słuchawkę i powiedziała: „Słucham?”. Przez chwilę nikt się nie zgłaszał.

– Cześć, ojej, ale mnie przyłapałaś! Tu Naomi!

Elizabeth spojrzała na telefon.

– Nie wiedziałam, że znasz ten numer. Ale przecież ty, jak się zdaje, znasz wszystkie numery telefonów, więc niepotrzebnie się dziwię. O wiele łatwiej się do mnie dodzwonić na telefon komórkowy.

Naomi się roześmiała.

– Dzwonię do Andrew. Zostawił mi wiadomość, a ja jestem trochę podekscytowana, bo rozumiesz, on jest panem od tej pani z piosenki.

– Andrew do ciebie dzwonił? – Elizabeth odsunęła zasłonę i znów wyjrzała na ulicę. – W jakiej sprawie?

Naomi cmoknęła z dezaprobatą.

– Naprawdę jesteś niesforna! Ale właściwie nie powinno to być dla mnie niespodzianką. – Głos Naomi teraz brzmiał ostro. Typowe zachowanie osób z Hollywood – szybkie i bez owijania w bawełnę przejście do bezkompromisowego wyrachowania. – Powiedział, że nigdy nie wyraził zgody, a że jest współautorem piosenki, to jego zgoda jest wymagana do wykorzystania utworu, i że jego prawnicy z wielką przyjemnością porozmawiają na ten temat z naszymi. Powiedział również, cytując: „Nie ma takich

pieniędzy, które skłoniłyby mnie do zmiany stanowiska”. Ciekawe, nie sądzisz? – W jej głosie znów pojawił się radosny świergot. – Powiedz, że był naćpany, Elizabeth. Powiedz mi, że zatelefonował do mnie dla żartu.

Elizabeth przełknęła ślinę. Andrew wyrabiał głupstwa... Dlaczego ona jest jedyną osobą, która to zauważyła? Dlaczego się okazuje, że wszystkiemu ona jest winna?

– Andrew nie jest zachwycony – powiedziała Elizabeth.

– Nie jest zachwycony czym, konkretnie? – dociekała Naomi. – Wyjaśnij mi dokładnie.

– Mój mąż zasadniczo mógł nie podpisać się na formularzu. Czyżbym ci nie wspominała, że się waha? – Elizabeth wiedziała, że postąpiła niewłaściwie, i próbowała w ten sposób złagodzić konsekwencje swojej decyzji.

– Wobec tego powstaje pewien problem, Elizabeth. Nie chodzi o jakieś ogromne nadużycie na miarę szarej strefy, ale jeżeli on się nie podpisał osobiście, to musi to zrobić. To znaczy, że musimy go do tego przekonać. Wiesz co? Wkrótce spróbuję coś w tej sprawie zdziałać. Darcey i pozostałe osoby z obsady będą w Nowym Jorku w przyszłym tygodniu, żeby nakręcić kilka scen, więc żeby nie wstrzymywać pracy, postaram się wygospodarować trochę czasu w swoim harmonogramie na krótką wizytę. Myślę, że wyjdzie ci ona na dobre, a przy okazji on też skorzysta. – Naomi przerwała i przez chwilę rozmawiała z kimś innym. – Nie, wszystko w porządku. Tak będzie dobrze. Halo, Elizabeth? – Powróciła do rozmowy

– Jestem i słucham. – Poczowała się jak skarcona uczennica w szkole podstawowej. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek, poturlała pod łóżko i została tam na zawsze.

– Gdyby z jakichś powodów mój plan nie przyniósł rezultatów i Andrew rzeczywiście wezwałby swoich prawników, to mam nadzieję, że ty też masz kogoś takiego. – Naomi się rozłączyła, a Elizabeth się rozpląkała. Usłyszała odgłos klucza w zamku i kroki na schodach. – Harry? – zawołała. – To ty?

– Nie, to ja – odezwał się Andrew i uchylił drzwi do sypialni. – O mój Boże, co ci się stało?! – Miał zaróżowiony nos od nadmiaru słońca. Nie znosił kremu ochronnego. Musiała niemal go obezwładnić, żeby dał się nim posmarować. Zachowywał się gorzej od Harry’ego, kiedy ich syn był jeszcze malcem.

– Nic – odpowiedziała Elizabeth. Wytarła policzki i uśmiechnęła się tak promiennie, jak mogła. – Właśnie wychodziłam. – Wstała i potrząsnęła głową jak mokry pies. – A u ciebie? Wszystko w porządku?

– Dlaczego miałyby być inaczej? – zdziwił się Andrew i uniośł brwi.

– Nie wiem! Skąd niby mam wiedzieć? – Elizabeth precyzyjnie się obok niego i wyszła na korytarz. Nagle zorientowała się, że zostawiła w sypialni swoje klucze i buty, ale aż wzdrygnęła się na myśl o powrocie, więc poszła do pokoju Harry’ego i zaczęła składać brudne ubrania.

Po dwóch latach od ukończenia college’u w Oberlin Lydia skontaktowała się w sprawie piosenki. W czasach działalności zespołu nie miała zwyczaju telefonować bezpośrednio do Elizabeth, więc kiedy rozległ się dzwonek telefonu i w słuchawce zabrzmiał głos Lydii, Elizabeth usłyszała w głowie sygnał alarmowy. Nieco wcześniej

doszły do niej wieści, że Lydia podpisała kontrakt płytowy. Często jej zdjęcia pojawiały się w czasopiśmie, a nowinki na jej temat w kolumnie plotkarskiej w gazecie. Zdobyła już popularność i, co dziwniejsze, sympatię. Cała ta sprawa wydawała się Elizabeth trochę zagadkowa, ale rzeczywiście Lydia znowu się pojawiła z białymi włosami opadającymi na oczy i bez puciołowatych policzków, które się jej zapadły. Wyglądała do tego stopnia inaczej, że Elizabeth gotowa była iść o zakład, że w Oberlin mało kto rozpoznałby w niej Lydię – tę pierwszą, oczywiście. Może odmieniła sobie twarz rękoma profesjonalisty. Nigdy nie wiadomo.

– Lydia? Dzień dobry – powiedziała Elizabeth.

Andrew wyszedł, była sama w domu. Pracowała wtedy jako asystentka w galerii i akurat wzięła sobie dzień wolny. W dalszym ciągu mieszkali u Zoe, w pokoju, który później miał przypaść w udziale Ruby. Czy Ruby wiedziała, że Elizabeth spała w jej pokoju setki razy, że Elizabeth uprawiała w nim seks całe wieki przed jej urodzeniem? Czuła się, jakby nieustannie przenosiła się w czasie i przestrzeni, od dawnej siebie do obecnej siebie jednocześnie, od siebie z płaskim brzuchem do siebie z rozstępami na ciele i zmarszczkami wokół oczu. Powracając myślami do tamtej rozmowy telefonicznej z Lydią, która przyczyniła się do nieodwracalnych zmian w życiu jednej i drugiej, nie była pewna, jako która z tych dwóch Elizabeth z nią rozmawiała. Niemożliwe, że tylko jako młoda Elizabeth – niezamężna, bez stałego miejsca zamieszkania, miłośniczka piwa, która zastanawiała się nad powrotem do szkoły i podjęciem pracy w opiece społecznej albo może nad specjalizowaniem się w nauczaniu wczesnoszkolnym albo nad studiami humanistycznymi z zakresu tworzenia tekstów literackich – rozmawiała przez telefon i że jako ona zdobyła się na wypowiedzenie wobec Lydii tamtych słów.

Lydia dzwoniła, ponieważ potrzebna jej była piosenka. Oczywiście! Gdy tylko to powiedziała, Elizabeth od razu się roześmiała.

– Co takiego? – zapytała. – Bardzo ciekawe, mów dalej.

– Oczywiście mamy mnóstwo bardzo dobrych utworów – kontynuowała Lydia. – Niektóre znakomite, powalające. Ale w wytwórni uważają, że wciąż nie ma przeboju, wiesz, na singiel. No i...

– Chcesz mieć *Sama sobie jestem panią*.

– Tak.

Elizabeth po tonie jej głosu zorientowała się, jak trudno było Lydii wystąpić z taką prośbą, ale z pewnością pomysł wyszedł od niej, bo nikt inny tej piosenki nie znał. Przypuszczalnie ją im zaśpiewała albo odtworzyła z taśmy. Elizabeth wyobraziła sobie gabinet biurowy i panów w garniturach, wśród nich Lydię trzymającą mały radiomagnetofon, swój głos płynący z głośników i wtórującą Lydię, która zagłuszała nagranie. Każdy, kto wtedy przechodził korytarzem, z pewnością się odwracał, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Dobrze – powiedziała Elizabeth. – Ale pod jednym warunkiem: że wszystkie prawa do jej wydania i rozpowszechniania będą uregulowane. Koniecznie. Inaczej nie ma mowy.

Słyszała oddech Lydii.

– Absolutnie nie licz na to, że pozwolę ci udawać, że napisałaś tę piosenkę. – Nawet

pomijając tę późniejszą kwestię praw do życia, Elizabeth była z siebie dumna, że powiedziała to Lydii. Bez trudu wyobraziła sobie jej nadąsaną minę i wykrzywione usta, ale nie dbała o jej humory. – Rozumiem, że przyjąłeś do wiadomości, tak?

– Oczywiście – potwierdziła Lydia. – Dostarczę ci dokumenty dla Amerykańskiego Stowarzyszenia Kompozytorów, Autorów i Wydawców.

Elizabeth nigdy nie słyszała o czymś takim, ale się zgodziła.

– W porządku.

– Doskonale. – Lydia chciała czym prędzej skończyć rozmowę, Elizabeth wyraźnie to czuła. Jeszcze zanim się dowiedziała, o co chodzi, od razu się domyśliła. Lydia była żmiją chyłkiem przemykającą się w trawie, a Elizabeth chciała ją chwycić za ogon i cisnąć nią o drzewo.

– Wobec tego powodzenia z płytą. Wiesz już, jaki będzie jej tytuł? – Elizabeth знаła odpowiedź, zanim zadała to pytanie. Jej słowa, usta Lydii. Jej słowa, wypisane w poprzek zdjęcia na twarzy Lydii.

– Jeszcze się zastanawiamy – powiedziała Lydia, która nie chciała potwierdzić przypuszczeń Elizabeth.

– W takim razie do usłyszenia – ucięła Elizabeth. – Trzymaj się.

Lydia się rozłączyła.

Rozdział 55

Dust przysłał o północy wiadomość o treści „Cześć!”. Ruby siedziała na kanapie i oglądała *Z kamerą u Kardashianów*, chociaż ten odcinek już raz widziała. Uwielbiała ich i nienawidziła w równym stopniu, a gdyby kiedykolwiek miała się ponownie ubiegać o przyjęcie do college’u, to napisałaby o nich wypracowanie. I o tym, jak w dzieciństwie wyobrażała sobie, że ma siostry, nawet w swoim domu samych kobiet. Ruby uważała, że najprawdopodobniej i tak nie dostałaby się na studia, ale przynajmniej miałaby okazję przedstawić prawdziwą siebie na papierze. Za pierwszym razem doskonale wiedziała, że do żadnej szkoły jej nie przyjmą, więc list z odmową nie zrobił na niej większego wrażenia. Ale gdyby rzeczywiście się starała i nic z tego nie wyszło, byłaby zawiedziona. Po chwili Dust znów napisał: „Jesteś w domu? Mam dla ciebie prezent. Na zewnątrz”.

Ruby się odwróciła i wyjrzała przez okno. Rzeczywiście, Dust był na werandzie. Nawet nie patrzył w jej stronę, tylko siedział sobie na schodach, jak gdyby wcale do niej nie napisał i nie zaprosił, żeby się do niego przyłączyła. Ruby wytknęła język, wcisnęła klawisz pauzy na telewizorze i bosy wyszła przed dom. Usiadła obok Dusta, ale on się nawet nie poruszył. Spojrzała na niego i od razu zrozumiała dlaczego.

Trzymał na rękach kota, który się do niego łąsił. Nie był to obcy kot.

– Iggy Pop! – krzyknęła Ruby zbyt głośno. Zakryła dłonią usta i powtórzyła ciszej: – Iggy Pop! – Wyciągnęła rękę i wzięła kota od Dusta. Iggy był miłym zwierzątkiem, giętkim, jakby nie miał kości, i z niewyczerpaną żądzą pieśczoć, więc nie protestował, gdy zaczęła go głaskać i drapać pod brodą. – Gdzie on był? O mój Boże, Dust, oni oszaleją ze szczęścia. Nawet nie masz pojęcia, jak za nim tęsknią. Gdzie go znalazłeś?

Wzruszył ramionami.

– W pobliżu.

– Cudownie, że go przyniosłeś. Mama Harry’ego się ucieszy. Ona, jakby to powiedzieć, bardzo go potrzebuje. – Ruby przytuliła Iggy’ego. – Co tam, kotku?

– Lubi piezzonego kurczaka – powiedział Dust. – I twaróg.

– Skąd wiesz? Jak długo miałeś go u siebie? – zapytała Ruby, chociaż naprawdę chciała się dowiedzieć, czy Dust ma rodziców i czy to od nich pochodziły te produkty, czy może sam upiekł kurczaka.

– Kurczak i twaróg były ze sklepu spożywczego – wyjaśnił Dust. – Moja matka nie umie gotować.

– Och – mruknęła Ruby i natychmiast próbowała się pozbyć z głowy wszystkich pytań, których on mógłby się domyślić. Jak długo miał kota? Czy go znalazł i jak gdyby nigdy nic zabrał do domu, żeby go uratować od niebezpieczeństw grożących na ulicach Brooklynu? Czyżby ukradł go z werandy Harry’ego? Czy dmuchał dym z jointów prosto w nos temu biednemu kotu? Woląta nie wiedzieć. – Mimo wszystko dziękuję.

– Beznadziejnie wyszło z tym pożarem – powiedział Dust. Przez lato trochę urosły mu włosy, ze dwa centymetry, zrobił mu się na głowie język. Za kilka tygodni może wyglądać jak normalny chłopak z normalnymi włosami, a nie jak skinhead.

Ruby próbowała wyobrazić sobie Dusta z długimi włosami, które zakładałby za

uszy jak Harry.

– Uhm, tak, nawet za mało powiedziane. Pewnie teraz moje matki są zadowolone, że nie dostałam się do college’u. Nie trzeba będzie płacić chesnego. Restauracja jest zamknięta, nikt nie kupi hamburgera za trzynaście dolarów, wiesz, jak jest. – Ruby obawiała się wypuścić kota z rąk, chociaż pewnie popędziłby prosto do swego domu. Chciała u Marksów zdobyć punkty za sprowadzenie go z powrotem.

– Sarah całkiem odjechała – powiedział Dust. – Wzięła iskry za wróżki. Myślała, że mają dla niej wiadomości. Próbowwała uklęknąć. Żeby je lepiej słyszeć. I tak wyszło. Nie sądzę, żeby specjalnie odpalała je tak blisko.

– Słucham? – Ruby odsunęła się o kilka centymetrów. – Mam rozumieć, że ta suka podpaliła restaurację moich matek? Odbiło ci?

– Nie – zaprzeczył Dust. – Nie podpaliła. To znaczy nie specjalnie. Ona tylko puszczała zimne ognie przy tylnej ścianie domu Nica i... no wiesz, parkan Hiacyntki jest zaraz obok, a ona ustawiła je w rzędku razem ze świecami i takie tam, a potem chyba wróciła do środka i o nich zapomniała. Nie podpaliła jej. Nie jest wariatką. Najwyżej trochę stuknięta.

Ruby nie słyszała, żeby Dust nazywał kogoś stukniętym. Takie wypowiedzi były zarezerwowane dla niej. O nim też w taki sposób się wyrażała. Jego głupota była powodem, dla którego nie mieli szans na poważne chodzenie, i dlatego niespecjalnie zaprzętała sobie myśli sprawą ich związku. Traktowała go jak wycinankę z tektury, kogoś w tym rodzaju. Ale teraz nabrała wątpliwości, czy słusznie.

– Czyli twoim zdaniem Sarah Dinnerstein przypadkowo spowodowała pożar w restauracji moich matek? – Ruby zastanawiała się, gdzie teraz jest Sarah. Jeżeli siedziała w domu, to znaczy w mieszkaniu swoich rodziców w Park Slope, w swoim pokoju wychodzącym na Prospect Park, to prawdopodobnie wpatrywała się w przestrzeń i myślała, jak by tu dostać pokój w akademiku tylko do własnej dyspozycji, żeby Dust mógł ją odwiedzać. I kto wie! Może i Dust pojedzie do niej z wizytą – wsiądzie w pociąg metra, dojedzie do stacji Penn, a stamtąd autobusem Greyhound do ohydneho miasta Vermont, gdzie znajdowała się szkoła Sarah. Ona przywita go ze łzami szczęścia w oczach, a potem może Dust zdecyduje się z nią zamieszkać i zapuści włosy, wezmą ślub i będą mieli dzieci, a on je wszystkie nauczy jeździć na deskorolce. – Mogłabym zadzwonić na policję, masz świadomość, tak?

– Nie zadzwonisz na policję. Oni już pewnie tam byli. Poza tym słyszałem, że restauracja ma pełne ubezpieczenie. A zresztą nic wielkiego się przecież nie stało. Mogło być o wiele gorzej. – Dust wyjął paczkę papierosów z kieszeni. – Domy palą się ludziom najczęściej z powodu papierosów, wiesz o tym? Papierosów i pieców.

– Dzięki, bardzo się cieszę – powiedziała Ruby. Miał rację, nie zamierzała dzwonić na policję. Niczego by nie osiągnęła, a wpakowałyby się w jeszcze większe kłopoty. – Daj zapalić, swoje fajki mam na górze.

Dust sięgnął po jeszcze jednego papierosa i zapalił go od swojego. Oba zarzyły się migotliwie w ciemności. Ruby wzięła papierosa i włożyła do ust. Wypuściła w powietrze kształtne kółka z dymu.

– Założę się, że ten twój chłopczyk nie potrafi zrobić takiej sztuczki – zauważył

Dust.

– A z jakiego powodu powinien potrafić? – Ruby zdjęła strzępek tytoniu z języka
– Dust palił papierosy bez filtra. Czasami nawet sam robił sobie skręty z tytoniu z małego woreczka, co Ruby zawsze wydawało się bardzo podniecające, bo niezwykle sprawnie przebierał palcami.

– To jeszcze chłopaczek – stwierdził Dust. – Poczciwy dzieciak, który zawsze zbiera punkty za odrabianie pracy domowej.

– Sama odrabiam lekcje. To znaczy odrabiałam. – Ruby splunęła. – Obrzydliwe są te twoje fajki. Kowboj jesteś, do cholery, czy co?

– Owszem – powiedział Dust. – Tak jak ty. Jesteś bardziej podobna do mnie niż do niego, Ruby. Powiesz jego rodzicom, że to ja ci oddałem tego kota? Czy że sama go znalazłaś w krzakach? – Dust rzucił niedopałek na chodnik, wstał i przydepnął go butem.

– Przyszedłeś tu? – zapytała Ruby. Nie zdarzyło jej się widzieć go bez deskorolki.

Podniósł palec, a potem pochylił się i sięgnął w głąb krzewu forsycji jej mamy. Wyciągnął deskę i postawił pod stopą.

– Trudno jeździć z kotem – powiedział. – Ale nie jest to niemożliwe. Cześć, Ruby.

Patrzyła, jak odjeżdża. Jego smukłe ciało przechylało się do tyłu i do przodu, gdy mknął środkiem ulicy. Było ciemno, jeździły samochody, ale Dust nie zwracał na nie uwagi, on był niepokonany, tak jak ona, odporny na zdrowy rozsądek i przepisy ruchu drogowego. Ruby wypaliła do końca papierosa, chociaż bez przyjemności, i ruszyła z kotem do domu Harry'ego. Po chwili zapukała do jego drzwi. Zanim Elizabeth je otworzyła, skromny i pełny nadziei uśmiech był już mocno przyklejony do ust Ruby.

Rozdział 56

Doktor Amelia poprosiła Zoe i Jane o prowadzenie dzienniczków, w których miały opisywać swoje uczucia. Zadanie to było gorsze od wpisywania potraw do dziennika kulinarnego Jane, który miała w szkole gastronomicznej, jej księgi przechwałek, która miała onieśmielać każdego, kto przypadkiem ją otworzy (Lunch – zapiekane foie gras z jajkiem w koszulce i endywią). Jane nie wiedziała, co pisać w tym dzienniczku, więc notowała wszystko: kiedy Zoe pocałowała ją rano w policzek (prawie co drugi dzień), kiedy Zoe puszczała bąki (często, ale Jane robiła to samo), kiedy Zoe odnosiła się do niej lekceważąco (czasami), kiedy Bingo więcej zainteresowania okazywał Zoe (zawsze). Jane wydawało się, że prawdopodobnie te uwagi są bezsensowne, ale i tak je zapisywała. Skoro Zoe chciała, żeby Jane odrabiała zadaną pracę domową, będzie ją odrabiała.

W Hiacyntce Jane w zasadzie nie miała nic do roboty – na patio trwały prace remontowe. Nowe stoły i krzesła zostały zamówione, podobnie naczynia szklane. Specjalistyczna grupa sprzątająca czyściła sufit i ściany. Jane co kilka dni rozmawiała przez telefon z dostawcami. Kwiaty kabaczka, pomidory, świeży ser, piękne kotlety wieprzowe – chciała zamówić te produkty, ale do otwarcia restauracji trzeba było czekać jeszcze co najmniej miesiąc. W ciągu dnia jechała metrem linii Q na targ rolny Grand Army Plaza i robiła zaopatrzenie do domu. Widywała tam innych szefów kuchni, z którymi się witała i wymieniała całusy. Wiedzieli o pożarze, przekazywali jej wyrazy współczucia, marszczyli brwi i powracali do żagwic leśnych lub prażkowanych bakłażanów. Jane wędrowała po rynku i wszystkiego dotykała. Miała zamiar upiec na grillu steki. A może przyrządzi przegrzebki na szparagach, które poobraca nad paleniskiem, aż się na ich powierzchni pojawią piękne paski od rusztu, szparagi zrobią się miękkie, ale nie tracą chrupkości. Może lepiej chimichurri – Zoe uwielbia jej chimichurri. Jane wzięła trzy duże pęczki natki. Zauważyła ogromne dojrzałe brzoskwinie, już prawie ociekające sokiem, i w ustach poczuła wzbierającą ślinę. Zrobi również deser.

Jane wróciła do domu, uginając się pod ciężarem toreb, i zastała Ruby siedzącą na podłodze. Jej córka plecami opierała się o kanapę i oglądała telewizję.

– Pomóż mi – poprosiła Jane.

Ruby odkleiła się od podłogi jak Gumby. Razem rozpakowały zakupy, wszystkie produkty ułożyły rzędem na blacie.

– Co gotujemy? – zapytała Ruby. – Zrobiłam się głodna.

Niczego więcej Jane nie pragnęła usłyszeć.

– Skoro tak... – powiedziała i natychmiast ruszyła do działania.

Wskazywała na szafki, a Ruby wyjmowała z nich potrzebne rzeczy: obieraczkę, blender ręczny, deski do krojenia. Obieranie czosnku należało do Ruby, ona występowała w roli pomocnicy szefowej kuchni. Pracowały w milczeniu – Jane była kapitanem statku, wiedziała, co należy robić. Spośród obowiązków kuchennych ten lubiła najbardziej – wiele osób uważa, że w gotowaniu chodzi o przyrządzanie smacznych potraw, i słusznie, ale w większym stopniu niż kucharzem trzeba być dyrygentem, choreografem

– koordynować pracę całej maszyny złożonej z tysięcy ruchomych elementów i mieć nad nimi kontrolę. Alergia, urodziny, czas gotowania małży w maślanej kąpieli, żeby się otworzyły. Jane tę wiedzę miała w jednym palcu, uporządkowaną i wciąż dostosowywaną do bieżących potrzeb.

– Awokado – rzuciła Jane i Ruby otworzyła je tak, jak została nauczona. Nacięła nożem głęboko, aż do pestki, a potem obracała owocem, który trzymała w dłoni. Podała go matce i Jane szybko zrobiła z niego pastę, po czym oderwała kawałek chleba, grubo obłożyła go rozgniecionym awokado, rozbiła jajko na patelnię, które wkrótce zaczęło skwierczeć. – *Bon appétit* – powiedziała w końcu, zsuwając je na chleb. Kilka kropli oliwy z oliwek spadło na talerz.

– Dzięki Bogu – powiedziała Ruby. – A już myślałam, że naprawdę skonam z głodu.

Została w kuchni. Nie wymknęła się z niej chyłkiem, jak miała w zwyczaju, przemycając jedzenie na górę, jakby ktoś je chciał jej odebrać, ale jadła na stojąco, pochylona nad kuchennym blatem. Jane pochowała pozostałe zakupy i wsparła się na blacie obok Ruby. Zjadła drugą połowę awokado łyżką. Kiedy jej córka była dzieckiem, codziennie zjadała całe awokado – gdyby jej pozwoliły, próbowałyby je zjeść nawet ze skórkę. Przez kilka miesięcy wydawało się, że jej skóra na trwałe zabarwi się na zielono tak samo jak większość ubrań. Zoe odrzucała do tyłu głowę i głośno się śmiała, zachwycona tym upodobaniem córki. Jane pochyliliła się i pocałowała Ruby w policzek.

– Kocham cię, skarbie – powiedziała.

– Jezu, mamo! – obruszyła się Ruby. – Przecież już podziękowałam.

Kilka okruchów spadło Jane na bluzkę. Uszczypnęła Ruby w nos i poszła na górę uzupełnić dzienniczek dla doktor Amelii.

Rozdział 57

Harry był szczęśliwy, że Ruby przyniosła im Iggy'ego Popa – Iggy był miłym zwierzątkiem, a matka Harry'ego tańczyła z kotem po całym domu, jakby grali w kreskówce Disneya – ale opowieść Ruby wydała mu się dziwna. Powiedziała, że siedziała sobie na werandzie, aż tu w pewnej chwili Iggy wyłonił się z krzaków i wskoczył jej na kolana. Iggy był pieszczochem i mógł się wpać na kolanach, to pewne, ale jeśli się odnalazł i dotarł do domu pan Kahn-Bennett, to dlaczego nie wrócił do swego? Koty nie są głupie. Harry też miał swój rozum. Wiedział, że Ruby nie ukrywała kota – był w jej pokoju ze sto razy i nawet wśród stosów odzieży zauważyłby swego pupila. Uznał, że jest tylko jeden bardzo prawdopodobny podejrzan – z jego udziałem historyjka Ruby o znalezieniu kota miałyby sens.

W trakcie roku szkolnego nietrudno było się natknąć na Dusta, Nica i ich przyjaciół – zawsze zbierali się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko szkoły Whitmana. Ślizgali się tam na deskorolkach po krawędzi najniższego stopnia kościelnych schodów albo przepychali między sobą i przewracali na ziemię w sposób, który wydawał się równie zabawny, jak niebezpieczny. Właśnie dlatego podobali się dziewczętom: w Whitmanie rodziców wszędzie było pełno – na korytarzach, na widowni w czasie przedstawień, stali przy ścianach w sali gimnastycznej podczas meczów koszykówki, ochoczo dopingując do celnych rzutów – więc ich chowane pod kloszem dzieciaki, balonowi chłopcy i balonowe dziewczyny, nie miały doświadczeń w postaci złamanych kończyn czy posiniaczonego ego. Nad chłopakami z kościelnych schodów rodzice nie roztaczali opieki. Ci chłopcy, tak jak dzieciaki lat siedemdziesiątych, byli samowystarczalni, wiedzieli, czym są sińce i blizny. Harry czasami im zazdrościł. Ich życie najwyraźniej składało się z wolnych dni, nie było wypełnione zajęciami pozalekcyjnymi mającymi zwiększyć szanse na dostanie się do college'u. Generalnie jednak zdawał sobie sprawę, że znajduje się w lepszym położeniu od nich, mimo że ich zapewne spotykało więcej przyjemności.

Przeprowadzenie rozpoznania w domu Nica było pierwszym racjonalnym krokiem w dochodzeniu – głównie dlatego, że Harry wiedział, jak do niego trafić. Czekał do popołudnia, a potem wybrał się tam, okreśną drogą, żeby nie przechodzić obok domu Ruby, ponieważ mogła wyglądać przez okno i zobaczyć, w którym kierunku idzie, a może nawet podążyć za nim. Absurdalny nadmiar ostrożności, ale Harry cenił sobie własną zapobiegliwość i nikomu nic do tego. Dotarł do domu Nica i zadzwonił do drzwi. Nikt nie zareagował, więc zadzwonił ponownie. Po pięciu minutach, kiedy zbierał się już do odejścia, usłyszał szelest z wnętrza. Drzwi się uchyliły.

– Nie za wcześnie, do cholery?! – wymamrotał Nico. Stał z zarzuconym na ramiona prześcieradłem jak maratończyk na mecie.

– Raczej nie – odpowiedział Harry. – Dochodzi pierwsza. – Tylko się minęli tamtego wieczoru, kiedy Harry był u niego na imprezie, więc nie wiedział, czy Nico go rozpoznaje. Harry odniósł wrażenie, że Nico wpuściłby do swego domu każdego, kto nie skończył trzydziestki i wyglądał na kogoś, kto pewnego dnia mógłby kupić od niego trawkę.

Nico zerknął z ukosa.

– Dobrze już, dobrze – powiedział. – Wchodzisz?

– Prawdę mówiąc, szukam Dusta. Wiesz może, gdzie go znajde? – Harry zerknął przez ramię Nica do salonu. Na podłodze znajdowały się jakieś ruchome kopce przykryte prześcieradłami.

Nico odwrócił się i wskazał na kanapę.

– Jest tam. Wracam do łóżka. – Popchnął łokciem drzwi, które otworzyły się szerzej, i ruchem ręki zaprosił Harry'ego do środka.

Harry zrobił kilka kroków bokiem w głąb holu. Chwilę trwało, zanim jego oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego w mieszkaniu.

Dust leżał na kanapie na brzuchu, z głową zwróconą na bok jak śpiące niemowlę. Miał na sobie tylko dżinsy, które nie wyglądały ani na wygodne, ani na szpanerskie – w pokoju panował zaduch, a policzek Dusta był mocno zaróżowiony. Tuż pod łopatką miał niewielki, trochę wyblakły tatuaż w kształcie błyskawicy.

– Czym mogę służyć, ochroniarzu?

Harry się wzdrygnął.

– Och, przepraszam, myślałem, że śpisz.

Dust się odwrócił i wstał. Miał włosy na klatce piersiowej, niezbyt dużo, ale więcej niż cztery – tyle miał Harry.

– Nigdy więcej! – Potarł twarz dłońmi. Otworzył szeroko oczy i macał rękoma po podłodze, aż przy nogach znalazł T-shirt. – Słucham, co cię do mnie sprowadza? Przyszedłeś po wskazówki, jak zrobić Ruby dobrze? – Uśmiechnął się ironicznie.

– Właściwie... – zaczął Harry, starając się opanować. – Zastanawiałem się, jak Ruby weszła w posiadanie mojego kota.

– Powiedziała ci? Człowieku, myślałem, że na bank całą zasługę przypisze sobie. Ta dziewczyna uwielbia być w centrum uwagi. Opowiadała ci, jak się poznaliśmy? Wyszła ze szkoły, a ja jechałem na desce. Położyła się na chodniku i oznajmiła, że będzie chodzić tylko ze mną, jeśli ją przeskoczę. I przeskoczyłem.

– Nie, tego nie wiedziałem – przyznał Harry, ubolewając, że się dowiedział. – Ale co z kotem? Ty go miałeś?

– Wyluzuj, człowieku, nie ukradłem ci tego durnego kota. Znalazłem go na ulicy, sam nie wiem. Widziałem ogłoszenia. Umiem czytać. Po prostu zrobiłem to, co trzeba. – Dust klepał się po dżinsach, aż znalazł papierosy. Poczęstował Harry'ego, ale ten pokręcił przecząco głową. – A, jasne! – zreflektował się Dust.

– Ruby jest teraz ze mną, wiesz o tym – powiedział Harry. Nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały zaborczo. Wiedział, że Ruby należy wyłącznie do siebie. Co więcej, nawet nie był pewien, czy rzeczywiście z nią jest, naprawdę, czy może tylko znalazł się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie i ona spotyka się z nim z nudów. W ogóle nie zamierzał wspominać o Ruby. Przyszedł w sprawie Iggy'ego. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że posunie się dalej niż do zapukania do drzwi domu Nica. Tymczasem sprawy potoczyły się w sposób trochę niespodziewany.

– Czyżby? Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Dust głęboko zaciągnął się papierosem i wypuścił dym z uśmiechem. – Dobra, tylko cię wkrecam. Ale się tak nie

spinaj. Ruby Tuesday musi czuć przestrzeń.

– Nieważne – powiedział Harry. – Ruby sama wie, czego potrzebuje. I byłbym ci wdzięczny, gdybyś już więcej nie podprowadzał żadnych zwierząt.

– Jeszcze się zastanowię – odciął się Dust. – A teraz najwyższy czas na drzemkę. Pozdrów ode mnie Ruby. A kotu przekaż moje miau.

– Nazywa się Iggy Pop.

– Niby kto?

– Kot.

– Myślałem, że to kocica. – Dust wzruszył ramionami. – Nazwałem ją Wibrys.

– Nie sądziłem, że ją miałaś. Jego.

– Czy ktokolwiek w ogóle ma cokolwiek? – Dust zamknął oczy, ale papierosa wciąż trzymał w ustach. – Do zobaczenia, ochroniarzu.

Na podłodze zaczęły się poruszać dwa pozostałe kopce. Z jednego wysunęła się czyjaś ręka. Harry nagle poczuł uścisk na kostce, wzdrygnął się i cicho jęknął, zanim wybiegł frontowymi drzwiami.

Rozdział 58

Do ćwiczenia jogi przydałaby się większa elastyczność ciała, której Ruby brakowało, dlatego też czas przeznaczony na przeglądanie kątów w EWOLUtorium spędzała głównie w pomieszczeniach na piętrze. Na początku sądziła, że cały ten biznes jest tylko przykrywką dla domu publicznego – ekskluzywnego, hipisowskiego burdelu – ale przed trzecią wizytą niechętnie przyznała, że to miejsce nie jest takie, jakie się jej początkowo wydawało. Ci, którzy przebywali w tym domu, do wszystkiego podchodzili bardzo serio i tolerancyjnie, tak jakby zostali przepuszczeni przez myjnię samochodową, gdzie wypłukało się z nich wszelkie poczucie humoru. Byli zupełnie pozbawieni seksapilu. Jeżeli działo się tu coś wbrew prawu, to z pewnością nie to, o czym wcześniej myślała. Ruby uznała, że Andrew przypuszczalnie bywa w tym studiu, żeby popracować nad sylwetką, tak jak inni, którzy nagle uświadamiają sobie, że pewnego dnia umrą. W każdym razie sprawa nie wydawała się poważna. Lena okazała się sympatyczna i Ruby nawet polubiła jej towarzystwo, w którym czuła się zupełnie inaczej niż wśród koleżanek ze szkoły – przy nich nigdy nie potrafiła się zorientować, czy sobie z niej drwią czy nie. Lena niepokojąco długo patrzyła Ruby w oczy, częstowała herbatą ze specjalnymi patyczkami i gałazkami, które miały jej pomóc w zrównoważeniu energii życiowej qi.

Siedziały na kilku poduszkach w pokoju wypoczynkowym na piętrze, urządzonym na dawnym, nieużytkowym poddaszu. Strop nie był na tyle wysoki, żeby dało się stanąć prosto, ale można było wygodnie siedzieć przy ścianie albo leżeć na podłodze. Pomieszczenie to trochę przypominało Ruby suchy basen z piłeczkami przy Chuck E. Cheese, tyle że tu nikt nie używał dezodorantu. Lena mieszkała w EWOLUtorium od miesiąca. Pochodziła z Rhode Island i myślała o zrobieniu kursu reiki, ale jeszcze ostatecznie się na niego nie zdecydowała.

– Może chcesz poćwiczyć na mnie? – Ruby nie wiedziała, na czym polega reiki, ale zauważyła, że zasadniczo głównym elementem większości specjalnych zabiegów w EWOLUtorium jest drzemanie pod okiem innej osoby, więc opanowanie reiki nie wydawało się trudne.

– Chętnie – powiedziała Lena.

Ruby zsunęła się niżej, głowę ulokowała w pobliżu kolan Leny, skrzyżowała ręce na klatce piersiowej i mocno zacisnęła powieki.

– Wyglądasz jak wampirzyca – stwierdziła Lena.

– Może nią jestem – zażartowała Ruby. Otworzyła jedno oko. – Pamiętaj, ostrzegałam.

– Ale ja mówię poważnie – zapewniła Lena. – Połóż się wygodnie, ręce umieść wzdłuż tułowia i spróbuj się odprężyć. Ja będę się koncentrować na twojej energii.

Ruby ponownie zamknęła oczy.

– Dobrze. Już coś robisz? Po czym poznam, że działa?

– Bądź cicho – nakazała Lena. – Wtedy zaczniesz działać.

Ruby próbowała ułożyć się wygodnie.

– Na czym się tutaj zarabia pieniądze? Niestosowne pytanie, prawda? – Znów

otworzyła oko. – Przepraszam.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Lena. Nie wydawała się zirytowana. – Pozwól, że zajmę się akupresurą. – Delikatnie położyła kciuki na nadgarstkach Ruby i przycisnęła je mocniej. – Dave jest właśnie takim facetem, no wiesz, charyzmatycznym. Ludzie wnoszą darowizny. Niektórzy poświęcają swój czas, tak jak ja, a inni wpłacają pieniądze. Działa to jak ekosystem, zupełnie nieźle, moim zdaniem.

– Czyli chodzi o opłaty za mieszkanie? – Ruby poczuła ukłucie w ramieniu i drgnęła mimowolnie.

– Ooch, natrafiłam tu na coś. Poświęćmy temu trochę więcej czasu – powiedziała Lena. Przesunęła obie dłonie na ramiona Ruby i dotykała miejsce przy miejscu, aż znalazła to, którego szukała, i przycisnęła mocniej. – Niektórzy płacą czynsz, ale jest też kilku ważnych inwestorów. Wiesz, duże pieniądze. Wystarczyłyby na kupno domu. – Przesunęła palec w lewo i Ruby znowu podskoczyła.

– Ciekawa jestem, co trzeba zrobić, żeby skłonić ludzi do podarowania pieniędzy – zastanawiała się Ruby. – Chciałabym mieć taki dar przekonywania.

Lena się roześmiała.

– On kiedyś był aktorem. To znaczy Dave. W dzieciństwie, chyba. Albo może jako nastolatek. Dość łatwo byś go rozpoznała, gdybyś go zobaczyła bez brody. Miał pseudonim sceniczny, ale nie pamiętam jaki. Myślę, że właśnie dlatego potrafi to robić. Nawiązuje kontakty z odpowiednimi ludźmi i opowiada im to, co jego zdaniem powinni usłyszeć. Ma wyjątkowy talent. Załóżmy, że jesteś miłośniczką zwierząt. Dave od razu ci opowie o swoim planie zorganizowania wyprawy do lasów deszczowych, żebyś mogła obserwować żaby czy jakieś inne stwory. A potem dasz mu na to pieniądze i wyprawa dojdzie do skutku. Albo nie, ale być może jakieś żaby sprowadzi tutaj, rozumiesz?

– Ojej! – jęknęła Ruby i znów podskoczyła. Niezależnie od tego, co robiła Lena, zdecydowanie pozostaną po tym siniaki. Musiała jeszcze sporo czasu przeznaczyć na ćwiczenia, znacznie więcej niż Ruby była skłonna jej poświęcić. Ruby zastanawiała się, jakie treningi w rzeczywistości odbywają się w EWOLUtorium, czy ktokolwiek się tu choć trochę orientuje w tym, co robi, czy może każdy tylko odgrywa swoją rolę jak w teatryku marionetek.

– Dave naprawdę ma do tego wyjątkowe zdolności. Jest prawie jak terapeuta. Albo jak przewodnik duchowy. Pomaga ludziom.

– Czyli pomaga ludziom po części z ich pieniędzy.

– Nie, wcale nie. Chodzi zupełnie o co innego – przekonywała Lena. – On pomaga ludziom wykorzystywać ich potencjał. A jeśli przy okazji korzysta na tym EWOLUtorium, to tym lepiej.

– Rozumiem – powiedziała Ruby. Bardo to dziwne myśleć o czyichś rodzicach – o rodzicach swego chłopaka – że są naiwniakami. To jest tak samo, jak zobaczyć ich przy obcinaniu paznokci u nóg albo przyłapać na biegunce. W niektórych sytuacjach lepiej po prostu ich nie oglądać. Ruby zawsze uważała Andrew za wzór dobrego ojca, takiego tatę, jakiego chciałaby mieć, gdyby jej przyszło wybierać. Był powściągliwy – według Zoe dlatego, że wychowywał się w bardzo zamożnej rodzinie. Był męski, ale nie demonstrował swojej męskości przesadnie, i dobrze się prezentował w T-shirtach, co

wcale nie jest takie oczywiste, jak mogłoby się wydawać. Okazało się, że Andrew wcale nie wypadł tak źle jak ojciec jednej z koleżanek Ruby z klasy, który został przyłapany na wysyłaniu fotek penisów opiekunce córki – ale czuła lekkie mdłości, gdy myślała o Andrew jak o mężczyźnie z krwi i kości, który wkrótce będzie prawdopodobnie bardzo zakłopotany. – I wy wszyscy wiecie? Chodzi mi o to, czy wiecie, kto daje dużo pieniędzy na projekty Dave’a.

– Niezupełnie. Nie wszyscy – odparła Lena. – Ale ja z nim sypiam.

– Jasne.

– On jest otwartym człowiekiem – zapewniała Lena. – Powinnaś go poznać.

– Wiesz co? Chyba już mi wystarczy – oznajmiła Ruby. Przekręciła się na bok, mrużąc oczy z bólu. – Powinnam już iść.

Lena złożyła ręce jak do modlitwy.

– *Namaste*. Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie.

– Oczywiście – zapewniła Ruby i na czworakach dobrnęła do schodów.

Rozdział 59

Andrew siedział w kuchni, a Elizabeth w salonie. Był środek dnia. Spodziewał się wiadomości od Dave'a na temat pewnych szczegółowych ustaleń w sprawie Fal. Architekt wysłał projekty władzom miasta i czekali na ich zatwierdzenie, a w tym czasie Andrew zlecił swoim prawnikom przygotowanie pewnych dokumentów. Dave miał zastrzeżenia do tych formalności – stwierdził, że wystarczyłby uścisk dłoni, bo taki sposób prowadzenia interesów jest bardziej w jego stylu – ale Andrew chciał mieć wszystkie sprawy załatwione zgodnie z prawem. Dave obiecał, że zadzwoni lub wyśle wiadomość, gdy tylko będzie coś wiedział. Andrew stanął przed otwartą lodówką i robił jej przegląd jak nastolatek, ani głodny, ani spragniony, tak po prostu dla zabicia czasu.

Gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych, żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Oboje spojrzeli na siebie.

– Jesteś bliżej – powiedział Andrew.

– Leży na mnie kot – odpowiedziała Elizabeth, która miała twarz zasłoniętą czasopismem.

Iggy spał na jej brzuchu zwinięty w kłębek. Kot zawsze służył im za kartę przetargową, więc Andrew uszanował jej argument.

– Niech ci będzie. – Uległ i poszedł otworzyć drzwi, za którymi spodziewał się zobaczyć któregoś z sąsiadów, być może, nie Zoe ani Jane, ani Ruby, ale kogoś z dobrymi intencjami, znanego tylko z widzenia. Osobę przynoszącą informację, w który dzień tygodnia parkuje się samochody po lewej lub prawej stronie ulicy, chociaż ich samochód stał na podjeździe. Albo kuriera UPS lub FedEx, chociaż na niego było za wcześnie – oni zazwyczaj wyruszali w miasto później. Zawsze mogła się też zjawić grupa świadków Jehowy czy nowojorskich mormonów.

Tymczasem zamiast kogoś takiego Andrew w otwartych drzwiach ujrzał Lydię.

Od razu poznał jej twarz, którą pamiętał w najdrobniejszych szczegółach. Nie utlenioną punkówkę, którą się stała, ani modelkę, którą próbowała zostać, ani nie ćpunkę. Zobaczył Lydię rozczochraną jak w swoich najlepszych czasach, rozgniewaną z powodu tego, co już otrzymała, i spragnioną wszystkiego innego. Andrew zamrugał i nagle ugięły się pod nim kolana. Upadając na podłogę, zdążył jeszcze pomyśleć, że zobaczył jej uśmiech i zęby białe jak u rekina.

Kiedy znów otworzył oczy, leżał na kanapie, w tym samym miejscu, w którym trwali Elizabeth z Iggym, zadowoleni i nietykalni. Zobaczył twarz Elizabeth kilkanaście centymetrów od swojej, jej usta nabrzmiałe z gorąca i otwarte.

– O mój Boże, Andrew, wszystko w porządku? – wyszeptała, rozglądając się dokoła, jakby szukała wzrokiem duchów.

Andrew żałował, że nie może zapytać, czyje duchy ich nawiedziły. Czyżby miał halucynacje? To, co zobaczył, nie wyglądało na wizję. Powinien zapytać Dave'a, co się w takich okolicznościach czuje i czym się różni wizja od zwykłego snu.

– O rany! – westchnął Andrew. – Zemdlałem? Nie wiem, hm, nie bardzo

rozumiem, co się stało.

– Ja wiem. – Elizabeth się uśmiechnęła. Pochyliła się nad nim i pomogła mu usiąść.

– Andrew, to jest Darcey. Sobowtór, prawda?

Czuł chlupotanie i ciężar w głowie, jakby zamiast niej miał wiadro pełne mokrych liści. Zamrugał kilka razy, zanim spojrział w stronę, w którą patrzyła Elizabeth. Gdy to zrobił, od razy pożałował. Powinien był trzymać zaciśnięte powieki i leżeć jak zwierzę, które udaje, że jest martwe.

Ta dziewczyna nie tylko wyglądała jak Lydia. Andrew natychmiast się zorientował, o co chodzi, nie było to skomplikowane. Ktoś w Los Angeles znalazł tę pannę, tak bardzo podobną do Lydii, że pieniądze same cisnęły się w ręce – w taki sposób rodzą się kariery, wystarczy trochę szczęścia i charakterystyczne rysy. Ale ci ludzie nie wiedzieli tego, czego nie mogli wiedzieć, ponieważ nie znali Lydii, a mianowicie, że ta dziewczyna, nie-Lydia, posiada cechy, które bardzo zbliżają ją do Lydii – mroczne żądze, nieposkromione aspiracje i najczarniejszą bryłkę węgla w miejscu, gdzie powinna mieć serce. Andrew, gdy otworzył drzwi, od razu zauważył w niej Pandorę na chwilę przedtem, zanim otworzyła swoją puszkę. Nie-Lydia wiedziała, jakie robi na nim wrażenie, i była podekscytowana. Andrew czuł zawroty głowy – w filmie Lydia otrzyma jednak to, co się jej należy.

– Dzień dobry – odezwała się nie-Lydia. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Za nią pojawiła się druga kobieta ze szklanką wody w dłoni.

– Och! – zawołała. – Pan już na nogach, Andrew?! Miałam zamiar chlusnąć tą wodą na twarz Pana Zemdlonego. Od dawna marzyłam, żeby tak komuś zrobić, a pan?

Andrew spojrział na żonę.

– To Naomi, producentka – przedstawiła ją Elizabeth.

– W takim razie cieszę się, że sam się ocknąłem – powiedział Andrew. – Chyba powinienem zadzwonić do mego prawnika i mieć go cały czas na linii.

Naomi podeszła do kanapy i usiadła obok Andrew.

– Miałam nadzieję, że nie będzie to konieczne. – Pstryknęła palcami do nie-Lydii, która skinęła głową i sięgnęła do przepastnej torby stojącej u jej stóp.

– Lepiej by było, gdyby się tam nie znalazła paczka z gotówką – zauważył Andrew.

– Słuszna uwaga, nikomu nie jest ona potrzebna – odpowiedziała Naomi, przewracając oczami. Nie-Lydia podała jej spory plik kartek.

Elizabeth pochyliła się do przodu. Próbowwała zobaczyć, co na nich jest napisane, ale Andrew sięgnął po nie i przygarbił się, jakby był kujonem z piątej klasy, który zasłania przez wzrokiem kolegów swój test z ortografii.

Kartki były zapisane ręką Lydii. Strona po stronie usiane jej drobnym, starannym pismem, kanciastymi literami pochylonymi na prawo. Andrew w wielu miejscach dostrzegł swoje imię. *I później Andrew mnie pocałował. Wiedziałam, że myślami był gdzie indziej, może nawet w bibliotece, albo przy tej głupiej i nudnej Elizabeth... Andrew znowu przyszedł dzisiaj wieczorem, powiedział mi, że według niego dziewczyny perkusistki są sexy, a ja go spoliczkowałam. Roześmiał się, a potem rznąliśmy się na podłodze w kuchni...*

– Kto to widział? – Andrew czuł, że się czerwieni.

– Co to są za kartki? Ja też chcę zobaczyć! – Elizabeth wyciągnęła rękę, ale Andrew schował plik pod nogami.

Spojrzał na Naomi.

– Do czego to wszystko zmierza? – zapytał.

– Posłuchaj, Andrew – powiedziała Naomi, składając dłonie. – Wiem, że niechętnie się odnosisz do naszego projektu, dlatego też postanowiłam tu przyjechać i osobiście wyjaśnić ci wszystkie wątpliwości. Możemy mówić swobodnie? – Przeniosła wzrok na Elizabeth.

– Chodźmy na zewnątrz – zaproponował Andrew, powoli wstając.

– Żartujesz sobie?! – oburzyła się Elizabeth. – Przyglądałeś się, jak z własnej pochwy wypycham twoje dziecko, a ja nie mogę słuchać, jak rozmawiasz z Naomi?

– Nie byłem wtajemniczony w poprzednie rozmowy, więc chyba należy mi się jakaś sprawiedliwość – stwierdził Andrew. – Chodźmy – zwrócił się do Naomi, która wzruszyła ramionami.

– Trzymaj się, Darcey – powiedziała, a Darcey również wzruszyła ramionami.

Andrew czuł się nieswojo, patrząc na Darcey, więc szybko odwrócił się do Naomi, która tylko poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie słowo: „Przepraszam” do Elizabeth, a potem uśmiechnęła się promiennie. Andrew otworzył drzwi i je przytrzymał, ustępując drogi Naomi, po czym podążył za nią. Drzwi same się zatrzasnęły za jego plecami.

– W Ditmas Park jest tak przytulnie – zachwycała się Naomi. – Atmosfera jak na przedmieściach, ale ani śladu tamtejszego brudu! – Przesunęła palcem wzdłuż poręczy werandy, uniosła go i dokładnie obejrzała. – Takie autentyczne miejsce.

– Co to jest? – Andrew pomachał jej przed oczami plikiem kartek. Starał się oddychać głęboko, przeponą wypychać powietrze z płuc do trzeciego oka.

– Kilka przykładowych stron z pamiętnika Lydii. – Naomi otworzyła szeroko oczy. – Z bardzo szczegółowymi zapiskami.

– Owszem, widzę. Ale moje pytanie brzmi: Co robisz tutaj, w moim domu, z tymi kartami? – Mocno zacisnął zęby.

– Chciałabym poznać twoje zastrzeżenia co do przedstawienia historii jej życia na dużym ekranie. Nie mamy zamiaru zrobić z niej Świętej Lydii, jeśli tego się obawiasz. Widziałeś *Raya*? *Spacer po linie*? To były filmy o ludziach o wyjątkowo złożonej osobowości. Właśnie takie kręcimy. Ten będzie miał trochę z *Raya*, trochę z *Sida i Nancy*, tylko bez Sida, i trochę z *Córki górnika*, tylko zamiast górnika będzie ortopeda ze Scarsdale.

Andrew roześmiał się mimo woli.

– Posłuchaj, ona cię kochała, a ty jej nie, ja to rozumiem. Potem ona zostaje wielką gwiazdą. Później umiera. Dziwna sytuacja. A teraz ktoś chce tę historię pokazać na dużym ekranie, a ty czujesz się jak kawał drania.

– Nie w tym tkwi problem. – Andrew skrzyżował ręce. Było ich wiele. Przemknął mu przez głowę obraz Harry’ego oglądającego film, w którym jego ojciec sypia z nieżyjącą już gwiazdą. Reklamy *Sama sobie jestem panią* pojawią się w radiu i telewizji, plakaty filmowe znajdą się na bokach autobusów. Nie chciał oglądać twarzy

Lydii, nawet gdyby miała to być twarz Lydii, która nie jest Lydią. Skąd by zadzwonili i zapytali, co zrobił w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Z programu telewizyjnego *Entertainment Tonight*? Nie chciał się czuć stary. Nie chciał się czuć jak drugoplanowy bohater w historii czyjegoś życia. Nie chciał, żeby znienawidziła go własna żona. Nie chciał, żeby jego żona go opuściła. Nie chciał, żeby jego żona pomyślała, że ożenił się z nią przez przypadek, używając podstęp. Nie chciał się czuć jak nieudacznik. Nie chciał się czuć jak bogaty gnojek, który nigdy na nic nie musiał sam zapracować. Nie chciał się czuć towarem na sprzedaż. Nie chciał się czuć tak, jakby Elizabeth się sprzedawała dla Lydii. Nie chciał mieć poczucia, że wybrał niewłaściwe życie, że związał się z niewłaściwą partnerką. Nie chciał siedzieć w ciemnym pomieszczeniu i oglądać siebie popełniającego błędy. Nie chciał doświadczyć żadnego z tych uczuć. – A może właśnie problem tkwi w tym, o czym ona mówi?

– Andrew, masz do wyboru dwie możliwości. Upierać się przy swoim i doprowadzić do tego, że będziemy zmuszeni udowodnić, że twoja żona podpisała się za ciebie, i wiele osób postawić w trudnej sytuacji. Albo podpisać formularz i wyrazić zgodę. Wiem, że termin „prawa do życia” brzmi jak zgoda na eutanazję, ale możesz mi wierzyć, że nasi specjaliści pracują nad tym sformułowaniem. Pozwól mi więc wytłumaczyć ci je precyzyjnie: nie przekazujesz nam praw do całego swojego życia. Dajesz tylko pozwolenie na wprowadzenie do filmu postaci, która ma coś wspólnego z tobą. To wszystko. Ten bohater nie będzie miał twojej twarzy. Może nawet nie mieć twego imienia.

Andrew poczuł niepokój, że cała praca, którą wykonał w EWOLUtorium, sprawiła, że jego wnętrze stało się widoczne na zewnątrz, wyraźnie jak olbrzymi, migający neon.

– Czyli taki mam wybór? Walczyć albo się podłożyć? – Dzień był upalny. Na górnej wardze poczuł kropelki lepkiego potu.

– Mamy wybornych prawników. Wiem, że dysponujesz wielkimi pieniędzmi, a więc prawdopodobnie i ty masz bardzo dobrego specjalistę, ale nasi są jak gwiazdy rocka.

Andrew się wzdrygnął.

– Niejasno się wyraziłam. Nasi nie mają sobie równych, to chciałam powiedzieć. Jestem pewna, że wszyscy możemy dojść do porozumienia. Wystarczy zaakceptować, że ten film powstanie. Ale to tylko film. Wejdzie na ekrany, a potem z nich zniknie. Taka jest kolej rzeczy.

– Widzę, że przyjechałaś tu, żeby mi powiedzieć, że nie mam wyboru.

Naomi wykonała obrót głową, czemu towarzyszył spektakularny chrzęst.

– Mniej więcej. To znaczy masz wybór, ale taki jak u dentysty. Możesz go ugryźć i zacisnąć zęby, ale wtedy cała sprawa tylko dłużej się będzie ciągnąć. Jestem tu, żeby cię przekonać, żebyś otworzyła usta i powiedział „Aaach”. Może nawet ci się spodoba.

– Dentysta?

– Film. Z doświadczenia wiem, że ludzie często są zadowoleni, gdy oglądają historie swego życia w wersji ekranowej. Nie każdemu nadarza się taka okazja.

Nagle Andrew usłyszał stłumione, metaliczne dźwięki *Sama sobie jestem panią*.

– Dzwoni mój telefon – powiedziała Naomi i sięgnęła do kieszeni.

– Żartujesz? – zdumiał się Andrew.

– Przepraszam cię – powiedziała Naomi. Odebrała telefon i zeszła ze schodów werandy na chodnik.

W głowie Andrew brzmiała piosenka jego życia w tandetnej wersji karaoke. Zamknął oczy i wyobraził sobie fale oceanu rozbijające się nad jego głową, które wyciągają go na otwarte wody.

Rozdział 60

Darcey uśmiechała się uprzejmie, ale Elizabeth miała nieodparte wrażenie, że tamta krąży myślami gdzie indziej – może pochłaniało ją konstruowanie roli. Aktorka, ubrana w czarny podkoszulek i obcięte szorty, była szczuplejsza od Lydii z czasów Oberlin, ale na tym polega sztuka filmowa – cudem znika skórka pomarańczowa i niedoskonałości cery. Elizabeth odchyliła się do tyłu i wyjrzała przez okno. Figurą Darcey znacznie różniła się od Lydii, brakowało jej krzepy. I szczeciniastego owłosienia na nogach.

– Co się tam dzieje? – Elizabeth nie widziała twarzy Naomi, która stała przodem do ulicy. Andrew wyglądał na rozwścieczonego, ale w pewnej chwili się roześmiał. Była zdezorientowana.

– Och! – nagle odezwała się Darcey. Ponownie sięgnęła do torby stojącej przy jej stopach. – Mam tu egzemplarz dla ciebie. – Wyjęła zeszyt w marmurkowej okładce i podała go Elizabeth. – Koniecznie powinnaś poznać moją koleżankę, Georgię, która gra ciebie. Ty naprawdę wyglądasz jak ty. Uderzające podobieństwo, mogłabyś być jej mamą. Ona jest okropnie sztywna i to ja ją ciągle do czegoś namawiam, na przykład, żebyśmy poszły pobiegać nago! Jest bardzo śmiesznie. – Darcey kołysała się do przodu i do tyłu. – Mamy ubaw po pachy.

– Dziękuję – powiedziała Elizabeth i powoli otworzyła zeszyt. Lydia miała charakterystyczne pismo – utrwalone na papierze ręką osoby o skrupulatnie skonstruowanej osobowości. Jego wzorzec prawdopodobnie znajduje się w *Kryteriach diagnostycznych według DSM* i służy do rozpoznawania narcystycznego zaburzenia osobowości. – Czuję się niezręcznie, chyba nie powinnam zaglądać, prawda?

Darcey skinęła głową.

– To samo powiedziałyby Georgia. Jako ty. Klasyczny przypadek ofiary.

– Słucham? – zdumiała się Elizabeth, ale przeczytała kilka zdań i od razu zrozumiała.

Elizabeth nie знаła uczucia zazdrości o chłopaka. Uważała, że kieruje ono ludźmi pozbawionymi wiary w siebie. Ona natomiast zawsze była niezłomna jak drzewo. Pamięta, jak pod sam koniec ciąży z Harrym, podczas ostatniej wizyty kontrolnej, dowiedziała się, że dziecko jest ogromne. Po badaniu niezgrabnie zsuwała się z fotela ginekologicznego przykrytego prześcieradłem celulozowym, a lekarz spojrzął na jej biodra i powiedział: „Poradzi sobie pani bez problemu”. Nie poczuła się dotknięta. Zoe od razu by się rozpląkała. Lydia zrobiłaby karczemną awanturę. Elizabeth natomiast pomyślała: „Oczywiście, że sobie poradzę”. Nie była chodzącym ideałem, oczywiście, że nie. Kłua ją zazdrość o Zoe, o inne dziewczyny też, zazdrościła przyjaciółkom ze szkoły średniej, młodym matkom, z którymi spotykała się na herbacie, gdy Harry był mały. Ale nie była zazdrosną dziewczyną – jeśli chodzi o związek z chłopakiem. Ciekawe zagadnienie dla specjalisty od analizy matematycznej z dziedziny psychologii. Elizabeth po dwudziestu latach gotowała się ze złości? Pomyślała o spotkaniu w restauracji, o Lydii, która przytuliła się do Andrew, o wzroku Lydii, która zawsze patrzyła na nią oczami krokodyla. Owszem, Elizabeth była wściekła.

– Przepraszam – powiedziała Elizabeth. Wstała i wygładziła spódnicę.

Darcey wyjęła telefon i pisała wiadomość, prawdopodobnie do Georgii, donosząc jej, że właśnie się stało to, co przypuszczała.

Elizabeth chwilę się wahała. Powoli podeszła do drzwi i je otworzyła. Andrew siedział na ganku z zamkniętymi oczami. Naomi stała w połowie drogi do skrzyżowania i głośno śmiała się do telefonu.

– Andrew? – odezwała się Elizabeth.

Otworzył oczy i spojrzał na zeszyt, który trzymała w dłoni.

– Psia krew! – mruknął.

– Właśnie – powiedziała Elizabeth. – Chyba pojawił się problem.

– Co tam przeczytałaś? – Andrew włożył palce do ust, nerwowo je przygryzał.

– Czy to ważne? Ona przecież tego wszystkiego nie wymyśliła. Sypialiście ze sobą, prawda? – Elizabeth słyszała własny głos, który rozbrzmiewał coraz głośniejsze, narastał gwałtownie, aż osiągnął poziom syreny alarmowej wozu strażackiego. Sąsiedzi na pewno ją słyszą. Nie mogła jednak nic na to poradzić. W całym swoim dzieciństwie ani razu nie słyszała, żeby jej rodzice rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, przez całe dzieciństwo Harry’ego krzyknęła tylko wtedy, gdy szykował się do skoku z czegoś, z czego nie powinien, albo próbował polizać gniazdko elektryczne. Nie miała zwyczaju krzyczeć. Mimo to jej głos rozlegał się tak głośno, że aż dzwonił jej w uszach.

– Tylko kilka razy. Z sześć, najwyżej. Lizzy, od tamtego czasu minęły wieki.

– Andrew ruszył w jej kierunku, ale Elizabeth uniosła otwarte dłonie – stop, czerwone światło. Wokół głowy Andrew krążyły rozdrażnione pszczoły, od których oganiał się ręką, a Elizabeth zapragnęła, żeby użądliły go wszystkie jednocześnie.

– Oczywiście, nie zamierzałaś mi o tym powiedzieć. – Wciąż trzymała ręce wyciągnięte przed siebie.

Andrew pokręcił głową.

– Nie sądziłem, że ma to jakiegokolwiek znaczenie. To znaczy teraz. Wtedy nawet nie byliśmy małżeństwem. Nie uważasz, że jest pewna różnica?

– Owszem, tak. Według mnie tak. Dla mnie jest różnica, bo wyszłam za ciebie, nie wiedząc, że mnie oszukiwałeś. Twoim zdaniem ta okoliczność nie miałaby wpływu na moją decyzję? Nie oczekiwałam, że będziesz nietkniętym kawalerem, ale coś takiego, Andrew?! – Elizabeth usłyszała szmer dobiegający z domu i odwróciła się w stronę okna. Zobaczyła Darcey, która stała pochylona z uchem przy szybie. Pomachała do Elizabeth.

– Jezu! – jęknęła Elizabeth. – Wszędzie jej pełno!

– Miałem zamiar ci powiedzieć. – Andrew złożył ręce na piersiach.

– Dopiero przed chwilą słyszałam, że nie miałeś takiego zamiaru! – krzyknęła Elizabeth głosem wyższym o kilka oktaw. Gdyby wcześniej znała możliwości swego głosu, Pociąg do Kitty byłby o wiele lepszym zespołem. Po drugiej stronie ulicy jedna z ich najbardziej wścibskich sąsiadek, wysoka kobieta, właścicielka owczarka niemieckiego, odwróciła się i pomachała ręką. „Powodzenia przy sprzedaży jej domu”, pomyślała Elizabeth.

– Wtedy nie miałem. Ale w związku z filmem i w tej sytuacji... – Wskazał na Darcey, która wciąż jak skrzat tkwiła w oknie. – Doszedłem do wniosku, że będę musiał.

Nie twierdzą, że na tę chwilę czekałem z niecierpliwością, ale nie spodziewałem się, że będzie aż taki dramat.

Elizabeth poczuła, jakby kamień włosowy utknął jej gardle, i zakasłała.

– Bardzo mi przykro, że tak cię los doświadczył.

– Daj spokój, Lizzy – powiedział Andrew, ale wyraźnie bez przekonania.

– Wiesz co, kochanie? – Elizabeth próbowała przybrać ton swojej matki, spokojny i opanowany. – Proponuję, żebyś poszedł na noc do domu twego instruktora jogi. Mają tam jakieś łóżka, prawda? – Roześmiała się. – Oczywiście, że mają. Po co w ogóle pytam?! Z dziewczynami w komplecie! Chcę, żebyś spędził tam noc, dobrze? Bo ja nie mogę na ciebie patrzeć. – Opanowanie szybko ją opuściło, pozostawiając po sobie czerwone policzki i oczy pełne łez. Odwróciła się i zapukała w okno, aż Darcey się wzdrygnęła. – A ty – krzyknęła przez szybę – wynoś się stąd!

Darcey skromnie dotknęła ręką do klatki piersiowej: *Moi?* Elizabeth krzyknęła głośniej i Darcey czym prędzej rzuciła się do drzwi.

– Mogę dostać pamiętnik z powrotem? – zapytała po drodze. Elizabeth tylko groźnie na nią spojrzała. – Potrzebuję go do przygotowania roli.

– Niech Naomi przyjdzie po niego później – powiedziała Elizabeth. – A teraz do widzenia, już was tu nie widzę, wszystkich. – Odgarnęła z czoła włosy, które przykleiły się do niego pojedynczymi kosmykami, i schowała je za uszy. – Idę pod prysznic. Jak wyjdę z łazienki, nikogo z was tu nie ma. – Wciąż słyszała gardłowy śmiech Naomi, który odbijał się echem od chodnika. – Jej też – dodała.

Weszła do domu i głośno zamknęła za sobą drzwi. Niewiele brakowało, a przytrzasnęłyby ogon Iggy'emu. Chciała zadzwonić do kogoś, ale nikt jej nie przychodził do głowy, więc od razu skierowała się na górę, prosto do łazienki. W wannie panował bałagan – Harry użył chyba wszystkich ręczników z wieszaka, a potem porzucił je wszędzie, jakby próbował usunąć krew z miejsca zbrodni, ale Elizabeth nie miała zamiaru reagować. Stała na stercie wilgotnych ręczników, odkręciła kran z zimną wodą i w ubraniu weszła pod prysznic.

Rozdział 61

Seks po długiej przerwie działał lepiej niż przymierzanie drogich sukienek w domu handlowym Barneys. Był lepszy od poddania się zabiegowi kosmetycznemu twarzy w wykonaniu jej ulubionej wschodnioeuropejskiej sadystki. Lepszy od świeżej ricotty na grzankach. Zoe czuła się jak dwudziestopięciolatka. No może trzydziestopięciolatka. Tak czy inaczej, czuła się młoda, krew żywiej krążyła jej w żyłach. Wyciskający siódme poty, upalny, brookliński sierpień nie wydawał jej się tak dokuczliwy jak zazwyczaj, mimo to uległa kapryswi i na portalu AirBnB zarezerwowała dwa noclegi w Montauk. Zostawiła czterdzieści dolarów na kuchennym blacie dla Ruby, żeby sobie zamówiła kolację. Była środa. Prace w restauracji potrwały jeszcze przez kilka tygodni, co najmniej, a obie z Jane od długiego czasu całymi dniami tam przesiadywały i wszystkiego doglądały. Trochę wolnego dobrze im robi. Zoe schowała kilka wibratorów na dnie torby i wkrótce potem, trzymając się za ręce, jechały samochodem autostradą międzystanową na wskroś przecinającą Long Island.

Mały wynajęty dom znajdował się tuż przy plaży Ditch Plains, ulubionym miejscu surferów i ich wielbicieli. Wszyscy młodzi, z bosymi stopami, piaskowymi blond włosami przejaśnionymi od słońca – Zoe byłaby gotowa ich połknąć w całości. Lubiła wspominać czasy swojej wczesnej młodości, kiedy dorastała w pobliżu plaży, i ogarniał ją smutek, że w Nowym Jorku, który wprawdzie leży na wybrzeżu, nie jest tak samo. Ruby i znajomi nie mieli zwyczaju uciekać ze szkoły, żeby popływać na desce albo posiedzieć przy ognisku na piasku. Zoe trzymała Jane za rękę. Spacerowały po plaży, przystawały, zbierały piękne muszelki, a pęknięte wrzucały z powrotem do oceanu.

– Jak ci idzie praca domowa? – zapytała Zoe. Nie prowadziła dzienniczka dla doktor Amelii, w każdym razie nie na papierze. W jej odczuciu prowadzenie go było antytezą ich związku, w którym przede wszystkim liczyły się pasja i smak. Zoe nigdy nie lubiła bezproduktywnych zajęć, a to za takie uważała. W rzeczywistości chodziło tylko o to, żeby uporały się ze swoimi problemami. O decyzję: tak czy nie! W jedną czy w drugą stronę! Jak, do diabła, lista problemów miała im pomóc odpowiedzieć na te pytania?

– Nawet mi się podoba – stwierdziła Jane. Słodka Jane. Zoe, zanim nabrała pewności co do swojej orientacji homoseksualnej i nieporadnie poznawała ciała innych nastolatków w ich sypialniach, romansowała z chłopcami podobnymi do Jane – wysokimi, o jasnych włosach, ogorzałymi od słońca. W domu, w nocy, ich urocze, małe brzuchy nieopalone pod bielizną obijały się o siebie w ciemności. Po zbliżeniu ze swoją pierwszą dziewczyną poczuła ogromną ulgę, nagle niezdarne poszturchiwania poszły we właściwym kierunku. Nie z każdą było tak jak z Zoe, oczywiście – znała wiele biseksualnych kobiet, ale sama do takich się nie zaliczała. Kochała ludzkie ciało i piękno. Owszem, twarz Brada Pitta wzbudzała w niej zachwyt, ale nie był to dla niej wystarczający powód, żeby chcieć na niej siadać.

Odezwał się telefon Zoe.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziała i wyjęła go z kieszeni. Elizabeth.

Nacisnęła klawisz „Odrzuć” i schowała telefon, ale znów się rozdzwonił. – Pewnie przez nieuwagę wybrała ten sam numer – stwierdziła, ale telefon wciąż dzwonił. Jane wzruszyła ramionami, więc Zoe się zgłosiła. – Co się stało? – zapytała, zatykając palcem drugie ucho, bo szum fal zakłócał odbiór. – Zaraz, zaraz, uspokój się, nie tak prędko! Powiedz, co się stało. Wszystko w porządku? Zaczekaj chwilę, ledwie cię słyszę.

Jane machnęła ręką, pokazała Zoe, żeby zeszła z plaży, bo poza nią będzie ciszej, a sama się odwróciła i poszła nad brzeg wody. Zdjęła buty. Delikatne fale omywały jej stopy.

– Mów od początku, teraz lepiej cię słyszę – powiedziała Zoe.

Po tamtej stronie Elizabeth zaczerpnęła powietrza i przeszła do opowieści o Darcey, Naomi, Lydii, Andrew i nieprawdziwej Lydii, która przyglądała się przez okno, jak Elizabeth krzyczała na męża. Szlochała, raz po raz robiła krótkie przerwy na wydmuchanie nosa. Zoe chciała powiedzieć, że od dawna o wszystkim wiedziała. Zasadniczo, w gruncie rzeczy, wiedziała, że coś łączy Andrew z Lydią i że Andrew pod pewnymi względami jest zwykłym bęcwałem, ale nawet gdyby o tym powiedziała, w niczym by nie pomogła. Zdobyła się tylko na „Och, kochanie”. Od bardzo dawna Elizabeth nie zadzwoniła do niej cała w nerwach, które nie miały nic wspólnego z dziwną wysypką na tyłku Harry’ego albo z pytaniem, jak go zapisać na letni obóz. Ale też wiele czasu minęło, odkąd wszystkie sprawy wydawały się tak bardzo naglące. Gorączkowanie się było zarezerwowane dla młodszych: dla nastolatków i rozhisteryzowanych dwudziestoparolatków, dla rodziców przesadnie natrząsających się nad zdrowiem swoich dzieci. Gdy przychodzi wiek dojrzały, pilną sprawą staje się wiadomość o chorobie rodziców, w związku z którą trzeba jak najszybciej kupić bilet lotniczy i do zera nie wyczyścić karty kredytowej. Między jednym okresem a drugim jest czas na spokojne życie na autopilocie. Dzieci są w szkole. Małżeństwo toczy się swoim torem. Wszystkie sprawy układają się mniej więcej dobrze.

Jane stała zwrócona twarzą do oceanu. Odchyliła się lekko do tyłu i znad paska od spodni wyjrzało jej ciało wypchnięte westchnieniem. Ćwiczenia fizyczne nigdy nie mieściły się w sferze zainteresowań Jane – żadne bieganie, żadne sporty zespołowe ani joga. Nudy, nic więcej. Prawdopodobnie chwyci ją atak serca w okolicy sześćdziesiątki, ale taką sytuację Zoe potrafiła sobie wyobrazić tylko w wersji humorystycznej: je obie w sali szpitalnej i Jane opowiadającą Zoe, które pielęgniarki się w niej kochają. Trzymałyby się za ręce pod wykrochmalonymi prześcieradłami i fizelinowymi fartuchami i patrzyły przez okno na miasto.

Elizabeth wciąż mówiła. Jej głos brzmiał bezbarwnie, wydawało się, że przez cały czas krąży po kuchni – rozlegał się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. W pewnej chwili Zoe usłyszała plusk wody w toalecie.

– Co z tobą? Gdzie jest teraz Andrew? – Zoe pomachała do Jane, kilka razy pstryknęła palcami, próbując zwrócić na siebie uwagę, ale wiatr porywał ze sobą takie delikatne dźwięki.

Trudno było stwierdzić, czy Elizabeth bełkocze czy może w nosie chlupocze jej nadmiar wydzieliny.

– Ty pijesz? – Ledwie minęło południe. Szloch zmienił się w lament, który Zoe

uznała za odpowiedź twierdzącą. Rozmowa toczyła się tak, jakby ktoś próbował się telefonicznie porozumieć z chihuahua. – Posłuchaj – powiedziała. – Jane pewnie mnie za to zamorduje, ale chyba najlepiej będzie, jeśli przyjedziesz tu do nas. Wsiądź do pociągu, a my odbierzemy cię na stacji. Będziesz tu przed kolacją. Zjemy małże i porozmawiamy, zastanowimy się, co masz zrobić z tym swoim cholernym mężem. Zgoda? Wychodź. Zaraz ci wyślę wszystkie informacje. Dobrze?

Elizabeth apatycznie przyjęła zaproszenie, a gdy się rozłączyła, Zoe podniosła wzrok i zobaczyła, że Jane się oddaliła, poszła na spacer wzdłuż plaży. Nie miała butów ani portfela, ani kluczy – te rzeczy znajdowały się w torebce Zoe. Małżeństwo polega na zaufaniu i życzliwości. Zoe i Jane znajdowały się w dziwnej fazie swego związku, a może z niej wychodziły, rany dopiero lekko się zabiłiły, ale głos Elizabeth jasno wskazał, że tuż obok sprawy mają się o wiele gorzej. Trudne chwile nie zdarzają się ludziom po kolei, nie dotykają raz jednego, raz drugiego, ale wszystkich po trochu w tym samym czasie, idą w parze jak deszcz i kałuże. Zoe mogła zaprosić Elizabeth – powody swego kroku zdoła wytłumaczyć Jane – ponieważ wiedziała, że niebo nad nimi się przejaśnia, a nad głową jej przyjaciółki zawisły ciężkie, ciemne chmury.

Rozdział 62

Andrew nie lubił, żeby ktoś nim dyrygował, ale wiedział aż za dobrze, że lepiej zejść Elizabeth z oczu, kiedy ona ziele ogniem. W czasie trwania ich małżeństwa zdarzyło się to zaledwie kilka razy: kiedy jej młodszy brat naćpany i kompletnie pijany wjechał samochodem w drzewo i wyszedł z wypadku z tylko lekkimi zadrapaniami i kiedy Andrew przez nieuwagę kupił kanapki z homarem dla kolegi Harry'ego, który był uczulony na owoce morza – chłopakowi nic się nie stało, na całym ciele wystąpiły mu pęcherze, ale żadnych poważnych komplikacji nie było. Andrew poszedł przygarbiony do EWOLUtorium. Pragnął, żeby najbliżsi sąsiedzi – pomarszczone staruszki siedzące przed biblioteką, właściciele psów, którzy wyprowadzili je na spacer – dali mu święty spokój, a oni postąpili tak, jak sobie życzył. Nikt, kogo normalnie Andrew pozdrowiał, z uśmiechem machając ręką, nie doczekał się z jego strony tego, co zawsze otrzymywał.

W EWOLUtorium trwały zajęcia jogi, więc wszedł najciszej jak potrafił, zdjął buty i postawił je przy drzwiach wejściowych. Salome mrugnęła do niego ze swego miejsca przy ołtarzu i dała mu znak, żeby udał się na górę. Andrew, przekraczając uczestników zajęć leżących na brzuchu – ciągle przybywali nowi, na każdych zajęciach był komplet ćwiczących – dotarł do schodów i na palcach wszedł na piętro.

Dave zwykle korzystał z sypialni na samym końcu korytarza, prawie pustego pomieszczenia z kilkoma półkami z cedrowych klocków, na których trzymał swoje święte teksty – *Bhagawadgitę*, kilka książek Pemy Cziedryn i kilka Sharon Salzberg, *Drogę artysty*, *Jak wyzwolić w sobie twórcę*, kilka poradników na temat roślin leczniczych i *Medytację dla opornych*, która zdaniem Andrew świadczyła o poczuciu humoru Dave'a, cechy rzadko spotykanej u guru. Nawet o jego skromności. Pobyt w domu sprawił, że powoli się uspokajał i nawet zaczął się zastanawiać, jak opowie Dave'owi o scysji z Elizabeth. „Wiesz, to dość zabawna historia”. Opowie mu o Lydii i o swojej młodości, a Dave będzie kiwał głową, może gładził się po brodzie i doskonale go zrozumie. Andrew uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie tę sytuację. Nic wielkiego się nie stało między nim a Lydią. Lodowa bryła tajemnicy powoli topniała. Elizabeth najprawdopodobniej wkrótce dojdzie do siebie – to przecież były wiadomości z zamierzonych czasów, które nie mają żadnego wpływu na ich przyszłość. Idąc korytarzem, Andrew ćwiczył krążenie barkami. Odchrząknął i zapukał do drzwi sypialni Dave'a.

– Chwileczkę – powiedział Dave.

Andrew stuknął kciukiem o kciuk. Drzwi się otworzyły i wyszły dwie młode kobiety owinięte prześcieradłami, a pod nimi nagie. Za ich plecami Andrew zobaczył gołe pośladki Dave'a, który stał przodem do okna. Wychodziło na podwórze domu, a więc żaden przechodzień nie mógł go dostrzec, ale w oknie nie było zasłon, a Brooklyn to Brooklyn, więc prawdopodobieństwo, że ktoś z sąsiedniej kamienicy zobaczy jego klejnoty, było bardzo duże. Dave odwrócił się do Andrew. W dalszym ciągu miał erekcję, penis wycelowany w Andrew wyglądał tak, jakby się uniósł na jego powitanie.

– Och, przepraszam – powiedział Andrew. Zamknął oczy i skierował się do

wyjścia. – Mogę przyjść później. – Niemal w tej samej chwili uznał, że zareagował przesadnie wstydliwie, więc zawrócił i stanął na wprost Dave’a.

Dave oparł dłonie na biodrach i spoglądał na siebie z zadowoleniem.

– Nie widzę powodu, żeby się okrywać. Piękny widok, jak z obrazka! – Roześmiał się i schylił po szorty, które leżały na podłodze.

Andrew miał właśnie otworzyć usta i zacząć wylewać wcześniej przećwiczone małżeńskie żale, ale zanim zdążył wydobyć z siebie pierwsze słowo, odezwał się Dave.

– Posłuchaj, przyjacielu, cieszę się, że jesteś. Dziś rano otrzymałem wiadomości. Od władz miasta. Nic z tego nie będzie. – Dave wyciągnął ręce nad głowę i przechylił się w lewo. Jego silnie zbudowane ciało rozciągnęło się jak naprężona gumowa taśma.

– Z czego nic nie będzie? – Andrew skrzyżował ręce.

– Miasto odmówiło wydania ponownej decyzji o zagospodarowaniu terenu. Nie powstanie żaden hotel, w każdym razie nie w tej lokalizacji. Nawet dobrze się składa – zaczęły do mnie dochodzić informacje o niezbyt przychylnych nastrojach sąsiadów, więc chyba ktoś nas sypnął, rozumiesz? Że też ludzie potrafią być do tego stopnia negatywnie nastawieni. – Dave przeciągnął się w drugą stronę.

– Ach tak, cholera, to beznadziejnie. – Andrew usłyszał kruczenie i bulgotanie w żołądku. Położył dłoń na brzuchu. – I co teraz?

– Szukamy nowej lokalizacji. Rezygnujemy z dotychczasowych planów – będziemy musieli od początku wykonać projekty, ale główna koncepcja pozostaje. Trzeba tylko znaleźć nową działkę. Takie rzeczy się zdarzają. – Dave się wyprostował i poklepał Andrew po przedramieniu. – To wszystko jest częścią procedury. Gorszy scenariusz. Musimy pozyskać nieco więcej środków, może rozejrzeć się po Long Island albo trochę wyżej, w dolinie Hudson. Tam jest sporo gruntów. Czyli czekamy.

– Ale przecież nasz projekt miał być częścią koncepcji ożywienia Rockaways. Wprowadzenia biznesu na tamte tereny. Ja też mam dokumenty od moich prawników – powiedział Andrew i nagle poczuł niepokój w jelitach. – Zaraz wrócę – rzucił i szybko udał się do łazienki w holu.

W środku natknął się na dwie młode kobiety, ale nie te w prześcieradłach. Do EWOLutorium wciąż przybywały całe zastępy nowych dwudziestotrzylatek. Ich młodość do tego stopnia wytrąciła Andrew z równowagi, że niepokój w jelitach bardzo się zaostrzył.

– Przepraszam – powiedział i zamknął za sobą drzwi kabiny. Ledwie zdążył usiąść na sedesie, nastąpiło nicowanie kiszek. Dobięł go chichot dziewczyn, które w pośpiechu uciekły, a jemu bezwładnie opadła głowa. Wsparł ją na rękach.

Wtedy brzęknął jego telefon. Wyjął go z kieszeni i przytrzymał między udami. Przyszła wiadomość od Elizabeth: „Zostanę na noc w Montauk z Zoe i Jane. Jak chcesz, możesz iść do domu. Nakarm Harry’ego”. Pojawił się dymek z trzema kropkami – pisała coś jeszcze, ale po chwili wszystko zniknęło. Odczekał kilka minut, ale się rozłączyła. Takie zachowanie nie było podobne do Elizabeth, zawsze do niego należał ostatni ruch – melodramatyczne zejście ze sceny. Andrew dwa razy spuścił wodę, umył ręce. Chciał poczuć, że zasługuje na żonę. Chciał poczuć, że zasługuje na swojego pięknego chłopca. Chciał mieć pewność, że ich małżeństwo jest na tyle silne, że zdołają pokonać zmory

z przeszłości. Czyż nie wszyscy w skrytości ducha myślą, że ich mała łódź wiosłowa jest solidna i że przepłyną w niej cały ocean?

Otworzył drzwi i wyszedł z łazienki. Zauważył jedną z młodych kobiet, które wymknęły się z łóżka Dave'a. Stała w holu oparta o ścianę. Zdążyła się ubrać, choć raczej skąpo, a Andrew poczuł się jak napalony zbereźnik, bo zwrócił na to uwagę.

– Jestem Lena. A ty jesteś Andrew? – Wyciągnęła do niego rękę, a on nieporadnie podał jej dłoń zamkniętą w pięść.

– Mam mokre ręce – wyjaśnił.

– Nie szkodzi – powiedziała Lena. Miała kręcone włosy i pieprzyk na policzku.

– Znasz Ruby, prawda?

– Ruby Kahn-Bennett? – Andrew zaniepokoił się, że ta dziewczyna, Lena, chodzi do szkoły z Harrym.

– Tak myślałam. Była tutaj kilka razy. Zadawała różne pytania. Chyba się o ciebie martwi.

– Martwi się o mnie? Ruby? – Andrew przeczesał palcami włosy. – Nie ma w tym żadnego sensu.

W drzwiach pojawił się Dave, wciąż półnagi.

– Poznaliście się! Doskonale. Lena robi u nas najlepszy masaż reiki. Powinieneś spróbować, ma magiczne ręce, serio. Możesz zejść na dół, wziąć sobie kombucę i wrócić, to jeszcze porozmawiamy?

Lena przyglądała się Andrew spod półprzymkniętych powiek. Wydawało mu się, że potrząsnęła głową, bardzo delikatnie, niemal niezauważalnie, zanim odwróciła się do Dave'a i w uśmiechu pokazała wszystkie zęby.

– Owszem. Zatrzymałem się na chwilę, żeby się przywitać. Wkrótce będę u ciebie, dobrze?

– Jasne, oczywiście – powiedział Dave. Uniósł palce ułożone w znak zwycięstwa.

– Lena, możesz popracować nad moim karkiem? – Mrugnął do Andrew i wrócił do pokoju.

Dziewczyna bez słowa podążyła za nim.

Rozdział 63

Harry'emu spodobał się pomysł z wielkim gestem. Do tej pory za każdym razem przynosił dobre efekty. Od pożaru prawie każdą noc spędzali z Ruby razem. Jego rodzice i jej matka byli na Marsie. Zoe i Jane zamykały się w swoim pokoju albo siedziały przytulone na kanapie, albo śmiały się w kuchni i najwyraźniej nie dostrzegały – czy też w ogóle się tym nie przejmowały – że Harry co wieczór przemyka się po schodach na górę. Jego tata postępował tak samo jak latem, gdy Harry miał dziewięć lat, a on wyjechał na północ stanu, żeby „wędrować po lasach” – tak to ujęła matka. Wrócił do domu z ogoloną głową, opalony i z niewielkim tatuażem na łydce – ósemką, która, jak wyjaśnił, symbolizuje nieskończoność, a także nawiązuje do dnia, w którym urodził się Harry, czyli ósmego października. Najgorzej było z Elizabeth – wszystko wskazywało na to, że w zasadzie przestała chodzić do pracy i myć głowę. Harry usiłował z nią porozmawiać, ale wtedy ona tylko popatrzyła na niego. Starła się nawet przybrać radosny wyraz twarzy, a skończyło się na minie kata mordercy. Harry chciał pomóc, ale chciał również spędzać jak najwięcej czasu z Ruby, Ruby, Ruby.

To ona napomknęła o pierścionku. Mimochodem, gdy oglądali *Kawalera* i tytułowy bohater wybierał pierścionki dla swoich dwóch potencjalnych narzeczonych: Kimberly, higienistki stomatologicznej, i Kenderly, asystentki medycznej. Wszystkie pierścionki na wystawie były tak ogromne, że można by je zobaczyć z kosmosu. Nie wyglądały jak diamenty, ale jak małe szklanki odwrócone do góry dnem. Ruby wystawiła język i parsknęła drwiąco.

– Do porzygania – skwitowała. – Ja bym chciała dostać zupełnie inny. Z czarnym diamentem, maleńkim jak ziarnko maku. Takim małym, żeby nikt go nie mógł zobaczyć, chyba że podetknęłabym mu go pod oczy. Dla kogo są takie pierścionki? Jak ktokolwiek ma w życiu normalnie funkcjonować z czymś takim na palcu? Czy ktoś, kto je nosi, w ogóle zmywa naczynia? Na pewno budzi się rano z zadrapaniami na ciele! Taki pierścień jest najzwyczajniej w świecie niebezpieczny. Nie wspomnę już o wyrzucaniu góry pieniędzy w błoto. To jest naciąganie młodych ludzi, nakłanianie ich do zakupów podstępem, poprzez wszechobecną reklamę.

Harry szukał ziarenka maku. Znał jeden sklep z biżuterią, w którym mieli ciekawe wzory, w Park Slope. Jego matka kilka razy wciągnęła go tam po szkole, bo musiała kupić komuś prezent. Tylko tamto miejsce przychodziło Harry'emu do głowy, ale nie wydawało się takim, jakie mieści się w sferze upodobań Ruby. Spędził więc kilka godzin na oglądaniu pierścionków w serwisie Etsy. Ostatecznie doszedł do wniosku, że sprawa zakupu pierścionka przedstawia się gorzej, niż sądził. Jak miał opisać w internecie rozmiar palca Ruby na podstawie własnych przypuszczeń? Beznadziejna sprawa. Pojechał więc do Slope, chodził po Piątej Alei aż znalazł sklep, którego szukał. Ledwie uchylił drzwi, rozległ się dzwonek. Chciał się natychmiast wycofać, ale młoda kobieta za ladą już czekała uśmiechnięta i pomachała do niego. Stał jak wryty.

– Może spróbuję ci pomóc w wyborze? – Ekspedientka miała ciemne włosy, długą, gęstą grzywkę i ogromny sztyft w nosie.

– Szukam pierścionka. Dla przyjaciółki. Chce mały, z czarnym oczkiem. Znajdzie się taki? Palce ma średniej wielkości, tak mi się zdaje. Dłuższe i trochę grubsze od moich.
– Uniósł dłoń. – Ale nie wiem, o który palec chodzi, naprawdę, a od tego zależy rozmiar.

Kobieta wciągnęła wargi i skinęła głową.

– Mam do zaproponowania kilka wzorów, które mogą ci się spodobać. W jakich granicach cenowych powinniśmy się zmieścić?

Harry nawet nie pomyślał o pieniądzach. Miał kartę kredytową rodziców i z niej zamierzał skorzystać. Nie do końca było to w porządku, ale ani matka, ani ojciec nie interesowali się nim przez całe lato, więc nie przypuszczał, żeby zauważyli niewielki uszczerbek na swojej karcie, zwłaszcza że zakupu dokona w sklepie, który matka lubi. Nie poszedł przecież do Tiffany’ego. Ani do żadnego ze znanych w centrum wytwornych salonów jubilerskich. – Sto? – zawahał się. – Nie bardzo się orientuję.

Kobieta sięgnęła po kasetkę, otworzyła ją i wyjęła kilka pierścionków, które ułożyła na aksamitnej poduszeczce na kontuarze. Jeden miał mały, zielony kamień, drugi różowy, a trzeci – ciemnoczerwony jak kropelka krwi.

– Nie ma żadnego z czarnym oczkiem?

– Mamy jeden – powiedziała. – Ale wydaje mi się, że jest trochę za drogi.

– Przechyliła głowę na bok i przyglądała się Harry’emu. – Ma być dla twojej dziewczyny?

Harry zasłonił usta dłonią i zakasłał. Starał się ukryć rumieniec, który wywołało poczucie dumy.

– Tak.

Uniosła palec i przeszła do innej części kontuaru. Wróciła z pierścionkiem luźno zawieszonym na małym palcu i zaprezentowała go Harry’emu, zanim położyła na poduszeczce.

Pierścionek był idealny – cienka, złota, ażurowa obrączka z drobnymi otworkami i wycięciami, które wyglądały, jakby wydziobał je dzięcioł, a na samym wierzchu czarny kamyczek. Większy od ziarenka maku, ale mniejszy od pestki arbuza i idealnie płaski.

– Ten kosztuje dwieście dziewięćdziesiąt pięć dolarów – powiedziała ekspedientka. – Nie wiem, na ile poważny jest wasz związek.

Harry wziął do ręki pierścionek i włożył go sobie na środkowy palec. Pierścionek zsunął się do kostki palca. Jeśli takie mu rzuca wyzwanie, to nie wie, z kim ma do czynienia.

– Wezmę go – oświadczył i położył na kontuarze kartę kredytową matki.

Rozdział 64

Nadeszła część lata powszechnie uważana za najgorszą. Nowojorczycy wracali z wakacji, rozpakowywali bagaże, robili pranie, przepakowywali się i wyruszali do szkół, robili szum w mediach społecznościowych, zamieszczali najnowsze zdjęcia: ściskanie się każdego z każdym, przytulanie głupich sióstr i braci, i jeszcze głupszych psów. Ruby bardzo obawiała się końca sierpnia od ostatniego dnia szkoły. Gdy wszyscy znajomi z jej klasy wyjechali do Hamptons albo Berkshires, cudownie łatwo było udawać, że jej życie wciąż toczy się wytyczonym torem bez najmniejszych komplikacji i że nie zaistniały żadne dramatyczne okoliczności. Wkrótce jednak miał nadejść wrzesień – pierwszy od dwunastu lat (piętnastu, jeśli liczyć przedszkole) – a Ruby nie wróci do szkoły. Wcale nie czuła się z tym dobrze.

Tego ranka przebudziła się z erotycznego snu. Śniło jej się, że ona i Harry byli na plaży, na ich plaży, tylko całkowicie opustoszałej, i było to zaraz potem, gdy Ruby zorientowała się, że na całym ciele ma gęsią skórkę, że jest zima, a wokół nich leżą pryzmy śniegu. Całowali się, a potem robili to. On leżał na niej, ale nagle się okazało, że to wcale nie Harry, tylko Dust. Harry-Dust otworzył usta i powiedział głosem Harry'ego-Dusta: „W przyszłym roku tylko ty i ja”. Sen był tak przerażający, że Ruby aż usiadła na łóżku, obudziła się na dobre już o siódmej rano, co w letni poranek praktycznie graniczyło ze zbrodnią wobec siebie. Ekran jej telefonu rozświetlał się przez całą noc – właściwie nie chciała nawet na niego spojrzeć, ale musiała, bo miała skłonności do samoudręczania. Przyszło sześć wiadomości od sześciu różnych osób. Oprócz nich również wiadomości grupowe – Chloe zapraszała ją do Bridgehampton na imprezę z noclegiem, Anika proponowała wyjście na karaoke w Chinatown, Sully w sobotę wybierała się na zakupy do sklepów z odzieżą z poprzedniej epoki i pytała, czy Ruby chciałaby jej towarzyszyć. Całe lato spędziły na wakacjach z przygodami i próbowały w ciągu ostatnich pięciu minut pobytu w mieście wycisnąć, ile się da, ze szkoły średniej. Ruby nie chciała przechodzić przez ten magiel.

Przyszła nowa wiadomość od Sarah Dinnerstein: „Spotkanie w parku? Na wspólnego jointa”. Ruby wyobraziła sobie całą scenę: spotykają się z Sarah, wypalają razem jointa, a potem Ruby przywala jej prosto w nos. Za Hiacyntkę. Za swoje matki. Zapowiadało się całkiem udane popołudnie. Umówiły się przy plaży ze wstępem dla psów. Potem miały pójść razem do zacisznego zakątka za naturalnym placem zabaw, który prawie zawsze świecił pustkami i tylko czasami siedzieli tam starsi panowie z radiami i słuchali transmisji z rozgrywek baseballowych.

Spacer do parku nie obejdzie się bez lepkiej warstwy potu na ciele – Ruby ubrała się najlżej, jak się dało, ale pod koniec lata w Nowym Jorku nawet gdyby się wyszło nago, to i tak trudno byłoby nie czuć, że ma się na sobie za dużo ciuchów. Powinna była posmarować się kremem ochronnym; powinna była włożyć kapelusz. Dotarła do plaży. Sarah już tam czekała w jednej z tych swoich niezliczonych dziwacznych sukienek w hipisowskim stylu, które odsłaniały jej niezbyt imponujące piersi.

– Cześć – zagadnęła Ruby.

– Hej-o! – Sarah szeroko rozłożyła ręce do uścisku.

Ruby już z odległości półtora metra poczuła zapach paczuli.

– Mówiąc szczerze... – zawahała się Ruby i zatrzymała krok przed rozpostartymi ramionami Sarah – nie jestem gotowa na przytulanie.

– Chodzi ci o Dusta? Cieszę się, że o nim mówimy. Powiedział mi, że wiesz, ale ja pomyślałam, że on plecie bzdury. Nie chciałam wyjeżdżać do szkoły bez wyjaśnienia tej sprawy między nami. – Sarah zrobiła zmartwioną minę, z którą wyglądała jak dziecko miłości Gremlina i mopsa, ze spłaszczonym nosem i nozdrzami skierowanymi w odwrotną stronę.

– Dobra, nieważne. Chodźmy – powiedziała Ruby. Odwróciła się na pięcie i ruszyła po zboczu wzgórza w stronę lasu. Gdyby wyjeżdżała do college’u, gdyby opuszczała Nowy Jork, Prospect Park byłby najprawdopodobniej tym miejscem, za którym tęskniłaby najbardziej. W przeciwieństwie do Central Parku, którego budynki zawsze łatwo rozpoznać, a więc dokładnie wiadomo, gdzie się jest w kosmosie, Prospect Park – z mrocznymi ścieżkami i tajemnymi zakamarkami – przypominał dzikie obszary przyrody. Gdy jako dziecko przychodziła tu z matkami, za każdym razem uwielbiała je straszyć – uciekała im i ukrywała się za drzewami, nieopodal parkowej alei, ale poza zasięgiem wzroku. Pierwszy znajdował ją Bingo, ale przez kilka minut udawała, że mieszka w magicznym lesie, że jej matki są albo czarownicami, albo dobrymi wrózkami, a ona sama może uratować świat.

– Nigdy do tego parku nie przychodzę – powiedziała Sarah. – Za dużo tu kokainiarzy. I japiszonów. Jednych i drugich.

Ruby nie zareagowała. Sarah zapaliła jointa. Trochę zwolniły, przeszły obok niewielkiego wodospadu, a potem skręciły głębiej w las.

– Słyszałam, że tu jest słynne miejsce spotkań randkowych. Goście podjeżdżają samochodami i zabierają partnerów. Do seksu gejowskiego – kontynuowała Sarah.

Ruby uniosła brew.

– Nie mam z tym problemu, oczywiście, mówię tylko, że tak słyszałam – dodała Sarah.

– Nie jestem z gejowskiej policji – odburknęła Ruby i wzięła od niej jointa.

Dotarły do głównej alei. Ruby oddała jointa Sarah. Na brzegu jeziora nie było nikogo. Przeszły przez pusty plac zabaw. W ukrytym zakątku zastały tylko jednego starszego faceta w koszulce bez rękawów, który przy ławce robił półpompki, ale on im w niczym nie przeszkadzał. Tego też brakowałoby Ruby, gdyby wyjechała z Nowego Jorku: przestrzeni, jaką ludzie sobie wzajemnie pozostawiają. Można by na stacji metra dostać ataku spazmów i nikt by go nie zakłócał. Narzygać ukradkiem do kosza na śmieci na rogu ulicy i nikt by nie zareagował. Jeśli się wysyłało niewidzialne sygnały, ludzie je respektowali. Panuje ogólne przekonanie, że nowojorczyki są nieprzyjemni, ale w rzeczywistości oni tylko pozostawiają każdego z jego własnymi sprawami. Okazują pełny szacunek! W tak gęsto zaludnionym mieście nowojorczyk zawsze może udawać, że nie widzi kogoś, kto chce pozostać niezauważony.

– Czyli on ci powiedział? – zapytała Sarah, gdy usiadły na ławce w cieniu.

– Wcale nie musiał mi mówić. Gołym okiem widać, że jesteście ze sobą. – Ruby

wyjęła z torebki papierosa.

– Och – powiedziała Sarah. – Nie o to mi chodzi, owszem jesteśmy, ale miałam na myśli twoje matki. – Trzymała w palcach skręta, zaczekała, aż zgaśnie, i schowała go do małego, szydełkowego woreczka na trawkę, który miała na szyi. – Mnie chodzi o pożar.

– Mówił, że zrobiłaś to przypadkiem, a właściwie celowo. Tak mi powiedział. – Ruby patrzyła na Sarah, która miała przekrwione oczy – białka w jednym i drugim oku, poprzecinane czerwonymi żyłkami, przypominały małe, miętowe landrynki w białoczerwone paski.

Sarah zachichotała.

– Mówisz poważnie? Dlaczego nie przyszłaś do mnie? Jeezu, Ruby! Chcesz mi skopać tyłek?

– Myślałam o tym – przyznała Ruby. Skrzyżowała ręce, ale nie mogła palić, więc je rozłożyła i strzelała palcami.

– O mój Boże, Ruby, nie! – Sarah machnęła rękami, jakby utknęły na bezludnej wyspie i dawała sygnały przelatującemu nad ich głowami samolotowi. – To zrobił Dust! Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać! Dust sam podłożył ogień! Byłam obok niego. Staliśmy na ścieżce, wiesz, za domem Nica i za Hiacyntką. W pewnej chwili powiedział: „Chodź zajrzemy tam, sprawdzimy, czy da się wejść do kuchni. Mam ochotę na kawałek sera”. Jaki ser tam macie?

– Mozzarellę?

– Nie, bardziej wykwinny. Dodajecie go do kanapek z jajkami i ogórkiem. Taki kremowy i kwaskowy... Mniejsza z tym. On chciał spróbować, czy dostaniemy się do środka, jak wszystko pozamykasz. Przyznaję, paskudna sprawa, ale prawdopodobnie nic z tego by nie wyszło. W każdym razie podeszliśmy do ogrodzenia, widzieliśmy wychodzących gości, ciebie i tych facetów, jak sprzątałiście. Potem spojrzałam na Dusta, a on trzymał kawałek gazety i zapalniczkę, próbował podpalić ogrodzenie. Co jest do cholery, zapytałam, a on na to „Sarah, to nie dotyczy ciebie”, a ja, że owszem, dotyczy, bo jeśli on pójdzie do więzienia za podłożenie ognia, to oczywiście ja będę musiała wynająć prawnika, rozumiesz? No więc wróciłam do domu Nica, a chwilę później zjawił się Dust. Potem wszyscy usłyszeli syreny, a ja czułam się jak szmata.

– Mnie powiedział, że do pożaru doszło przypadkowo, mówił o jakichś świecach. – Ruby nie potrafiła stwierdzić, czy ma zamęt w głowie z powodu wypalonej trawki, czy tego, co usłyszała od Sarah. – Czyli mówisz, że Dust to zrobił? Celowo?

Sarah zachichotała.

– Wiem, że to nie jest zabawne, ale poważnie, Ruby, ty jesteś bardziej pokręcona, niż myślałam. Ile razy muszę ci powtarzać? Dust podłożył ogień. Celowo.

– I on jest twoim facetem. – Ruby wiedziała, że zabrzmiało to idiotycznie, ale nie potrafiła wymyślić nic lepszego. Czuła, że ledwie składa słowa, jakby usta miała zapchane watą cukrową.

– Spotykamy się na poważnie – powiedziała Sarah, zadowolona ze zmiany tematu rozmowy. – Chcemy razem zamieszkać, jak wyjadę do szkoły. On mógłby tam dostać pracę, może chodzić na jakieś zajęcia jako wolny słuchacz. Dust chce być architektem. Wiedziałaś o tym? Ma w domu mnóstwo modeli, różnych małych obiektów, które

zbudował. Naprawdę jest w tym dobry.

– Byłaś u niego w domu? – Ruby znalazła się w strefie cienia. Na pewno z powodu trawki. Sarah prawdopodobnie mówiła coś zupełnie innego. Ruby prawdopodobnie w dalszym ciągu śniła! Z całą pewnością.

Sarah robiła wrażenie głęboko dotkniętej.

– Oczywiście, że byłam. Jestem jego dziewczyną. – Zmrużyła już i tak półprzymknięte oczy. Wbiła wzrok w Ruby. – Ty nigdy do niego nie chodziłaś?

– Z jakiego powodu uważasz, że nie powiadomię policji? – Ruby poczerwieniała i silnie się pociała. Zebrała włosy na czubku głowy i spięła je dużą, plastikową kłamarą.

Starszy mężczyzna zdjął koszulkę i powiesił ją na oparciu ławki. Opadł na kolana i robił brzuszki, raz po raz zginając tułów i napinając pomarszczony, brązowy brzuch.

– Gdybym była na twoim miejscu, tobym powiadomiła. – Sarah wzruszyła ramionami. – Oczywiście nie namawiam cię, bo nie chcę, żeby on miał kłopoty, ale myślę, że ja, gdybym była tobą, zdecydowanie poszłabym na policję. A ty zrobisz, jak chcesz. Wkrótce wyjeżdżamy, wiesz? Tak tylko mówię. Bo kogo to właściwie obchodzi? On nie podpali ci domu. Nawet go tutaj nie będzie.

– No właśnie, nawet Dusta tu nie będzie – powiedziała Ruby, bardziej do siebie niż do Sarah. Zaciągnęła się głęboko i rzuciła papierosa na ziemię. – Niech to wszystko szlag trafi! – dodała. Wstała i odeszła bez pożegnania. Usłyszała głos Sarah, która zaczęła śpiewać piosenkę Boba Marleya. Ruby biegła co sił w nogach, aż oddaliła się poza zasięg jej głosu, aż zabrakło jej tchu.

Rozdział 65

Elizabeth dojechała pociągiem do stacji Montauk. Z domu zabrała tylko kłujący, słomkowy kapelusz, butelkę wina z lodówki, szczoteczkę do zębów, kostium kąpielowy i czystą bieliznę na zmianę. Te kilka rzeczy zapakowała do torby zakupowej, którą przewiesiła przez ramię. Kapelusz drapał ją w rękę już od Atlantic Terminal, najbardziej wysuniętej na zachód stacji pociągów kolei podmiejskich Long Island Rail Road. Wagon był tak zatłoczony, że nie mogła wykonać nawet najmniejszego ruchu, więc do kompletu doszła kolejna rana. Pasażerowie: chłopcy zrzeszeni w bractwach i inni wakacyjni biesiadnicy na najwyższych obrotach, ruszyli do wyjścia, więc Elizabeth postanowiła pozostać na swoim miejscu do czasu, aż powysiadają. Nie spieszyło się jej. Zaproszenie było raczej wymuszone – zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała jednak, że musi uciec z miasta, a Zoe była jej przyjaciółką, więc jeśli nawet Jane miała zastrzeżenia, to trudno. Elizabeth wypijała dwie lampki wina w domu i kolejne dwie w pociągu, czyli o wiele więcej, niż się jej kiedykolwiek zdarzyło, zwłaszcza w ciągu dnia. Mimo że pociąg przestał się poruszać, miała wrażenie, że wagon wciąż się lekko kołysze. Zrobiło się w nim pusto. Elizabeth odkleiła plecy od oparcia, wstała i uderzyła się czołem o półkę na bagaż.

Subaru pań Kahn-Bennett czekało, tak jak obiecała Zoe. Elizabeth pomachała i zmrużyła oczy, próbując się zorientować, kto siedzi w środku. Po chwili ruszyła w stronę samochodu najbardziej energicznym krokiem, na jaki się mogła zdobyć mimo spadających kłapek, które musiała doganiać. Doszła do auta i zobaczyła w nim tylko Zoe.

– Jak tam, w porządku? – zapytała Zoe. Wyglądała doskonale – lato było jej porą roku. Skórę miała gładką i lśniąca jak brąz, włosy zebrane do tyłu i przewiązane kolorowym szalikiem.

Bingo wyjrzał z tylnej kanapy. Elizabeth pochyliła się i pozwoliła mu polizać się po nosie.

– Nie jestem w najlepszej formie – powiedziała Elizabeth. Wyjęła z torby butelkę wina i podała ją Zoe.

– Jedźmy najpierw do domu, tam ją otworzymy, zgoda? Nie sędzę, żeby jazda pod wpływem alkoholu którejkolwiek z nas wyszła na dobre.

Elizabeth wydeła dolną wargę i odwróciła się do okna.

– Bardzo dziwne jest to lato. A w pociągu nie było papieru toaletowego.

Zoe mruknęła pod nosem kilka słów krytyki pod adresem kolei podmiejskich na Long Island, a potem milczała przez całą drogę, ale zawiesiła wyciągniętą rękę nad tunelem z uchwytyami na kubki, żeby Elizabeth mogła ją za nią trzymać.

Wynajęty dom był mały, ale uroczy. Łatwo byłoby go sprzedać. Miał jedną sypialnię i dodatkowo rozkładaną kanapę, którą albo Zoe, albo Jane już przygotowała, i niewielkie pomieszczenie, gdzie znajdowała się jadalnia z aneksem kuchennym. W powietrzu unosił się zapach soli, a pod nogami chrząścił piasek. Jane krzątała się na zewnątrz przy grillu. Zoe zdjęła z ramienia Elizabeth torbę, którą postawiła na podłodze.

– Jesteśmy! – zawołała Zoe, choć przesuwne drzwi prowadzące na taras były otwarte i Jane nie mogła nie zauważyć, że weszły do domu. – Nic jej nie będzie – powiedziała Zoe i poklepała Elizabeth po ręce.

– Coś jest nie tak? – zapytała Elizabeth, opierając się o kuchenny blat dla równowagi. Wino przelewało się jej w brzuchu. Powinna była zjeść lunch. Nie powinna była tak dużo pić. Powinna była zostać w domu.

Na samym końcu wyspy było naprawdę pięknie – Elizabeth często o tym zapominała. Walory nieruchomości oceniała mimowolnie – długa praktyka w jej zawodzie robi swoje. Montauk w stosunku do Hamptons był opóźniony mniej więcej o dziesięć lat, ale wyprzedzał North Fork. Domy były nieduże, a większość z nich znajdowała się w niewielkiej odległości od głównej ulicy, co w zasadzie nie miało wielkiego znaczenia. Ale kogo Elizabeth próbuje przekonywać mętnymi argumentami? Nie miała zamiaru sprzedawać domów rozhukanym imprezowiczom, z którymi jechała w pociągu, ani ich nieco spokojniejszym starszym braciom z żonami i małymi dziećmi. Brooklyn był już wystarczająco trudny do zniesienia. Nie musiała się zajmować krezusami z takim nadmiarem pieniędzy, że fundują sobie drugi dom.

– Muszę usiąść – oznajmiła i opadła na rozkładaną kanapę, oparła się o piankową poduszkę i wyciągnęła nogi przed siebie.

– Ja też zaraz to zrobię – powiedziała Zoe. – Ale zaczekaj. Okrążyła kanapę i wyszła na taras.

Elizabeth obserwowała, jak Zoe położyła rękę na plecach Jane, a potem oparła głowę na jej ramieniu. Stały odwrócone plecami do niej, patrzyły na dziko rosnącą trawę i na połyskujący nieco dalej ocean. Nie mogła się zorientować, czy rozmawiają, bo przez kilka minut się nie poruszyły, tylko Jane sięgnęła po szczypcę i przewróciła coś, co piekło się na grillu.

Wieczór był piękny – lekki wiatr, niebo pokryte różowymi smugami. Elizabeth żałowała, że nie mają z Andrew takiego miejsca, skromnej chatki za miastem – dlaczego o tym nie pomyśleli? Wakacyjny czas zawsze wydawał się zbyt cenny, żeby poświęcać go na takie sprawy, zwłaszcza po przyjeździe na świat Harry’ego. Wypełniały go jego obozy i zajęcia plastyczne, zajęcia z ruchu kreatywnego w Prospect Park, gdzie za dwieście dolarów dzieci turlały się po trawie co tydzień w wyznaczonych godzinach. Teoretycznie mogli wybrać się, dokąd chcieli, i nawet trochę podróżowali – raz, ku przerażeniu rodziców Andrew, pojechali na wycieczkę do Meksyku, gdy Harry miał osiem lat, innym razem wybrali się samochodem wzdłuż wybrzeża Kalifornii, gdzie na krętej drodze okazało się, że Harry cierpi na chorobę lokomocyjną, więc musieli wrócić na autostradę i dotarli do San Francisco cztery dni wcześniej, niż było przewidziane w planie. Zrobili sobie też wycieczkę do Włoch. Ich wyjazdy były jednak rzadkie, a miejsca przeznaczenia dość przypadkowe. Dawniej Elizabeth co roku wyjeżdżała na taki sam żeński obóz letni, potem na Cape Cod na cały sierpień, więc chciała zapewnić Harry’emu więcej przygód. Ostatecznie jednak zostawali w domu z widokiem na Argyle Road i trakcję pociągu linii Q w nieco dalszej perspektywie.

Zoe pocałowała w policzek Jane, która odwróciła się i pomachała do Elizabeth. Wszystko w porządku. Elizabeth wyciągnęła rękę w ich kierunku i wzniosła toast

niewidzialnym kieliszkiem.

– Na zdrowie – powiedziała.

Jadły na zewnątrz przy niedużym, okrągłym stole. Spacerowały po nim mrówki, ale w ogóle nie zwracały na nie uwagi. Jane otworzyła wino, które przywiozła Elizabeth. Opróżniły butelkę i Elizabeth musiała mrużyć oczy i sprawdzać, czy stoi przed nią jeden kieliszek czy dwa. Ryba z grilla, sałatka z awokado, małe małże, które otworzyły się nad żarem. Odwrócona tarta brzoskwiniowa z małymi owocami, które wyglądały jak wypięte, gołe pośladki. Świeżo ubita śmietana. Elizabeth również nie chciałyby się rozwodzić z Jane.

– Czyli co to za miejsce, do którego on chodzi, Lizzy? – zapytała Jane, wkładając widelcem postrzępiony kawałek ryby do ust. – Buddyjskie centrum? Czy coś?

– Czy coś – powiedziała Elizabeth. – Naprawdę nie wiem. Podobno ćwiczą tam jogę i być może odprawiają orgie. Sprzedają sok. Kombuczę? Czym ona się różni od soku? Najwyraźniej jakiś koszmar, ale ja niewiele wiem. Ja jestem zacofaną nudziarą. – Wybierała z miski resztki bitej śmietany palcem i go oblizywała. Teraz naprawdę była pijana, poczuła się bardzo swobodnie.

– Wcale nie jesteś zacofaną nudziarą – zaprzeczyła Zoe.

– Powiedzmy, że trochę – rzuciła Jane, a Zoe uszczypnęła ją rękę. – O co chodzi? Można przecież być kimś o wiele gorszym. A kombucza nie ma nic wspólnego z sokiem. To jest napój fermentowany. Jak piwo. Oni go robią sami? Trochę to podejrzane. Sprzedają go? Mają zezwolenie? Na twoim miejscu zainteresowałabym się tym bliżej. Albo próbowałabym narobić im kłopotów.

Elizabeth opuściła głowę, a potem gwałtownie się wyprostowała. Wszystko wirowało jej przed oczami.

– Ostatnio dużo myślałam o kłopotach. Zoe powiedziała ci, co Andrew zrobił? Jeszcze przed jogą, ma się rozumieć. – W jej głowie myśli podążały jednym, prostym torem, w kierunku przeszłości. – Sypiał z Lydią. W czasach naszej młodości. Wielokrotnie. Gdyby tylko raz, eh! – Machnęła ręką w powietrzu, jakby przywoływała kelnera. – Gdyby tylko raz, to sprawa wyglądałaby inaczej. Ale sypiał z nią raz po raz, kiedy już byliśmy parą. Odkąd podpisałam się za niego na formularzu, on widzi siebie z wypiętym gołym tyłkiem, rozumiesz? A ja sobie tłumaczę, że chodzi o jego wybredny gust kinomana. Ha! – Zoe i Jane wydawały się zdezorientowane, ale Elizabeth mówiła dalej. – To znaczy ja też nie chciałabym pokazywać swego gołego tyłka na ekranie, nawet gdyby była to atrakcyjna pupka osiemnastolatki. Ostatecznie byłby to przecież mój tyłek. Dlatego jestem wściekła. Nie jest tak, że ja nigdy o skoku w bok nie myślałam. Nie jestem święta! Ale gdybym miała coś na sumieniu, powiedziałabym mu przed ślubem, a w każdym razie w dogodnym momencie w ciągu ostatnich siedmiuset lat. – Elizabeth odwróciła głowę do Jane i uniosła palec. – A jeśli już o tym mowa... Zo powiedziała ci o nocy, którą prawie spędziłybyśmy razem?

– Nie – zaprzeczyła Jane, rozbawiona. – Nic o tym nie wiem. Mów dalej.

Elizabeth ułożyła obie dłonie przy twarzy, odgradzając się niby-ścianką od Zoe.

– Oczywiście to zupełnie co innego, bo do niczego nie doszło. Kiedyś wieczorem,

w Oberlin, byliśmy w jej mieszkaniu. Oglądałyśmy *Bonnie i Clyde'a*, a ona mnie dotykała.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widziała *Bonnie i Clyde'a* – przerwała Zoe. – Przypomnij mi, kto tam gra?

– Tyle masz na ten temat do powiedzenia? – Jane się uśmiechnęła i pochyliła do przodu. – Lizzy, opowiedz mi więcej.

– Nic się nie stało. – Elizabeth zamachała rękami przed swoją twarzą i przypadkiem rzuciła widelec w krzaki. – Ale niewiele brakowało.

– Poczekaj, mówisz poważnie? – Zoe złapała Elizabeth za rękę i zatrzymała ją w powietrzu, w ostatniej chwili unikając ciosu w głowę.

Elizabeth parsknęła perlistym śmiechem.

– To ma być dla jej dobra? – zapytała najciszej, jak tylko mogła. Spojrzała na Zoe, piękną Zoe, która miała na sobie luźną, białą koszulową bluzkę i wyglądała jak postać z aranżacji na wystawie sklepu. Morska bryza poruszała połami jej bluzki niczym powietrze z niewidocznego wentylatora. Czasem Elizabeth myślała, że gdyby spotkała Zoe nieco wcześniej albo trochę później, całe jej życie mogłoby się potoczyć inaczej. Niezupełnie chodzi o to, że ona i Zoe byłyby razem, ale mogło być tak jak w grze w domino, gdzie każdy kamień daje początek nowemu łańcuchowi. Może nie byłyby w związku z Andrew, tylko na przykład z rudowłosym chłopakiem ze swojej grupy z filologii angielskiej albo ze zwariowanym perkusistą, następcą Lydii, którego kiedyś zobaczyła wychodzącego spod prysznica i się nim zachwyciła.

O wszystkim decydował czas – z biegiem lat ta prawda stawała się coraz bardziej oczywista i nasuwał się wniosek, że światem nie rządzą żadne racjonalne reguły. Nic się na nim nie dzieje w sposób uporządkowany, on nie funkcjonuje według planu. Liczy się tylko to, co się zje na śniadanie i w jakim humorze podąży się tym czy innym korytarzem i czy ktoś, z kim doszło do pocałunku, miał świeży czy cuchnący oddech. To nie los rozdaje wcześniej ułożone karty. W życiu liczą się przypadkowe zdarzenia i szczęście, a tylko ludzie doszukują się ładu i porządku. Elizabeth rozumiała, dlaczego tak wiele osób wierzy w Boga – właśnie z tego powodu, żeby nigdy nie trzeba było zamykać oczu i zadawać sobie pytania: „Co, do cholery, zrobiłem ze swoim życiem?”. Czuła w głowie narastający ból, zbierał się jak nadciągająca chmura burzowa widoczna z odległości kilku kilometrów. Kłębiaste chmury rozgoryczenia nawarstwiły się już nad linią horyzontu, ale nie potrafiła się powstrzymać. To nie było zabawne. Nic z tego wszystkiego nie było zabawne.

– Nie przypuszczam, żeby była zazdrosna, Zo. – Elizabeth próbowała się zdobyć na ciepły uśmiech i trzymać oczy otwarte. To był taki długi dzień. Sen wydawał się bardzo zachęcający, zwłaszcza że już miała wrażenie, że śni. Położyła dłonie na krawędzi stołu, oparła się na nich czołem.

Przed nią pojawiła się szklanka wody. Wypiła. Jane i Zoe pomogły jej się podnieść, rozłożyły prześcieradła na kanapie. Elizabeth odwróciła się na bok i powiedziała dobranoc, ale słowa nie wydostały się jej z ust.

Słońce świeciło jasno. Elizabeth potrzebowała trochę czasu, żeby sobie

uświadomić, gdzie się znajduje. Okna były w niewłaściwym miejscu, podobnie drzwi. Powoli przypominała sobie zdarzenia z poprzedniego wieczoru.

– O mój Boże! – jęknęła i podciągnęła prześcieradło pod samą brodę.

– Cześć. – Zoe siedziała na zewnątrz przy stole, przy filiżance kawy i laptopie.

– Jane lubi dłużej pospać.

– Dzień dobry – Elizabeth podniosła się i oparła plecami o piankową poduszkę tandetnej kanapy. Przetarła oczy. W ustach czuła papier ścierny. – Zwykle tyle nie piję.

– Wiem – powiedziała Zoe. – Przyjdź tutaj.

Elizabeth zwlokła się z kanapy. Poczowała pod stopami chłodną podłogę. Podniosła koc o dzianinowym splocie, który zrzuciła z siebie w nocy, i owinęła się nim wokół ramion. Było wcześniej – chyba dopiero dochodziła siódma. Rozlegał się jedynie krzyk mew i szum fal. Usiadła na krześle obok Zoe.

– Czuję się fatalnie – powiedziała. – Wszystko mnie boli. Jestem za stara na takie wybryki.

– Powiedz mi jeszcze raz to, co mówiłaś wczoraj – poprosiła Zoe.

– Daj spokój – odparła Elizabeth i ukryła twarz w dłoniach. – Za dużo wypiałam.

– Owszem, ale chcę wiedzieć, o czym mówiłaś. – Zoe pochyliła się do przodu.

Twarz miała poważną, ale łagodną. – Powiedz mi, proszę. Nie chodzi o Andrew. Tylko o to, co powiedziałaś o nas.

Elizabeth nie była pewna, co było bardziej żenujące: czy to, że przez tyle lat nie odkrywała tajemnicy, czy że w ogóle pamiętała tamto zdarzenie. Wstyd się nawarstwiało przez cały ten czas, który kończył się teraz, gdy siedziała przy plaży, oddychając powietrzem przesyconym solą i zapachem kawy Zoe, apetycznym, ale i ostrym, przyprawiającym o mdłości.

– Dobrze – zgodziła się i zaczęła opowiadać od początku. Kiedy skończyła: TJ, korytarz, one obie na klatce schodowej, Zoe się uśmiechnęła.

– Doskonale to pamiętam – powiedziała. – Przystawiałam się do ciebie. Na poważnie. Gdyby ktoś tak zrobił z Ruby, nazwałabym to napaścią na tle seksualnym. Coś okropnego! Trzeba było wezwać straż z miasteczka akademickiego, prosić o odwiezienie do domu.

– Naprawdę nie pamiętasz *Bonnie i Clyde'a*?

– Nie, ani sekundy. Tak pięknie wyglądałaś, Lizzy. – Zoe wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Elizabeth. – Byłaś zainteresowana?

– Byłam. To znaczy kochałam cię! Kocham cię! Byłaś dla mnie boginią! Ale nie wiedziałam... o tym wszystkim. Czułam się za bardzo przestraszona. No i był Andrew.

– Który sypiał z Lydią.

– Właśnie, który sypiał z Lydią! Boże! – Elizabeth się roześmiała głośnym, gardłowym śmiechem. – Co za ironia losu!

Zoe wypiała łyk kawy.

– Nie uważasz, że to zabawne, przypomnieć sobie, co robiliśmy sto lat temu? Tak, jakby rzeczywiście miało to jakiegokolwiek znaczenie? Spotykałam się z tyloma dziewczynami i przy każdej myślałam, że będziemy ze sobą na zawsze, no wiesz, będziemy jeździć na rejsy wycieczkowe dla starszych pań połączone z obserwowaniem

ptaków, kiedy będziemy miały po osiemdziesiąt lat, i tak dalej, a potem zrywałyśmy znajomość zaledwie po sześciu miesiącach. Nawet nie potrafię sobie przypomnieć ich twarzy. Aż spotkałam Jane i pomyślałam, że z nią będziemy razem przez sześć miesięcy! I jesteśmy. Więc nie bardzo rozumiem...

– Oto pytanie – powiedziała Elizabeth. – Czy to, co wydarzyło się milion lat temu, ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy się w ogóle liczy? Z jednej strony, moim zdaniem, oczywiście, że nie, bo to zamierzchła przeszłość, ale z drugiej – sama nie wiem. Dla mnie ma znaczenie, że Andrew sypiał z Lydią, przede wszystkim ze względu na jego obecne postępowanie. I ten wieczór z tobą na kanapie również coś dla mnie znaczy, inaczej nie wracałabym do niego w myślach setki razy, kiedy chciałam ci dokuczyć, rozumiesz? Trudno mi to wytłumaczyć. – Elizabeth wysunęła jedną rękę spod koca, kilka razy chwyciła palcami powietrze, próbowała dosięgnąć filiżanki Zoe. – Rzeczywiście chciałaś mnie pocałować?

– Oczywiście, kochanie. – Zoe podała jej filiżankę. Przysunęła się z krzesłem bliżej Elizabeth. Pochyliła się i delikatnie pocałowała ją w usta. To nie był romantyczny pocałunek, ani erotyczny. Elizabeth tysiące razy całowała Harry'ego w taki sam sposób, i swoją matkę, i Andrew, nawet tego głupiego Andrew. To był tylko pocałunek prosto z serca.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – powiedziała Elizabeth.

– Ty moją też – odwzajemniła się Zoe i wyprostowała się, uśmiechając do słońca.

Rozdział 66

Nikogo nigdzie nie można było znaleźć. Ruby zadzwoniła do mamusi, do mumusi, do restauracji. Domyśliła się, że jeszcze nie wróciły z Montauk, ale zazwyczaj sprawdzały, czy nie urządziła imprezy albo czy niczego nie podpałała. Pożar już miały, więc chyba rzeczywiście nie było się o co martwić. Za dwa tygodnie Harry miał się stawić w szkole na spotkaniu dla uczniów ostatnich klas, podczas którego doradcy w sprawach związanych z ubieganiem się o przyjęcie do college'u dzielą uczestników na grupy i przekazują niezbędne informacje na temat trybu postępowania. W rzeczywistości kończy się na tym – Ruby się przekonała w zeszłym roku – że siedzi się półkolem z przyjaciółmi i rozmawia o trzech szkołach, które dawno się wybrało i chciało się do jednej z nich dostać. Harry sobie poradzi – on znajdzie się grupie kujonów. Będzie wymieniał z nimi uwagi na temat Providence, podobno (tak słyszeli) fajnego miasta. Swoje zgłoszenie złoży wcześniej. I się tam dostanie. Ruby już sobie wyobrażała wiadomość, która się wyświetli na ekranie jej telefonu, pewnie zdezorientowana buźka. Będzie szczęśliwy.

Na razie jednak Harry wciąż sypiał w jej łóżku.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy urosły mu włosy, zaczęły się zwijać w loki. Na poduszce pod jego wargami powstała plamka od śliny, a Ruby pomyślała, że to sympatyczny widok. Przebywanie z Harrym miało wiele wspólnego z wypełnianiem misji organizacji pozarządowej Teach of America albo z odgrywaniem roli starszej siostry czy kogoś takiego – wносиło wiele nowego do życia podopiecznego, poprzez zwracanie jego uwagi na sprawy, o których inaczej nie miałby się skąd dowiedzieć. Program rozwoju samoświadomości seksualnej. Nie w tym rzecz, że nie lubiła Harry'ego – lubiła go, nawet bardzo. Ale Ruby też wiązała nadzieje na pozytywne efekty tego flirtu. Traktowała go jak bieg treningowy. Wszyscy tak robili, czy się do tego przyznają czy nie – każda romantyczna przygoda nastolatka była przedstawieniem, z prawdziwymi uczuciami i rzeczywiście złamanym sercem, ale jednak przedstawieniem. Skąd byłoby wiadomo, bez wcześniejszej próby, jak w przyszłości wyznać miłość z pełnym przekonaniem? Ruby z zadowoleniem myślała, że Harry jest kimś, kogo zna od zawsze. On nie zniknie jak Dust albo jej znajomi z Whitmana, którzy tak prostu mogli sobie pójść do college'u i w ciągu jednej nocy całkowicie się zmienić. Harry zawsze zostanie Harrym, jego rodzice zawsze będą mieszkać kilka domów dalej, Ruby i Harry zawsze będą mieli swoje miejsce w życiu jednego i drugiego. Któregoś roku, za dwadzieścia lat lub więcej, wszyscy spotkają się razem w Święto Dziękczynienia. Harry będzie żonaty, będzie miał dzieci bardzo podobne do siebie, a Ruby będzie naprawdę czarująca i ożywiona. Pocałują się w policzek i pomyślą o tym lecie, potem pójdą spać najedzeni indykiem i przepełnieni wspomnieniami o swoich ciałach sprzed lat.

Lena przysłała Ruby wiadomość. Napisała, że spotkała Andrew w EWOLUtorium. Elizabeth miała rację – cała sprawa wydawała się niewyraźna i raczej smutna. Lena donosiła, że widziała Andrew i Dave'a, jak rozmawiali, i że Andrew wyglądał dziwnie. Na koniec dodała: „Przypomniałam sobie jego aktorskie nazwisko – Dave Wolfe.

Obejrzyj jego zdjęcia – od razu go rozpoznasz”.

Ruby otworzyła laptop, weszła na stronę internetową IMDb – międzynarodowej bazy danych na temat światowej kinematografii i ludzi z nią związanych – i w polu wyszukiwania wpisała nazwisko Dave’a.

Zdjęcie w lewym rogu wyglądało jak z reklamy dezodorantu – Dave miał na szyi wisiołek z dużych koralików o nieregularnych kształtach, sięgający do kości obojczykowych. Był bez ciemnej brody, policzki miał gładko ogolone, tylko pod dolną wargą pozostał niewielki trójkąt zarostu.

– Tylko nie to! – mruknęła Ruby z odrazą. – Gorszej ohydy nie widziałam.

– Co się dzieje? – Harry się obudził. Odwrócił się, rozprostował i wyciągnął do niej rękę.

Ruby wzięła laptop i wróciła z nim do łóżka.

– To jest kolega twego ojca, ten od jogi – powiedziała.

– Jezu! – jęknął Harry. – Naprawdę?

– Naprawdę.

– Zaraz, zaraz... Czy to nie on grał w filmie, no wiesz tym, w którym nieletni przestępcy trafiają do więzienia? Takim z lat osiemdziesiątych? Stanęli na czele buntu?

– Harry przetaił oczy. – Głowę daję, że to on.

Ruby kliknęła na łącze do filmografii Dave’a.

– *Ucieczka 6*? To był on, masz rację.

– Teraz prowadzi zajęcia jogi?

– I produkuje sok? – Ruby dłubała paznokciem w zębach.

– Hmmm – zastanawiał się Harry.

– Mam coś między zębami? – zapytała Ruby. Pochyliła się nad Harrym, a jej włosy opadły mu w twarz.

Harry je odgarnął i zajrzał jej do ust.

– Nic nie widzę – powiedział. – Ale o czymś sobie przypomniałem. Mam coś dla ciebie.

– Bekon, jajko i ser? Mam nadzieję. – Ruby położyła się na plecach. – Co chcesz zjeść? W lodówce jest kupa pesto. Jane przygotowuje się na apokalipsę. Masz ochotę na makaron? Już prawie czas na lunchu.

Harry grzebał w kieszeni spodni, leżąc do połowy na łóżku i do połowy z niego zwisając.

– Mam – oznajmił. Podniósł się i usiadł, skrzyżował nogi.

Wszystkie pudełka z biżuterią wyglądają groźnie. Małe, białe, prostopadłocienne trochę mniej niż sześciennie, czarne i aksamitne, mimo to Ruby odruchowo się cofnęła.

– Co to jest? – Wskazała na nie palcem.

– Tylko prezent, dla ciebie, Ruby. – Harry drugą ręką otworzył pudełeczko.

W środku, na miękkiej, bawełnianej wyściółce, znajdował się mały, przecudny pierścionek. Nikt oprócz mumusi i babci, no może jeszcze Chloe i Palomy, nigdy nie podarował Ruby biżuterii, a te ozdoby, które kiedykolwiek dostała, były zrobione ze sznurka albo wypatrzone przez mamusię wśród staroci na pchlim targu. Nigdy niczego nie dostała od żadnego chłopaka. Ani tym bardziej od własnego.

– Co to jest? – zapytała ponownie.

– Pierścionek. – Harry miał zaróżowione policzki, ale się uśmiechał. Rumieniec wystąpił mu na twarzy wcale nie z powodu zdenerwowania, ale z emocji. – Weź, obejrzyj. Oczko ma jak ziarnko maku, takie jak chciałaś.

Ruby ujęła pierścionek kciukiem i palcem wskazującym, wyjęła go z pudełka. Przyczepiła się do niego bawełniana nitka, którą Harry zdjął. Kamień przypominał ziarnko maku. Czyżby rzeczywiście kiedyś głośno wyjawiała swoją tajemnicę?

– Moim zdaniem to zwykły oszust. On próbuje ukraść pieniądze twemu tacie – powiedziała, trzymając pierścionek na wysokości twarzy. Włożyła go na środkowy palec. Zsunął się do kostki, a potem z niewielkim oporem do nasady palca.

– Skąd to podejrzenie? Myślałem, o tym palcu – powiedział Harry, dotykając jej palca serdecznego.

– Co ci przyszło do głowy? – Ruby podrapała się w czoło.

– Wyjdiesz za mnie? – Harry klęczał na łóżku, a jego gołe nogi znalazły się między fałdami kołdry. Harry, który jeszcze nigdy nie pracował. Harry, z którym kąpała się w dzieciństwie.

Ruby znów wywołała w wyobraźni wizję Święta Dziękczynienia, w której tym razem zobaczyła siebie jako żonę Harry'ego, z perłami na szyi, w bliźniaku i z puszystą opaską na głowie. Obraz jak z ostatniej sceny *Czarnoksiężnika z Oz*, w której Dorotka rozgląda się i uświadamia sobie, że jej przyjaciele są w dalszym ciągu jej przyjaciółmi, niezależnie od tego, czy są prawdziwymi ludźmi czy lwami, czy blaszanymi ludzikami. Taki obraz powinien wprawiać w błogi nastrój – jak cudownie, och, tak, wszyscy są w komplecie – ale Ruby pomyślała, że w ten sposób świat robi się mały i klaustrofobiczny, że można się przenieść do zupełnie innego wymiaru i zastać tam wciąż tych samych ludzi, wśród których spędza się całe życie, a ona pragnęła zobaczyć wokół siebie więcej nowych twarzy.

– Wybieram się w rejs do Meksyku – oświadczyła i ten plan zrealizowała.

Rozdział 67

Dochodziło południe, a Elizabeth jeszcze nie wróciła. Andrew nie wiedział, co z sobą zrobić. Posprzątał w całym domu i przyrządził lasagne, ale było za gorąco, żeby ją jeść. Przyda się na później. W każdej chwili Harry będzie mógł sięgnąć po nią do lodówki i mieć gotowe danie na solidny posiłek. W EWOLutorium akurat odbywały się zajęcia jogi, ale Andrew czuł się nieswojo i nie miał ochoty tam iść. Siedział na kanapie, stukał piętami o podłogę i po kilku minutach postanowił, że jednak się wybierze. Radca prawny prosił o dostarczenie podpisanych kontraktów – dokumentów, z których wynikało, jakie kwoty Andrew przekazał Dave’owi i na jaki cel. W obecnej sytuacji Andrew nie miał pojęcia, czy w ogóle odzyska jakiegokolwiek pieniądze. Nie przychodziło mu jednak do głowy, czym jeszcze mógłby się zająć, więc przemierzył trzy przecznice i rozłożył matę do jogi w jedynym wolnym miejscu przy drzwiach. Każdy następny chętny do ćwiczeń, który zjawiłby się na zajęciach, musiałby go przekroczyć.

Sesję prowadził Dave. Był czwartek, czyli zgodnie z harmonogramem wykład o dharmie przeplatany asanami, które koncentrują się na kumulowaniu energii. W różnych studiach praktykowano różne rodzaje jogi – Bikrama zorientowaną na intensywne pocenie, albo Iyengara ukierunkowaną na precyzyjne wykonywanie asan – tak mówił Dave, któremu chodziło przede wszystkim o energię. Był bez koszuli, jak zwykle. Zrobił skłon w stronę Andrew, kiedy wreszcie ich spojrzenia się spotkały. Sala była pełna ludzi, których Andrew nigdy wcześniej nie widział – młodych, o sprężystych ciałach. Andrew radził sobie lepiej niż na początku i nadażał za innymi. Co pewien czas czuł, że ktoś mu się przygląda, odwracał się wtedy, żeby zobaczyć kto, ale za każdym razem w tej samej chwili ten ktoś – jeden z pomocników Dave’a – przenosił wzrok w inną stronę.

– Wciągnij powietrze, oddychaj klatką piersiową, żebrami – instruował Dave.
– Wypuść je przez palce od nóg.

Wszyscy wykonywali polecenia Dave’a. Andrew też próbował, ale gdy starał się oddychać żebrami, czuł w sobie opór – przeszkadzała wątroba? Serce? Nie da się oddychać żebrami, to jest po prostu niemożliwe. A już z całą pewnością nie można oddychać przez palce od nóg. Andrew otworzył oczy.

Ze swego miejsca przy drzwiach miał widok na hol i werandę, gdzie stali dwaj policjanci w mundurach i zaglądali przez szybę. Zapukali, ale Dave nigdy nikogo nie wpuszczał w czasie zajęć. Andrew wstał i podszedł do drzwi.

– Mogę panom w czymś pomóc?

– Owszem. Otrzymaliśmy zgłoszenie i chcielibyśmy się rozejrzeć, ponieważ podobno prowadzi się tu nielegalną działalność. Pan tu zarządza? Mieszka pan tutaj?

Andrew rozpoznał jednego z policjantów, którego spotkał już w komisariacie, gdy wraz z Elizabeth pojechali po swego występnego syna.

– Powiedzmy, że i tak, i nie. Nie mieszkam tutaj – wyjaśnił Andrew.

– Możemy wejść?

Z głośnika walkie-talkie, które policjant miał przymocowane na wysokości biodra,

rozległ się czyjś głos, ale komunikat był zupełnie niezrozumiały.

Andrew odwrócił się w stronę sali. W korytarzu prowadzącym do kuchni kilku członków społeczności EWOLUtorium biegło tam i z powrotem z dużymi wiadrami.

– Uhm – mruknął Andrew.

Policjanci minęli go i weszli do domu.

Ćwiczący przyjęli pozycję psa z głową w dół, z pośladkami skierowanymi w powietrze. Spoglądali między nogami, obserwując rozwój wypadków od dołu, ale niektórzy uznali, że warto poprzyglądać się z właściwej perspektywy, więc zdecydowali się na wyjście z asany, usiedli i patrzyli, co się dzieje. Obaj policjanci zatrzymali się z boku, jakby mieli zamiar zagrać we „Froggera” i przeskoczyć przez joginów na drugą stronę pomieszczenia, ale nie wiedzieli, jak zacząć.

– Mogę w czymś pomóc, panowie? Przepraszam, ale trwają zajęcia. – Dave był oazą spokoju jak jezioro w Maine, ani śladu poruszenia.

– Pan jest szefem? Otrzymaliśmy informację o nielegalnej działalności. Zgłoszono, że prowadzi się tu sprzedaż niedozwolonych substancji bez odpowiedniego uprawnienia. Mamy nakaz przejęcia... – Funkcjonariusz przerwał i spojrzał na kartkę. – Kambaczy. Nielegalnie produkowanej kambaczy. Możemy zobaczyć kuchnię?

Dave powoli się podniósł. Jego białe stopy odkleiły się od podłogi z cichym cmoknięciem.

– Kontynuujcie, proszę. Każdy realizuje własny program ćwiczeń. Salome?

Czaiła się w holu i potrząsnęła gwałtownie głową.

– Annaliese?

Dziewczyna, którą Andrew widział po raz pierwszy, zerwała się z maty w trzecim rzędzie i podeszła do maty Dave’a. Stamtąd demonstrowała poszczególne pozycje pozdrowienia słońca. Niektórzy zwinęli swoje maty. Zwlekali jeszcze przez kilka minut przed wyjściem. Inni, bardziej zaangażowani jogini, zostali i przeszli do psa z głową w górę, do pozycji deski i z powrotem.

Andrew obserwował, jak Dave prowadzi funkcjonariuszy do kuchni, a potem w górę po schodach i w dół po oprowadzeniu ich po całym domu. Wszędzie było pełno zielska – Andrew nigdy tego nie zauważył, ale teraz poczuł, że w domu roznosi się silna woń roślin. Nie wiedział też o kadziach kombuczy w piwnicy ani o niepasteryzowanych sokach i ziołowych dodatkach, z których Salome przygotowywała herbatę. Oczywiście nikt nie słyszał o żadnym zezwoleniu. Gdzie były oznakowania takie, jakie wisiły wszędzie w Hiacyntce, informacje, że pracownicy muszą myć ręce, albo obrazowa instrukcja wykonania chwytu Heimlicha? W EWOLUtorium niczego takiego nie było. Andrew tak bardzo zależało na znalezieniu zajęcia, któremu mógłby się poświęcić, że nie zauważył, że cały swój czas spędza w podejrzanej norze, którą uznał za raj na ziemi.

Kilku młodych, brodatych bywalców EWOLUtorium przechadzało się po frontowej sali, inni skupili się w małych grupkach i rozmawiali półgłosem. Andrew próbował podsłuchiwać, ale krok po kroku odsuwali się coraz dalej od niego, aż znaleźli się w odległym kącie sali, pozostawiając Andrew na środku.

Po około dziesięciu minutach policjanci wrócili. Jeden z nich, młody mężczyzna, którego Andrew rozpoznał, mocno trzymał Dave’a za łokieć.

– Chwileczkę – powiedział Andrew. – To mój wspólnik. Dokąd go zabieracie? Co się dzieje?

Policjant się zatrzymał.

Dave głośno wypuścił powietrze, wydając z siebie niski dźwięk „om”.

– Może pan przestać tak buczeć?! – zirytował się policjant. – Zaraz mnie szlag trafi! Co ma pan na myśli, mówiąc „wspólnikiem”? Zna pan tego gościa? – Policjant zwrócił się do Dave’a, który patrzył prosto przed siebie i koncentrował wzrok na którymś z punktów driști.

Dave poruszył powiekami. Patrzył przez chwilę na Andrew, a potem lekko potrząsnął głową.

– Ten mężczyzna przychodzi tu ćwiczyć jogę, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Niech spokój towarzyszy twoim dobrym myślom, przyjacielu.

Policjant wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Przepraszam, proszę pozwolić nam przejść – zwrócił się do Andrew i poprowadził Dave’a za łokieć do radiowozu zaparkowanego na ulicy. Podążający za nim drugi policjant niósł dwie beczułki pełne płynu, który pachniał jak piwo, jedną pod jedną pachą, drugą pod drugą.

– Rozumiem – powiedział Andrew do siebie. – Rozumiem. – Wyszedł z EWOLUtorium i obserwował, jak policjant sadowi Dave’a z tyłu radiowozu. Dave patrzył prosto przed siebie.

Na środku chodnika przystanąła kobieta, która akurat przechodziła obok z kudłatym, białym psem. Czekwała, aż samochód policji odjedzie, a potem pokręciła głową.

– Zawsze tacy przystojni – powiedziała. – Ci przestępcy.

Gdyby nie pieniądze, Andrew uznałby to zdarzenie za sygnał, że jest wolny. Właściwą alternatywą było rzeźnictwo czy może pszczelarstwo – pasieka na dachu. W ciągu dwóch miesięcy niczego nie zbudował. Nie stał się hotelarzem, w każdym razie nie jako wspólnik Dave’a. Był tylko frajerem stojącym przed studiem jogi. W kieszeni zadzwonił telefon. Wyjął aparat i zobaczył twarz Elizabeth wypełniającą cały ekran. Był tak szczęśliwy, że niewiele brakowało, a by się rozplakał.

– Kochanie – powiedział, zanim ona zdążyła się odezwać. – Tak mi przykro, bardzo przepraszam.

Rozdział 68

W odległym końcu peronu na stacji kolejowej w Montauk Elizabeth zasłoniła sobie twarz słomkowym kapeluszem i słuchała przemowy męża. W pewnym sensie sprawy miały się lepiej, w innym gorzej niż się spodziewała. Nie spał z żadną z roznegliżowanych, młodych kobiet z wytwórni soku. Nie spał też z tym facetem z brodą. O takiej konfiguracji Elizabeth nawet pomyślała, ale nią w mniejszym stopniu zaprzętała sobie umysł niż wariantem z nagimi, młodymi kobietami. Andrew powiedział jej o pieniądzach i to, co z nimi zrobił, ją zabolowało, chociaż oczywiście nie myślała o nich jak o swoich ani nawet nie jak o ich wspólnych, więc była skłonna uznać ten incydent za konsekwencję głupoty męża i – ewentualnie albo – za dowód otwartości umysłu, a tę jego cechę, ogólnie rzecz biorąc, naprawdę sobie ceniła.

Może się to wydawać zabawne, ale wszystko, co mówił Andrew, prowadziło Elizabeth do wniosku, że długoletnie małżeństwo zdecydowanie jest możliwe, częściowo dlatego, że tylko się wydaje, że małżonkowie ujawniają sobie nawzajem wszystkie swoje tajemnice, podczas gdy zawsze się okazuje, że jest ich o wiele więcej.

– Za kogo ja wysłałam za męża? – zapytała Elizabeth tak głośno, że aż sama była zdumiona. Pociąg miał przyjechać za pięć minut. Zoe i Jane razem przywiozły ją na stację. Rano wszystkie trzy poszły popływać i Elizabeth wciąż czuła na ramionach wilgotne końcówki włosów, trochę sztywnych od słonej wody i piasku. Ból głowy nie zniknął całkowicie, ale samopoczucie miała lepsze. Wszyscy dochodzili do siebie, w każdym razie zdarzały się lepsze momenty. Posłuchaj – przerwała mu. – Zaraz przyjedzie pociąg. Będę w domu za kilka godzin. Czekać tam na mnie, dobrze? Chcę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście – powiedział Andrew.

– Niewiele brakowało, a całowałabym się z Zoe. I po raz pierwszy o tym rozmawialiśmy. – Chciała, żeby wiedział, że nie tylko on nie otworzył przed nią wszystkich drzwi.

– Kiedy to było? – zapytał Andrew.

– W szkole. W młodości. Kiedy byliśmy nastolatkami. Tak jak ty. To znaczy prawie. Tyle że do niczego nie doszło. Wiem, Andrew, wiem, że wtedy byliśmy dziećmi. Mieliśmy po tyle lat, ile teraz ma Harry, mniej więcej. Masz pojęcie? – Elizabeth nie potrafiła sobie wyobrazić, że te wszystkie lata, od wtedy do teraz, rzeczywiście się przydarzyły jej i Andrew, i ich przyjaciołom, że pokonali je bez większych strat, że wciąż żyją i że tyle czasu przetrwali razem. Z matematycznego punktu widzenia myślenie, że wszyscy wciąż trwają, wydawało się irracjonalne. Wszyscy oprócz Lydii. Z nią było zupełnie inaczej – ona nie trwała, raczej była obecna pozornie, odtworzona. W pewnym sensie Lydia przeżyje ich wszystkich.

W żołądku poczuła lekkie łaskotanie, takie samo jak wtedy, kiedy postanowili z Andrew wziąć ślub. Zaniepokojenie albo ożywienie. Przed podróżą w nieznane. Pociąg wjechał na peron i znów wylała się z niego podpita hałastrą. Elizabeth usunęła się z drogi, żeby nie dać się porwać tłumowi. Życie już w wystarczającym stopniu porywa człowieka – mocno zaparła się nogami i wystawiła łokcie.

– Niedługo się zobaczymy – powiedziała. – Tęsknię za tobą. Nienawidzę cię i tęsknię za tobą. – Elizabeth mówiła do gniewnego chłopca, który zamówił dla niej jajecznicę z baru w pobliżu domu swoich rodziców. On w dalszym ciągu nie wiedział wiele więcej niż wtedy. Mogłaby mu pomóc albo nie. Wybór należał tylko od niej.

Elizabeth zdjęła kapelusz i wachlowała się nim na wysokości twarzy.

– *Będę mieć spokój, spokój, spokój* – śpiewała pełnym głosem. Dzieciaki patrzyły na nią jak na pomyloną, a ona powtórzyła głośniejszym głosem: – *Będę mieć spokój, spokój, spokój!*
– Nadszedł czas wsiadania do pociągu. Elizabeth zajęła miejsce przy oknie, położyła sobie notes na kolanach i pisała w nim przez całą drogę do domu.

Rozdział 69

Jane wróciła ze sklepu Gosmana's Dock z homarami z wieczornego połowu, Mini i Miki albo Fred i Ginger, Jane nie mogła się zdecydować. Zastała Zoe na tarasie, pochyloną nad zeszytem.

– Uzupełniasz dzienniczek dla doktor Amelii?

– Powiedzmy. Chodź tutaj. – Zoe poklepała krzesło stojące obok niej.

Jane schowała homary do lodówki, żeby się schłodziły przed rytualnym uśmierceniem, usiadła i zerknęła do zeszytu, w którym pisała Zoe.

Zoe zasłoniła go dłońmi.

– Posłuchaj... – zaczęła cichym i spokojnym głosem. – Mam taki pomysł. Hiacyntka niedługo będzie po remoncie i już wkrótce ją uruchomimy. Bardzo się z tego cieszę, ale uważam, że nadszedł czas na coś nowego. Chyba potrzebujemy zmiany.

– Cholera – zdenerwowała się Jane. – Psia krew! Naprawdę wydawało mi się, że idzie ku lepszemu, Zo! Jak możesz tego nie widzieć? Wiem, że nie mam łatwego charakteru, że miewam humory i że od dziesięciu lat ani razu nie byłam na siłowni, ale zastanów się! Jak możesz twierdzić, że nie jest nam ze sobą dobrze? – Jane poczuła gwałtowne przyspieszenie rytmu serca. – Kocham cię. Nie zostawiaj mnie. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Zoe uśmiechnęła się i odsłoniła zeszyt. Ukazał się szkic frontowej ściany sklepu. Wszystkie okna wychodzące na ulicę, jak w Hiacyntce, a małe, okrągłe stoły ustawione rzędem wzdłuż okien z widokiem na zewnątrz. Nad drzwiami szyld z nazwą HOT + SWEET i rysunkiem precla.

– Nie musi być precel – powiedziała Zoe. – Lubię ten kształt, dlatego tu jest. Równie dobrze może być rogalik albo muffin. Nie, muffin mi się nie podoba. Ale rogalik, proszę bardzo.

– Co to jest? – Jane odwróciła kartkę i zobaczyła więcej rysunków. Wiele notatek. „Pierwsza cukiernia-piekarnia dla smakoszków w Ditmas Park”. Lista dostawców, pomysły na menu.

– Robimy wszystko. Ty robisz wszystko. Już wiem, jakie lampy powinny tam być. Ten chłopak w Los Angeles produkuje takie, które wyglądają na stylizowane ośmiornice... – Zoe ciągle mówiła, kiedy Jane powstrzymała ją pocałunkiem. Zoe roześmiała się, całowały się, a potem również Jane się roześmiała.

– Napędziłaś mi strachu – powiedziała Jane. Potrząsnęła głową. – Nie strasz mnie więcej w ten sposób.

Zoe ujęła w dłonie twarz żony.

– Nigdy więcej. A teraz powiedz, co o tym myślisz.

– Hot plus sweet – powiedziała Jane. – Cudnie brzmi.

– Świetnie – ucieszyła się Zoe. – Ponieważ Elizabeth ma na oku lokal. Wiesz, gdzie jest salon fryzjerski, ten z żółtą markizą? Przedtem, mniej więcej dziesięć lat temu, była tam mała, dominikańska kawiarnia. Zaraz za strażą pożarną.

Jane zamknęła oczy.

- Z patio. Mogłybyśmy mieć z boku stoliki na zewnątrz.
- No właśnie. Zoe wyciągnęła ręce i objęła Jane w talii, a po chwili usadowiła się jej kolanach. – Nowy projekt. Nowe dziecko.
- Nowe dziecko z masła.
- Nie ma nic lepszego – powiedziała Zoe. Mocno przytuliła się do Jane, a potem jeszcze mocniej.

Rozdział 70

Gabinet wyglądał tak, jak opisała go Zoe – przyjemny nieład, stosy książek na podłodze obok biblioteczek. Elizabeth i Andrew, zakłopotani, weszli niepewnie do środka i usiedli obok siebie na wytartej kanapie.

– Czyli... – odezwała się doktor Amelia. – Co was do mnie sprowadza? Elizabeth, rozmawialiśmy krótko przez telefon, ale lubię zaczynać pracę z parami małżeńskimi od początku, żebyśmy wszyscy byli wtajemniczeni. W tej samej łodzi. W jednym zespole. – Skinęła głową do obojga, ściągnęła wargi i czekała.

Wizyta w jej gabinecie była prezentem od Jane i Zoe, które zrezygnowały ze spotkania z doktor Amelią i wysłały na nie Elizabeth i Andrew. Taki prezent nie każdemu można zafundować, ale im się akurat trafił.

– Hmm, ja, hm – zżymał się Andrew. – Czułem się nieco zagubiony, zawodowo, przez, hm, przez pewien czas. – Przerwał. – Chyba od tego się zaczęło.

– Czyżby? – wtrąciła się Elizabeth. Odchyliła głowę do tyłu. – W moim przekonaniu zaczęło się wtedy, kiedy mieliśmy mniej więcej dziewiętnaście lat, nie uważasz? – Od wyjazdu z Montauk Elizabeth czuła, że stopniowo pozbywa się niepokojów jak wąż starej skóry. Złuszczały się z niej po trochu przez cały czas – o seks Harry’ego, o seks Harry’ego w miejscu publicznym, o pierwsze siwe włosy, o to, że jej szefowa od czasu do czasu uparcie nazywała ją Emily, o sposób, w jaki Lydia patrzyła na nią milion lat temu i w jaki nieprawdziwa Lydia patrzyła na nią teraz, o Andrew, o to, jak on się czuje. Doktor Amelia i Andrew spoglądali na nią szeroko otwartymi oczami, aż Elizabeth zorientowała się, że wciąż mówi. – A poza tym myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym, jak przypadkiem wstąpiłeś do sekty, ponieważ potrzebujesz przyjaciół i pracy, a zdobycie zawodu, wiem z własnego doświadczenia, nikomu nie przychodzi łatwo, to znaczy, chodzi mi o to, że jestem agentem nieruchomości, a nie jest to praca, o której marzą dzieci, rozumiesz? – Oddychała szybciej niż zwykle, ale czuła się dobrze, jakby przebiegła się po kwadracie zamkniętym najbliższymi położonymi ulicami. Chciała biec dalej. W pociągu w drodze do domu napisała trzy piosenki i była niemal pewna, że co najmniej dwie z nich są równie dobre jak *Sama sobie jestem panią*. Chciała je zagrać Andrew, ale chciała też nagrać płytę z wersją demonstracyjną swoich utworów i wysłać ją do Merge, Sup Pop i Touch & Go, powiedzieć: „Hej! Jestem! Byłam od dawna!”. Znała kilka odpowiednich osób, które mogłyby jej pomóc, przynajmniej na początku. Musiała tylko się dowiedzieć, w którym kierunku podążyć. Pomysł wydawał się do tego stopnia ekscytujący, że czuła się prawie tak, jakby miała wysoką gorączkę i oszołomiona odpłynęła na inną planetę. – Mam wrażenie, że muszę zrobić sobie przerwę. Na kilka miesięcy. Wybrać się w podróż, to tu, to tam. Sama. – Elizabeth potarła dłońmi uda. – Może wynająć dom, nagrać muzykę, mieć trochę czasu dla siebie.

– Taaak – powiedziała doktor Amelia. – Zacznijmy od tego miejsca. Andrew? Wskakuj, woda jest spokojna.

– Woda zdecydowanie nie jest spokojna – znów wtrąciła się Elizabeth. – Woda wcale nie jest w spokojna.

– Proszę cię, Lizzy – powiedział Andrew. – Zupełnie niedawno byliśmy naprawdę całkiem w porządku, prawda?

Elizabeth spojrzała na męża. Tyle rad słyszała przez lata: nie wychodzić za mąż za kogoś, z kim nie chciałyby się rozwieść; nie wiązać się nikim, kim sama nie chciałyby być; nie brać sobie za męża kogoś, kto nie traktowałby jej na równi albo nawet jako osoby bardziej wyjątkowej od siebie; nie wychodzić za nikogo dla seksu; poślubić dla seksu; poślubić z przyjaźni; nie poślubić dla towarzystwa. Byli ze sobą tak długo, że Elizabeth nie pamiętała, którą z tych porad się kierowała – z całą pewnością nie wiedziała wtedy, kiedy wychodziła za mąż. Tego rodzaju wskazówki były dla takich jak Ruby i Harry, dzieci z miasta, które prawdopodobnie nie założą rodziny przed trzydziestką i nie będą miały własnych dzieci wcześniej niż w trzydziestym piątym roku życia. W pewnym sensie, chociaż nie mieli takiego zamiaru, Elizabeth i Andrew postępowali tak, jakby żyli w latach pięćdziesiątych poprzedniego stulecia, w pośpiechu weszli w dorosłość bez wystarczającej wiedzy o sobie.

Doktor Amelia dotknęła końcówką pióra do policzka, na którym pozostała mała, niebieska kropka.

– Co o tym myślisz, Elizabeth? Czy jesteś całkiem w porządku?

Włączył się klimatyzator. Z prawej strony nagle powiało na Elizabeth lodowate powietrze. Andrew wstrząsnął się mimowolnie, a Elizabeth zobaczyła, że na jego gołych rękach pojawiła się gęsia skórka.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy już znali odpowiedź na to pytanie, doktor Amelio – powiedziała Elizabeth. Wyjęła poduszkę z za pleców i położyła ją sobie na kolanach. – Moim zdaniem dopiero w tym miejscu zaczynamy.

Andrew zrobił nadzwyczaj dziwną minę – częściowo skrzywioną, częściowo uśmiechniętą, jakby nie potrafił się zdecydować, jaki nadać wyraz własnym ustom, więc same próbowały zasugerować mu właściwe ułożenie.

– Wiesz co? – zwróciła się do niego Elizabeth. – Przed chwilą przyszło mi to do głowy. Właściwie nie uważam, żebyś tylko ty ponosił winę za to, co się tutaj dzieje.

– Słuszna uwaga, trzeba się dzielić odpowiedzialnością – podsumowała doktor Amelia.

– Tak – przyznała Elizabeth. – Owszem. To również moja wina, bo nie postradałam zmysłów dziesięć lat temu. Albo dwadzieścia. Gdybym była bardziej przebojowa, miała większe skłonności do eksperymentowania, załamywania się i słabości, nie siedzielibyśmy tutaj. Prawdopodobnie w ogóle by nas nie było.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że byśmy nie żyli? – Andrew, biedny i drogi Andrew, wyglądał na tak dezorientowanego, że Elizabeth miałaby ochotę posadzić go w osłej ławce.

– Nie, żylibyśmy. Tylko nie w związku małżeńskim. Nie mówię, że tego chcę. Ale może chcę, jeszcze nie jestem pewna. Uważam, że oboje zastygliśmy w miejscu – i właśnie dlatego tutaj siedzimy.

– Bardzo udana sesja – powiedziała doktor Amelia. – Jestem naprawdę pod wrażeniem.

– Dziękuję. – Elizabeth uśmiechnęła się promiennie. – Nikt od bardzo dawna nie

powiedział mi takiego komplementu. – Odwróciła się do Andrew, któremu twarz zbladła.

– Możesz od tego zacząć, jeśli chcesz.

Andrew przełknął ślinę.

– Tak zrobię.

– Teraz byłby doskonały moment, Andrew – odezwała się doktor Amelia. – Powiedz swojej żonie, w czym jest naprawdę świetna. To może być drobiazg albo coś o większym znaczeniu.

Andrew spojrzał na swoje dłonie i złożył kciuki. W gabinecie zapanowała cisza.

– Doskonale piszesz teksty piosenek – zaczął. – Masz wyjątkowy talent.

– Dziękuję – powiedziała Elizabeth.

– I jesteś nadzwyczajną matką. Harry cię uwielbia.

– Dziękuję – powiedziała Elizabeth.

– Doskonały początek – pochwaliła doktor Amelia. – Elizabeth?

– Hmm? – Elizabeth spojrzała w górę.

– Za co chcesz podziękować Andrew?

– Może za chwilę. Teraz naprawdę chciałabym, żeby Andrew kontynuował, jeśli tak może być. – Założyła ręce na piersiach i czekała.

Rozdział 71

Odkąd Ruby postanowiła, że wyjeżdża, jej plany szybko się skonkretyzowały. Ostatniego dnia sierpnia miała lecieć samolotem do San Diego, stamtąd po trzech miesiącach do Loreto w Meksyku. Program był przeznaczony dla osób powyżej siedemnastego roku życia, można było zdobyć punkty za zaliczenie zajęć akceptowanych w college'u i zapewniano niezbędny sprzęt. Zastanawiała się nad udziałem w innym programie w Ameryce Południowej, po zakończeniu programu w Meksyku, ale w harmonogramie tamtego przewidziano głównie piesze wędrówki, a do nich nie była do końca przekonana. Harry pomagał jej w pakowaniu. Do wylotu Ruby pozostały dwa dni.

Oświadczyły nie do końca potoczyły się po jego myśli – Ruby włożyła pierścionek na środkowy palec i powiedziała: „Nie”. Odmowa jasna jak słońce, ale rozumiał. Byli za młodzi. Miał przed sobą jeszcze rok nauki w liceum. Nikt się nie zaręcza w szkole średniej, to oczywiste. Cieszył się, że Ruby zatrzyma pierścionek.

Było późne popołudnie. Matki Ruby i jego mama wybrały się do nowego lokalu – nie przestawały o nim rozmawiać, wszystkie trzy, jak czarownice trajkotały o pączkach i dżemie. „Fajnie mają” – pomyślał Harry. Robiły coś z niczego.

Ruby stała przed szafą. Miała nie zabierać żadnych ubrań, które nosiła do tej pory – na liście były tylko rzeczy z materiałów, z jakich szyje się kostiumy kąpielowe. Trzy miesiące miała spędzić na łodzi, ale na razie przymierzała sukienki na spotkanie pożegnalne. Wkładała je przez głowę, nie zdejmując z wieszaków, i wyglądała jak potwór Frankenstein z metalowymi drutami, które sterczały jej nad ramionami.

– W tej byłeś na rozdaniu świadectw – zauważył Harry. Białe frędzle poruszyły się przy jej gołych udach. Miała na sobie tylko majtki. Harry chciał sfotografować każdą część ciała Ruby, ale wiedział, że i tak w żaden sposób jej nie zatrzyma.

– Wtedy zostałeś moim rycerzem – powiedziała Ruby.

– Ty zawsze byłeś moją damą. Miejmy co do tego jasność. – Wstał i podszedł do niej. – Chcę cię przytulić, ale wolałbym się nie nadziać na to żelastwo.

Ruby się roześmiała i zdjęła z siebie wieszaki.

– Proszę, już możesz – powiedziała.

Harry otoczył ją ramionami i spojrzał na nich w lustrze.

– Hej! Coś mi się przypomniało. Miałaś mi utlenić włosy, a wciąż tego nie zrobiłaś.

– Chcesz teraz?

– A jeszcze jesteś moją dziewczyną? – Harry nie bardzo wiedział, dlaczego to ma znaczenie, ale miało.

– Powiedzmy, że jestem twoją dziewczyną do czasu, aż wsiądę do samolotu – powiedziała Ruby. – Jak ci się to podoba?

– Mogę z tym żyć. Bierzmy się do roboty.

Ruby klasnęła w dłonie i wskazała na łazienkę.

– Zapraszam cię do mojego salonu!

Harry usiadł na brzegu wanny, a Ruby po kolei otwierała i zamykała wszystkie szafki.

– Aha! – zawołała i przystąpiła do efektownego pokazu chemicznego. W plastikowej misce wstawionej do umywalki mieszała jakieś substancje.

Wkrótce rozprowadzała Harry’emu na włosach zimne, białe paskudztwo. Po kilku sekundach poczuł na skórze głowy swędzenie, które zmieniło się w pulsowanie.

– To normalne? – zapytał, a Ruby zrobiła wymowną minę.

– Wiedziałam, faceci to cieniasy – stwierdziła. – Owszem, normalne. – Jeszcze przez jakiś czas pokrywała papką jego głowę. Na koniec założyła mu duży, plastikowy czepek.

– Włączyłabyś muzykę? – poprosił Harry. Liczył, że to pomoże odwrócić jego uwagę od własnej głowy, która, jak mu się zdawało, stała w ogniu.

Ruby wyjęła telefon, przewijała listę utworów, aż znalazła ten, którego szukała, włączyła odtwarzanie i położyła aparat na desce klozetowej.

To była wolna piosenka, której Harry nie znał. Wykonawca śpiewał: „Love and happiness”, potem było krótkie solo gitarowe, a po nim zabrzmiał cały zespół.

– Al Green – powiedziała Ruby i zaczęła tańczyć.

Harry położył dłonie na udach i zamknął oczy, starał się zapamiętać tyle, ile zdoła. Słuchali tej piosenki jeszcze trzy razy, zanim nastawiła całą płytę.

– Dobra, sprawdzamy włosy. – Uchyliła czepek. – O, szlag! – krzyknęła. – Wyszedł pomarańczowy.

Harry zsunął czepek z głowy i wstał. Wyglądało na to, że miał jasnopomarańczowe dredy.

– Zmyjmy to świństwo, może nie będzie aż tak źle. – Włożył głowę pod kran, a Ruby spłukiwała mu farbę, rozdzielając włosy palcami. Umyła je dwa razy, zanim pozwoliła mu się wyprostować i wytrzeć ręcznikiem.

Stali obok siebie, ramię przy ramieniu. Zamiast blondu włosy Harry’ego przybrały kolor jasnej, świeżej rdzy albo bardzo brudnego pachołka ograniczającego ruch na drodze. Dotknął zwiniętego kosmyka włosów i położył dłoń na brodzie. Wyglądał okropnie, tak okropnie, że Ruby nawet nie mogła robić przedstawienia i udawać, że jest inaczej. Skrzywili się równocześnie.

– Masz może maszynkę do strzyżenia?

– Mamusia pewnie ma. Zaczekaj chwilę. – Ruby wbiegła po schodach do sypialni matek i wróciła z maszynką, ciągnąc za sobą przewód.

Harry włożył wtyczkę do gniazdka i włączył maszynkę.

– Próbowalesz już to kiedyś robić?

– Nie – odpowiedział Harry. – Ale jak ze wszystkim, zawsze przychodzi czas na pierwszy raz. – Zaczął od przodu, gdzieś musiał być początek, i przesuwiał maszynkę od czoła do tyłu głowy. Długie włosy spadły mu najpierw na ramiona, a potem zsuwały się na podłogę.

– Doskonale – dopingowała Ruby. – Jedź tak dalej.

Najpierw ostrzygł prawą stronę na wysokości nieco ponad dwóch centymetrów od skóry, może mniej, do linii, poniżej której na włosach nie było śladów farby. Zrobił przerwę, żeby Ruby mogła go sfotografować z połową głowy pomarańczową i połową ostrzyżoną. Rozłożyła na podłodze ręcznik, na który spadały loki Harry’ego.

Operacja trwała zaledwie kilka minut.

– Zmarnowałem ci sporo farby – zauważył Harry. Obrócił się w jedną stronę, potem w drugą, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze.

– Proszę. – Ruby podała mu mniejsze lustro. – Obejrzyj całość. – Potem sama wzięła je w dłonie, jak w salonie fryzjerskim, i obracała Harrym dookoła, żeby mógł zobaczyć swoją głowę z tyłu.

– Wyglądam jak mój tata – powiedział Harry.

– Trochę tak, ale moim zdaniem wyglądasz bardziej jak ty.

Wiedział, co Ruby miała na myśli. Wyglądał jak inny Harry – starszy. Bardziej męski nawet. Przesunął ręką po głowie, szorstkiej i nadal swędzącej po farbowaniu. Już nie wyglądał jak dziecko i czuł się podobnie.

– Powinienem iść do domu – powiedział Harry. – Zostawię cię teraz, ale wrócę wieczorem.

Ruby skinęła głową.

– Kocham cię, Harry Marx. – Pocałowała go w policzek.

Oboje mieli na sobie jego włosy. Na wiele sposobów chciał zapamiętać Ruby, jej obraz w różnych odsłonach zapisać w pamięci na zawsze, ale pragnął zachować też swój wizerunek w tej chwili, gdy te słowa wypłynęły z jej ust, a on wciąż stał, wciąż mógł wyjść przez drzwi. Przez całe swoje przyszłe życie nie zdarzy mu się lepsze lato. Harry też pocałował Ruby w policzek, po czym zamknął za sobą drzwi.

Powoli zszedł po schodach, po drodze poklepał Binga po głowie. Dzień chylił się ku końcowi. Harry chciał spotkać kogoś znajomego, na przykład ze szkoły, minąć go i sprawdzić, czy zostanie rozpoznany, ale na Argyle Road nie natknął się na nikogo. Wkrótce znalazł się na podjeździe przed swoim domem. Drzwi do garażu były do połowy otwarte. Przez ponad metrowej wysokości przejście nad ziemią zobaczył nogi matki i jej wzmacniacz. Grała cicho. Harry podszedł bliżej, chciał posłuchać. Bardzo ładny utwór, całkiem nowy. Pokazały się świetliki, ich migotliwe światełka już były widoczne. Harry odwrócił się i obserwował, jak jeden wznosi się ku koronie drzewa. Drzwi garażowe podniosły się nieco wyżej, a spod nich wychyliła się jego mama, która rozejrzała się po podjeździe.

– Harry, to ty?

W powietrzu unosił się zapach jesieni, a Harry nie odrywał wzroku od świetlika. Czekał, aż jego światełko zniknie wśród liści, i dopiero wtedy się odwrócił.

Część czwarta

POSTSCRIPTUM

THE NEW YORK POST

Jogin przyłapany przez policję – podejrzone opary w Brooklynie

W tym tygodniu funkcjonariusze z sześćdziesiątego siódmego komisariatu odkryli więcej, niż się spodziewali. Podążyli śladem doniesienia, które otrzymali od anonimowego informatora, że w EWOLUtorium, hipsterskim studiu jogi w Ditmas Park, w Brooklynie, nielegalnie wytwarza się i sprzedaje wzmocnioną kombucę, fermentowany napój alkoholowy. Na miejscu oprócz kombuczy policjanci znaleźli również kilka krzaków marihuany, psychodeliki i wiele niezidentyfikowanych produktów naturalnych, takich jak gałązki i liście, których w EWOLUtorium używano jako dodatków do herbat i innych napojów przeznaczonych do spożycia.

EWOLUtorium otrzymało wezwanie do sądu w związku z zarzutem sprzedaży kombuczy bez zezwolenia, a także kilka innych wezwań sądowych celem złożenia wyjaśnień w sprawie posiadania nielegalnych narkotyków, które policja znalazła w jego siedzibie. „Nie sprzedajemy narkotyków”, powiedział dziennikarzom David Goldsmith, właściciel EWOLUtorium. „Jesteśmy wspólnotą holistyczną i intensywnie inwestujemy w zdrowie duchowe i fizyczne członków naszej społeczności i rodzaju ludzkiego. Wyrażam ubolewanie, że funkcjonariusze Policji Miasta Nowy Jork nie rozumieją naszej misji, którą tu realizujemy, choć liczę, że z czasem to nastąpi”.

Nikt nie został zatrzymany, ale na stronie internetowej EWOLUtorium widnieje informacja, że wszystkie zajęcia jogi i inne rodzaje działalności (prawdopodobnie również produkcja kombuczy) zostały zawieszona na czas prowadzenia na miejscu czynności dochodzeniowych.

Z internetowej bazy danych o światowej kinematografii i ludziach z nią związanych (IMDb)

Ciekawostki z życiorysu Dave'a Wolfe'a

Dave doskonale zna sanskryt.

Dave jako nastolatek zdobył drugie i czwarte miejsce w zawodach surfingowych celebrytów, rywalizując z Davidem Charvetem i Eddiem Cibrianem.

Dave'owi tak szybko rośnie zarost, że w jego życiorysie ta cecha została

wymieniona w punkcie „Szczególne uzdolnienia”.

THE NEW YORK TIMES – KULTURA

Recenzja: *Sama sobie jestem panią* – narodziny i początki kariery gwiazdy

Rekomendacje krytyków filmowych

Lydia Greenbaum śpiewała tak, jakby w jej domu rozszalał się pożar. Mimo braku przygotowania wokalnego i z umiejętnością emisji czystego dźwięku, którą w najlepszym razie można określić jako „przeciętną”, Lydia (podczas krótkiego pobytu w college’u w Oberlin zrezygnowała z używania nazwiska Greenbaum) na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku stała się gwiazdą. W ciągu zaledwie kilku miesięcy wyłoniła się z cienia i znalazła na szczycie sławy. W tym biograficznym obrazie, romantycznym i pokazanym w subtelnym świetle, skoncentrowano się na latach bezpośrednio poprzedzających zawrotną karierę Lydii, kiedy to przyszła gwiazda większość czasu spędzała na jedzeniu krokietów ziemniaczanych w uczelnianej stołówce.

Twórcy filmu, który zdecydowanie warto obejrzeć, pokazali piosenkarkę w „ludzkiej postaci”, a historię jej kariery opowiedzieli, odchodząc od typowego podejścia „krok po kroku”, charakterystycznego dla wielu muzycznych filmów biograficznych, prawdopodobnie dlatego, że droga Lydii do szczytu sławy nie wiodła po łuku wznoszącym, lecz biegła torem lotu strzały. Fabułę filmu osadzono w niezbyt precyzyjnie określonych ramach czasowych. Pominęto w niej wątek późniejszego uzależnienia wokalistki od narkotyków i jej nagłej śmierci, pozostawiając tym samym przestrzeń dla fantazji widza i zachęcając go do wyobrażenia sobie innego zakończenia życiowej przygody Lydii (w jej roli występuje Darcey Lemon, która dobrze dopasowała się do sentymentalnego klimatu filmu, do złudzenia podobna do pierwowzoru, uzdolniona aktorsko i dysponująca zaskakująco wyrazistym głosem). Najmocniejszą stroną filmu i drugą doskonałą decyzją jego twórców, po pierwszej o powierzeniu Darcey Lemon roli głównej bohaterki, jest poświęcenie w nim miejsca zespołowi Pociąg do Kitty, w którym w college’u występowała Lydia, chociaż udział (jak wynika z filmu) w jego popularności miała niewielki. Filarem fabuły jest romans Lydii z kolegą z zespołu, Andrew Marksem (w jego roli refleksyjny, młody Samson Tapper). Gdy ich miłosna przygoda się kończy, również zespół chyli się ku upadkowi, a wkrótce potem Lydia rezygnuje z nauki w college’u. Warto przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno temu gwiazdy mogły cieszyć się pewną prywatnością, i zwrócić uwagę, że historia miłosna z przeszłości nie miała wpływu na wizerunek estradowy Lydii, która potrafiła wykorzystać swój potencjał

i odkryć siebie na nowo.

Sama sobie jestem panią nie odwraca losu Lydii, który – jak nam wiadomo – stał się jej udziałem, ale dzięki temu filmowi możemy lepiej poznać i zrozumieć złożoną naturę artysty. Lydia dołącza do członków klubu 27, czyli między innymi Jima Morrisona i Kurta Cobaina, a jej krótkie, znamienne życie zostało zarejestrowane zarówno na taśmie filmowej, jak i w ludzkiej pamięci. Producenci sprawili nam prezent, umożliwiając wgląd w początkowe lata kariery niepokornej artystki.

GRUB STREET

Wielkie otwarcie

Powrót właścicielki Hiacyntki – maślane smakołyki w Ditmas Park

Pięć miesięcy po pożarze, z powodu którego została zamknięta kuchnia w pionierskiej, lokalnej restauracji Hiacyntka w Brooklynie, jej właścicielki – Zoe i Jane Kahn-Bennett – otwierają nową, urokliwą cukiernię-piekarnię o nazwie Hot + Sweet. Znajduje się ona dwie przecznice od Hiacyntki, w ciągu małych restauracji w Ditmas Park. Hot + Sweet jest czynna siedem dni w tygodniu i zaprasza na śniadanie i lunch.

Nie ma tam cronutów ani makaroników, ani ciastek na patyku – menu w Hot + Sweet jest bardzo tradycyjne, tak jak sobie wymarzyły panie Kahn-Bennett. „Po co ingerować w doskonałość?”, pyta szefowa kuchni, Jane Kahn-Bennett. „Wolę mieć codziennie smakowite francuskie rożki z jabłkami albo rogaliki niż modne, wymyślne cuda. Wiem, że wielu naszych klientów z najbliższej okolicy podziela moje zdanie, ponieważ od dziesięciu lat pytali nas, kiedy rozszerzymy działalność”.

W Hot + Sweet są też torty z czekoladą, bułeczki cynamonowe i ogromne ciastka z kawałkami czekolady.

Z kwartalnika muzycznego „Pitchfork Review”

Dziesięć najlepszych prezentacji na festiwalu „All Tomorrow’s Parties”, Nowy Jork

3. Najlepsze spotkanie po latach członków mało znanego zespołu

Pociąg do Kitty zasłynął jako zespół Lydii z college'u, ale w ciągu dwóch miesięcy od wejścia na ekrany filmu biograficznego *Sama sobie jestem panią* otrzymał kilka zaproszeń do udziału w ważnych imprezach, między innymi w festiwalu „All Tomorrow's Parties”. Wybrałem się na ich koncert, nie wiedząc, czego się spodziewać po ich muzyce bez Lydii, ale zespół – w składzie Zoe Kahn-Bennett, Elizabeth Marx, Andrew Marx i odtwórczyni głównej roli w *Sama sobie jestem panią*, aktorka Darcey Lemon, która wystąpiła w refrenie tytułowego utworu – grał z wigorem, precyzyjnie. Ich muzyka brzmiała gniewnie i energetycznie, jak prawdopodobnie w nagraniu na kasecie. Świetne, wibrujące brzmienie gitar, krótkie spódniczki artystek i konferansjerka wokalistki, Elizabeth Marx. Dziewczyna obok mnie powiedziała o Marx: „Ona jest prawdziwą gwiazdą!”, a jej przyjaciel dodał: „Czytałem na BuzzFeed, że pracuje w agencji obrotu nieruchomościami!”, zawierając w tym jednym zdaniu prawie wszystko, co powinniśmy wiedzieć na temat zarobków współczesnych muzyków.

NEW YORK TIMES – MODA I STYLE

Śluby

Sarah Annabelle Dinnerstein, córka Hannah i Eugene'a Dinnersteinów z Park Slope, Brooklyn, wyszła za mąż za Anthony'ego Dustinskiego, syna Eleny Rodriguez, z Greenwood Heights, Brooklyn, i Leopolda Dustinskiego z Ridgewood, Queens. Ceremonii, która odbyła się w Boathouse w Prospect Park, przewodniczył wielbny Elliott Beall, pastor Kościoła unitariańskiego.

Panna młoda (24 lata), która zachowała swoje nazwisko, pracuje w dziale public relations w Jah Juice, rastafariańskiej firmy z Brooklynu, produkującej sok. Pan młody (26 lat) jest studentem architektury na Uniwersytecie Columbia.

CONDÉ NAST TRAVELER

Córka mistrzyni kuchni z Brooklynu sięga po lokalne specjały

Ruby Kahn-Bennett mieszka w Meksyku od pięciu lat – najpierw znalazła się na

Półwyspie Kalifornijskim, gdzie zatrzymała się na jakiś czas po kursie żeglarskim, w którym uczestniczyła po ukończeniu szkoły średniej. Potem na krótko uległa urokowi stolicy Meksyku, aż ostatecznie zadomowiła się na wschodnim wybrzeżu, w Tulum położonym przy plaży. Rodowita nowojorczanka mówi, że stosunkowo niedawno poczuła się tam jak w domu. „Nauczyłam się prowadzić samochód dopiero w wieku dwudziestu lat”, powiedziała nam z rozbawieniem. „Do Meksyku przeprowadziłam się, kiedy miałam dziewiętnaście. Pierwszy rok był bardzo trudny. Długie podróże autobusami”.

Kahn-Bennett, jak się zdaje, odnalazła się w nowym środowisku, zapuściła korzenie i ulokowała swoją działalność na pograniczu turystyki i gastronomii. Jej pizzeria, Brooklyn's Finest, którą prowadzi w duchu zamiłowania do dobrego jedzenia, wyniesionego z domu w Brooklynie, znajduje się na tyle blisko hoteli, że chętnie odwiedzają to miejsce amerykańscy turyści. Ruby zdobyła sobie też wierność lokalnej klienteli, którą ujęła sięganiem po lokalne smaki. „Meksyk ma najlepsze papryki na świecie, więc robimy wiele różnych kompozycji. Obecnie upodobałam sobie białą pizzę mexicana con queso Oaxaca i paprykę poblano”.

Matki Ruby Kahn-Bennett, Jane i Zoe Kahn-Bennett, wciąż mieszkają w Brooklynie, dzieląc swój czas między cieszącą się tam dużym powodzeniem Hiacyntkę i ich nową cukiernią-piekarnią, Hot+Sweet. Obie odwiedzają córkę w Tulum co najmniej raz w roku. „Moje mamy uwielbiają tutejszą kuchnię”, mówi Ruby. „Wciąż słyszę groźby, że otworzą meksykańską restaurację u siebie”. Ruby Kahn-Bennett, choć bardzo zajęta prowadzeniem Brooklyn's Fines, każdego lata przyjeżdża do Nowego Jorku i domaga się od matek prawdziwej kolacji zwykle podawanej w Święto Dziękczynienia. „Chętnie przyjeżdżałabym do domu na to święto” mówi. „Ale wtedy mamy szczyt sezonu! Ktoś musi robić pizzę!” Na razie Święto Dziękczynienia obchodzą w lipcu.

MIESIĘCZNY BIULETYN ODDZIAŁU YMCA W PROSPECT PARK

AKTUALNOŚCI I WYDARZENIA

Turniej koszykówki Starszych Braci

Sami zwycięzcy

W tym miesiącu zwińczeniem sezonu letniego w programie „Starsi Bracia” był doroczny turniej koszykówki. Starszy Brat – mentor i trener wolontariuszy, Andrew Marx – po zakończonych rozgrywkach powiedział: „Rozegraliśmy jeden z najlepszych turniejów – dzieciaki grały z wielkim zaangażowaniem i miały doskonałą zabawę. Dla

nas to było zdecydowanie najważniejsze wydarzenie roku”. (Na zdjęciu: uczestnicy programu „Starsi Bracia” i Andrew Marx, w środku).

HARRY MARX

UNIWERSYTET IM. BROWNÓW

Komisja Wydziału Filologii Angielskiej

Proponowany temat pracy końcowej kwalifikującej do dyplomu z wyróżnieniem

Tytuł roboczy: Znajomi i sąsiedzi

Inspiracją do powieści są losy bohaterów klasycznych romansów, takich jak *Romeo i Julia*, *Tristan i Izolda*. Fabuła będzie osadzona w scenerii współczesnego Ditmas Park, w Brooklynie. Będzie to opowieść o dwóch rodzinach mieszkających w bliskim sąsiedztwie, o romantycznych związkach, ale też o rozstaniach osób, które je tworzą. Planuję napisać powieść, w której zostanie poruszony temat młodzieńczego, lekkomyślnego zauroczenia, i równolegle przedstawić rozterki ludzi w wieku dojrzałym, którzy pierwsze romantyczne doświadczenia mają dawno za sobą, a po wielu latach zmagają się z takimi samymi uczuciami. Zamierzam się oprzeć na koncepcjach Jacques’a Derridy i Michela Foucaulta, a także czerpać natchnienie z platform internetowych o strukturze hipertekstu i ująć całość, w moim zdaniem interesujący sposób, w nieco staroświeckiej i prostej formie powieści.

Dziękuję za rozważenie mojej propozycji

TIME OUT NEW YORK

Kalendarium wydarzeń kulturalnych

Elizabeth Marx, Sala Koncertowa Bowery Ballroom

W rok po premierze filmu *Sama sobie jestem panią* wokalistka dawnego zespołu Pociąg do Kitty, Elizabeth Marx, odnotowała na swoim koncie spektakularny powrót na estradę, chociaż w jej przypadku bardziej adekwatne byłoby słowo „debiut”, ponieważ niewiele osób słyszało piosenki z repertuaru tego zespołu, oprócz słynnego przeboju dawnej koleżanki Marx, z którą razem występowały i której historii w tym miejscu nie będę rozwijać. Elizabeth Marx promuje swoją nową płytę pod tytułem *Współcześni kochankowie* wydaną tej jesieni przez niezależną wytwórnię Merge Records.

Podziękowania

Bardzo serdeczne podziękowania kieruję do mojej uroczej agentki, Claudii Ballard, a także do Laury Bonner i Tracy Fisher z WME oraz do całego zespołu Riverhead Books, a zwłaszcza Sarah McGrath, Claire McGinnis, Geoffa Kloske, Lydii Hirt, Danyi Kukafki, Jynne Martin i Kate Stark. Podziękowania za nieustającą sympatię i wsparcie otrzymują Megan Lynch i Ali Cardi z Riverhead. Przekazuję je także mojej brytyjskiej drużynie: Jessice Leeke i Cathryn Summerhayes. Dziękuję przyjaciołom, którzy służyli mi bogatą i różnorodną wiedzą niezbędną do napisania tej książki. Należą do nich: Rob Newton, Kerry Diamond, Bill Sheppard, Jo Anne Kennedy, Stephin Merritt, Meg Wolitzer, Lorrie Moore, pracownicy Rookie, Ry Russo Young, Christina Rentz i Isabel Parkey.

Szczególne podziękowania składam moim rodzinom: Straubom, Royalom i memu przystojnemu mężowi, Michaelowi Fusco-Straubowi, bez którego byłabym kompletnie zagubiona. Z zachwytem i pełnym oddaniem dziękuję moim dwojgu wspaniałym dzieciom, z których jedno podczas pisania tej książki noszę jeszcze w sobie, ale już wkrótce przyjdzie na świat.

Podziękowania otrzymują jak zawsze moje ukochane niezależne księgarnie i ich nadzwyczajni właściciele i księgarze, a w szczególności Mary Gannett i Henry Zook z BookCourt, Stephanie Valdez i Ezra Goldstein z Community, najśłodsza Christine Onorati z WORD, Jessica Bagnulo i Rebecca Fitting z Greenlight oraz Niki Coffman i Ann Patchett z Parnassus. Chciałabym również podziękować Ann Patchett za to, że jest Ann Patchett.

Dziękuję i przekazuję serdeczności starym przyjaciołom, którzy wciąż przy mnie trwają, a także tym, którzy się oddalili. Przesyłam im ucałowania na odległość wędrujące do nich w czasie, przestrzeni i w różnych okolicznościach.